ROK XX.
Ogólnego zbioru Tom LXXVII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT I.

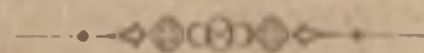
Styczeń.

WARSZAWA,

1895.

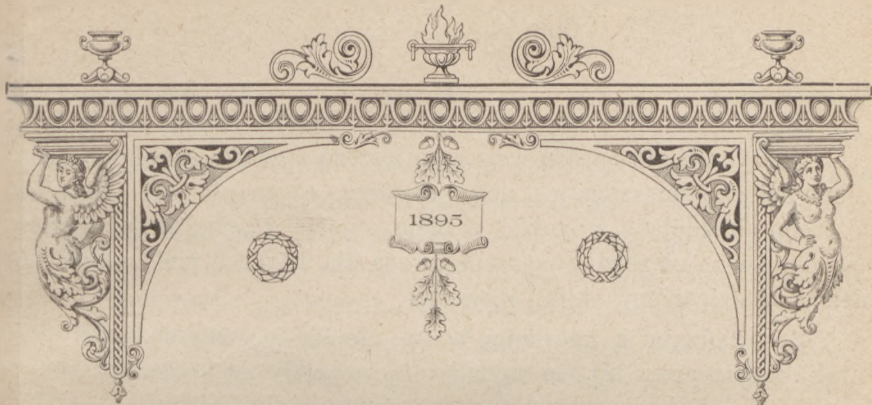
Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.



Zeszyt zawiera arkuszy 13.

Druk ukończono d. 4 stycznia 1894 r.



Skąd się biorą Pesymiści?

Pesymizm, jako choroba społeczna, ubezwładniająca coraz to liczniejsze zastępy ludzi, bez różnicy płci, wieku, powołania, majątku, zasługuje na bezstronne zbadanie w celu wykrycia rozmaitych przyczyn tego cierpienia i sprzyjających jego rozwojowi warunków. Teoretyczna strona pesymizmu, przekonania wyrażane przez jego adeptów, mniejszą mają doniosłość, niż sama praktyka pesymizmu, jego przyczyny i skutki.

Tacy pesymiści teoretycy, jak Schopenhauer lub Leopardi, nie mieliby wielkiego wpływu, gdyby nie było ludzi z usposobieniem skłonném do rozpaczy i złorzeczenia swemu losowi. Chcąc zatém walczyć z pesymizmem, nie wystarcza logicznie dowieść fałszu pesymistycznych teoryi, trzeba zastanowić się nad przyczynami choroby, nad źródłem błędów, nad tém, co stanowi sprzyjające rozwojowi pesymizmu okoliczności.

Chociaż najczęściéj, i u nas obecnie, pesymizm przybiéra cechy epidemii, to oprócz zarazków obcych działają nieraz czynniki wytwarzające samorodne zniechęcenie nawet u ludzi, nie podlegających wpływom literatury, pozbawionych wymowy, cierpiących w milczeniu, walczących potajemnie z niebezpiecznym wewnętrznym wrogiem, który ich powoli z sił wyzuwa.

I.

Zaczyna się to bardzo wcześnie, jeszcze w wieku szkolnym, gdy młode dziecko zmuszone jest uczyć się tego, czego nie rozumie, albo do czego nie zdołano wzbudzić w niém zajęcia i zamiłowania. Ileż to rodziców za niezbędną potrzebę uważa dla swych dzieci znajomość niemal od dzieciństwa kilku języków!

Sprowadzają z zagranicy bony, nie mające innych zalet ani kwalifikacyi, prócz téj, że urodziły się i wyrosły na bruku paryskim, i że biegle, choć nie zawsze do rzeczy, mówią po francusku. Ktoby tu wypytywał się o przymioty moralne, o to, czy ta bona otrzymała jakieś wykształcenie, czy przygotowaną została do powołania pedagogicznego! Wszak dziecko, rozumują rodzice, jeszcze niczego się nie uczy, tylko „wprawia się w rozmowę w obcym języku" — jakby mowa była możliwą bez myśli, jakby można dziecko nauczyć mówić, mówiąc z niém o niczém. Bona taka, wyrwana z otoczenia, które lepiéj odpowiadało jéj gustom, przeniesiona do klimatu przykrzejszego, niż klimat jéj ojczyzny, często nawet zawiedziona w swoich nadziejach (bo biura eksportujące podobny towar dbają głównie o to tylko, aby najwięcéj osób „umieścić" byle jak) — naturalnie przeklina swój los i ten *pays barbare*, z którego, przy niskiém swém wynagrodzeniu, nie łatwo może się wydostać. Dziecko wcześnie takie narzekania słyszy i uczy się od dzieciństwa, że życie jest nieznośném, że tylko bogatym dobrze, że jedyną pociechą jest szczęście w miłości i t. p. prawd pedagogiki popularnéj. Metoda poglądowa uzupełnia te pierwotne dane psychologii. Widzi ono bonę flirtującą z kim tylko się zdarzy— dobrze jeszcze, jeśli nie z panem domu lub starszém rodzeństwem powierzonych sobie dzieci. Przy dziecku rodzice lekceważą sobie jego opiekunkę, traktując ją, jak służącą, albo też znowu gdy pani domu z cudzoziemką zanadto się spoufali, wtedy następują różne ciekawe zwierzenia, dla dziecka nie przeznaczone, a jednak przez dziecko podsłuchane, odgadnięte, na wpół zrozumiane. Dziecko zaczyna się domyślać, że dorośli mają mnóstwo takich rozkoszy, których istnienie przed dziećmi starają się ukryć. Zaostrzona ciekawość pobudza przenikliwość i przedwcześnie dowiaduje się ono tajemnic, przedstawiających dziecięcemu umysłowi życie z fałszywego zupełnie punktu widzenia, jako jarmark zabaw, jako pogoń za „szczęściem" i to nawet szczególniéj za tém szczęściem, które druga płeć daje. Matka wobec dziecka dowcipkuje nad możliwą niewiernością małżonka, licząc na

to, że „aniołek” nie pojmie tych aluzyi. „Aniołek” nie jest takim głupim, za jakiego go mają i w lot pojmuje, a jeśli nie pojmuje, to uczy się na pamięć takich prawd światowéj mądrości: „wszyscy dążą do szczęścia”, „największém szczęściem jest miłość (płciowa)”, „najgorętsza miłość jest po za małżeństwem”, „małżeństwo jest niewolą”, etc. W ten sposób wcześnie już, dzięki brakowi umiejętnego kierunku wychowawczego, dziecko bywa zachwiane w najbardziéj zasadniczych i najnaturalniejszych pewnikach i późniéj nie łatwo uwierzy, że „szczęśliwym jest tylko ten, co myśli o szczęściu innych”, „największém szczęściem jest czynić dobrze”, „najwięcéj dobrego można zdziałać w rodzinie” i t. d.

Ale prócz wpływu moralnego mają te wcześnie do dzieci sprowadzane cudzoziemki jeszcze zgubny wpływ na umysł dziecka, do którego mówią językiem niezrozumiałym, kiedy ono jeszcze własnego języka nie poznało dobrze. Przedwczesna nauka obcych języków wyrabia powierzchowność i utrudnia gruntowną znajomość języka własnego. Dziecko ucząc się tę samą rzecz wyrażać w kilku językach naraz, traci poczucie subtelniejszych różnic, identyfikuje pojęcia obce ze swojskiemi nawet, gdy one zaledwie częściowo sobie odpowiadają. Mało jest pojęć wspólnych wszystkim językom—i takie pojęcia, przeważnie oderwane pojęcia naukowe, małą rolę grają w umysłowém życiu dziecka. Natomiast najpowszedniejsze wyrazy bywają często właściwe tylko jednemu językowi i nie odpowiadają ściśle tym wyrazom obcego języka, któremi zwykle bywają zastępowane. „Tęsknoty” Francuz nie zna, a jego *s'ennuyer* nie jest to samo co po polsku „nudzić się”. Różnice te są pouczające dla dojrzalszego umysłu, ale dla dziecka kilkoletniego są niedościgłe. Obcy język jest dlań z początku przykrym przymusem. Dopiéro po 12—13-ym roku życia, gdy dziecko już pozna dobrze własny język, z pożytkiem może zacząć naukę języków obcych, i z łatwością przyswoi sobie w następstwie kilka języków równie gruntownie, jak gdyby je znało od dzieciństwa. Cała ta dziecinna nauka języków pod kierunkiem niewykształconych bon jest bez wartości, bo język dziecinny, tyczący się przedmiotów codziennego życia, gier i zabaw, obejmuje zaledwie kilkaset wyrazów i zwrotów, których dojrzalszy chłopiec lub dziewczynka nauczyćby się mogli w kilka tygodni. Dziecko, które od czwartego roku życia mówiło z bonami i nauczycielami po francusku, bez systematycznéj nauki tego języka, mając lat 14 nie będzie w stanie napisać poprawnie najprostszego listu. To, co stanowi istotne poznawanie języka, mianowicie uważne czytanie wzorowych autorów, umiejętne przyswojenie sobie gramatyki i stylistyki, nie jest dostępném dla małych dzieci.

Oprócz tego, ciągłe towarzystwo cudzoziemskich kierowników działa przygniatająco na umysł dziecka, które ani samo nie rozumié, ani téż nie jest rozumianém przez narzuconych mu przewodników. Wskutek tego nie ma ono dla nich poważania, ani téż zaufania. Wiadomo, jak nawet starsi uczniowie lekceważą sobie nauczycieli obcych języków, jeśli są cudzoziemcami. Tradycyonalny typ Niemca, będącego w szkole przedmiotem rożnych żartów i figlów, dobrze jest znany w naszéj humorystyce.

Sama treść utworów klasycznych, czytanych w gimnazyach, nie bardzo zdrowy stanowi pokarm. Platona czytają zaledwie urywki — Seneki, Epikteta wcale; natomiast lubieżny Owidyusz, zmysłowy Horacy, pochlebca Wirgiliusz, stanowią główną duchową strawę klas wyższych.

W Anglii nie zalecają dorastającéj młodzieży Byrona, ani we Francyi Musseta, ani téż w Niemczech Heinego—tam mają Szekspira, Moliera, Goethego, Schillera, którzy pogodniejszy pogląd na świat udzielają młodzieży.

Umysły młode, rwące się do prawdy, gdy zechcą po za poezyą szukać jéj w filozofii, znowu potkną się o bieżące, nieco sztuczne prądy, wywołane potrzebami nic wspólnego z wychowaniem nie mającemi. Te same okoliczności, które wywołały pesymizm i sceptycyzm wielkich poetów, sprawiły, że z zagranicznéj filozofii tłómaczono głównie autorów bądź pesymistycznych, bądź do pesymizmu pośrednio wiodących przez sceptycyzm, pozytywizm lub materyalizm. Zwolennicy tych kierunków zdziwią się może, jeśli ich co do wpływu pedagogicznego utożsamiamy z pesymistami, choć często dzieła ich promieniują na pozór najgorętszym optymizmem. Jednak jeśli weźmiemy pod uwagę religijne wyobrażenia, z któremi młody czytelnik przystępuje do czytania Buckle'a, Haeckla, Büchnera lub Vogta, to trzeba będzie przyznać, że takie „otworzenie oczu", którém się zwolennicy tych autorów chlubią, wcale nie może dodatnio wpłynąć na sąd o wartości życia. Jeśli ktoś od dzieciństwa przywykł do myśli, że każdy czyn jego sięga skutkami swemi do najdalszych krańców nieśmiertelnego życia, i do nieba lub piekła prowadzi, to nagła utrata tych rozległych widoków potężnie wstrząśnie całą jego istotę. Gdy piętnastoletni chłopiec pod wpływem obcych mistrzów, przemawiających do niego jedynie martwemi znakami czarnych czcionek drukarskich, porzuci to wszystko, czego go uczył żywy i do serca przenikający głos matki, to uczuje się niesłychanie osamotnionym i straci zaufanie do wszystkich swoich wierzeń. Przypuśćmy na chwilę, że istotnie świat cały jest tylko wirem atomów bez ładu, że świadomość wynika z pewnych

przypadkowych związków tych atomów i zależy od kształtu linii, po których one krążą, jak mniemają materyaliści—albo też, że wszystko, co nie jest dostrzegalném dla zmysłów, jest jedynie złudzeniem, i że wiedza ludzka nie może sięgać po za fakta stwierdzone doświadczeniem zmysłowém, jak twierdzą pozytywiści. Jeśli tak jest, jeśli rozpowszechnione u wszystkich ludów poglądy na duszę i jéj wieczne życie są błędem, to prawdy podobne spokojnie możnaby uznawać wtedy tylko, jeśliby nam były wpajane od dzieciństwa. Gdy zaś całe nasze otoczenie od dzieciństwa w bajkach, przypowieściach, historyi ciągle nam wspomina o odpowiedzialności sięgającéj po za granice tego życia, oswaja nas z wyobrażeniem walki złych i dobrych duchów, opieki naszych aniołów-stróżów i pokus, na które nas wystawiają szatani, to chwila, w któréj nagle przychodzimy do przeświadczenia, że mamy do czynienia tylko z materyą i zmysłami, że za nasze czyny odpowiadamy tylko przed trybunałami ludzkiemi, że życie nasze trwa tylko tak długo, jak ciało — chwila ta ma w rozwoju młodzieńca tragiczną doniosłość. A słusznie można tu mówić o chwili jednéj, bez przygotowawczéj epoki przejściowéj, gdyż dwa przeciwległe poglądy stoją zazwyczaj naprzeciw siebie nieprzejednanie: ta literatura, którą młodzież szkolna pożéra, działa gwałtownie na wyobraźnię i ambicyę, przedstawiając religię jako zabobon, wiarę jako głupotę, nie rozbiérając wcale całéj subtelności i zawiłości tych kwestyi, ale rąbiąc nielitościwie gmach tradycyi, nie pozostawiając z niego nic prawie, nie wskazując żadnych łagodnych przejść od jednego poglądu do drugiego, ale kopiąc między nimi taką przepaść, że tylko pozostaje młodzieńcowi wybór między ostatecznościami. Filozofia, łącząca sprzeczności, wyjaśniająca prawdziwe znaczenie pozornych przeciwieństw, pozostaje nieznaną, bo nie jest popularna Więc młodzież jeszcze w gimnazyum, o ile wogóle zajmuje się myślą o istocie i celach życia, gromadnie rzuca się ku skrajnym kierunkom. Schopenhauer, Hartmann większe tu mają powodzenie, niż we własnéj ojczyznie. Pomimo tego, sama literatura jeszcze decydującego wpływu-by nie mogła wywrzéć, gdyby nie ta pracowita bezczynność, na któréj polega życie studenta. Większość uczy się tylko przed egzaminami, i to powierzchownie, nie dlatego, żeby coś umiéć, ale tylko żeby „skończyć” szkołę, do któréj uczęszcza. W innych krajach nikt nie mówi o „kończeniu uniwersytetu”, bo każdy pojmuje, że najlepszy uniwersytet tylko początki wiedzy dać może, że człowiek to umié, czego się sam nauczy, a nie to, z czego zdawał egzamina. To widmo egzaminów wiecznie staje między młodzieżą a tymi, co powinniby być jéj przewodnikami. Od wiosny zaczyna się stan gorączkowy, anormalny, przy którym wprawdzie udaje się wtło-

czyć w pamięć szereg faktów, ale na czas krótki, bez stałego wpływu na rozwój umysłowy, bez nabycia nowych uzdolnień. Liczne niepowodzenia corocznie wykolejają znaczną ilość studentów.

Młodzież, pozbawiona wpływu naturalnych swoich przewodników, oddana jest na pastwę różnym namiętnościom. Gra, pijatyka, rozpusta jeszcze nie tyle pochłaniają ofiar, co inne, surowiéj zabronione uniesienia, które nietylko odciągają studentów od właściwéj ich wiekowi pracy, ale także oddalają urzeczywistnienie tych samych ideałów, które im przyświecają. Gdyby najgorliwsi, zamiast brać na siebie odpowiedzialność poprawiania niepoprawnych, tylko dbali o dokładne pojmowanie swoich własnych obowiązków i o sumienne ich wypełnienie, to przyczynialiby się skuteczniéj do polepszenia warunków społecznych, wywołujących ich oburzenie. Chcąc te warunki zmienić, trzeba zaczynać od siebie i od najbliższego otoczenia, wyrzekając się szerokiéj propagandy pewnych haseł, które łatwo do nieporozumień prowadzą. Młodzież, kończąca wyższe zakłady naukowe, obejmuje stanowiska, na których bardzo szerokie koła wpływu osobistego są jéj otwarte. Ale aby umożliwić wpływ dodatni, trzeba doskonalić samych siebie, nabywając wiedzę, ucząc się panować nad sobą, kształcąc wolę, rozwijając swe zdolności.

Takie skoncentrowanie wysilków w obrębie szczupłego koła, najprzód praca nad sobą samym, potém nad najbliższą nam rodziną i przyjaciołmi, nie będzie wcale egoizmem, jak wielu mogłoby sądzić, gdyż i owszem, dążenie do doskonałości na każdym kroku potyka się o egoistyczne skłonności, o lenistwo, zmysłowość, próżność i t. d. Walka z tymi wrogami wewnętrznymi cięższa jest i zaszczytniejsza, niż ambitna chęć działania ciągle na przekonania innych, nim jeszcze ustaliliśmy własne. Tymczasem część naszéj młodzieży łudzi się mniemaniem, jakoby postęp społeczny mógł zależéć od pewnych tez, czyl przyjętych przekonań. Nawet choćby te były najsłuszniejszemi, to przyjęcie ich formalne, bez odnośnego postępu moralnego jeszcze pożądanego skutku nie przyniesie. Np. niewątpliwie bardzo słusznem było przekonanie od stu lat u nas rozpowszechnione, że poddaństwo jest ciężką niesprawiedliwością, krzywdą wyrządzaną większości pracowników. Gdyby przekonanie to przedostało się do głębi sumienia tych, co korzystali z niesprawiedliwego przywileju, gdyby oni dobrze pojęli wynikający stąd obowiązek i zdecydowali się na wypełnienie go, zniesienie poddaństwa nastąpiłoby w sposób dla obu stron zadawalniający: ci, coby wyrzekali się dobrowolnie niesłusznego przywileju, mieliby zadowolenie, jakie daje spełnienie obowiązku, ci zaś, coby wyzwoleni zostali, mogliby zachować poważanie i przywiązanie do swych

dawnych panów. Naturalnie, podobnie pokojowa przemiana byłaby możliwą tylko w społeczeństwie, nierównie doskonalszém, niż nasze. U nas całkiem inaczéj się to odbyło, tak, że wywołało trwałe przyczyny niezgód wewnętrznych, wzajemnéj nienawiści, prowadzącéj do zachowania w rzeczywistości właśnie tych stosunków niesłusznéj zależności, które formalnie zniesiono. Otóż takie formalne hasła, których urzeczywistnienie w niczém-by istoty rzeczy nie zmieniło, pospolicie najwięcéj mają dla młodzieży uroku. Na pozór prowadzą one do zmniejszenia ucisku słabszych przez silniejszych, ale jak dalece dążenie to jest powierzchowném, okazuje się gdy rzecznicy reform sami dochodzą do jakiéjkolwiek władzy. Wtedy zapominają oni bardzo rychło o swych młodzieńczych uniesieniach i zapałach, stając się posłusznymi wykonawcami tego, co potępiali poprzednio sami. Pochodzi to stąd, że w czasie studyów uniwersyteckich za mało dbali o własne umysłowe i moralne doskonalenie się, i zupełnie powierzchownie przejmowali się niezrozumianemi hasłami, nie zdając sobie wcale sprawy z tego, jakiego rodzaju udział osobisty każdego jest potrzebny, aby te hasła urzeczywistnić istotnie, nie zaś formalnie tylko.

Na téj drodze nieuchronnie będąc narażeni na przykre zawody, wychowańcy wyższych zakładów naukowych jeszcze więcéj skłaniają się do pesymizmu, niż ci, co kończą tylko średnie szkoły. Widzimy rezultat nadzwyczaj dziwny i przeciwny najwięcéj usprawiedliwionym oczekiwaniom: pesymizm wzrasta proporcyonalnie do stopnia wykształcenia, jeśli mamy uważać tych za więcéj wykształconych, co dłużéj przebywali w szkołach. Gdybyśmy podobny rezultat spotykali wszędzie, trzebaby w nim widzieć poważny argument na korzyść pesymizmu powszechnego. Jeśliby najwykształceńsi byli zawsze największymi pesymistami, to ogół mniéj wykształconych miałby wszelkie powody uznania pesymizmu za pogląd słuszny, za usposobienie właściwe. Ale na szczęście gdzieindziéj tak nie jest — w Niemczech, w Anglii, w Ameryce młodzież uniwersytecka najmniéj cierpi na pesymizm, jest świadomą swoich sił i przygotowuje się do pracy produkcyjnéj nietylko materyalnie, ale i moralnie. Widziałem w Cambridge na placu publicznym w niedzielę studenta improwizującego przemowę do otaczających go robotników: nie uczył on ich, że świat jest zły, nikczemny i podły, że życie nic nie warte. I owszem zachęcał i drogę wskazywał do życia, mającego największą wartość, mianowicie do życia zgodnego z naszém sumieniem, świadomego naszych obowiązków. Takie widowisko wcale nie jest rzadkiém ani wyjątkowém w krajach, gdzie mowa angielska panuje. Tam wykształceńsi istotnie przodują

mniéj wykształconym, i częściéj prowadzą ich do postanowień wewnętrznych, niż do czynów na zewnątrz.

Dlaczegóż u nas jest odwrotnie? Skąd się bierze ta skłonność do pesymizmu tych, co na pozór są najwykształceńsi?

Otóż przedewszystkiém stąd, że oni mają tylko pozory wykształcenia, nie zaś jego istotę. Mają dyplomy i zewnętrzne oznaki, ale nie poświęcali oni lat przebytych w szkole na wszechstronny rozwój fizyczny, umysłowy i moralny. Nadmiar pracy książkowéj, uniemożebniał właściwy rozwój fizyczny. Zbrakło czasu na gry, gimnastykę, fechtunek, wiosłowanie, pływanie i t. d. Widzimy u nas mnóstwo młodych chłopców noszących okulary, przedwcześnie zgarbionych i słabowitych. Brakło im także warunków sprzyjających rozwojowi moralnemu: aby zadosyćuczynić zbyt wielkim wymaganiom, uczyli się obłudy i hypokryzyi, które tém są dla rozwoju duchowego, czém kalectwo dla rozwoju fizycznego. Przy pominięciu rozwoju fizycznego i moralnego, prawdziwy rozwój umysłowy w szkołach zastępowało jednostronne ćwiczenie pamięci w zatrzymywaniu na czas krótki, mianowicie na egzamina, znacznéj ilości szczegółów. Przytém okoliczność, że biedniejsi zmuszeni poświęcać znaczną część czasu pracy zarobkowéj, stanowiła nową przeszkodę w nabyciu wykształcenia, nowe źródło zawodów i zniechęcenia. Pewna ślepa wiara w skuteczność wykształcenia nawet przy najniekorzystniejszych warunkach, połączona z uprzedzeniem, jakoby przy praktycznie produkcyjnéj pracy nie można było również skutecznie pracować nad własném wykształceniem, jak w szkole, prowadzi corocznie do uniwersytetów wielu takich, którzy gdzieindziéj zadowolniliby się samouctwem, połączoném z wcześniejszą materyalną produkcyjnością. Dążenie to do wykształcenia bez wystarczających materyalnych środków znajduje poparcie w licznych rządowych i prywatnych stypendyach, których fundatorzy zdają się uznawać powszechne prawo wszystkich do nabywania wiedzy. Prawo takie, jeśliby mogło być ustanowioném, cenniejszym byłoby nabytkiem, niż powszechne głosowanie, ale prawdziwa możliwość równego wykształcenia dla wszystkich pragnących wiedzy, musiałaby oprzéć się na zapewnieniu, potrzebującym na czas studyów materyalnego utrzymania. Dopóki na tak kosztowny cel ekonomiści nie wynajdą środków, dopóty wszelka bezpłatność nauczania pozostaje fikcyjną. Dopóty téż wszelkie indywidualne wysiłki połączenia pracy zarobkowéj z pracą szkolną koniecznie muszą prowadzić do wycieńczenia sił i kształcić legiony pesymistów. Gdyby każdy z nich pogodził się ze swym losem tymczasem i zamiast przeceniać swe siły, całą energię zwrócił do materyalnéj produkcyjności, to przynajmniéj

swoim dzieciom mógłby zapewnić to wyższe wykształcenie, którego sam był pozbawiony. Ale mało jest ludzi zdolnych do takiéj rezygnacyi, a także zbyt mało są u nas rozpowszechnione tradycye i wiadomości o tém, jak i bez „kończenia" wyższych szkół można cele praktyczne walki o byt urzeczywistnić. To téż zamiast istotnéj produkcyjności, celem i marzeniem niezamożnéj młodzieży staje się urzędowanie, do którego dążą, przebijając się, jak mogą, przez szkoły ogólne.

Kto w téj walce nad siły ulega, pozostaje wykolejonym na całe życie i rzadko zachowuje dosyć energii, aby i bez dyplomu coś skutecznie przedsięwziąć.

Nic dziwnego wobec takich stosunków, że właśnie te warstwy, które poczytujemy za inteligencyę narodu, najwięcéj dostarczają pesymistów. Kobiéty, dzięki temu, że dla nich dotąd większa część urzędów jest niedostępna, mniéj téż cierpią na niezadowolone ambicye i wyrastający na nich pesymizm, więcéj zaś zwracają się do istotnie produkcyjnéj pracy, którą znajdują sobie w zakresie gospodarstwa domowego.

Przynajmniéj te, które wychodzą za mąż, łatwo pozyskują odpowiedni swym siłom, choć szczupły zakres działania, mniéj czasu pozostawiający na złorzeczenie losowi. O tyle, o ile w dzisiejszych warunkach małżeństwo i macierzyństwo stanowi główne powołanie kobiét, są one zwykle na mniéj zawodów narażone, niż mężczyźni. Wybiérając sobie męża, a raczéj przyjmując tego, który ją wybrał, kobiéta ma cel jasno określony, możliwy do osiągnięcia i zadawalniający większość. Mężczyzna zaś w małżeństwie wyłącznego powołania widziéć nie może, gdyż na jego barkach spoczywa odpowiedzialność za materyalne powodzenie rodziny, obowiązek dostarczania środków żonie dlatego, aby ona mogła wypełnić swe powołanie, to jest wychowanie dzieci. Bywają wprawdzie rodziny, w których role są odwrócone, gdzie żona utrzymuje swego męża, ale to są wyjątki, i wtedy taka kobiéta, pod względem swéj odporności na pesymizm, jest w tém samém położeniu, co mężczyzni.

II.

Jeśli wychowanie wadliwe nie zakorzeniło u człowieka trwałéj skłonności do pesymizmu, to dalsza jego odporność będzie przeważnie zależéć od tego, czy istniejące warunki, wśród których działać jest zmuszony, nie narażają go na szereg niepowodzeń, mogących zniechęcić i najodważniejszego. Niepowodzenia te mogą z jednéj strony za-

leżéć od własnéj nieudolności cierpiącego, jeśli wskutek spaczonego wychowania żadnych uzdolnień do produkcyjnéj pracy nie nabył. Z drugiéj strony mogą być wywołane społecznemi warunkami powszechnemi, którym i najlepiéj przygotowani oprzéć się nie mogą. Człowiek tak wychowany, że umié odpowiedziéć swemu zadaniu i przy wszelkich warunkach działać produkcyjnie i wytrwale, najmniéj będzie narażony na pesymizm. W pracy będzie on czerpał siłę i otuchę, niepowodzenia, od siebie niezależne, zniesie z lekkiem sercem, wiedząc, że nawet to, co za najgorszy koniec jakiegokolwiek niepowodzenia bywa poczytywane na ziemi, śmierć, nie jest wcale strasznêm nieszczęściem dla tych, co do końca przy swych obowiązkach wytrwali.

Elementarna ta prawda, tylekrotnie powtarzana od starożytności aż po nasze czasy, dziwnie mało znajduje zastosowań w praktycznêm życiu. Mało kto patrzy na śmierć, jako na uwolnienie od ciężkich obowiązków, prawie każdy widzi w niéj najstraszniejsze nieszczęście choć nawet formalnie przyznaje się do wiary w nieśmiertelność duszy, nauczanéj przez kościół. Patrząc na wielkie wysiłki, jakie ludzie robią, aby, z narażeniem nawet najświętszych przekonań, uniknąć śmierci, możnaby na seryo zwątpić, czy téż wiara w nieśmiertelność duszy, jest istotnie tak rozpowszechniona, jak zwykle mniemamy. Poczynając od Sokratesa, wszyscy filozofowie i ojcowie kościoła dowodzili, że śmierci za nieszczęście poczytywać nie należy i nieraz okazywali czynem, że zaparcie się swych przekonań za większe nieszczęście uważają, niż utratę życia. Tymczasem ogół ludzi tak żyje, jakby samo fizyczne życie było najważniejszym celem i jakby dla utrzymania go warto było ponosić najcięższe moralne upokorzenia. Tą obawą śmierci pogarszają oni samo życie, niszczą własną moralną niezależność, znoszą to, czegoby nie potrzebowali znosić, gdyby śmierci się nie bali. Sama myśl o śmierci zatruwa im życie i staje się podwójnêm źródłem pesymistycznych wyobrażeń. Najprzód, będąc nadmiernie do téj formy życia, jaką tutaj znamy, przywiązani, cierpią oni, widząc nietrwałość i niepewność wszystkiego, co od zachowania naszego ciała zależy.

Taka nierozumna obawa śmierci, właściwsza dla zwierząt, niż dla ludzi, jest wynikiem pewnego braku w wykształceniu, mianowicie zaniedbania filozofii, która uwalnia człowieka od podobnych nierozumnych objawów i czyni go prawdziwie niezależnym od wszelkiego przymusu. Ludzie, którzy ze zwierzęcym instynktem unikają śmierci nadewszystko i cenią życie więcéj, niż wewnętrzne zadowolenie, jakie daje niezamącone niczém sumienie, dochodzą z nieubłaganą koniecznością do rozterki wewnętrznéj, stanowiącéj najpodatniejszy grunt dla wszystkich pesymistycznych wpływów. Właściwe wychowanie

mogłoby zabezpieczyć nas przed większą częścią tych wpływów, choć nie przed wszystkiemi; gdyż jakkolwiek wychowanie chybione z łatwością niszczy zdolności wrodzone i nawet zabija geniusz, to znowu najumiejętniejsze wychowanie stworzyć nie zdoła wielkich zdolności tam, gdzie ich wrodzony brak zachodzi. Ludzie rodzą się nierówni, choć nie zawsze łatwo bywa odróżnić wrodzoną nieudolność od nabytéj przez wychowanie.

Źródła takiéj wrodzonéj nieudolności szukać należy w epoce, poprzedzającéj wszelkie wychowanie, a wina nieszczęść, zawodów, niepowodzeń, wynikających z wrodzonéj nieudolności prawie zawsze spadnie na rodziców, którzy albo przez różne nadużycia pozbawili się zdolności osiągnięcia zupełnie zdrowego na ciele i duchu potomstwa, albo przez nieświadomość pozbawili dziecko swoje w najważniejszéj dlań epoce przed i po urodzeniu potrzebnéj opieki. Nieudolność wrodzona jest znacznie częstszą, niż zwykle mniemamy. Pochodzi to stąd, że znaczna ilość ludzi lekkomyślnie patrzy na małżeństwo. Żenią się tylko dla siebie, na mocy wzajemnego upodobania, albo, co gorzéj, wskutek względów całkiem ubocznych, jak majątek, stanowisko, pochodzenie. Narzeczonych, a szczególniéj narzeczone, obraziłoby pytanie, czy w wyborze swym uwzględnili los przyszłego swego potomstwa. Mężczyzna, żeniąc się, wybiéra dla swych przyszłych dzieci matkę, kobiéta, wychodząc za mąż, wybiéra dla swego potomstwa ojca i wybór ten, jakkolwiek doniosły dla wybiérających, jeszcze stokroć doniośléjszy jest dla tych, co przy wyborze samym żadnego głosu nie mają, a najciężéj za niewłaściwy wybór pokutować będą musieli. Jeśli małżeństwo źle będzie dobrane, to ostatecznie związek ten, o ile jest tylko małżeństwem, zawsze jeszcze będzie mógł być rozwiązany, jeśli nie prawnie, to przynajmniéj faktycznie. Ale gdy małżeństwo doprowadziło do ojcostwa i macierzyństwa, to już nic skutków dokonanego faktu dla nowonarodzonego nie cofnie — chyba śmierć. O dziedziczności fizyologicznéj toczą się ciągle jeszcze niezamknięte dyskusye wśród lekarzy: wątpić można, czy ta lub owa choroba jest dziedziczną, ale nikt już nie wątpi, że mężczyzna o zniszczonym i wyczerpanym chorobami organizmie nie będzie ojcem zdrowych i szczęśliwych dzieci. Są pewne, i to najstraszniejsze, choroby, co do dziedziczności których nie ma żadnéj wątpliwości, a jednak żadne prawo nie zabrania dotkniętym takiemi chorobami żenić się, zarażać żonę i dzieci. Iluż ojców, wydających swe córki za mąż, nie śmie przyszłego zięcia poddać ekspertyzie lekarskiéj, przekonać się wszelkiemi sposobami, czy ten zięć, od którego los córki i wnuków zależy choć zdrowia nie zatruje potomstwu. Nawet, jeślibyśmy mogli cał-

kiem usunąć kwestyę dziedziczności fizyologicznéj i moralnéj, jeślibyśmy mogli dowieść, że stan zdrowia dziecka jest niezależnym od stanu organizmu rodziców, zawsze jeszcze rozum nakazywałby większą, niż ta, jaką zwykle spostrzegamy ostrożność w wyborze przyszłych ojców i matek dla naszych wnuków. Jeśliby każde nowonarodzone dziecko miało z początku równe prawdopodobieństwo dojścia do *maximum* doskonałości fizycznéj i moralnéj, to tém więcéj decydująca byłaby rola wpływów późniejszych, pomiędzy któremi wpływ ojca i matki zawsze najważniejszym pozostaje. Więc na matki należałoby wybiérać tylko takie kobiéty, które posiadają zdolność i chęć sumiennego wychowania swoich dzieci, na ojców tylko takich mężczyzn, których życie mogłoby służyć za wzór ich dzieciom. Więc panienki, myślące tylko o tańcach i zabawie, skazane być powinny na staropanieństwo. Więc mężczyźni, szczycący się rozpustą, powinniby miéć wstęp zabroniony do domów, gdzie dorastają dziewice.

Jakże inny widok przedstawiają nasze dzisiejsze obyczaje! Nie ta panna jest najlepszą „partyą", co dowiedzie umiejętności kierowania dziećmi. Najzacniejsze nauczycielki starzeją się przy swych wychowankach: widok ich umiejętnych zabiegów około cudzych dzieci nie pociąga najczęściéj żadnego kawalera. Natomiast te, które, same nic nie robiąc, przygotowaniem swych strojów zajmują mnóstwo szwaczek, ciału swemu nadają sztuczne kształty, tak, jak wersalscy ogrodnicy drzewom, zamiast wiedzy i praktycznych uzdolnień rozwijają tylko kokieteryę i umiejętność działania na zmysły mężczyzn, niewłaściwém odżywianiem i krępowaniem krążenia soków krew zamieniają na wodę — takie panny, jeśli mają znaczny posag, nie skarżą się na brak konkurentów. One, jakkolwiek najczęściéj niezdatne do macierzyństwa, gdy wydadzą z wielkim trudem na świat słabowite niemowlę, same go karmić nie mogą i skazują dzieci swych mamek na śmierć głodową, pocieszając się odwiecznym sofizmem, według którego grzéch ma być usprawiedliwionym dlatego, że jeśli nie ja, to kto inny go spełni! A cóż powiedziéć o najwięcéj poszukiwanych kandydatach do stanu małżeńskiego! Nie młodości, nie siły, nie zdrowia, nie energii, nie szlachetnych uczuć szukają w nich matki dla swych córek. Gdy przypadkiem jaka dziewczynka 16-letnia, która powinnaby jeszcze być w szkole, podoba się o dwadzieścia lat od niéj starszemu bogaczowi, chociażby nawet był wdowcem po trzech żonach, chociażby cierpiał na kilka ukrytych, lecz strasznych chorób, chociażby wiadomém było, że uwiódł i opuścił kilka kochanek, to zawsze jeszcze ogromna większość rodziców będzie widziéć szczęście w tém, co jest najstraszniejszém nieszczęściem dla młodéj niedojrzałéj dziewczyny,

będą ją namawiać do przyjęcia wstrętnego jéj konkurenta, nieraz nawet obiecując sobie samym pieniężne korzyści z moralnego zabójstwa swéj córki.

Zdarzają się często ludzie, posiadający pewien majątek, umiejący produkować znacznie więcéj, niż ich osobiste potrzeby wynoszą, którzy z komiczną powagą dowodzą, że „nie mają prawa" żenić się bez posagu! Twierdzą oni, że krzywdę przynosiliby swemu przyszłemu potomstwu, wybiérając dlań matkę bez majątku.

Słysząc takie i tym podobne wywody z ust ludzi, którzy sami siebie poczytują i są poczytywani przez innych za wykształconych, znać brak logiki i psychologii we współczesném wykształceniu. Możnaby zwątpić o losie przyszłych pokoleń, gdyby nie pocieszające spostrzeżenie, że interesowność taka powszechnie spotyka się z naganą nawet tych, którzy sami w tém położeniu by zgrzészyli.

Jednak zaślepienie co do warunków małżeństwa jest obok wadliwego wychowania najpotężniejszém źródłem pesymizmu, o ile pesymizmem nazywamy chorobliwe usposobienie, polegające na zniechęceniu do życia, lekceważeniu naszych bliźnich, aż do pogardy samego siebie. Źle dobrane małżeństwo najprzód robi pesymistami samych małżonków, następnie zaś skazuje na wrodzoną lub nabytą nieudolność potomstwo ich. Zaś nieudolność prowadzi do niepowodzeń, które zniechęcają coraz to więcéj człowieka.

Jednak nie wszystkie niepowodzenia przypisać można nieudolności, ani też nie wszelkiego rodzaju powodzenie zdolności i dzielności człowieka. Inaczéj, jeślibyśmy tylko według powodzenia sądzili o zdolnościach lub nieudolności, pojęcia te pozbawione zostałyby treści i nawet powodzenie, zależne od osobistéj dzielności, niczémby się nie różniło od powodzenia, jakie czasem miéwa safanduła. Różnica między temi dwoma gatunkami powodzenia i odnośnemi dwoma gatunkami niepowodzenia jest zbyt widoczną, aby nie uznać, że nawet cała serya niepowodzeń w niektórych wypadkach może być niezależna od osoby na którą spada. Taka stałość niepowodzeń pomimo braku wrodzonéj lub nabytéj nieudolności dała nawet powód do utworzenia pojęcia, które u nas najczęściéj niemieckim wyrazem *pech* bywa oznaczone. Stosuje się ono tam, gdy ktoś stale cierpi niepowodzenia bez żadnéj ze swéj strony winy. Możliwość podobnego stanu jest z jednéj strony wykazana doświadczeniem, z drugiéj dowiedziona rozumowaniem, według którego powodzenie zawsze zależy najmniéj od dwóch czynników — mianowicie od osoby i przeszkód, na które ta osoba natrafia. Źródło zatém niepowodzeń leżéć może nietylko w saméj na niepowodzenia narażonéj osobie, ale też

w okolicznościach od niéj niezależnych; takie okoliczności w równéj mierze mogą prowadzić do pesymizmu, jak i niepowodzenia, wywołane własną nieudolnością. Jednak człowiek, którego rodzice, łącząc się, uczynili to nie dla żadnych względów ubocznych, ale z głębokiego do siebie przywiązania, opartego na wzajemném zasłużoném poważaniu, okaże się odporniejszym, niż potomek związku, wywołanego chciwością, ambicyą, próżnością, między osobami ani wiekiem, ani usposobieniem dla siebie nieodpowiedniemi, nie mającemi już zdrowia do przekazania swym dzieciom. Także człowiek, którego wychowanie w zupełności rozwinęło jego wrodzone zalety i zdolności do produkcyjnéj pracy, pomimo wszelkich niepowodzeń, śmieléj i spokojniéj będzie na życie patrzéć, niż ten, czyje wrodzone zdolności były przytłumione nadmiarem ćwiczeń pamięci. Wogóle ten, co coś robić umié, zawsze znajdzie zadowolenie i uspokojenie w pracy, która, dlatego, że umié ją wykonać, zawsze mu się powodzi.

Chociaż niepowodzenia często od nas niezależą, zależy od nas rozwój zdolności, ograniczających zakres niepowodzeń. Dobremu szewcowi może się nie udać sprzedaż wszystkich butów, jakie zrobi, ale jeśli jest on doskonałym szewcem, to znajomość fachu zabezpiecza go od niepowodzenia w saméj robocie obuwia. Im trudniejszą jest jakaś robota, a im mniéj przytém jest rozwinięta wiedza, potrzebna do wykonania jéj z powodzeniem, tém trudniéj zabezpieczyć się od niepowodzenia, jednak zawsze są możliwe skuteczne wysiłki w kierunku zmniejszenia prawdopodobieństwa samego niepowodzenia. Ci, co nie są uzdolnieni do takich wysiłków, ulegają niepowodzeniom bez oporu i pod wpływem niepowodzeń zapadają na pesymizm, nie przypisując sobie winy, ani téż nie przewidując możliwości uniknięcia tego, co ich spotyka.

Prócz przyczyn, wywołujących indywidualny pesymizm u jednostek, jak wadliwe wychowanie, wrodzona nieudolność, niepowodzenia osobiste, istnieją przyczyny ogólniejsze, działające na całe społeczeństwo i prowadzące do epidemii pesymizmu, rozprzestrzeniających się po całych krajach, obejmujących całe narody. Są to pewne warunki społeczne, które w ten sam sposób zagrażają produkcyjności społeczeństwa, jak nieudolność osobista wrodzona, lub nabyta przez wychowanie, ogranicza lub wstrzymuje produkcyjność jednostki. Wynikające stąd prądy pesymistyczne dadzą się podzielić na tyle gatunków, ile jest głównych działów produkcyjności społecznéj.

Ponieważ produkcyjność materyalna zawsze stanowi podstawę i warunek wszelkiéj innéj, więc najpowszechniejszą przyczyną epidemii pesymizmu bywa taki stan społeczeństwa, przy którym produkcyj-

ność jego materyalna jest zmniejszona lub utrudniona. Produkcya wartości materyalnéj jest funkcyą społeczną nietylko dlatego, że wymaga współdziałania wielu jednostek, ale też szczególniéj dlatego, że materyalne produkta pracy ludzkiéj wartość swą pozyskują dopiéro przy wymianie. Na wyspie odludnéj największa ilość odzienia dla pustelnika pozbawioną byłaby wszelkiéj wartości; tylko tam, gdzie jest społeczeństwo, zachodzi możliwość wymiany jednego gatunku produktów na drugi wprost, lub za pośrednictwem znaków pieniężnych. Idealny stan materyalnéj produkcyjności społeczeństwa polegałby na tém, żeby wszystkie potrzeby każdego były zaspokojone przy *minimum* pracy fizycznéj. Ponieważ nigdzie jeszcze taki stan nie istnieje i wszędzie znaczna część potrzeb większości mieszkańców pozostaje bez zaspokojenia, a nawet niektóre bardzo ważne potrzeby, jak np. czyste ubranie i bielizna, codzienna kąpiel, hygieniczne mieszkanie, nie dochodzą jeszcze do świadomości wielu pracowników — więc obecnym celem wszystkich społeczeństw jest osiągnięcie *maximum* produkcyi materyalnéj, na jaką siły pozwalają, aby zmniejszyć dotkliwie odczuwane ciśnienie potrzeb, dotąd niezaspokojonych. Hasłem jest przeto *maximum* pracy możliwe, aż do zaspokojenia potrzeb, odczuwanych przez wszystkich. Praca ręczna jednego człowieka wystarczyćby mogła dla zaspokojenia jego potrzeb tylko przy bardzo niskim ich poziomie i przy bardzo znacznéj powierzchni ziemi, któręby mógł uprawiać dla swego wyłącznego użytku. Ponieważ przez wzrost ludności i nierówny podział własności ziemskiéj indywidualne zaspokojenie indywidualnych potrzeb staje się coraz trudniejszém, a zarazem coraz mniéj pożądaném, gdyż podział pracy i wymiana produktów pozwala na daleko większą produkcyjność — więc pod względem zaspokojenia swych materyalnych potrzeb wszędzie ludzie stają się coraz to bardziéj zależnymi od innych ludzi, a także od społecznych warunków, wynikających z mimowolnego i nieświadomego współdziałania. Gdy następuje zastój produkcyi, depresya ekonomiczna, właściwie żadnéj jednostce, ani nawet grupie jednostek winy przypisywać nie można, a jednak wszyscy cierpią. Nawet gdy można dowieść w pewnym szczególnym wypadku, że pewne samolubne dążności nielicznych jednostek doprowadziły do krytycznego położenia ogółu, to jeszcze nie mamy prawa składać całéj odpowiedzialności na te jednostki, gdyż trzeba przyznać, że skoro one działały zgodnie z istniejącém prawodawstwem, to część winy spada na ogół, lub na jego przedstawicieli, którzy szkodliwego działania owych jednostek nie przewidzieli i nie powstrzymali.

Nawet gdyby dowiedziono, że prawodawstwo zapobiedz nie może nadużyciom jednostek, prowadzącym do ogólnego zastoju ekonomicznego, zawsze jednak te warunki, które taki zastój wywołują, od samych jednostek nie zależą. Więc mamy tutaj przykład takiego społecznego stanu, który może zbiorowy pesymizm wywołać, niepowodzenia społeczeństwa, mogącego się odbić na licznych niepowodzeniach jednostek je składających. W epokach, gdzie zbyt produkcyi społecznéj zostanie zatrzymany lub utrudniony, powstają warunki, sprzyjające rozwojowi pesymizmu u wielu jednostek, które w innych czasach wcale do pesymizmu nie byłyby skłonne. Gdy nie ma zarobku, a co za tém idzie, zaspokojenia najpierwszych potrzeb fizycznych, trudno się uchronić od zniechęcenia. Uogólnienie własnego zniechęcenia zaś prowadzi do pesymizmu. Naturalnie i w tym wypadku najlepiéj przygotowane jednostki uchronią się od fałszywego uogólnienia i z własnego doświadczenia nie wywiodą ujemnego sądu o życiu wogóle.

Nieszczęścia narodowe, jak np. niepomyślna wojna, rzucają wielu ludzi w objęcia pesymizmu. Tutaj, tak samo jak i przy depresyi ekonomicznéj, zachodzi okoliczność, że wielu ludzi naraz cierpi bez własnéj winy, ale winnych natomiast daleko łatwiéj wskazać w tym wypadku, niż w pierwszym. Taka świadomość czyjéjś winy wywołując pragnienie zemsty pobudza nasze siły i zmniejsza zwątpienie, bo ten wróg zawsze najstraszniejszy, którego nigdzie spostrzedz nie można. Jeszcze jaskrawiéj stosunek ten występuje przy prześladowaniach religijnych, których wpływ na rozwój pesymizmu jest prawie żaden, czyli objawia się jedynie u najsłabiéj wierzących. Pierwsi chrześcianie pod wpływem prześladowania wcale nie wpadali w pesymizm, tylko dochodzili do egzaltacyi pozwalającéj im patrzéć optymistycznie nawet na męczeństwo. Godna uwagi wogóle jest okoliczność, że wszystkie tutaj przytoczone czynniki społeczne, wywołujące epidemie pesymizmu, działają zawsze przeważnie na jednostki, których osobiste warunki czynią je najpodatniejszymi na ofiary choroby. Zachodzi tutaj w sferze moralnéj ten sam stosunek, jaki ma miejsce przy zwykłych epidemiach chorób fizyologicznie zaraźliwych. Ci, co mają wielkie zasoby zdrowia, nie łatwo ulegają zarazie, choćby najwięcéj byli narażeni na jéj działanie. Wyraźniéj jeszcze, niż wobec ciężkich warunków ekonomicznych lub politycznych, odporność taka osobista jest widoczną wobec działania literatury. Pesymizm zawsze miewał wymownych rzeczników, którzy w pewnych epokach zyskiwali szerokie koła wielbicieli. Ale jeśli zwrócimy uwagę na psychiczne doświadczenie pozornych ofiar literatury pesymistycznéj, spostrzeżemy, że dzieła literackie, na które ofiary te lubią się powoływać, dały tylko gotowy wyraz dla

uczuć i myśli u nich indywidualnie rozwiniętych. Więc literatura pesymistyczna istotny wpływ ma niewielki, najwięcéj jeszcze, gdy działa na umysły młodzieży.

To, co w literaturze pesymistycznéj szczególniéj wpływa na wyobraźnię czytelników, stanowi szereg twierdzeń, których niepodobna dowieść, a łatwo w nich wykazać sprzeczności. Główną podstawę teoryi pesymistycznych stanowi wątpliwość co do samego istnienia człowieka, czyli, jak zwykle się mówi, wątpliwość co do istnienia duszy i jéj nieśmiertelności. Wątpliwość ta u niektórych staje się śmiałém zaprzeczeniem i wtedy daje pesymistom gotową broń do napaści na cały ustrój świata. Obok tego zasadniczego zarzutu nietrwałości wszelkich uciech ludzkich staje zarzut, że nawet krótkotrwałe uciechy, tak jak je pesymiści pojmują, nie są wolne od goryczy. Wszelkie argumenty tego rodzaju, o ile kogoś przekonają, muszą miéć wpływ na jego postępowanie, i osłabiają jego chęć do produkcyjnéj pracy, a tém samém wytwarzają lub zwiększają nieudolność, i za nieudolnością idące niepowodzenia.

Rozpatrując warunki sprzyjające rozwojowi pesymizmu, wszędzie spotykamy ten sam związek między własną nieudolnością człowieka a jego sądem o życiu i ludziach. Tak np. jedną z okoliczności najwięcéj sprzyjających rozwojowi pesymizmu jest bezczynność. Człowiek, który nic nie produkuje ani materyalnie, ani moralnie, własne swe niezadowolenie z siebie łatwo przenosi na zewnątrz i zaczyna skarżyć się na świat.

Gdy bezczynność lub zmniejszenie energii jest spowodowane chorobą, szczególniéj cierpieniem nerwowém, wtedy chory, sam nie będąc w stanie wiele zrobić, również wyrzeka na życie. Stąd dobry stan zdrowia i wszelkie zabiegi około utrzymania takiego stanu mogą być uważane za środki zapobiegawcze pesymizmowi.

Jeśli samobójstwo wolno jest poczytywać za skutek pesymistycznego nastroju ducha, to statystyka samobójstw upoważnia nas do mniemania, że celibat sprzyja pesymizmowi, natomiast życie rodzinne go zmniejsza, gdyż wśród samobójców daleko mniéj znajdujemy mężczyzn żonatych i kobiét zamężnych, niż osób niezwiązanych z tém życiem węzłami rodziny.

Jednak wskazując bezczynność, brak zdrowia, celibat, jako warunki sprzyjające rozwojowi pesymizmu, nie należy zapominać, że te warunki nabiérają znaczenia tylko wtedy, gdy istnieją obok właściwéj przyczyny wywołującéj pesymizm, to jest nieudolności osobistéj wrodzonéj lub nabytéj, albo téż sił ograniczających produkcyjność materyalną lub moralną społeczeństwa

Do sił ograniczających moralną produkcyjność społeczeństwa, zaliczyć także należy błędne informacye, rozszerzane za pomocą literatury pesymistycznéj. Większość ludzi, nie mając możności czynienia samodzielnych badań, polegać musi na świadectwach innych co do historyi ludzkości. Nie wszyscy zaś historycy mają zdolność przedmiotowego przedstawienia przeszłości, a wielu mających nawet po temu zdolność, daje się powodować uprzedzeniami lub namiętnościami i wprowadzają w błąd swych czytelników. Stąd też spotykamy w wielu dziełach twierdzenia ogólnikowe, jakoby ludzkość wcale nie posuwała się naprzód, jakoby np. los dzisiejszych robotników fabrycznych nie był lepszym, niż los greckich niewolników. Takie fałsze muszą działać zniechęcająco na tych, co im wierzą. Bo jeśli byłoby prawdą, że połączone wysiłki wszystkich ludzi nie polepszyły stanu społeczeństwa w ciągu kilku tysięcy lat, to jakież nadzieje moglibyśmy sobie robić co do przyszłości? Na szczęście postęp moralny dla każdego bezstronnego a kompetentnego badacza jest tak oczywistym, że nie zbraknie wymownych głosów zachęcających do usilnéj pracy, dowodzących, że dotychczasowa praca nie była daremną, że dziś jest mniéj cierpienia i niesprawiedliwości na ziemi, niż dawniéj, że np. dziś więcéj ludzi żyje i żyć może w warunkach godnych ludzkości, niż za czasów Ludwika XV-go, że dziś w stosunkach między jednostkami i narodami prawa słabszych są lepiéj uwzględniane, niż np. w roku śmierci jego następcy.

Jednak pesymizm wzrasta, i trzebaby się cofnąć aż do czasów pierwszych Cezarów, żeby w przeszłości naszéj rasy spotkać tak intensywne prądy pesymistyczne, wiodące tysiące ludzi do samobójstwa, jak dzisiaj. Wzrost ten pesymizmu nie jest bynajmniéj dowodem, że się istotnie gorzéj dzieje na ziemi, tylko że umysły ludzkie coraz to goręcéj zajmują się tém, co być powinno, coraz to jaśniéj uświadamiają sobie różnicę między rzeczywistością a ideałem, do którego dążą. Z energii tego dążenia wynika coraz to mniéj korzystne położenie dla nieudolnych, którzy są wskutego tego narażeni na więcéj zniechęceń i zawodów niż dawniéj, i więcéj przez to mają pobudek oddawać się pesymistycznéj rozpaczy.

Charakteryzując pesymistów jako nieudolnych lub oszukanych, odejmujemy im ten urok pozornéj wyższości, jakim pesymiści i ich starsi bracia sceptycy otaczać się lubią. Każdy sądzi innych według siebie, i kiedykolwiek słyszę narzekania na powszechną nikczemność ludzi, wnoszę, że sam narzekający nie powinienby siebie mieć za wyjątek. Tymczasem mało jest tak konsekwentnych pesymistów, coby

siebie z ryczałtowego potępienia ludzkości nie wyłączali. Prawie każdy obraziłby się, gdyby mu osobiście zarzucić te grzechy, o które on śmie oskarżać całą ludzkość. A jednak ludzkość składa się przecie z jednostek, z pomiędzy których żadnéj nikt lepiéj nie zna, niż samego siebie. Więc każdy oszczerca ludzkości zasługuje na przyznanie mu wszystkich tych przymiotów, któremi on określa ogół bliźnich. Jeśli skarży się na nieprodukcyjność wszystkich ludzkich usiłowań, upoważnia nas do wniosku, że jest sam nieprodukcyjnym wskutek swéj nieudolności.

Drozdowo, grudzień 1894 r.

W. Lutosławski.



BRACIA.

NOWELA.

„Błogosławieni cisi, albowiem oni posiądą ziemię“.

(Ewang. u św. Mat. 53, 10).

I.

W domu wiejskim, starym i dość obszernym, w salce jadalnéj z umeblowaniem skromném, kilka osób otaczało stół, nakryty do obiadu porządnie, ale skromnie. Gospodyni domu, Sabina Horniczowa, siedziała pomiędzy córką dorastającą a siostrą, Rozalią Irską, naprzeciw męża i małego syna. Rozalia, panna prawie czterdziestoletnia, ale jeszcze piękna, wyglądała jak chmura. Są różne rodzaje chur, z których każdy sprawia wrażenie inne. Ta nie zapowiadała burzy groźnéj i przemijającéj prędko, ale dészczyk długi, nudny, którego kropla każda sprawia na skórze wrażenie szpilki. Jednak, osoba ta była niewątpliwie piękną i nie była ani głupią, ani gminną. Jéj kibić kształtna, ruchy, ubranie ciemne i skromne posiadały cechę dobrego smaku, a czoło zarys myślący i szlachetny. Tylko, że w téj chwili czoło to przerzynała zmarszczka poprzeczna, brwi czarne były ściągniętemi, a usta zarysowały linię krzywą. Nie był to wyraz gnié-

wu ani smutku, ale wprost złego humoru. Rozalia była w złym humorze, co czyniło ją naprzemian grobem milczącym, boginią wyniosłą lub osą, tnącą żądełkiem na prawo i lewo. Bijący od niéj kwas był tak mocny, że zakwaszał powietrze. Z żółtości cery, która pod kruczemi włosami powlekała piękne jéj rysy, z chudości rąk podłużnych i delikatnych, można było odgadnąć zdrowie, podkopane chorobą chroniczną, nie grożącą życiu, lecz długą i nudną.

Sabina Horniczowa, stanowiła zupełne przeciwieństwo siostry. Mała i szczupła miała pozór kurki łagodnéj, lękliwéj i stroskanéj. Twarz jéj biała i różowa była jedną z tych, które dają dziewczętom młodziutkim podobieństwo do róż polnych, ale gdy zwiędną, przypominają obrazki spłowiałe i pospolite. Tylko błękitne oczy zachowały jeszcze niejaką piękność, polegającą na wyrazie słodyczy wielkiéj, z którą łączyło się teraz zmieszanie i zlęknienie, ilekroć spojrzała na siostrę lub męża. Widać było, że zachmurzenie obojga sprawiało jéj przykrość dotkliwą i że pragnęła mu zapobiedz, ale nie mogła. Bo Zenon Hornicz był także zachmurzonym, chociaż zupełnie inaczéj, niż Rozalia. Ona była kwaśną i pogardliwą, on smutnym i obojętnym. Smutek i zobojętnienie malowały się na twarzy jego młodéj i zarazem staréj, bo miał lat czterdzieści cztéry, a dużo zmarszczek na czole, zarówno jak dokoła ust i oczu. W tych zmarszczkach nie było zgryźliwości, ani złości, tylko przyzwyczajenie do zamyślań się częstych i długich. Musiał zazwyczaj mówić mało, bo ci, którzy wiele mówią wyglądają wcale inaczéj od tych, którzy wiele milczą. Duszę milczącą można poznać z oczu człowieka, który ją ma w sobie. Ze źrenic Hornicza ciemnych i popadających często w nieruchomość, patrzała dusza myśląca i cierpiąca, która nigdy nie wypowiadała myśli swoich, ani cierpień. Może jednak uciekanie przed wzrokiem bliźnich nie było jéj wrodzoném, bo rysy, postawa, ruchy człowieka tego znamionowały raczéj naturę prostą, otwartą, skłonną do zaufania. Prostém także było ubranie jego z szarego sukna wiejskiego, w którém wyglądał silnie i niegminnie, owszém, wbrew grubości odzieży, wytwornie. Ruchy też miał młode jeszcze, ale plecy trochę przygarbione. Musiał być niegdyś bardzo przystojny i trwało to jeszcze w stopniu pewnym. Tylko postarzał wcześnie. W pierwszéj połowie piątego krzyżyka miał już twarz pomarszczoną, plecy przygarbione i wiele siwizny zmieszanéj z włosami ciemnemi na głowie i w brodzie krótko przystrzyżonéj. Z młodości pozostała mu regularność rysów ściągłych, oczy piękne i zdrowie cery, opalonéj na słońcu i wiatrach.

Dziewczynka czternastoletnia, stworzonko dość ładne, tak jak matka białe i różowe, oraz chłopak dziewięcioletni z bystremi oczyma,

znudzeni milczeniem, panującém przy stole, trochę kręcili się na krzesłach i trochę czasem do siebie szeptali. Rozalia ostro ozwała się do malca:

— Niech Kazio spokojnie siedzi przy stole, bo wezmę za rękę i wyprowadzę z jadalnego pokoju.

Kazio jednak nie robił nic złego ani nawet nieprzyzwoitego. O czémś tylko szeptał z zapałem do siostry, która słuchała go z uśmiéchem. Rozalia, przeniósłszy wzrok z brata na siostrę, zauważyła znowu:

— Są twarze, które zawsze wprawiają mię w zdumienie swoim wiecznym uśmiéchem.

— Jak to można tak wiecznie się uśmiéchać?

To kłucie dzieci zabolało matkę. Zcicha i z zalęknieniem przemówiła:

— Moja Różieczko, jeżeli to mówisz do Anielki, jest to tak właściwém jéj wiekowi...

Rozalia ze zdumionėm spojrzeniem na siostrę i wzruszeniem ramion przerwała:

— Ja do Anielki mówiłam? Czyż nie można wypowiedzieć zdania bez zastosowywania go do kogokolwiek? Są zresztą różne gusta. O ile twarze, wiecznie uśmiéchnięte, wprawiają mię w podziw, o tyle znowu sposób jedzenia prędki i łapczywy wstręt we mnie obudza. Jest w tém coś zwierzęcego.

To stosowało się do Hornicza, który po kilkogodzinném przebywaniu na polu i w stodole z apetytem jadł w téj chwili jakieś bardzo niewytworne zrazy. Na różowéj i zwiędłéj twarzy Sabiny odmalowała się dolegliwość silniejsza niż przedtém. Z większą łatwością przenosiła złośliwość siostry względem dzieci, niż względem męża, dzieci bowiem, zawdzięczając wiele Rozalii, mogły téż znieść od niéj jakąś przykrość. Uczyła je pracowicie i umiejętnie, była téż dla nich w chwilach dobrych bardzo dobrą i tkliwą. Bywała téż nieraz dobrą i dla szwagra, ale gdy stawała się złą, sprawiało to Sabinie Horniczowéj udręczenie, jeśli nie piekielne, to przynajmniéj czyścowe. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale, spojrzawszy na siostrę, zlękła się i nic nie powiedziała, a po chwili dopiéro rozpoczęła próby rozbijania atmosfery ciężkiéj, za pomocą rozmowy—byle jakiéj.

— Dziwna rzecz, jak dziś sucho w ogrodzie. Po wczorajszym dészczu nie ma już ani śladu.

Głos jéj drżał trochę; z wyrazem przykrości niewymownéj patrzała na ręce siostry, która z powolnością i delikatnością niesłychaną kroiła, rozdzielała, wprost rozgrzebywała po talérzu kawałek mięsa,

kiedy niekiedy niosąc do ust malutką jego okruchę. To jedzenie, fenomenalnie powolne, było lekcyą poglądową, udzielaną temu, kto jadł prędko, to jest Horniczowi, który jednak z niéj nie korzystał, bo patrzał tylko w swój talérz.

— Czy mameczka była w alei brzozowéj? tam, to jeszcze zupełnie mokro!—miłym głosikiem zaszczebiotała Anielka.

— A pod oficyną to tyle jeszcze wody stoi w rowku, żeśmy z Michasiem puszczali na nią łódki korkowe! — zawołał Kazio, mieszając cienki donośny głosik z dźwięcznym głosem siostry.

Rozalia, która przed chwilą ruchem rezygnacyi położyła sztućce na talérzu, teraz obie ręce podniosła do uszu. Nic nie powiedziała, ale przez dobrą minutę z całéj siły zamykała dłońmi otwory uszu. Dzieci umilkły. Błękitne oczy Sabiny zaczęły stawać się prawie nieprzytomnemi. Hornicz przemówił do żony:

— Proszę cię, Sabinko, podaj mi sól.

Były to pierwsze słowa, które z ust jego wyszły od rozpoczęcia obiadu. Posypując solą kartofle, towarzyszące zrazom, myślał:

— Grono rodzinne zasiadło do stołu i w pogodzie ducha dzieli się chlebem zapracowanym wspólnie! Że zapracowanym wspólnie, to prawda, ale pogody ducha niema wcale. Czego ona dziś tak skwaśniała? Alboż to kiedykolwiek ma jaką przyczynę? Owszem, jest przyczyna, tylko niewidzialna, bo siedzi w śledzionie, albo w kiszkach. Człowiek ma charakter swoich kiszek. Wczoraj były one dobre i on był dobry, dziś są złe i on jest zły. Takim sposobem każdy znajduje się w zależności nietylko od swojego żołądka, ale i od wszystkich żołądków, które go otaczają. Ażeby dowiedzićć się o losie dnia, który go czeka, powinien mówić do otaczających zamiast: dzień dobry!—jak się macie najjaśniejsze żołądki?

Spojrzał na chłopaka niezupełnie dorosłego, który posługiwał do stołu, a którego twarz wyglądała jak misterny tatuaż z sadzy i kurzu.

— Mój Filipku — rzekł — wyglądasz znowu, jak kominiarz. Od tak dawna uczę cię czystości i jeszcze się jéj nie nauczyłeś.

Powiedział to dość łagodnie, a potém myślał:

— Od sześciu lat życia chowa się we dworze, nauczył się czytać i pisać, a codziennego umycia rąk i twarzy żadna siła ludzka nauczyć go nie może. Rzecz drobna, lecz sprawia obrzydzenie. Życie składa się z obrzydzeń wielkich i drobnych.

Rozalia milczała jak grób, półmisek z naleśnikami odsunęła ze wstrętem w téj właśnie chwili, gdy Hornicz napominał lokajczyka za brudną twarz i ręce. Sabina zaś, trwając ciągle w usiłowaniu rozpogadzania atmosfery, zwróciła się do męża:

— Ciekawa rzecz, co tam teraz porabia nasz Wincuś?

Był to ich syn szesnastoletni, który przed tygodniem odjechał z wakacyi do szkół.

— Jeszcze pewno w gimnazyum siedzi, bo jest dopiéro druga godzina, a ich wypuszczają o trzeciéj—prędko zagadała Anielka.

Wspomnienie o synu pogłębiło zmarszczki na czole Hornicza. Z powodu tego dziecka doświadczał troski dość ciężkiéj. Za to w twarzy Rozalii to wspomnienie odbiło się jak malutki promyczek słońca w gęstéj chmurze. Zwolna i na nikogo nie patrząc przemówiła:

— Pisałam dziś do Wincusia, bo zdaje się, że nikt jeszcze dotąd nie pisał do niego.

— Jeszcze nie ma dwóch tygodni, jak wyjechał —tłómaczyła się Sabina.

Rozalia, jakby nie słyszała wcale głosu siostry, rzekła jeszcze:

— Pisałam, aby wziął od Rogowskiego część mego procentu i sprawił sobie nowy mundurek.

Hornicz po raz pierwszy z niejaką żywością przemówił:

— Niepotrzebnie to zrobiłaś. Ten, który ma, wystarczyłby mu jeszcze na rok cały. Wincuś okazuje zanadto skłonności do elegancyi i popisywania się wszelkiego rodzaju...

Rozalia, podnosząc głowę, odpowiedziała sucho:

— Trudno, ażeby wszyscy mieli skłonność do safandulstwa i siedzenia za piecem.

Sabina siedziała, jak na węglach rozżarzonych.

— Różieczko — przerwała głosem bardzo łagodnym — przecież sama nieraz mówiłaś, że nie jest dobrze, jeżeli chłopiec wykieruje się na panicza...

Oczy Rozalii z pod czarnych brwi ściągniętych tkwiły w siermiężnym surducie szwagra.

— Nie trzeba wpadać w ostateczności — zaczęła tonem oschłym i nauczycielskim — zbyteczna wybredność jest niedobrą, ale i abnegacya nie dodaje nikomu uroku. Z dwojga złego, wolałabym już pierwsze!

Ale obiad był już skończony, Sabina wstała z krzesła. Rozalia, wstawszy także, podała końce palców siostrze, a szwagra wcale nie spostrzegając, oddaliła się szybko. Słychać było, jak w głębi domu ze stukiem zamykała za sobą drzwi swego pokoju. W dniach dobrych szła po obiedzie do bawialni, grała na fortepianie, gawędziła, czasem nawet bawiła się z dziećmi, uczyła je tańczyć, grała z siostrzenicą na cztery ręce. Ale dzisiejszy dzień był niedobry, więc nie przemówiw-

szy do nikogo słowa, wprost od stołu pokazała wszystkim plecy i zamknęła się w swoim pokoju. Dzieci pobiegły do ogrodu. Horniszowa zbliżyła się do męża, który z zamyśleniem patrzał przez okno na ogród pełen barw już jesiennych i bladych blasków słońca wrześniowego. Wsunęła mu rękę pod ramię i wznosząc ku jego twarzy oczy więcéj jeszcze, niż zazwyczaj, łagodne i stroskane, przemówiła lękliwie:

— Mój Zenku, jak mnie to okropnie boli, że Rózia była dziś znowu taką...

Nie odrywając wzroku od grupy drzew powleczonych przez jesień barwami rdzawemi i żółtemi, myślał:

— Gdybym był tém czém być miałem, czém już trochę byłem, malowałbym tę grupę drzew.

A żonie odpowiedział:

— Nie dbaj o to, moja droga, tak jak ja nie dbam...

Jednocześnie z temi słowy miał w głowie inne.

— Kłamię, bo te drobne szpilki życia drażnią mnie niesłychanie...

Ona zaś mówiła daléj, głosem coraz cieńszym:

— Ty to przezemnie znosisz, bo to przecież moja siostra, ale cóż ja zrobię?

— Naturalnie; cóż możesz zrobić? nie ma tu nic do zrobienia!

Rozmowa taka powtarzała się przynajmniéj dwadzieścia razy na rok, to jest za każdym razem, gdy Rozalia zaczynała mącić zgodę domową. Hornicz myślał:

— Tamta od dzieciństwa tak jéj imponowała swoim umysłem wyższym i charakterem fantastycznym, że odebrała jéj zdolność do oporu najlżejszego. Osa i kurczątko!

Kurczątko, bardzo stroskane, niemal już piskliwie prawiło mu u boku:

— Taka jest dziwna... czasem idzie spać w najlepszym humorze, serdeczna, grzeczna, miła, a nazajutrz wstaje taka jak dziś...

Za każdym razem łamię sobie głowę nad przyczyną téj zmiany i nie mogę wynaleść żadnéj.

On, patrząc teraz na grupę drzew inną i zabarwioną inaczéj, rzekł z uśmiechem:

— Moja droga, zmienność wszystkiego jest prawem powszechném. Nic nie trwa. Wszystko przeléwa się w formy coraz inne, przepływa jak obłoki. Uczucia człowieka podlegają temu samemu prawu. Kiełkują, rosną, rozkwitają, więdną i zostaje po nich łodyga pusta, czasem z owocem obrosłym kolcami.

Wszystko to powiedziawszy, pomyślał:

— No i po co ja to wszystko nagadałem?

Ona słuchała cierpliwie, ale parę razy odbiegła myślą od słów męża, bo naprzód zobaczyła dziéwkę idącą z koszykiem do ogrodu warzywnego i pomyślała: „byleby rwąc sałatę, nie zdeptała pietruszki", a potém widząc indyczkę prowadzącą indyczęta do gęstego klombu, zauważyła w duchu: „gdzieś blisko dostrzegła jastrzębia!" Gdy Hornicz przestał mówić, przytuliła się mocniéj do jego boku i zaczęła.

— To prawda, Zeniu, ale to wszystko, co powiedziałeś, nie ma żadnego związku z Rózią...

On uśmiéchnął się, ona mówiła daléj:

— Ty wiész, że ona jest w gruncie rzeczy nadzwyczaj przywiązaną do nas i do dzieci, że w wielu wypadkach dała nam dowody poświęcenia i że wiele zawdzięczamy jéj pracy około wychowania dzieci, szczególniéj Anielki...

— Ależ tak — pośpiesznie zgodził się Hornicz — wiem o tém wszystkiém, bardzo szanuję piękne przymioty twojéj siostry, a drobne jéj fantazye nie sprawiają mi przykrości...

Jednocześnie myślał:

— Kłamię! Sprawiają, nawet taką, która zawstydza i poniża, jak wszystkie drobnostki i małostki...

Sabina znacznie uspokojona, mówiła z uczuciem zachwytu:

— Bo ty, Zeniu, jesteś najlepszy, najpobłażliwszy, najszlachetniejszy z ludzi.

Zrobiło się mu żal téj kobiéty, tulącéj się do jego ramienia. Pochylił się i pocałował ją najprzód w czoło, a potém w oko błękitne, którego powieka już zżółkła i trochę pomarszczona zamknęła się pod jego ustami.

Na jéj twarzy rozlał się wyraz ukojenia.

Więc nie gniéwał się! Kaprysy Rózi nie sprawiały mu przykrości! Ach, jak to dobrze! Ale uspokojona pod tym względem, zatroskała się mocniéj o pietruszkę, którą dziéwka zdeptać mogła rwąc sałatę. On powrócił wzrokiem do pysznego wycieniowania drzew ogrodowych i miał już na ustach wyrazy: „Patrz, jak ta srebrna wierzba plastycznie odskakuje od tła zaczerwienionych kasztanów!" ale nie powiedział nic. Po co? Przez pierwsze lata pożycia dokonał mnóstwa prób w tym rodzaju i żadna się nie udała. Ona rzeczy takich poprostu nie widzi. Zaczęła go teraz wypytywać, coby najchętniéj jadł na wieczerzę.

Jemu to było zupełnie wszystko jedno, ale gdy nalegała powie-

dział pierwszą lepszą potrawę, która mu na myśl przyszła, a ona dzwoniąc kluczami wybiegła z pokoju. Biegła krokiem żwawym i drobnym, mającym w sobie coś ptasiego. Hornicz patrzał za biegnącą żoną i myślał, że jestto kobiéta niezmącenie dobra i że dobroć jéj nie zasługuje nawet na nazwę owczéj. Przeciwnie, Sabina, będąc bardzo łagodną, jest zarazem czynną, pracowitą, troskliwą niezmiernie o potrzeby rodzinne. On téż ma dla niéj szacunek rzetelny i wiele przywiązania. Więc cóż? Więc dlaczegóż, gdy przed chwilą tuliła się do niego trwożnie i tkliwie, nie przycisnął jéj do piersi z całéj siły ramion, ale tylko pocałował w oko prawie z takiém uczuciem, jak gdyby ono było arabeską wymalowaną na ścianie? Dlaczego także nie powiedział jéj wszystkiego co myślał przez ten czas, gdy ona tu stała? Cóż? Po pierwsze dlatego, że zaśmiałby się z samego siebie, gdyby spróbował raz jeszcze powierzać jéj swoje myśli lub wrażenia. Powtóre, z powodu téj—łodygi nagiéj, na któréj zostaje czasem owoc obrosły kolcami. Na téj łodydze, którą oni trzymali w rękach, nie było kolców, dzięki jéj dobroci, a jego uczciwości. Ale nie było także kwiatu. Trwał krótko i opadł oddawna. Oddawna już jéj oko i arabeska na ścianie były dla ust jego przedmiotami jednako pociągającemi. Całe szczęście, że ona nie czuła w tym kierunku żadnych żalów i pożądań. Ma temperament limfatyczny i nie ma żadnéj skłonności do marzycielstwa. Jest wprawdzie dość młodą jeszcze, od niego młodszą o lat ośm; ale dla kobiét takich, jak ona, łodyga okwitła wystarcza do szczęścia, zwłaszcza gdy nie ma kolców. Z nim co innego. Jemu nie wystarcza. Ale to jego rzecz. Nie usłyszy tego żadne ucho ludzkie i nie dowie się o tém żadna dusza ludzka; tém bardziéj, nie wyrazi się to w czynie żadnym... bo co innego szczęście, a co innego obowiązek. Pierwsze jest mrzonką, włożoną w naturę ludzką, nie wiedzieć po co, gdyż urzeczywistnić jéj niepodobna; drugi istnieje na pewno, ponieważ człowiek czuje go w samym sobie. Wreszcie, kwestya to skomplikowana; obowiązek miesza się w nim z pewnym gatunkiem tkliwości. Kobiétę, z którą żyje, nie może upajać wonią kwiatu już nieistniejącego; ale téż nigdy nie wleje do gardła jéj trucizny. To rzecz pewna i wypróbowana. A uczucia i rojenia może gorzkie, może palące, których z tego powodu doświadcza, są jego tajemnicą, zarówno jak wszystko, co w nim jest. Są téż wprawdzie źródłem kłamstwa i udręczenia. Bo zatajanie przed osobą, z którą się żyje, znacznéj części tego co się myśli o niéj i co się dla niéj czuje, to kłamstwo milczące i udręczenie duże, na które jednak nie ma rady żadnéj.

Tak myśląc, szedł przez dziedziniec ku stodole otwartéj i napeł-

nionéj monotonnym turkotem młockarni. Mijając sztachety ogrodu zobaczył dzieci, bawiące się na trawniku. Anielka, Kazio i mały syn ogrodnika rzucali piłkę, chwytali ją w powietrzu, albo ścigali po trawie. W słońcu jesienném i wśród drzew bogato zabarwionych przez jesień, tworzyło to obrazek świeży i wdzięczny. Stanął i patrzał. Przyszło mu do głowy porównanie, jakim ten ogród był przed ośmnastu laty, a jakim jest teraz. Wówczas, gdy powróciwszy z Monachium i wyrzekłszy się na zawsze karyery artystycznéj, wziął w posiadanie ten kawał ziemi, rosły tu prawie same chwasty i sterczały drzewa umiérające z opuszczenia. Te gęstwiny malownicze, trawniki nieduże, lecz świéże, sad obfity w owoce, to jego praca dokonana z wydatkiem piéniężnym nieznacznym i z trudem osobistym wielkim. Zamiast na płótnie, wymalował obraz na kawałku ziemi. Była to drobnostka, ale jéj przypomnienie przerzedziło nieco chmurę, która mu przygniatała mózg prawie bezprzestannie. W téjże chwili otworzyło się jedno z okien wychodzących na ogród i ostry głos kobiécy zawołał:

— Anielko! chodź na lekcyę!

Chmura na mózgu Hornicza znowu zgęstniała. Był bardzo wdzięcznym Rozalii za uczenie dzieci, bo to oszczędzało trosk i wydatków dużych, ale ta przysługa ważna sprawiała mu przykrość dotkliwą, ilekroć zaprawiały ją kwas, sprzéczka i posępność. Wdzięczność byłaby dla niego uczuciem rozkoszném, gdyby dobrodziejstwo dokonywaném było w sposób dobry. Ale można czynić rzecz dobrą w sposób zły i Rozalia posiadała tę sztukę w stopniu wysokim. Bardzo często uczyła dzieci z miną męczennicy, poświęcającéj się dla siostry, nieskończenie od niéj niższéj i dla szwagra nielubionego. Zdarzało się wprawdzie, że przysługa oddawana przybiérała formę przyjemną, lecz pamięć o chwilach złych zatruwała dobre. Sprawiało to udręczenie drobne, ale dokuczliwe. Życie jest pełném udręczeń drobnych, z któremi kiedy niekiedy mieszają się wielkie, jak kamienie w taczce napełnionéj zwirem.

W stodole młócono pośpiesznie zboże, które miało być wysłaném do miasta za parę tygodni. Było już prawie sprzedane; jednak niektóre punkty umowy sprzedażnéj nie zostały jeszcze wyświetlonemi, co przeszkodziło stanowczemu zawarciu umowy. Horniczowi ta zwłoka sprawiała kłopot i niepokój.

Wiele zależało od tego, jak i kiedy sprzeda to zboże, bo musiał wkrótce dokonać pewnych wypłat i zaspokoić pewne potrzeby domowe.

Dochody miał niewielkie i trochę długów nie groźnych, ale z któremi wypadało obchodzić się ostrożnie, aby ich nie powiększyć.

Chodząc tedy po stodole i rozmawiając z gumiennym o gatunku i wadze zboża wymłóconego, myślał o nieustalonych jeszcze punktach kontraktu. W czém można ustąpić kupcowi, a w czém nie można? Co powié ostatecznie za dni kilka, gdy kupiec przyjedzie po decyzyę ostateczną?

Myśli te przerwał gumienny, chłop stary, barczysty, z oczyma mądremi, który, uśmiéchając się trochę tajemniczo, a trochę złośliwie, rzekł:

— Czy pan wié, że patrzéć tylko jak Pawełek nas porzuci?

Hornicz stanął jak wryty. Z tym Pawełkiem była rzecz taka. Przed 18-tu laty objąwszy w posiadanie Zapolankę, Hornicz osądził, że wieś była za małą, a on był za młodym, aby potrzebować w pracy nad jéj uprawą wyręczyciela i zastępcy.

Skądinąd miał w sobie podówczas tyle żalu nad tém, co porzucał i czego się wyrzekał, że praca wydawała mu się prawie ratunkiem. Dlatego zresztą opuścił karyerę rozpoczętą i ukochaną, aby tego kawałka ziemi nie opuścić. Ze względów wszelkich uczuwał konieczność pracy osobistéj. Nie wziął więc i potém nigdy nie brał do pomocy żadnego rządcy, czy ekonoma. Pomagali mu zawsze w gospodarstwie dwaj tylko ludzie: stary gumienny i młody chłopak, będący potrochu oficyalistą, a potrochu praktykantem. Dwóch takich chłopaków miał w Zapolance po lat kilka i wykształcił na gospodarzy dobrych. Pożenili się potém i osiedli na małych dzierżawach. Trzecim z rzędu był Pawełek, którego najwięcéj lubił, może dlatego, że mu uczynił najwięcéj dobrego. Wziął go dzieckiem z zagrody szlacheckiéj bardzo ubogiéj, czyli wyrwał z nędzy wszechstronnéj. Chłopak w domu jego wyrósł na młodzieńca ładnego i zdrowego, otrzymał edukacyę prawie szkolną, stał się ulubieńcem rodziny całéj. Nawet Rozalia okazywała mu zmienność usposobień rzadziéj, niż innym; był on jéj uczniem w części znacznéj, przez długie lat kilka. Zasiadał do stołu z rodziną Hornicza, a dziś nie było go przy obiedzie dlatego, że zrana poprosił był o pozwolenie wyjechania na kilka godzin za swojemi interesami. Hornicz myślał, że pewno się gdzieś kocha, wkrótce zechce się żenić i tak, jak było z tamtymi, osiąść na gospodarstwie własném.

Trzeba mu będzie w tém dopomódz tak, jak dopomógł tamtym. Przez jakiś kwadrans potém rozmyślał nad tém, jaką formę i wagę otrzymać mogła ta pomoc, któréj udzieli Pawełkowi do osiedlenia się na zagrodzie ojcowskiéj, albo na jakiéj dzierżawie niedużéj. To téż, słowa gumiennego obudziły w nim zaciekawienie żywe. Stanął jak wryty i z uśmiéchem zapytał:

— Cóż? żeni się pewno? Czy zwierzył się tobie? czemuż mnie o tém nie mówi?

Stary zaśmiał się zupełnie już złośliwie.

— Gdzie tam żeni się! On chce wyjechać do tych majątków, któremi pan Górkiewicz będzie rządził... Już podobno umówili się o pensyę i o wszystko. Pan Górkiewicz dwa miesiące już namawia Pawełka i on dziś do niego pojechał...

Horniczowi krew do głowy uderzyła...

— Ależ to nieprawda! — zawołał; — Górkiewicz nigdzie nie wyjeżdża! mówił mi sam tydzień temu, że są to tylko plotki...

Gumiennemu aż łopatki latały od śmiéchu.

— Łgał, panoczku, dalibóg łgał, dlatego pewno, że panoczek byłby za to na niego niekontent: wyjeżdża, i Pawełka namawia, aby z nim wyjechał...

Czoło Hornicza tak okryło się zmarszczkami, że nie było na niém najmniejszego miejsca gładkiego. Górkiewicz był jedynym z sąsiadów, z którym żył w stosunkach przyjacielskich. Pawełka poczytywał za wychowańca i prawie za członka rodziny. Pierwszy kłamał przed nim, drugi taił się z zamiarami już od dwóch miesięcy. Czy podobna? Wzruszył ramionami. Wszystko jest podobném! Ale kipiał od niecierpliwości dowiedzenia się napewno, czy gumienny mówił prawdę.

Wychodził właśnie ze stodoły, kiedy w bramę dziedzińca wjeżdżała bryczka parokonna, a tuż za nią cwałował na zgrabnym koniku zgrabny chłopak. Jeździec wyprzedził bryczkę, zeskoczył z konia i prowadząc go za uzdę zbliżył się do Hornicza. Młody, przystojny brunet z twarzą bardzo roztropną i śmiałą, zdejmując czapkę, rzekł:

— Niech pan nie gniéwa się, że zabawiłem tak długo...

Schyliwszy się pocałował opiekuna i pryncypała w ramię, nieco powyżéj ręki. Ten pocałunek fizycznie zabolał Hornicza. Chciał coś powiedziéć, ale bryczka stanęła już przed domem i Górkiewicz wysiadłszy z niéj wszedł na ganek. Odwróciwszy się tedy od chłopaka, szybko poszedł ku domowi. W kilka minut potém znalazł się sam na sam z gościem w pokoju, który nosił nazwę jego gabinetu i był pełnym rachunków gospodarskich, książek, szkiców, obrazków, drobiazgów artystycznych postarzałych i zakurzonych. Górkiewicz był blondynem przystojnym, młodszym od Hornicza, z wyrazem twarzy rozumnym i energicznym, teraz jednak zmieszanym. Hornicz bez żadnego wstępu rzekł do niego:

— Czy to prawda, Bolesławie, że wyjeżdżasz?

Po chwili przykrego milczenia Górkiewicz z żywością zaczął mówić:

— Wyjeżdżam, i nie mów mi już nic, bo wiem z góry, co powiész. Przedewszystkiém zapytasz, dlaczego przed tygodniem powiedziałem ci, że nie pojadę? Ot, widzisz, z powodu głupiego wstydu... Tyleśmy o tém zawsze mówili, że nie mogłem odrazu zebrać się na odwagę. Zresztą, tydzień temu rzecz nie była jeszcze pewną i dopiéro przed dwoma dniami zawarłem umowę stanowczą... A jeśliby zamiar nie miał przyjść do skutku, wolałem, abyś nie wiedział wcale, że go miałem.

— To jest, abym przez całe życie poczytywał cię za innego, aniżeli jesteś.

— Niech to będzie dowodem, jak wysoko cenię twój szacunek...

Hornicz z silnym blaskiem oczu zapytał:

— Jaką pensyę brać będziesz?

— Pięć tysięcy rocznie.

— Ileż wart dla ciebie mój szacunek: dwa, trzy, cztery tysiące? bo w każdym razie mniéj niż pięć!

Górkiewicz zarumienił się.

— Bierzesz zawsze rzeczy zbyt tragicznie. Mówiłem ci nieraz, że jestto szczególną cechą twego charakteru czy umysłu...

— Jestto istotnie szczególną cechą mego charakteru, czy umysłu, że sprzeczność czynów z zasadami, wydaje mi się farsą, z któréj do łez śmiać się można.

Górkiewicz chodził po pokoju krokiem wzburzonym.

— Zasady — mówił — zasady! Mam je, tak samo jak i miałem. Ale człowiek jest człowiekiem i żadne zasady nie mogą oprzéć się takiemu życiu, jakie tu prowadzimy. Psie życie!

— Przepraszam cię — przerwał z żywością Hornicz — życie jest psiem, na to zgoda; ale nie ma prawie takiego psa, któryby opuścił jednego pana dla drugiego z powodu szynki chudszéj albo tłuściejszéj.

— Gdyby miał rodzinę do wyżywienia i wychowania! Ja mam żonę i dzieci!

— Wielki Boże! — zawołał Hornicz — wkrótce posiadanie żony i dzieci udzielać będzie prawa zarzynania ludzi, dla zdobycia ich sakiewek!

Górkiewicz z twarzą pałającą stanął przed sąsiadem.

— Mówisz mi ciągle impertynencye, których nie zniósłbym od kogo innego, ale od ciebie znoszę, bo byliśmy przyjaciółmi...

— Byliśmy przyjaciółmi!—zawtórował Hornicz.

— I stosunek przyjacielski z tobą bardzo mi dopomagał do znoszenia kłopotów, nudy i wszelkich nędz tego psiego życia... Więc nietylko zniosę coś mi powiedział, ale jeszcze poproszę cię o przebaczenie. Namówiłem twego Pawełka, aby tam jechał ze mną...

— Naturalnie;—wtrącił Hornicz—byliśmy przyjaciółmi.

Górkiewicz, ciągle bardzo cierpliwy, mówił daléj:

— Taki chłopak roztropny i doskonale wyuczony gospodarstwa będzie mi tam ogromnie użytecznym...

— Był mnie także użytecznym i w dodatku bardzo miłym, ale że pociągnąłeś go perspektywą karyery, to naturalne. On był moim wychowańcem, a ty prawie przyjacielem.

— Jesteś dziś gorzkim, jak pieprz hiszpański, ale się temu nie dziwię. W téj ciernistości, a zwłaszcza ciasnocie stosunków i warunków, można zgorzknieć, skwaśnieć i nawet żywcem zgnić. Co mnie najbardziéj znęciło do wyjazdu w te dalekie strony, jest właśnie to, że będę mógł działać na szeroką skalę. Jestem przecież agronomem wykwalifikowanym, i mam pasyę do gospodarstwa wielkiego, która na mojéj małéj Zaleśnie aż skwierczała, tak była dławioną. Tam, na przestrzeniach ogromnych i zaledwie napoczętych przez eksploatacyę, szeroko odetchnę piersią i znajdę sposobność do rozmachu ramion...

Hornicz ochłonął nieco z gniewu, siedział teraz z głową opartą na ręku, bardzo smutny.

— Działalność szeroka, oddech pełny, przemówił, to ponęty istotnie silne... Życzę ci powodzenia!

— Dziękuję; czy przebaczasz mi Pawełka?

Hornicz spokojnie odpowiedział:

— Samemu sobie tylko nie przebaczam, że, będąc starym wróblem, jeszcze raz złapałem się na plewy...

— Jakie?—zapytał Górkiewicz.

— Zasad twoich i wdzięczności tego chłopca.

Górkiewiczowi zaiskrzyły się oczy, przygryzł wargę i pochwycił czapkę ze stołu.

— Przyjadę jeszcze pożegnać się z tobą przed odjazdem. Dziś muszę być w paru miejscach.

Hornicz wstał, i końcami palców dotknąwszy zaledwie dłoni, którą do niego wyciągnął Górkiewicz, zapytał:

— A co będzie z Zaleśną?

— Wypuszczam ją w dzierżawę?

— Zapewne z czasem sprzedasz?

— Nigdy w życiu!—z uniesieniem zawołał Górkiewicz.

— Mój drogi — rzekł Hornicz — wyrazy: nigdy i zawsze! nie powinny dotykać ust człowieka, który nie chce kłamać przed innymi i sobą samym.

W dwie minuty potém bryczka Górkiewicza zaturkotała na dziedzińcu. Hornicz stał u okna i ścigając wzrokiem sąsiada odjeżdżającego, myślał:

— Działalność szeroka, oddech pełny, przyszłość dzieci ubezpieczona... Zapewne téż choć odrobina przyjemności umysłowych i towarzyskich... wszystko to mieć będzie i za tém pogonił. Który z nas mądry, a który głupi?

Pomimo wszystko czuł za odjeżdżającym żal dotkliwy. To, co ich wiązało, nie było właściwie przyjaźnią, tylko stosunkiem przyjaznym. Hornicz nie otwiérał duszy przed Górkiewiczem, bo wiele tam było rzeczy, które mógłby powierzyć chyba rodzonemu bratu. Ale na znacznéj przestrzeni był to jedyny człowiek, znajdujący się na tym samym, co on, poziomie umysłowym. Gdy go nie stanie, usta zamkną się mu ostatecznie. W czasie długich miesięcy jesiennych i zimowych, Górkiewicz kiedy niekiedy przyjeżdżał do Zapolanki i w tym samym pokoju rozmawiali całe godziny o życiu, książkach i różnych sprawach tego świata. Teraz i to zniknęło. Pawełek także zniknie. Ale to będą rzeczy zwyczajne i dobrze mu znane. Nie raz i nawet nie dziesięć razy spotrzegał nieustanne i nieuchronne zmienianie się dokoła człowieka widnokręgu jego przywiązań i przyzwyczajeń. Za każdym razem doświadczał smutku, ziejącego ze zmienności rzeczy ziemskich, ale stał się mu on już dość powszednim. Wczoraj było, dziś nie ma; dziś jest, jutro nie będzie, historya starożytna a powszechna. Ale głębiéj i ostrzéj zaszła mu w serce przyczyna, dla któréj teraz dwaj ci ludzie mieli zniknąć z jego życia. Była nią gonitwa za zwiększeniem sumy wygód i przyjemności różnorodnych, nic więcéj. Dochody i karyera. Żaden obowiązek i żadna dążność, istniejąca za granicami ich interesów osobistych rzędu niższego. Tylko dochody i karyera. Prowadziło to za sobą szereg refleksyi i przewidywań ciemnych, nie mających związku bezpośredniego z nim samym, ale będących w związku ścisłym z jego ponurém zapatrywaniem się na ludzi i różne sprawy świata.

Był to przytém zawód. Górkiewicza poczytywał za człowieka, rozumiejącego życie oddane obowiązkom wyższego rzędu. Pawełka uczył sam rozumiéć takie życie i zdawało mu się, że nauczył. Omylił się, ale niezupełnie. Górkiewicz był istotnie człowiekiem uczciwym i poważnym, a Pawełek chłopcem dobrym i wdzięcznym. Tylko że

te ich przymioty nie wypełniały pewnéj miary i nie posiadały pewnéj siły.

Ta sama historya co z naturą jego żony i jéj siostry. Sabina była kobiétą uczciwą i dobrą, ale ograniczoną i słabą jak kurczątko, Rozalia wykształconą, ale zmienną jak fala. Nic w tém nie ma pocieszającego; owszem, jestto właśnie najsmutniejszém. Bo z pociechą wielką powiedziałby sobie: to są łotry i dyablice, to bohatérowie i anioły! Albo przynajmniéj: poszukajmy bohatérów i aniołów!

Ale pewność, że wszystko na ziemi, nie będąc ostatecznie złém, nie jest także doskonałém, że jeżeli nie godzi się pluć na nie, to i uklęknąć nie ma przed czém, leje w serce i umysł ckliwość nieznośną.

W dwóch pokojach przyległych słyszał kroki drobne i śpieszne, szepty cichutkie, śmieszki przymilone. Wiedział dobrze, co to znaczyło. Sabina usiłowała powrócić do łask Rozalii. Ilekroć starsza siostra stawała się osą, młodsza usiłowała stać się dla niéj miodem. Czyniła to zapewne przez dobroć serca, współczującego posępnemu usposobieniu siostry, ale więcéj jeszcze dla miłości świętego spokoju. Nuż rozchmurzy się i przestanie zakwaszać atmosferę domową! Nie osiągało to skutku prawie nigdy, ale powtarzało się zawsze. Kurczątko nie mogło żyć w atmosferze burzliwéj, a nie rozumiało, że tylko czas i polepszony proces trawienia mogą przywrócić nietrwałą pogodę. Wiedziała o tém, że mąż jéj siedzi w pokoju swoim sam jeden, zmartwiony historyą Górkiewicza i Pawełka, jednak nie przychodziła do niego, tylko biegała ciągle do pokoju Rozalii z przysługami, ze śmiészkami i z szeptami. Bo od niego nie lękała się, tak jak od niéj, rzeczy przykrych i niepokojących. Z tego wynikałoby, że, aby doświadczyć dobroci ludzkiéj, trzeba umiéć być złym.

Słońce było już bliskiém zachodu, pora wieczerzy nadchodziła, gdy do pokoju Hornicza wszedł Filipek i położywszy na stole list i parę dzienników, odszedł.

Hornicz przypomniał sobie, że dziś był dzień posyłania na pocztę, a raczéj na stacyę kolei po dzienniki i listy. Właściwie po dzienniki, bo Horniczowie prowadzili oddawna życie tak ustronne, że listy przybywały do nich bardzo rzadko. Ale ten, który przybył teraz miał widać coś szczególnego w samém piśmie adresu, bo Hornicz rozdarł kopertę bardzo pośpiesznie, a potém stronnicę zapisaną przeczytawszy, z oczami rozbłysłemi rzucił się ku drzwiom.

— Sabinko! Sabinko! Sabinko! — wołał żony głosem niezwykłe donośnym i nabrzmiałym radością.

Sabina stała z łokciami opartemi o stół, przy którym Rozalia nadąsana i milcząca siedziała z głową zwieszoną nad książką. Na głos Hornicza drgnęły obie; Rozalia z głośnem syknięciem zasłoniła uszy dłońmi; Sabina przybiegła do męża z oczami wylękłemi.

— Co? co? co się stało?—wyszeptała z trwogą.

Hornicza drażniła zawsze w sposób przykry lękliwość niesłychana żony; tym razem, wyjątkowo, wzmogła jego wesołość.

— Czegóż się zlękłaś, Bińciu, czegóż się tak zlękłaś, cha, cha, cha! — wołał ze śmiechem — stało się rzeczywiście, a stanie się coś bardzo dobrego, przyjemnego i z czego tak się cieszę, tak się cieszę! Wiktor przyjeżdża do nas! posłuchaj co pisze!

Przeczytał żonie krótki list brata.

— „Kochany Zeńku, ósmego września, we wtorek, przyjadę do was. Bądź łaskaw przysłać po mnie konie na stacyę. Jadę zagranicę z poleceniem obejrzenia we Francyi i w Anglii najnowszych systemów gorzelnianych i będę przejeżdżał o kilka wiorst od Zapolanki. Zachciało mi się zobaczyć was i wasze dzieci. Wszakże to już lat ośmnaście jakeśmy się nie widzieli! Dwa dni zabawię u was. Ukłony niziuteńkie szanownéj bratowéj. Twój przywiązany brat, Wiktor.

Hornicz był tak wzruszony, że musiał całą minutę kombinować, nim skombinował kiedy to będzie ten wtorek i ten ósmy września.

— To już jutro!—zawołał, ale przeniósłszy wzrok z papiéru na żonę trochę zmarkotniał.

— Co ci jest? Czegóż znowu tak się przelękłaś?—zapytał z trochą niecierpliwości w głosie.

Sabina, z oczyma ogromnie wylękłemi i czołem zmarszczoném prawie boleśnie, zaczęła mówić głosem cieniutkim:

— Boże, mój Boże! co to będzie? tak cieszę się, że Wiktor przyjedzie, nadzwyczaj cieszę, bo przecież to twój brat i wiem, że kochaliście się bardzo!... Ale to taki światowy człowiek, taki wielki pan... gdzie my go umieścimy? Jak przyjmiemy? Ta Maryanna jest dobrą kucharką, ale często weźmie i coś zepsuje...

Spojrzenie jéj niespokojne i rozproszone upadło na okna.

— Firanki brudne!—jęknęła, splatając ręce drobne, zawsze trochę różowe, a teraz drżące.

W téjże chwili Rozalia stanęła we drzwiach otwartych. Sabina, biegnąc do męża, zostawiła za sobą wszystkie otwartemi, tak, że siostra słyszała rozmowę jéj z mężem i list, głośno przez niego przeczytany. Teraz stanęła obok nich obojga z brwiami ściągniętemi, z kwasem

w ustach skrzywionych i tonem oschłym, nauczycielskim przemówiła wyłącznie i wyraźnie tylko do siostry.

— O co się tu tak troszczyć? Król jakiś przyjeżdża, czy co? Przecież twój dom nie jest żadném śmietniskiem i w dwie godziny można go uporządkować. A Maryannę chyba już potrafisz dopilnować, bo co jak co, ale na kuchni znasz się...

Nie zważając wcale ani na ton mówienia, ani na „co jak co", Sabina chciała rzucić się siostrze na szyję za to, że pierwsza przemówiła do niéj, za to, że ofiarowała się zażegnać jéj ciężką troskę. Ale Rozalia już wstąpiła na krzesło, stojące u okna i podniosła ramiona dla zdjęcia firanki.

— Niech Sabinka przyśle Kasię, aby pomogła wynieść na dziedziniec i wytrzepać z pyłu firanki...

— Może pozwolisz mnie to uczynić — pokornie zawołała Sabina.

Rozalia z wysokości swojéj i tonem, nie pozwalającym na sprzeciwienie się żadne, odpowiedziała:

— Sama to zrobię, przyślij mi tylko Kasię!

Sabina wybiegła z pokoju krokiem jeszcze drobniejszym i prędszym, niż zwykle; Hornicz schwycił ze stołu stary kapelusz pilśniowy i wybiegł z domu. O urządzenie pokoju dla gościa drogiego i o przyzwoite jego przyjęcie mógł być spokojny zupełnie, skoro Rozalia wmieszała się w tę sprawę.

Co się tam przy tych robotach biédna Sabinka nadrży i nacierpi, to już rzecz inna i nieunikniona. Ale wzamian można było ręczyć, że robota będzie wykonana dobrze i że zarazem atmosfera domowa rozpogodzi się na czas jakiś.

Bo każda okoliczność, wymagająca pracy, starań, nawet poświęcenia, ilekroć się zdarzyło, przecinała jak nożem zły humor Rozalii. Rozpoczynała czynność w sposób szorstki i despotyczny, ale dalszy jéj ciąg stopniowo ją ułagadzał, rozpogadzał, rozpromieniał.

Ruch fizyczny i moralny, zmiana zajęć i wrażeń były fizyczną i moralną potrzebą tego organizmu, który wśród jednostajności dni i otoczenia, podupadał, cierpł i kwaśniał.

O tém wszystkiém Hornicz myślał w téj chwili przelotnie i króciutko. Serce jego było poprostu wezbrane radością. Nie szedł, ale prawie biegł drogą, prowadzącą pomiędzy łanem pól zżętych, ku małemu wzgórzu z laskiem sosnowym. Ilekroć wychodził z domu bez gospodarskiego celu, szedł zwykle w tym kierunku i stało się to przyzwyczajeniem, któremu teraz ulegał nieświadomie. Bo nie wiedział, dokąd idzie, zatopiony w myślach, krążących wciąż dokoła jednego przedmiotu, którym był przyjazd brata. Wtedy dopiéro, kiedy już

znalazł się na spadzistości wzgórza, spostrzegł, gdzie był i, zdjąwszy kapelusz, objął wzrokiem krajobraz, który niegdyś był świadkiem najważniejszego momentu w jego życiu. Podniecenie uczuciowości sprawione przez wieść otrzymaną, potęgowało skłonność do wspomnień, którą, jak wszyscy ludzie smutni, posiadał w stopniu wysokim. Więc wszystko, co poprzedziło ów moment stanowczy, zdarzony przed laty 18-tu, co wywołało go i co po nim nastąpiło, nietylko stanęło mu jasno przed pamięcią, lecz wdzierało się w nią z natarczywością, któréj nie przezwyciężał, bo lubił zatapiać się we wspomnieniach.

Przed 18-tu laty był w Monachium i otrzymał od brata starszego list z wiadomością, że ojciec ich jest umiérający. Miał podówczas lat 26 i ukończywszy szkolę sztuk pięknych, oddawał się studyom i pracom malarskim. Sztukę kochał ogromnie i studyował sumiennie, ale zapał jego do pracy był nieco ostudzony przez zwątpienie o siłach własnych, a pogoda ducha zmąconą przez zawód serdeczny. Obrazy jego nie doznawały powodzenia; kobiéta, którą ubóstwiał, spadła mu z piedestału tak fatalnie, że ani wątpić o tém, ani łatwo pocieszyć się nie mógł. Zaczynał tedy czuć się nieszczęśliwym, gdy przysłano mu wieść o niezawodnie zbliżającéj się śmierci ojca.

Był to wypadek niespodziéwany, którego rychléj możliwości dotąd nie przypuszczał.

Ptakiem poleciał do Zapolanki, gdzie znalazł ojca już nieżyjącego i brata, który przed niewielu dniami przybył, tu, wypadkiem, w przejeździe, na krótko.

Wnet powstało u obu braci zagadnienie: co czynić z Zapolanką? Kiedy wybiérali dla siebie kierunki życia i pracowania, krzepki organizm i dobre zdrowie ojca zdawały się zapowiadać życie długie i dwaj bracia obrali sobie zawody, według swoich skłonności i zdolności: jeden został inżynierem, drugi artystą. Teraz, spadła na nich ta wioska, z którą nie wiedzieli, co czynić. Dla Wiktora pozostanie w niej było niepodobieństwem zupełném; Zenon także nie mógł zrazu myśléć o tém bez odrazy i zdziwienia.

Według Wiktora wydzierżawianie ziemi mogło tylko sprowadzić utratę mienia całkowitą, z dodatkiem kłopotów nieprzyjemnych i niepotrzebnych. Obstawał przy sprzedaniu Zapolanki i podzieleniu się sumą, otrzymaną ze sprzedaży.

Zenon przystał zrazu, potém zawahał się i zażądał zwłoki, raz jeszcze zgodził się na zamiar brata i znowu wynajdywał zarzuty przeciw niemu, namyślał się, zwlekał. Chodził tymczasem po polu, po lesie, zaglądał we wszystkie kąty dworu i domu, przypominał sobie różne dawne zdarzenia, wrażenia, osoby. Odwiedził też parę dworów

sąsiednich. Wiktor niecierpliwił się i naglił; nie miał czasu na długie czekanie i potrzebował wiedziéć dokładnie, co, ile i kiedy miéć będzie.

Wówczas to pewnego wieczoru, podobnie jak dziś jesiennego, Zenon znalazł się na téj saméj spadzistości wzgórza z laskiem sosnowym i, podobnie jak dziś, objął wzrokiem krajobraz, z punktu tego widzialny. Siedział na kępach mchu, wsparty o pień drzewa zrąbanego, pośród trzmielin, zaróżowionych przez jesień, paproci rdzawych i jałowców, które usychając, nabiérały barwy krwistéj. Za nim stały sosny ciemne i gdzieniegdzie brzozy, całe w złocie; przed nim po obu stronach drogi polnéj, jéżyły się łodygi roślin bez kwiatów, często i bez liści, ale obwieszone nasionami różnych kształtów i wielkości. A pola zorane, albo zasłane ściérniskiem żółtém, okryte zmarszczkami zagonów, falowały po wypukłościach gruntu, hen, precz, aż pod skraje niebios, usianych obłokami, nabrzmiałemi ogniem różnobarwnym.

Zorza wieczorna stała na zachodzie, jak ściana krwawa ze szczytem, rozpływającym się w złocistość. Jéj blaski rumiane i złotawe kładły się na polach i szły powietrzem nad polami, nad laskami, rozrzuconemi po wzgórzach, nad dworem Zapolańskim, który ze swemi drzewami i kominami wyglądał jak obrazek sielski, wymalowany na tle złoto-różowém.

Naprzeciw, w stronie wschodu, omglonéj i liliowéj, wieś chłopska długa, szara, wywijała ku górze kilka wstęg dymu.

Był w tym obrazie spokój wieczoru i smutek jesieni; była téż rzadka piękność rzeczy prostych, a wspaniałych. Zenon patrzał długo na ziemię i niebo, tak zatapiając w nich zmysły, zarówno jak duszę, że zdawało mu się, iż niemi oddycha i odwrotnie, jest przez nie wchłaniany.

Uczuł się jednym z atomów, składających te obłoki, tę zorzę, te pola, pomarszczone zagonami, te sosny, poplamione żółtością brzóz i różowością trzmielin.

W téj chwili proces spajania się z tém otoczeniem, rozpoczęty od przybycia do Zapolanki, odbył się w nim ostatecznie. Następstwem zaś jego było to, że pozostał w Zapolance. Gdyby posiadał młodzieńczą wiarę w siebie i w ludzi, byłby może tego nie uczynił; ale, poczuwając się do niejakich zdolności, zwątpił był o ich sile i wadze, a życie napoczęło go już było tym najzjadliwszym ze swych zębów, którym jest rozczarowanie. Taki, jakim był, nie mógł już oderwać się od tego, czego uczuwał się cząstką ani dla sztuki, ani dla sławy, ani dla szczęścia, które, aby mogło być na ziemi doskonałém, już nie bardzo wierzył. Zawarł tedy układ z bratem i pozostał.

Od tego czasu upłynęło lat 18. Jak upłynęło? On jeden tylko wiedział, a teraz dopiéro dowie się o tém brat jego rodzony, tak dawno niewidziany, że wydawał się snóm, widzianym w młodości, wówczas, kiedy to jeszcze było dobrze i była wiara w to, że może być dobrze.

Pisywali do siebie bardzo rzadko, czasem raz na lat parę, jeden o śmierci drugiego mógł dowiedziéć się z gazet, albo wypadkiem, ale Zenon nie rościł o to do Wiktora pretensyi żadnéj. Myślał o nim czasem z żalem, czasem z goryczą, ale nigdy z gniéwem. Gorycz wyrażała się w myśli: „Nieobecność i zapomnienie są synonimami".

W głębi był pewny, że brat jego jest dużo lepszy od ludzi innych; przedewszystkiém zaś, że jest mu najbliższym z ludzi. W porównaniu z nim nawet żona była dla niego znajomością świéżą. Poznana i poślubiona w stronach dość dalekich, nie znała nic z tego, co wypełniło jego dzieciństwo i pierwszą młodość. Teraz dopiéro zobaczy człowieka, który, tak jak on sam, znał jego matkę i płakał po jego ojcu, do którego w każdym kątku Zapolanki będzie mógł powiedziéć: Czy pamiętasz? Wspomnienia wspólne wydawały się węzłem ogromnie silnym jemu, który lubił wspominać. Przytém, o Boże, będzie mógł dwa dni przepędzić z duchem ludzkim, równym sobie, zapewne nawet wyższym, zasięgnąć jego rady w sprawach osobistych i powszednich, nagadać się z nim o rzeczach oderwanych, wysokich, najważniejszych dla człowieka, o których wiecznie myślał tylko, myślał, myślał sam jeden. Nakoniec po latach długich otworzy przed kimś duszę aż do dna i będzie mógł powiedziéć komuś: „Widzisz, com przecierpiał i czegom wyrzekł się i czegom uczynić nie mógł, co mię cieszy, a co boli, dolega i trwoży!"

Nakoniec, odetchnie szeroko przy sercu silném i współczującém, któremu będzie mógł bez wahania i skrupułu powierzyć wszystko, bo było sercem braterskiém. Nie mieli rodzeństwa innego, ani nawet żadnych bliskich krewnych; na całym świecie jeden z nich dla drugiego był najbliższym krwią i duchem, niezawodnie i duchem, bo Zenon Hornicz pamiętał wysokie wykształcenie umysłowe i serdeczne obchodzenie się z ludźmi brata.

Wiktor był człowiekiem wysoce rozumnym, uczuciowym i dobrym, to nie ulegało wątpliwości najlżejszéj. Że po kilka miesięcy zrazu, późniéj po lat parę nie odpisywał na jego listy, że nie odwiedził Zapolanki od lat już ośmnastu, czegóż to dowodzić mogło? Tylko pracy zawodowéj ogromnéj, wiru stosunków światowych, może także trosk rodzinnych, bo Wiktor ożenił się był oddawna, miał córkę, przed kilku laty owdowiał, o czém donosił mu w liście krótkim, ale

pełnym smutku. On także przez ten czas długi musiał wiele przecierpiéć i nieraz pochylać się nad otchłaniami bytu w zamyśleniach zdumionych i ciężkich. Takie serca miękkie, jak jego, są materyałem szalenie podatnym dla wszystkich rylców i lancetów życia. Bo Wiktor miał serce miękkie. Zenon pamiętał dobrze serdeczny żal brata po stracie ojca i łatwość przyjacielską, z jaką zawarł on z nim układy majątkowe. Teraz, przy pierwszéj możności przyjeżdża... Dobry, uczuciowy, rozumny człowiek i—brat, brat rodzony ze krwi i z ducha!

Zenon siedział na spadzistości wzgórza przed krajobrazem ulubionym, rozmarzał się poprostu. W wyobraźni jego postać brata, niewidziana oddawna, z każdą minutą stawała się większą, piękniejszą i droższą. Dwa dni, które miał z nim przepędzić, zaczęły rzucać nawet na przyszłość dalszą promienie nadziei najpiękniejszych. Teraz, kiedy zobaczą się znowu i przypomną sobie, czém są dla siebie, nigdy już nie rozstaną się na tak długo. Stosunek ich listowny będzie odtąd ożywiony; kiedy niekiedy, to jeden, to drugi, puści się w podróż, aby odwiedzić brata, choćby miał ponieść dla tego niejakie ofiary. Odtąd on, Zenon Hornicz, nie będzie już duszą samotną i milczącą, wyrzuci z serca smutek, który oddawna spadł na dno jego, jak ciężarek żelazny na szalę. Przeciwnie, jadąc czasem do brata, wyjedzie w świat szeroki ujrzy i usłyszy to, czego nie spodziéwał się już widzićć i słyszéć, otrze się ze śniedzi, powesełeje... życie mu ożyje.

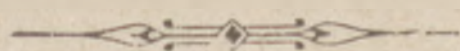
Porwał się z mchu, na którym siedział, wspiérając się o pień drzewa zrąbanegu i raźnym krokiem, z twarzą wesołą puścił się ku domowi.

(D. n.). *Eliza Orzeszkowa.*



WIECZORNE SNY.

(Kartki wykradzione z biurka kobiéty).



I.

Czy ty zatęsknisz, gdy po ciężkiéj pracy
Wracasz do pustki, do swojego domu,
A nikt kochany na odgłos twych kroków
Na próg nie bieży, witać nie ma komu?
I kiedy troska powszednia, codzienna,
Ciężkim kamieniem piersi ci przywali
Nikt ci nie powie: Ciężar podziel ze mną,
O! ukochany, bądź mężnym, idź daléj."
Czy ty zatęsknisz?

Czy ty zatęsknisz—kiedy podłość ludzi
Straszną goryczą usta twe napoi,
A nikt nie szepnie: „ja kocham cię zawsze,
O wszystkiém wątpiąc wierz, miłości mojéj".
Czy ty zatęsknisz, że szczebiot dziecięcy,
Ni śmiéch kobiéty nigdy nie ożywi
Ścian twojéj chaty wesołym rozgwarem,
Coby ci mówił: „my z tobą szczęśliwi!"
Czy ty zatęsknisz?

Czy ty zatęsknisz, czy w oczach ci stanie,
Że jest na świecie pokrewna ci dusza,
Krwią, sercem, duchem, bezgranicznie twoja,
A którą przecież los zdala stać zmusza;
Że ona ręce ściąga przez otchłanie,
Rwąc się ku tobie sercem i oczyma,
Zdolna czuć, myśléć, działać—a bezsilna,
Bo przez tę otchłań żadnéj drogi nié ma?
Czy ty zatęsknisz?

II.

Ach, czy ty marzysz? Czy ty roisz jeszcze
Sny twéj młodości? owe sny podniosłe —
Wielkie, ofiarne, ku niebu pędzące,
A jak kwiat z gruntu, z dna serca wyrosłe?
Czy w ciche zmiérzchy, lub noce niespane
Z gronem zniknionych dawno druhów gwarzysz?
I kiedy czoło pochylasz znękane —
Ach, czy ty marzysz?

Ach, czy ty marzysz, że są kędyś boje,
Dla których ręki i życia nie szkoda?
I że nie było mrzonką ni złudzeniem
To, o czém śniła dusza twoja młoda?
Czy wstrząsające niegdyś zagadnienia
Ty jeszcze dzisiaj umysłem twym ważysz?
Za przyszłe wieki i za pokolenia,
Ach, czy ty marzysz?

Ach, czy ty marzysz, że to, co zginęło
Dla ciebie, dla mnie i dla innych wielu,
Przyszłość podejmie, jako nowe dzieło
I do dalszego poprowadzi celu?
Gdy blada troska wciąż u skroni twojéj,
U serca twego stoi jak towarzysz —
O przyszłych zorzach i o czyjéjś wiośnie,
Ach, czy ty marzysz?

III.

Wiesz, jak ja marzę w kwietniowe wieczory?
Gdy już umilknie gawiedź hałaśliwa,
Co odurzała mię za dziennéj pory
I gdy się dusza w błękity wyrywa?
    Oto klon pęka—zielono-żółtawe
    Sypią się kwiaty—a czeremchy srebrne
    W świetle księżyca stoją kędzierzawe
    I ślą méj piersi balsamy léczebne.

Rzechot żab,—z lasu słychać ptastwa wrzawę,
Łagodny wietrzyk po drzew wiérzchach pląsa
I na świéżuchną zieloną murawę
Krople łez rosy z gałęzi otrząsa.
    Tak dusza moja otrząsa ból wszelki
    Na jedną krótką marzenia godzinę
    I pod dotknięciem wiosny-wskrzesicielki
    Odpływa w widzeń młodości krainę.

Leżąc pod oknem, piję wonie kwiatów
I uchem łowię ptaszęce szczebioty;
Pierś drży i czeka—czy z niebios bławatów
Ma zejść tu ku mnie jaki cherub złoty?
    Cicho! szmer kroków... jak mi serce bije...
    Ty na pierś moją chylisz się znużony,
    A ja uściskiem otaczam twą szyję,
    Utęsknionemi ogarniam ramiony.

O, jak mi dobrze! Słuchaj—pierś nie boli
I żadna gorycz serca mi nie truje;
Nikomu lepszéj nie zazdroszczę doli,
Kiedy mię uścisk do twéj piersi kuje.
    Słyszysz, jak zgodnie krew nam w żyłach tętni,
    Łącząc swój akord do hymnu przyrody?
    Do ust mych usta twe przytul namiętniéj —
    Świat dziś tak piękny, kochający, młody...

Ja zapominam mojéj ciężkiéj troski,
Ty—że są burze i trudów ciężary;
Ukryci w ciszy naszéj głuchéj wioski,
Pod błękitnemi niebiosów kotary,

Myśmy dziś sami lepsi, odmłodniali,
Jakby nam wskrzesnął dzień wiosny młodzieńczéj:
Dawniejszy zapał w sercach nam się pali
A czoła myśli aureola wieńczy.

Wszystko, co piękne, dobre i szlachetne,
Co nam pochłonął smutny życia cmentarz,
Dziś przyodziéwa dawne szaty świetne,
Jak za dni dawnych, dalekich—pamiętasz?

Ach, bo my z tobą duchy jednéj miary,
Co—choć złączone w gorącym uścisku —
Zawsze gotowe lecieć pod sztandary,
Stanąć na wielkim duchów bojowisku.

Czyli mię kochasz? ja nie pytam o to —
I ty nawzajem nie zadasz pytania:
Znużonych życia trudem i tęsknotą
Chwila obecna całkiem nas pochłania.

Wiemy, że zima trwa długie półrocze,
Że jesień mrozi serca i krzewiny;
Ale téż życie ma swe dni urocze, —
Za lata bólu—upojeń godziny.

Na mojéj piersi głowa twoja senna
Uspokojona, tak słodko się tuli,
A cisza niebios, gwiazdami promienna,
Pod skrzydła swoje garnie nas najczuléj.

Przyroda nie zna, co praw ludzkich pęta,
Jak ten świat cały—my dla niéj—jéj twory;
Którym z miłością wznosi dłoń jéj święta
Puhar upojeń w wiosenne wieczory.

IV.

Piękny sen! Prawda? Lecz ja znam piękniejszy,
Sen więdnącego lilii kielicha...
Dotknij mi ręki—puls coraz wolniejszy;
Złóż dłoń na piersi, pierś słabiéj oddycha...

Dziwnym zamętem ogarnięte zmysły,
Mącą się, mdleją, z niebytem się ważą;
Zda się, że z ramion jakieś więzy prysły,
A tak mi dobrze pod twéj piersi strażą.

Nie trwóż się o mnie, nie drgnij, tak pozostań;
Słyszysz? młodości pieśń przypływa echem?
Ach tyle bywa ciężkich z życiem rozstań,
A tak nie często ktoś kona z uśmiechem!
Niech mię raz jeszcze ramię twe okoli,
Gdy tajni grobu zasłonę rozdzieram;
Jam tak szczęśliwa—mnie nic, nic nie boli...
Na ustach twoich tchem kwiatu zamieram...
Słyszałam nieraz: „Za grobem nic nie ma,
Wszystko się kończy."—Zgoda! nie chcę więcéj:
Jeśli pragnieniem pierś jeszcze się wzdyma —
Konając szepnę: — pocałuj goręcéj!

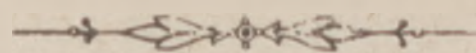
V.

O błogo marzyć w wieczory wiośniane,
Skonać jak tony zabłąkanéj pieśni
Gdzieś w nieskończoność na dźwięki rozchwiane.
Lecz gdy się zbudzisz, kiedy sen się prześni,
Gdy nad ogniskiem, coć w piersi wybucha,
Nieugaszonym, ofiarnym tym zniczem,
Wydaję wyrok moc Przeznaczeń głucha:
„Tytanie marzeń, w życiu jesteś niczem!"
O! straszną bywa godzina przebudzeń,
Niby dzwon jakiéjś pogrzebowej wieści,
Co cię odziera ze wszystkich twych złudzeń,
Że już nie z marzeń mrzesz — ale z boleści.

Adam M-ski.



SPRAWY EKONOMICZNE.



V.

MONOPOL PRZEDAŻY TRUNKÓW i GORZELNICTWO.

Zaprowadzenie skarbowéj przedaży trunków w czterech guberniach zawołżańskich.—System odkupowy.—„Kabaki“ i pijaństwo.—Przyczyny pijaństwa. — Ustawa monopolu trunkowego.—Roboty przygotowawcze. — Prawdopodobne skutki monopolu skarbowego dla rolnictwa krajowego i spożywców.—Skarbowe zakłady rektyfikacyjne, składy hurtowe i handle trunków.—Kuratorye wstrzemięźliwości narodowéj. — Projekt monopolu spirytusowego w Niemczech. — Główniejsze różnice dwóch ustaw. — System wynagrodzenia strat w Niemczech.—Walka Szwecyi z pijaństwem. — Udział społeczeństwa szwedzkiego.—Götenborg i system gotenborski przedaży trunków. — Stan gorzelnictwa w gub. Kr. Polskiego.—Spożycie miejscowe.—Przywóz i wywóz spirytualii. — Dochód z akcyzy od trunków w 1892 r.—Przewidywany dochód od przedaży trunków.—Czy pożądaném jest zaprowadzenie monopolu skarbowego?

Z początkiem roku przyszłego urzeczywistnioną zostanie częściowo nader doniosła reforma, tém donioślejsza, iż dotyczyć będzie nietylko finansów państwa, lecz i bytowéj strony ludności. Nie pozostanie też ona bez wpływu i na samo rolnictwo, przez stopniowe powrócenie gorzelnictwu charakteru przemysłu gospodarczego, ściśle z ziemią związanego.

Mówimy tu o monopolu skarbowéj przedaży trunków, który od Nowego Roku wprowadzony będzie w czterech guberniach zawołżańskich: permskiéj, samarskiéj, ufimskiéj i orenburskiéj. Ponieważ zaś jednocześnie mają być przedsięwzięte roboty przygotowawcze celem zaprowadzenia tegoż monopolu w Królestwie i guberniach ościennych, uważamy za pożyteczne poznajomić czytelników z głównemi zasadami nowéj reformy, z prawdopodobnemi skutkami téjże, oraz z obecnym stanem gorzelnictwa krajowego.

Do 1863 r. w Cesarstwie istniał tak zwany system „odkupowy", polegający na oddaniu w dzierżawę prawa przedaży trunków, właściwie wódki i okowity. Wprawdzie w 1819 r. ustanowiono monopol skarbowy, lecz próba się nie udała, zmniejszyła dochód od trunków i w 1827 r. znowu powrócono do systemu „odkupowego", który dawał skarbowi dochód stały i pewny. System ten miał za przedmiot wyzysk z handlu trunkami, gdy wytwórczość samego produktu — okowity była wolna i nieograniczona. Był jednak zgubnym, gdyż monopolizował w rękach nielicznych osób prywatnych, mających jedynie na celu osiągnięcie jak najwyższych zysków, przedaż artykułu ogólnego spożycia.

Dotychczasowy handel trunkami z natury swéj nie może być porównywany z przedażą innych artykułów, sprawiedliwie też lub niesłusznie był w niejakiéj pogardzie w opinii publicznéj. Jeżeli handel wódką ma na celu dostarczanie artykułu dla równomiernego peryodycznego spożycia, to naturalnie na wyjątkową i niekorzystną opinię nie zasługuje; gdy jednak przedaż ma cele niemoralne i karygodne, jak np. szerzenie pijaństwa, złych obyczajów, lombardowanie odzieży, sprzętów i innych przedmiotów, należących do kupującego, lub częściéj skradzionych, to sprawiedliwie ulega pogardzie. Od handlu wódką stroni dotąd większość, co jest dostatecznym dowodem, że przeważna część przedawców tego artykułu jest wątpliwéj moralności.

W 1863 r. zamiast „odkupów" wprowadzono system akcyzy w Cesarstwie i w 1867 r. w Królestwie, który znowu miał na celu nie wyzysk przedaży trunków, lecz opodatkowanie samego artykułu po wyprodukowaniu, handel zaś tymże był wolny i nieograniczony.

Zupełna swoboda i brak dostatecznéj kontroli nad przedażą wódki naturalnie musiały sprowadzić opłakane skutki. Szynki, karczmy, „kabaki" i t. p. handle trunków rozmnożyły się niesłychanie, którym legalna przedaż nie mogła już zapewnić choćby najskromniejszego bytu. I tak, w 1892 r. było w Królestwie 11,956 legalnych miejsc przedaży trunków, to jest jedno na 705 mieszkańców, w guberniach sąsiednich 21,049 takichże miejsc, czyli jedno na 843 mieszkań-

ców, licząc w to małoletnich i kobiety, a ile prócz tego istniało tajnych szynków, karczem i pojedyńczych kontrabandzistów?

Nienormalny stan handlu trunkami szerzył występki i pijaństwo, które też w państwie było wielkie, choć stosunkowo, na jednego mieszkańca, spożycie wódki małe, znacznie nawet mniejsze, niż w wielu innych państwach. Cóż więc jest przyczyną tak doniosłych objawów pijaństwa? Nieprawidłowe spożywanie wódki nieoczyszczonéj, lub nawet z przymieszką substancyi, dla zdrowia szkodliwych. Anglik pije codzień, ale umiarkowanie, kmieć zaś lub robotnik wtedy, gdy ma pieniądze, mając zaś je rzadko, stara się odrazu powetować dni postu.

Jeżeli z ogólnéj liczby ludności wyłączyć małoletnich i tych, którzy bądź z przekonań religijnych, bądź ze względów osobistych powstrzymują się od trunków, to reszta mieszkańców spożywa dziennie przeciętnie zaledwie jeden kieliszek wódki średniéj wielkości, gdyby zaś to spożycie zwiększyło się choćby o maleńki kieliszek od likieru (na mieszkańca), to dochód od trunków wzrósłby o 160 milionów rubli rocznie. Przytém tylko mała część przedawanéj wódki jest dostatecznie oczyszczoną, jak o tém przekonywają liczby, i tak, z ogólnéj ilości 26,781,268 wiader spirytusu bezwodnego, wypędzonego w 1892 r., poddano rektyfikacyi tylko 7,332,178 wiader, czyli 27%.

Aby zmniejszyć pijaństwo, w 1885 r. zniesiono „kabaki”, dozwalając sprzedaż wódki dla spożycia na miejscu tylko w zakładach, przygotowujących zakąski i inne pokarmy, lecz na miejsce szynków legalnych powstały tajne i zło szerzyło się daléj. Wyliczenie powyższe wskazuje, jak wielce państwo jest zainteresowane w uregulowaniu spożycia i przedaży wódki, tak ze względów hygienicznych, jak i finansowych.

Zaprowadzenie monopolu państwowego, a raczéj skarbowéj przedaży trunków uznano za jedyny środek ukrócenia pijaństwa i jedyny sposób przyzwyczajenia ludności do prawidłowego spożycia wódki.

Zdaniem rady państwa z d. 20 czerwca 1893 r., postanowiono w zasadzie zaprowadzenie „skarbowéj przedaży trunków”, szczegółową zaś ustawę dla czterech, wyżéj wymienionych gubernii sankcyonowano w d. 18 czerwc r. b.

Podług téj ustawy sprzedaż spirytusu, gorzałki i wódek dla miejscowego, t. j. na terytoryum tychże gubernii spożycia, jest wyłącznym przywilejem skarbu.

Spirytus, gorzałka i wódki, wyprodukowane na terytoryum monopolu, a nieprzedane skarbowi, mogą być wywiezione w inne miejscowości państwa, lub zagranicę.

Gorzelnictwo, piwowarstwo, sycenie miodów i wyrób porteru stanowi przemysł prywatny, z zastrzeżeniem, że zwiększenie wytwórczości gorzelni po nad ilość maksymalną jednego z trzech ostatnich lat, wznowienie nieczynnych gorzelni i zbudowanie nowych może być dopuszczone tylko po uzyskaniu zezwolenia ministra finansów, po porozumieniu się z ministrem rolnictwa i dóbr państwowych.

Rektyfikacya spirytusu i wyrób wódek dokonywana będzie bądź w prywatnych, bądź w skarbowych fabrykach.

Wódki zakładów prywatnych mogą być wyrabiane tylko ze spirytusu, nabytego od skarbu.

Gorzałka („wino") i wódki mogą być przygotowane tylko ze spirytusu rektyfikowanego.

Przedaż spirytusu, gorzałki i wódek dopełnianą będzie w zakładach skarbowych i w tych prywatnych, którym ta przedaż będzie poruczona.

Gorzałka oczyszczona i wódki, wyrobione po za obrębem monopolu, jak również i wódki wyrobione w granicach tego terytoryum, oraz wódki zagraniczne, koniak, arak, likiery, wina, porter i miód. mogą być przedawane z zakładów skarbowych tylko sposobem komisu.

Miejsca przedaży trunków są:

a) skarbowe: składy i handle gorzałki i wódek;

b) prywatne: składy hurtowe piwa, miodu i win ruskich, traktyernie, bawarye, piwnice win i czasowe wystawy dla przedaży win, piwa i miodu.

Spirytus i gorzałka mogą być przedawane tylko po odpowiedniém oczyszczeniu i mocy najmniéj 40^0. Tęgość i cena gorzałki i wódek wyrażona będzie na etykiecie naklejonéj.

Cząstkowa przedaż spirytusu, gorzałki i wódek dopełnianą będzie w naczyniach różnéj wielkości, począwszy od $^1/_{200}$ wiadra, wyłącznie dla domowego spożycia. Traktyernie mogą przedawać powyższe trunki i dla wypicia na miejscu, ale w opieczętowanych naczyniach. Tylko w wyjątkowych razach, za zezwoleniem zarządzającego akcyzą, w traktyerniach będzie dopuszczona przedaż z naczyń nieopieczętowanych, lecz w tym razie właściciele traktyerni nie będą już otrzymywać za przedaż wynagrodzenia od skarbu i zobowiązani będą do wykupienia odpowiedniego patentu.

Co się tyczy przygotowania trunków dla skarbowéj przedaży, to plan całorocznéj przedaży zarządzający akcyzą przedstawia do zatwierdzenia ministrowi skarbu.

Spirytus dla potrzeb skarbowéj przedaży nabywany będzie w ilości do $^2/_3$ części z miejscowych gorzelni, po cenach oznaczonych przez ministra skarbu, odpowiednio do warunków, w jakich się gorzelnictwo w danéj miejscowości znajduje. Ilość ta będzie rozdzielana pomiędzy gorzelnie stosunkowo do maksymalnéj ich wytwórczości w jednéj z trzech ostatnich kampanii. Brakującą ilość spirytusu skarb nabywać będzie drogą przetargu, lub w razie spełznięcia tegoż, sposobem gospodarczym.

Skarbową przedażą trunków, wyzyskiem skarbowych zakładów rektyfikacyjnych i dystylarni wódek, zawiaduje w gubernii zarząd akcyzy, który téż łącznie z policyą spełniać będzie nadzór nad prawidłową przedażą trunków.

Zawiadywanie skarbowemi składami, zakładami rektyfikacyjnemi, rozlewem i przedażą trunków poruczoną będzie osobom do tego skontraktowanym, którym może być także dozwolona, na ich rachuchunek, przedaż zapałek i wyrobów tabacznych.

Oto są główne zasady nowéj reformy, bezwątpienia nader korzystnéj tak dla wytwórców spirytualii, jak i dla spożywców tychże.

I dla rolnictwa krajowego monopol skarbowy nie pozostanie bez dodatniego wpływu, przez stopniowe powrócenie gorzelnictwu charakteru przemysłu gospodarczo-rolnego. Jeżeli zamiary prawodawcy będą w praktyce uszanowane i daléj rozwijane, to prawdopodobnie wielkie gorzelnie, jako przedsiębiorstwa przeważnie handlowo-kapitalistyczne, będą zmuszone ograniczyć swą wytwórczość i dać większą swobodę małym gorzelniom gospodarczym, wyłącznie swoje ziemiopłody przerabiającym.

Ważnem jest postanowienie nabywania przez skarb $^2/_3$ ilości potrzebnego spirytusu od miejscowych wytwórców, i to po cenach odpowiednich miejscowym warunkom produkcyi. Obecnie miejscowa wytwórczość była w bezustannéj niepewności i obawie, gdyż musiała się liczyć nietylko z miejscowém spożyciem, ale i choćby z najodleglejszą produkcyą. Przy małym np. urodzaju kartofli cena okowity powinnaby być wyższą, okazywało się jednak, że często w tym razie była jeszcze niższą, niż w latach urodzajnych, bo rynki dalsze wywierały ucisk na bliższe. Ceny okowity regulowały się mniéj więcéj do jednéj wysokości, różniąc się tyko kosztami przewozu, warunki zaś miejscowe gorzelnictwa prawie żadnéj roli nie odgrywały przy normowaniu ceny. Nowa reforma, zapewniając przedewszystkiém zbyt znaczniejszéj czę-

ści produkcyi gorzelnianéj i naznaczając niejednostajną cenę spirytusu dla całego państwa (choćby z uwzględnieniem taryf przewozowych), lecz odpowiednio do miejscowych warunków produkcyi, nadaje gorzelnictwu nader trwały fundament.

Z drugiéj strony i konsumenci osiągną niemniejszą korzyść. Jak powiedzieliśmy wyżéj, tylko 27% ogólnéj wytwórczości spirytusu podlegało dotąd rektyfikacyi, resztę zaś spożywała ludność w stanie surowym, nieoczyszczonym, a nawet z domieszką szkodliwych dla zdrowia substancyi. Tęgość gorzałki zamiast 40° wynosi zwykle około 36°, a często i znacznie mniéj. Cena zależy od nabytéj ilości, co bardzo ułatwia rozkwit tajnéj przedaży, nie opłacającéj patentu i innych podatków.

Przy monopolu skarbowym, moc gorzałki obowiązkowo wynosić będzie 40°, wódki będą przygotowane tylko z rektyfikowanego spirytusu, a cena będzie stosunkowo jednakowa tak dla nabywcy choćby 1,000 wiader, jak i dla kupującego maleńki flakonik wielkości kieliszka.

Roboty przygotowawcze celem zaprowadzenia monopolu przedaży trunków w czterech guberniach zawołżańskich zajęły $1^1/_2$ roku i obecnie są na ukończeniu.

Przedewszystkiém przy departamencie dochodów niestałych ministeryum skarbu ustanowiono specyalny wydział dla zawiadywania skarbową przedażą trunków, celem zaś przyśpieszenia manipulacyi, posłano na miejsce delegata pełnomocnego ministeryum. W każdéj gubernii przy współudziale delegatów ministeryum zwołano zebrania przedstawicieli administracyi i przemysłu gorzelnianego, dla zbadania stanu gorzelnictwa i rozstrzygnięcia różnych kwestyi zasadniczych.

Ponieważ na terytoryum monopolu tylko $^1/_{10}$ część spożytego spirytusu bywała oczyszczaną, a zakłady rektyfikacyjne oświadczyły gotowość zwiększenia téj ilości, to postanowiono prywatnym zakładom rektyfikacyjnym poruczyć oczyszczanie trzeciéj części spożycia, a dla oczyszczenia reszty wznieść cztery rządowe zakłady rektyfikacyjne, po jednym w każdéj gubernii, o sile od 400—900,000 wiader każdy. Niektórym prywatnym zakładom rektyfikacyjnym, celem rozszerzenia ich wytwórczości wydano pożyczki skarbowe za opłatą 4% rocznie. Skarbowe zakłady rektyfikacyjne urządzone zostały podług najnowszych wymagań techniki i zaopatrzone w maszyny i aparaty udoskonalonéj konstrukcyi.

Na potrzeby skarbowéj przedaży trunków w czterech guberniach przygotowano 3,673,900 wiader 40° okowity, z tych $^3/_4$ z miejscowych

gorzelni, a resztę drogą publicznego przetargu. Ceny ofiarowano gorzelnikom następujące: w gub. permskiéj od 65 — 80 kop., w gub. ufimskiéj i orenburskiéj od 60—80 kop. i w gub. samarskiéj od 60 — 65 kop. za 40° wiadro okowity. Przy oznaczaniu tych cen ministeryum finansów kierowało się miejscową wysokością kosztów produkcyi, mianowicie ceną materyałów, opału, płacą robotników, charakterem danéj gorzelni i t. p.

Spirytus rektyfikowany powinien trzymać 95°, jeżeli zaś będzie miał mocy tylko 93—95°, to za każdy brakujący stopień zarząd akcyzy potrącać będzie z należności za rektyfikacyę po 2 kop., nie dostające 5 stopni znoszone będą na utratę przy oczyszczeniu. Wynagrodzenie za rektyfikacyę ministeryum oznaczyło w ilości 20—30 kop. za 40° wiadro.

Składów hurtowych trunków w czterech guberniach będzie 60, częścią przy gorzelniach, częścią zaś oddzielnie. Rektyfikacya będzie podwójna: sposobem gorącym i filtrowaniem przez węgiel w składach hurtowych i miejscach rozlewu gorzałki w naczynia. Skarbowych handli trunków będzie 2,845, to jest znacznie mniéj niż obecnie istnieje. Przy oznaczeniu ilości sklepów miano na względzie, aby każda miejscowość, licząca około 300 mieszkańców, była oddaloną od handlu najwyżéj 7 — 10 wiorst. Znaczna ilość składów hurtowych mieścić się będzie w umyślnie wzniesionych budynkach murowanych, z odpowiedniemi urządzeniami dla filtrowania i rozlewu wódki.

Skarbowa przedaż trunków ma głównie na celu uporządkowanie przedaży wódki i zmniejszenie pijaństwa. Cel pierwszy osiągnięty będzie przez ustanowienie skarbowych handli trunków i przedażą wyłącznie oczyszczonych dostatecznie spirytualii, które to środki nie pozostaną bez wpływu i na ukrócenie pijaństwa.

Prócz tego ministeryum finansów ustanawia kuratorye wstrzemięźliwości narodowéj, których celem będzie nadzór nad prawidłową przedażą trunków, rozpowszechnianie w ludzie pojęć o szkodliwości pijaństwa, urządzanie odpowiednich odczytów i pogawędek, oraz opieka nad nałogowemi pijakami.

Materyałem dla zredagowania ustawy skarbowéj przedaży trunków był niewątpliwie projekt monopolu spirytusowego w Niemczech, wygotowany jeszcze w roku 1885-ym, chociaż w niektórych częściach ustawa ministeryum znacznie się różni od projektu niemieckiego.

Podług tego projektu, nabycie całéj wytwórczości gorzelni kra-

jowych, całkowity przywóz spirytusu zagranicznego, wyrób wódek i przedaż tych trunków, stanowi wyłączne prawo państwa. Główny zarząd sprawuje samoistny urząd monopolu pod naczelnym kierunkiem kanclerza Niemiec. Przedażą hurtową zajmują się urzędnicy monopolu, cząstkową zaś przysięgli przedawcy *(Verschleisser)*.

Do pomocy urzędowi monopolowemu dodano oddzielną komisyę (w każdéj prowincyi), złożoną z agenta monopolu, dwóch urzędników akcyzy i trzech przemysłowców gorzelnianych, które między innemi oznaczają ilość spirytusu, jaką ma wypędzić każda gorzelnia. Prócz tego, projekt niemiecki ustanawia komisye okręgowe, w skład których wchodzi także trzech biegłych ze świata handlowego, dla przyjęcia od przemysłowca spirytusu, oznaczenia gatunku jego i ceny.

Ustawa ministeryum milczy o stratach i wynagrodzeniu osób zajmujących się przedażą trunków przed zaprowadzeniem monopolu skarbowego. Zdanie rady państwa dało wprawdzie półtoraroczny termin dla likwidacyi osób prywatnych, lecz termin ten jest zbyt krótki, a likwidacya choćby i w dłuższym czasie będzie dotkliwym ciosem dla dystylarni i handlujących trunkami. W Królestwie np. istnieje około 13,000 miejsc przedaży spirytualii, zatém licząc właścicieli, subiektów i ich rodziny, z dotychczasowéj przedaży utrzymywało się przynajmniéj kilkadziesiąt tysięcy osób. Nie każda z tych osób zajmowała się przecież czynami karygodnemi wobec interesów skarbu i społeczeństwa, a wiele z nich włożyło w handel trunkami mniéj lub więcéj znaczne kapitały, to téż mniemamy, że ustawa ministeryum dopełniona będzie dodatkowemi zarządzeniami, które w granicach możliwości i słuszności, uszanują interesa osób prywatnych.

Niemiecki projekt monopolu zawiéra w tym względzie wiele ważnych rozporządzeń. I tak § 79 stanowi, że wytwórcom spirytusu dystylowanego i wódek, oraz handlującym temiż, celem pokrycia strat przez nich poniesionych wskutek zakazu zajmowania się nadal ich procederem, wydane będzie odpowiednie wynagrodzenie. W § 81 czytamy, że: 1) dystylatorzy, których zakłady nie będą nabyte przez urząd monopolu; 2) właściciele i subiekci handli trunków; 3) personel techniczny dystylarni; 4) majstrowie i specyalni robotnicy liczący niemniéj 20 lat wieku; 5) specyalny personel handlu trunkami (agenci, meklerzy, komisyonerowie) otrzymują osobiste wynagrodzenie w tym razie, jeżeli powyższe osoby zajmowały się wyzyskiem w ciągu przynajmniéj czterech ostatnich lat, i gdy to zajęcie stanowiło samodzielne źródło ich utrzymania.

Wysokość wynagrodzenia osobistego oznacza się pomnożeniem

średniego, w ciągu ostatnich sześciu lat, zysku, płacy lub wynagrodzenia, przez odpowiedni mnożnik. I tak, wynagrodzenie osób, które zajmowały się:

	mnożnik dla osób 1 i 2 kateg.		mnożnik dla osób 3, 4 i 5 kat.
4—5 lat równa się średniemu rocznemu dochodowi pomnożonemu przez	2	lub	1
5—6 „ „ „ „ „	$2^1/_2$	„	$1^1/_6$
6—7 „ „ „ „ „	3	„	$1^2/_6$
7—8 „ „ „ „ „	$3^1/_2$	„	$1^3/_6$
8—9 „ „ „ „ „	4	„	$1^4/_6$
9—10 „ „ „ „ „	$4^1/_2$	„	$1^5/_6$
10 i wyżéj „ „ „ „	5	„	2

Czystym dochodem albo zyskiem nazywa się dochód *brutto* z przedsiębiorstwa, po potrąceniu wydatków i 5% od włożonego kapitału zakładowego i obrotowego. W wyjątkowych razach powyższe wynagrodzenie może być nawet powiększone.

Czysty dochód osiągnięty z monopolu spirytusowego w Niemczech ma być rozdzielany pomiędzy państwa związkowe stosunkowo do ich ludności. Miasta i gminy, za zgodą urzędu monopolu, mogą celem zwiększenia swych dochodów opodatkować miejscową konsumcyę trunków do wysokości 50% taksy ustanowionéj przez tenże urząd.

W związku z zamiarami ministeryum skarbu ukrócenia pijaństwa, przez zaprowadzenie na całém terytoryum skarbowéj przedaży trunków i powołanie do życia kuratoryi wstrzemięźliwości narodowéj, nie od rzeczy będzie przyjrzéć się wielowiekowéj walce Szwecyi z pijaństwem, które w tém państwie doszło do rozmiarów bez porównania większych niż w Rosyi i które nakoniec w drugiéj połowie bieżącego stulecia udało się opanować wspólnym usiłowaniom rządu i społeczeństwa szwedzkiego.

Gorzałka pojawiła się w Szwecyi dopiéro w połowie XV wieku, chociaż przedtém jeszcze istniało pijaństwo, jako skutek nadmiernego użycia piwa. Naturalnie, nowy trunek był niejako podsyceniem ognia oliwą i już w r. 1558 Gustaw I-szy wydał surowe prawa przeciwko pijaństwu. Bez względu na drakońskie postanowienia pijaństwo szerzyło się daléj, zwłaszcza w epoce wojny trzydziestoletniéj, tém więcéj, że podówczas każdy miał prawo pędzić gorzałkę, a przedaż była najzupełniéj nieograniczoną i nieścieśnioną. Nawet w miastach pędzenie okowity często zwalniano od wszelkich podatków. W r. 1741 postanowiono, że w Stokholmie gorzelnictwem mogli się zajmować

tylko piwowarzy, lecz w innych miastach każdy szynkarz miał prawo pędzić gorzałkę, z warunkiem jednak, aby użyte materyały wynosiły niemniéj 5 tonn (około 6 korcy).

Prócz tego, we wszystkich miastach, z wyjątkiem stolicy, mogli pędzić wódkę dla własnego użytku, mieszczanie, duchowieństwo i wyższe stany. Ta swoboda i niskie normy *(minimum)*, określające rozmiary gorzelnictwa, naturalnie nie pozostały bez wpływu na wstrzemięźliwość ludową. Nakoniec w r. 1855 rząd szwedzki wezwał społeczeństwo do wspólnych usiłowań ku ukróceniu pijaństwa, przez nadanie autonomicznym organom miejskim i gminnym prawa ograniczania liczby miejsc przedaży trunków.

Samorząd miejski i wiejski nie pozostał głuchym na wezwanie rządu, gdyż zmniejszenie pijaństwa miało nietylko cele moralne. Brak wstrzemięźliwości powodował nędzę klas pracujących, przepełnienie szpitali, szybkie zwiększanie liczby występków, zapełnienie więzień, a utrzymanie szpitali, więzień i nieuleczalnych alkoholików pochłaniało znaczne sumy.

Jeszcze w siódmym dziesiątku bieżącego stulecia zarząd miasta Götenborga wyznaczył komisyę dla zbadania przyczyn ogólnéj nędzy i obmyślenia środków polepszenia bytu ludności.

Upadek dobrobytu i moralności komisya Götenborga widziała głównie w nadmiernem użyciu trunków, wywołaném brakiem jakichkolwiek ograniczeń w handlu temiż, w systematyczném spajaniu i wyzyskiwaniu ludu przez szynkarzy, którzy najczęściéj z pomocą niemoralnych środków starają się wyciągnąć jaknajwiększe korzyści ze swego procederu. Celem poprawy dotychczasowego stanu, komisya wypracowała projekt uregulowania przedaży trunków, na następujących zasadach:

a) prawo cząstkowéj przedaży trunków w danéj miejscowości, ma być oddane specyalnie zawiązanemu stowarzyszeniu, czyli kompanii akcyjnéj, która obejmie handel trunkami tylko w celu ogólnego dobra, podniesienia moralności i dobrobytu ludu, nie zaś w widokach osobistéj korzyści;

b) stowarzyszenie akcyjne dla cząstkowéj przedaży trunków przyjmuje także pod swój kierunek wszelkie zakłady istniejące i należące, na mocy różnych przywilejów, do osób prywatnych i instytucyi, za odpowiednią opłatą na korzyść tychże. Lecz ponieważ z tych zakładów gminy i prowincye ciągnęły znaczne dochody, stowarzyszenie zobowiązuje się wypłacać tymże całkowity zysk czysty;

c) stowarzyszenie zobowiązuje się urządzać handle trunków w lokalach odpowiednich warunkom sanitarnym, w połączeniu z przedażą

pokarmów, zwłaszcza gorących. Ostatni cel najłatwiéj osiągnąć przez oddanie przedaży pokarmów subiektom handlu na ich-że korzyść i pozostawienie tylko wyzysku z trunków na rzecz stowarzyszenia.

d) Stowarzyszenie zobowiązuje się przestrzegać porządku i czystości w miejscach cząstkowéj przedaży trunków i baczyć, aby sprzedaż dopełniana była tylko za gotówkę, z wyłączeniem kredytu, a témbardziéj zastawu rzeczy.

Projekt komisyi znalazł u obywateli Götenborga wielkie współczucie i niebawem 20 najpoważniejszych notablów miasta zawiązało stowarzyszenie, które w tymże 1865 roku zyskało sankcyę królewską. Wkrótce, za przykładem Götenborga, poszły inne miasta i wsi i obecnie nietko Szwecya i Norwegia, lecz i sąsiednia Finlandya pokryte zostały gęstą siecią stowarzyszeń, utworzonych na wyżéj wskazanych zasadach.

Ten sposób cząstkowéj przedaży trunków zowie się powszechnie systemem götenborskim dla upamiętnienia pierwowzoru. System ten wydał świetne rezultaty. Liczba miejsc przedaży trunków, która przedtém odbywała się w każdéj niemal izbie, zmniejsza się bezustannie i obecnie wynosi zaledwie 1,700. Liczba nowozaciężnych, niezdatnych do służby wojskowéj z 36% zniżyła się do 19%, zmniejszyła się téż znakomicie liczba występków i wyroków karnych sądowych, jak również liczba samobójstw i chorych na umyśle.

Po nieurodzaju kartofli w 1891 r., który tak dotkliwie wpłynął na wytwórczość gorzelni w Królestwie Polskiém, nastąpiły dwie kampanie, w ciągu których wytwórczość gorzelnicza nader znacznie się zwiększyła, i tak:

w kampanii	1891/2 r.	wypędzono	2,038,690	wiader spirytusu bezwodnego
„	1892/3	„	2,924,138	„ „ „
„	1893/4	„	3,343,925	„ „ „

Liczba gorzelni w ostatniéj kampanii także się powiększyła z 356 do 365. Tak jak i przedtém gorzelnie w Królestwie najbardziéj zbliżają się do typu gorzelni gospodarczo-rolnych, gdyż większość wypędziła mniéj, niż 4,000 wiader spirytusu bezwodnego (każda) i tylko mała liczba wyprodukowała po 10,000 wiader i więcéj.

W kampanii 1891—1892 r. gorzelnie krajowe przerobiły:

żyta i pszenicy	106,436	pudów
kukurydzy	627,090	„
słodu	827,302	„

kartofli	10,294,753	pudów
patoki, drożdży winnych, buraków i otrąb	121,424	„

Na miejscową konsumcyę użyto 1,540,641 wiader spirytusu bezwodnego i wywieziono zagranicę 206,242 wiader. W 39 dystylarniach wyrobiono 152,832 wiader różnych wódek. Przedaż trunków dopełniana była w 12,956 różnego rodzaju miejscach, a spożycie wynosiło średnio 16,8 stopni na jednego mieszkańca.

Spożycie miejscowe nie ograniczało się tylko trunkami krajowemi gdyż wciągu 1892 r. przywieziono do Królestwa:

z gubernii wileńskiéj	9,957	wiader	spirytusu	bezwodnego
„ estlandzkiéj	6,569	„	„	„
„ grodzieńskiéj	4,160	„	„	„
„ inflanckiéj	2,573	„	„	„
„ moskiewskiéj	2,102	„	„	„
„ stawropolskiéj	1,935	„	„	„
„ petersburskiéj	797	„	„	„
z kraju zakaukaskiego	1,464	„	„	„
z innych gubernii	717	„	„	„
z zagranicy	683	„	„	„
ujęto kontrabandy	380	„	„	„
Łącznie	31,437	wiader	spirytusu	bezwodnego

w tymże czasie wywieziono z Królestwa:

do gubernii grodzieńskiéj	53,827	wiader	spirytusu	bezwodnego
„ petersburskiéj	53,691	„	„	„
„ moskiewskiéj	37,243	„	„	„
„ chersońskiéj	35,818	„	„	„
„ wołyńskiéj	34,276	„	„	„
„ połtawskiéj	4,190	„	„	„
„ kurskiéj	2,259	„	„	„
„ podolskiéj	2,233	„	„	„
„ kowieńskiéj	922	„	„	„
do innych gubernii	371	„	„	„
zagranicę	228,201	„	„	„
Łącznie	453,031	wiader	spirytusu	bezwodnego

prócz tego:

użyto na fabrykacyę wódek	62,470	wiader	spirytusu	bezwodnego
„ cele techniczne	10,482	„	„	„
spaliło się	149	„	„	„
odliczono na uschnięcie, stratę w przewozie	58,730	„	„	„

Z podatków dochód od trunków jest najdonioślejszy, będąc niejako fundamentem budżetu tak dla Królestwa, w którym stanowi 24%

ogółu dochodów, jak i dla Cesarstwa, gdzie wynosi 26% dochodów zwyczajnych. Podług sprawozdania departamentu dochodów niestałych wpłynęło do kas Królestwa dochodu od trunków w 1892 r. razem 19,204,474 rubli, t. j. suma o niewiele mniejsza od całego budżetu Królestwa w 1867 [1]), a mianowicie:

akcyzy od spirytusu i okowity	16,148,725	rubli
„ wódek ze spirytusu	169,971	„
„ „ winnych i owocowych	5,650	„
„ piwa	1,200,509	„
„ porteru	2,038	„
„ drożdży	145,136	„
opłat patentowych	1,076,154	„
„ „ na utrzymanie sądów gminnych	35,607	„
z propinacyi	375,614	„
z kar za naruszenie przepisów o trunkach	40,006	„
„ zniszczenie lub zepsucie aparatów kontrol.	5,064	„
Łącznie jak wyżéj	19,204,474	rubli

Z wprowadzeniem monopolu wódczanego w Królestwie suma powyższa znakomicie wzrośnie, gdyż dochód od skarbowéj **przedaży trunków** w guberniach Królestwa Polskiego wyniesie prawdopodobnie 10—12 milionów rubli, w całém zaś państwie dochód z tego tytułu, przypuszczamy, że będzie co najmniéj 100—120 milionów rubli. Przypuszczenia nasze mają tém silniejszą podstawę, że ministeryum finansów oznaczyło dochód od skarbowéj przedaży trunków w czterech guberniach zawołżańskich, w których od Nowego Roku będzie zaprowadzony monopol, w sumie około 11 milionów rubli (naturalnie oprócz dochodu z akcyzy).

Przewidywania powyższe wskazują, jak olbrzymie znaczenie dla finansów państwa mieć będzie urzeczywistnienie skarbowéj przedaży trunków na całém terytoryum państwa.

Reasumując to wszystko, cośmy wyżéj powiedzieli, przychodzimy do wniosku, że nowa reforma przedaży trunków jest nader pożądana, nietylko ze względów fiskalnych, ale i społecznych, gdyż z jednéj strony wzmacnia znakomicie zasoby skarbu, z drugiéj, przez uporządkowanie przedaży, trunek będzie miał charakter więcéj artykułu spo-

---

[1]) Podług sprawozdania b. Komisyi rządowéj przychodów i skarbu, złożonego b. Radzie administracyjnéj Królestwa wykonanie ostatniego samodzielnego budżetu w 1866 roku wykazuje ogół dochodów w sumie 23,886,542 rubli (patrz J. Bloch: „Finanse Rosyi i Królestwa Polskiego").

żywczego codziennéj potrzeby i w znacznéj części utraci cechę środka, szerzącego tylko pijaństwo i niemoralne popędy.

Monopol skarbowy, jeżeli tylko zamiary prawodawcy w praktyce zostaną uszanowane, przywróci stopniowo gorzelnictwu charakter przemysłu ściśle gospodarczo-rolnego, bezpośrednio z ziemią złączonego i wyłącznie ziemiopłody własnego *dominium* przerabiającego, co z czasem niewątpliwie da możność powiększenia i saméj liczby czynnych gorzelni.

Leon Iwanicki.



ŻMICHOWSKA
NA WYSTAWIE PARYSKIÉJ
1867 roku *).

Narcyza Żmichowska, jak wiadomo z wydanych listów, jeździła w roku 1867-ym na wystawę paryską. Wrażenia jéj znane są po części z opowiadań, po części z drukowanych listów, lecz w seryi przygotowujących się do druku korespondencyi, odnajdujemy dwa nadzwyczaj cenne dokumenty, które tak obrazowo przedstawiają epokę i tyle myśli nasuwają dzisiaj z powodu wystawy lwowskiéj. Jeden był pisany do mnie, drugi do oddalonego siostrzeńca Z. R. Paryż ciągnął Narcyzę nieprzeparcie, z powodu ukochanego ponad wszystkich ukochanego brata Erazma, z którym się tam miała spotkać (Mieszkał on bowiem w Rheims, jak wiadomo). Przytém miała ona w wysokim stopniu żądzę spojrzenia światu o k o w o k o niejako; postęp ludzkości, zbliżenie się jéj do ideału prawdy i piękna, leżał jéj na sercu więcéj, od jakiéjś osobistéj zdobyczy. Genialnym rzutem wyższéj intuicyi, zdawała sobie sprawę z ogólnego ruchu i stanu umysłowego za pomocą literatury i stąd była ta nienasycona jéj żądza czytania, pochłaniała książki, szukając co na dnie ich się mieści. Jaka kropelka zdrowego nektaru podana została ludzkości? Ta ś w i ę t a c i e k a w o ś ć, wyższego umysłu i pragnieniem dobra przepełnionego

---

*) Rozdział z przygotowującéj się do druku obszerniejszéj pracy.

serca, wiodła ją też na wystawę paryską, a charakterystycznem jest wielce to, co z niej wyniosła, co najbardziej przykuło jej uwagę, co napełniło szczęściem wielkiem. Oto konferencya pedagogiczna! oto model szkółki amerykańskiej! Wogóle z tą swoją pokorną prostotą, której muszę dodać przymiotnik „bezprzykładnej”, uznaje się nieprzygotowaną do zwiedzania wystawy i oceniania zgromadzonych z całego świata okazów—opisuje to w sposób humorystyczny. Tylko ten jeden dział pedagogiczny pochłaniał całą jej uwagę, w jednym, jak powiada, „czuła się na swoim gruncie”, „czuła się uzdolnioną tyle przynajmniej, że się mogła czegoś nauczyć”. To był dział pedagogiczny. Dziś wielu ludzi uważa pedagogią za podstawę bytu moralnego przyszłych pokoleń, za kwestyę pierwszorzędną. Ale wtedy można śmiało powiedzieć, że zajmowano się nią u nas jeszcze mało, i że waga, jaką do niej przywiązywała Żmichowska, była uprzedzeniem epoki. Niestety, życie się tak składało, że nie mogła ona swoich marzeń ziścić w zupełności, nie mogła swoich planów przeprowadzić o tyle, by kurs nauk usystematyzować, lub zakład naukowy dla kobiet stworzyć. Z tego co pozostało po niej, ze słów rozrzuconych w „Wykładzie nauk”, w „Pismach” i korespondencyach, można sobie wyrobić dokładne pojęcie, co chciała, co ukochała, do czego wiodła tych, których ogarnęła swoim wpływem. Ale nigdzie może tak uwidocznionym nie był zapał duszy namiętnie dobra ludzkości pragnącej, dziatwie poświęconej, jak w tych dwóch listach z Paryża. Mimo swej mniemanej „nieudolności” patrzenia i wyciągania wniosków, rzuca nam Żmichowska całe promienie światła, mając wyjątkowy dar obserwacyi i określeń, do których listy jej pozostaną najpiękniejszym zabytkiem naszej literatury, pisane tym porywającym stylem, z werwą, dowcipem — te przymioty znane są czytelnikom Gabryeli. Ale korespondencya jej, obok tych przymiotów, odsłania głębię tej wielkiej, pięknej duszy, odsłania tajniki myśli spowiadającej się ukochanym, a także wtajemnicza nas w życie codzienne, tak, że niemal daje sposobność zżycia się po raz drugi z autorką „Poganki”. Dlatego sądzę, że jej wielbiciele chętnie zapoznają się z niedrukowanemi dotychczas dwoma listami, dopełniającemi się wzajemnie, ponieważ z jednej pochodzą epoki, a dla przyszłego biografa każde nowe słowo o niej, wydobyte z zapomnienia, prawdziwie cennym materyałem!

* *
*

Dębowa Góra, 11 października 1867 r.

„Wzdragała się czapla niby, dała się nakonice użyć i zaczęła służyć. Te wiersze Krasickiego w żywy ustęp mojéj biografii przeprowadziłam po części. I cóż na to powiész, Zdzisiu kochany? Jeszcze w połowie sierpnia, o ile mi się zdaje, pisałam do Ciebie, że się na wystawę paryską wcale nie wybiéram, bo to za dużo kosztuje, bo mnie staréj na nic się to już nie przyda, choćby najpiękniejsze wystawy oglądać, ani ja z tego na dalsze życie nauki, ani dla drugich światła żadnego nie wyciągnę; młodym się godzi zachwycać i uczyć. Tymczasem pojechałam! Nie ja zgrzeszyłam, wuj Erazm zgrzeszył, jak zaczął listy wzywające a tęskne pisywać, jak zaczął opowiadać, że mu się śniłam w jego małym pokoiku tak wyraźnie, iż nie wątpi nawet, że sen był przeczuciem; jak zaczął mnie magnetyzować całą siłą swéj woli, tak i przyciągnął nareszcie. Miałam w ręku sto rubli, aż tu przyjeżdżają państwo Feliksowie, braterstwo p. Leona i pokazują bilety tam i z powrotem za 48 rubli kupione, oczywiście tedy, po odtrąceniu kosztów paszportowych, miałabym jeszcze tyle, że mogłabym ze trzy dni... Tu nastąpiły kalkulacye. Pani Julia [1] najpierwéj dodała odwagi. Pani Paulina [2] jeszcze skuteczniéj poradziła, bo mi się przez męża paszportu wystarała, i wkrótce za nią podążyć mogłam.

„Oddawna w życiu żadne przedsięwzięcie tak składnie mi się nie wiodło w wykonaniu, jak ta podróż cała. Najpierwéj chodziło mi o siły, wiedziałam, że będzie trzeba jechać duszkiem, bez odpoczynku, od czwartkowego poobiedzia do sobotniego wieczora, i gdyby tylko nie spać, gdyby tylko mieć głowę nabitą szumem lokomotywy, ale prócz tego, w różnych miejscach trzeba z pociągu na pociąg się przesiadać, biegnąć cwałem niekiedy, żeby się nie spóźnić, żeby miejsce znaleść. Strasznie się bałam tego wszystkiego, bo też trzeba ci wiedzieć, że dopiéro zaczynam przychodzić do siebie, po kilkunastu latach zupełnego niedołęstwa; jedno przejście Krakowskiego Przedmieścia, albo jedna wędrówka po trzechpiętrowych schodach, dostatecznemi już były, żeby mnie o zupełną, nie fantazyjną, ale z symptomatami i dowodami, przyprawić chorobę. Czułam się wprawdzie od jakiegoś czasu silniejszą, lecz nie miałam okazyi wypróbować się, jak daleko to wzmocnienie posunięte zostało. Podróż mnie przekonała, że bez

[1] Baranowska.

[2] Siostrzenica Grodzińska.

mała, radykalnie do dawnego stanu zdrowia wróciłam. Znalazł się jakiś poczciwy towarzysz drogi, wspaniałomyślny młodzieniec, który twojéj siwéj ciotce pomógł na debarkaderze paryskim rzeczy odebrać i dorożkę nająć, za co niech mu Bóg zawsze będzie miłosierny, a Paryżanki okrutne. Zdzisiu, mój drogi! Jeśli kiedy wypadnie Ci ze starą kobiétą podróżować, wspomnij sobie na ciotkę twoją, bądź dla niéj równie uprzejmym i nie lękaj się z takiém samém błogosławieństwem spotkać. Okrucieństwo Paryżanek od wielu niebezpieczeństw mogłoby obronić, zwłaszcza teraz, w czasie wystawy. Normalna stolica Francyi, miasto powszednie, schowało się kędyś i nie widać go wcale.

„Pominąwszy nowe gmachy i ulice, które jakby na zoranym gruncie zburzonéj Kartaginy, wznoszą się na placach zburzonego, starego Paryża, pominąwszy wystawę całą nawet, jeszcze prócz tego, staréj fizyognomii mieszkańców odnaleść nie mogłam. W dawniejszych wspomnieniach został ruch, pośpiech, zajęcie, namiętność, — w teraźniejszych: ciżba, tłum i próżniactwo. Gdzie wyszłam, na co spojrzałam, bulwary, teatra, wszystko to robiło mi wrażenie jakiegoś podejrzanego dwuznacznika; wszystkie kobiéty wyglądały jak loretki, a wszyscy mężczyzni jak lowelasy *en bonne fortune*. Gdyby nie przypadkowe spotkanie kilku miejscowych indywiduów, którzy mi drogę do naukowéj dzielnicy wskazali, to byłabym wróciła do domu z tą nowiną jedynie, „że w Paryżu piękne sklepy i pulpety z ryżu" (to jest nie z ryżu... bo wszystko z truflami). Ale na moje szczęście widziałam też coś poważniejszego, co się za tą szumiącą fantasmagoryą ukrywa. Sama wystawa nie była może dostateczną, by mnie o tém przekonać, lub raczéj ja za głupią byłam, by się z niéj o czémkolwiek dokładnie wywiedzićć; ale parę konferencyi sorbońskich, inny gatunek publiczności, inną warstwę kraju przedstawiało. Sorbonna, stara wszechnica, jeszcze Abellardowskie i Dantowskie pamiętające oblicza, w tym czasie wakacyjnym, otwartą została przez ministra oświecenia, pana Duruy [1]), arcy-zacnego i światłego człowieka, na konferencye dla nauczycieli wszystkich szkółek wstępnych, *écoles primaires*, we Francyi. Co dwa tygodnie (czy co tydzień, nie pamiętam), kosztem rządu, po 800 sprowadzają ich do Paryża. Siedmnastu uczonych z łona akademii i wyższego profesoratu, przez ministra wydelegowanych, robi im honory wystawy i stolicy, wozi omnibusami po wszystkich szkołach i muzeach, od Luwru zacząwszy do ogrodu Botanicznego. Zrana dwie godziny są przeznaczone na konferencye o różnych

[1]) Zmarłego w listopadzie 1894 r.

metodach pierwotnego nauczania; jedną godzinę w tygodniu oddano kobiécie, zacnéj bardzo i urządzeniem ochronek znakomitéj, pani Carpentier. Pierwszy to raz z katedry Sorbońskiéj, jak Sorbona Sorboną, pozwolono kobiécie przemawiać, bo też jéj dział niezaprzeczony drobnych dziateczek kształcenie. Pani Carpentier, nie bardzo już młoda, niepiękna, ale taka pełna wdzięku i prostoty, że nietylko moją, ale i całego audytoryum sympatyę, od razu sobie zdobyła. Ach, mój Zdzisławie! Żebyś ty wiedział, jak to audytoryum słuchać umié! to aż magnetycznie na mówiącego i współsłuchającego oddziaływa. Przeważnie jednak z najzwyczajniejszych bakałarzy złożone. Dowcipny ołówek twego ojca lub Henryka możeby się gotował na sute żniwo karykatur, a tam właśnie, gdzie padnie spojrzenie, same inteligentne, ożywione, spotyka twarze. W 48-ym roku wiejscy nauczyciele, najzaciętszéj i najliczniejszéj falangi socyalistom dostarczyli; rząd dlatego miał ich w ciągłéj nieufności i bardzo skromnym wspiérał zasilkiem, nawet nie rząd koniecznie, ale izby reakcyjne. Pomimo życzeń cesarza i usiłowań pana Duruy, teraz jeszcze nie chciały więcéj nad dziesięć milionów budżetu szkolnego zatwierdzić. Dziesięć milionów! dla takiéj Francy! kiedy postawienie jednego gmachu Opery do czterdziestu kosztować będzie! Nie zraziło to ministra jednakże; doskonale zrozumiał naturę swoich współziomków. *Avoir de l'importance à ses propres yeux*, to jest ludzką potrzebą Francuza; więc też w ich własnych oczach podniósł znaczenie zajmowanego przez nich stanowiska, bardzo prostym sposobem, bo sam je najpierwéj szanować zaczął. Znać, że bakałarze czują się nakoniec tém, czém są, zawiązkiem przyszłego uspołecznienia, pierwszą godziną jutra, integralną częścią Francyi, więcéj nawet, czują, że Francya do każdego z nich osobiście należy, że są za nią odpowiedzialni [1], bardziéj może niż

---

[1] W drukowanych dawniéj listach do Eli akcentuje Narcyza także wrażenie, doznane w oddziale pedagogicznym. „Gdyby choć jedno oryginalne spostrzeżenie — pisze — gdyby choć jeden sąd ekscentryczny! jeden pomysł nowotny, ale nic, tylko gwar, zamęt i upokarzające poczucie własnéj głupoty. Na pociechę, żebyś już wszelkiéj o mnie nadziei nie straciła, powiem ci, że trochę, ale jedynie troszeczkę specyalniéj oglądałam i ja coś na wystawie powszechnéj, a to były modele szkółek, ochronek i żłobków. Prócz tego, dowiedziałam się, że p. Duruy myśli właśnie o założeniu wielkiéj szkoły technicznéj dla kobiét; chociaż nie jestto znowu tak bardzo pocieszające, bo jeśli p. Duruy myśli dopiero o założeniu we Francyi,—to my chyba za sto lat coś założymy w Polsce."

A w równie drukowanym liście do przyjaciela Henryka czytamy rzecz, któréj przytoczenie będzie tu właściwém: „Słyszałam, że już po moim wyjeździe pan Duruy utworzył uczelnię, prawie uniwersytet dla kobiét; program nauk.

butne Żuawy, chociaż swoją drogą i Żuawy prześliczne. Kiedy się patrzy na to wojsko, mimowolnie chciałoby się klaskać i wykrzykiwać, jest się wesołym. Gdybyś mnie spytał w ogólności, co mi się najlepiéj we Francyi podobało, odpowiedziałabym Ci bez wahania, że nauczyciele wiejscy i Żuawi. A na wystawie saméj chcesz wiedzieć? Model szkółki amerykańskiéj. W osobnym domku jest pokoik osobny, zupełnie tak urządzony jak szkółka w niezbyt dawno powstałém mieście Chatteunagero. Mnóstwo praktycznych drobiazgów, map, globusów, okazów różnych; dziecko nie potrzebuje się uczyć na pamięć, jak u nas; potrzebuje tylko mieć tyle dobréj woli, żeby „widzieć". Doskonałe są téż elementarze do stopniowego czytania. W jednym z nich były wiersze o nas. Jak widzisz, nie silę się na żadne opisy, możesz je znaleść w gazetach, są niektóre bardzo piękne, ja tylko mojemi własnemi wrażeniami dzielę się z tobą. Do tych wrażeń należy zbiór pamiątek egipskich, ustawionych w budynku, który zupełnie na wzór świątyni Aksum urządzono.

„Zewnętrzny portyk, nawet ulica Sfinksowa, nie bardzo mnie zachwyciły; takie rzeczy potrzebują dokoła piasków i pustyni w tym ścisku innych budynków i krążącéj gawiedzi, przypominały trochę jarmarczną architekturę dekoracyjną. W środku dopiéro pamiątki autentyczne, figury kamienne, klejnoty w grobach królewskich poznajdowane, zabytki historyczne, o parę tysięcy lat starsze, niż wszelka dotychczasowa historya. Zimno jakoś człowiekowi się robi, chce czy nie chce, myśléć musi o nieskończonościach, przepaściach za sobą i przed sobą, tajemnicach i mogiłach.

„W sąsiedztwie zaraz jest plan przekopu Suezkiego, przy którym teraz kilku naszych młodych inżynierów pomieszczenie znalazło; zapłata ich nie osobliwa; biorą wprawdzie 400 franków miesięcznie, ale

---

szczególniéj technicznych, szeroki. Ale izby w oburzeniu! Iść, na Włochach karabinów chassepot próbować, i owszem, — kobiéty uczyć! kobiétom dać zarobek. *Veto!* Biédne emancypantki! ani spodziewają się, co je czeka! Jak tu przyjdzie wysoka arytmetyka, do zgryzienia, albo jak je nad prawami mechaniki zasadzą, każą się uczyć wszystkich cyfr chemii! Niejednéj się zdawało zapewne, że byle na koń siąść, cygaro zapalić, a choćby w najlepszym razie mieć odwagę na śmierć i nieszczęście, — to emancypacya! Dobre to czasy były, minął wiek złoty..."

Marzeniem oddawna żywioném. „fantasmagoryjką" Narcyzy było założenie szkoły gospodarskiéj dla dziewcząt, w któréjby kobiéce gospodarstwo naukowe, z wszelkiemi ulepszeniami postępowemi, wykładaném było. „Wikt, drób, nabiał, ogród, co myślicie? Czy to fraszki? Wielkaby to była pociecha, gdyby można było choć naszkicować prawdziwą, techniczną, dla dziewcząt pensyjkę!"

samo wyżywienie przeszło 300 kosztuje, taka drożyzna okropna, — zysk największy w dalszéj wziętości. Być inżynierem przy kanale Suezkim starczy za tytuł i rangę; wybiérają uczniów, którzy najchlubniéj szkoły centralne i techniczne pokończyli. Plan zrobiony *en relief* jest wielkości sporéj izby; obozowisko robotników, domy przedsiębiorców, machiny do kopania i spławu, wszystko jak zabawki dla dzieci wykończone, w przydatku jeszcze panorama obraz uzupełnia. Wyszedłszy z Suezu, o parę kroków możesz wstąpić do pawilonu vicekróla Egiptu, który jest także portretem jakiegoś rzeczywistego kiosku. Skusiły mnie wspomnienia „Tysiąc nocy i jedna". Żałowałam potém, bo na wystawie żałuje się każdéj zmarnowanéj minuty, a kiosk mnie bardzo zawiódł! Ściany tylko tureckie, inne meble, nie wyłączając fontanny wśród kwiatów bijącéj, znajdzie się po wielu salonach paryskich. Gdyby rozpuścić kłęby dymu prawdziwego Latakię! może łatwiéjby przyszło we wschodnie powieści uwierzyć. Ale tak bez tytoniu!... Co zaś do tytoniu, powiem ci, że mnie kusił bardzo widok ogromnéj piramidy w hiszpańskim domu, z samych hawańskich cygar ułożonéj, we Francyi szkaradnie drogie i niesmaczne cygara! Lecz to podobno wcale Cię nie rozczuli, bo nie jesteś ich zwolennikiem.

„Ciekawe rzeczy mogłabym Ci o galeryach obrazów powiedzićć, ale za długie historye, — o rzeźbie, o Napoleonie umiérającym, który tak patrzy w dal, tak myśli o tém, co będzie we Francyi... Raz, choć dni były mi policzone, zamiast na wystawę poszłam sobie do starego Luwru pokłonić się Rafaelom i Tycyanom, Murillom i Ruysdallom, Grekom i Rzymianom, nie pomijając Muzeum starożytności, które się zbogaciło mnóstwem zabytków z odkopanéj Niniwy. Myśmy zawsze o jednym Sardanapalu słyszeli, a tam jest ogromna płaskorzeźba Sardanapala V-go i III-go, i niewiedzićć jakich tam królów jeszcze; całe ściany pałaców poprzewożono i dowiadują się mnóstwo o dawném życiu szczegółów. Ja się nie wiele dowiedziałam, bo mnie nikt nie objaśniał, ale i to miło wspomnićć, że patrzyłam. Z nowoczesnego życia, prócz wystawy, tłumów zalegających bulwary i kilku aż do znudzenia wyzłoconych restauracyi, widziałam jeszcze niektóre teatra. W najpoważniejszym ze wszystkich teatrze francuskim dawano Hernaniego, Wiktora Hugo. Czy znasz ten dramat? Lepiéj mi się w czytaniu, niż na scenie, podobał, bo też jest dla pięknych wierszy, bez względu na aktorów pisany. Francuzi nie umieją poważnego tonu zachować pod przyzwoitą miarą; raz po raz w przesadę wpadają, a może i mnie brakuje zmysłu do ocenienia piękności ich skandowanéj deklamacyi. Przyznam się, że daleko więcéj czułam się teraz wśród nich

cudzoziemską, niż podczas pierwszéj mojéj bytności. Nic dziwnego, smutnym szczęśliwi podwójnie są obcymi.

„Dwa razy byłam w Gymnase. Komedyjki dość mierne; *La cravate blanche, La vertu de ma femme*, dramacik nowy *Albertine de Merris*, w przeciwieństwie „Ideom" pani Aubray napisany (tłómaczone były te „Idee" w „Gazecie Polskiéj"), parę innych drobnostek wybornie odegranych. Kobiétom trochę na przeszkodzie ich zalotność staje, nie mogą ubrać się stosownie do roli, tak potrzebują do twarzy być ubrane. Mężczyzni za to niezrównani! Zamknij oczy, słuchaj głosu, nie poznasz nigdy, że to głos ze sceny; a gdyby usunąć lampy i dekoracye, nie poznałbyś tak po ruchach, że to grą, sztuką.

„W Palais Royal, bez sensu komedyjki, po mistrzowsku, wybornie oddane. Jedna, *La Mariée de Mardi gras* dlatego, jak się zdaje, była przedstawioną, żeby europejskich gości pocieszyć, iż we Francyi nawet policya z aresztowanymi grzecznie bardzo się nie obchodzi; odplątana intryga rozwiązuje się albowiem odprowadzeniem z różnych stron, całego wesela do kozy, gdzie surowy kapral z patrolem dla pań i panów równie szorstkie ma obejście.

„Co do śpiéwu, mogę się pochwalić, że słyszałam najwznioślejszy i najpodlejszy. Sławną Adelinę Patti, która musi miéć chyba inny organizm krtani, słowik rzeczywisty nie przetrzyma jéj tchnienia w ruladach i trylach, a pewnie na nim więcéj wysilenia znać. Mimo że prawie klaskać nie wolno, przyklaśnięto przecież parę razy „w Cyruliku Sewilskim". (Patti jest przytém wyborną aktorką, śliczną dziewczyną, poczciwą kobiétą i szlachetną ludzką istotą, mówi gdzieindziéj Gabryella).

„Kawiarnie śpiéwające *Café chantant*, z tych „Alkazar" poznałam, i znowu muszę oddać sprawiedliwość werwie męskich komików, którzy śpiéwaną lada piosneczkę, jak gdyby żywcem na komiczne obrazy rozłożyli. O damach, po większéj części, mówić nie można. Rygorystką zbyteczną nie jestem, wiele mam uznania dla artystycznych i politycznych licencyi, chodzę z czystém sumieniem i bez rumieńców na czole, wśród Tycyanowskich obrazów, wśród nagich, greckich posągów, ale tam jest piękno „ciała" ludzkiego, w Alkazarze jest po prostu „mięso" kobiéce, w bardzo oświeconych gazem i ozdobionych aksamitami jatkach. Mogłam trochę porównać gust niemiecki z francuskim, bo w powrocie byłam także na berlińskiéj operze i w ogródkowym teatrzyku. Opera nie ustępuje pod względem artystów, nie ma „osobliwéj" Patti, ale ma znakomitą Lukkę i Neumann, a ogródkowe koncepta, chociaż w groteski przechodzą, ogól-

nie jednak skromniéj wyglądają, nawet w bardzo krótkich spódniczkach.

„Dziwi Cię to zapewnie, jakim sposobem moje sto rubli na zwiedzenie teatrów, kilkunastodniowy pobyt w Paryżu, ba, nawet tygodniowy w Rheims, wystarczyło? Oto dlatego, że, jak Ci wspominałam, wszystkie okoliczności dobrze się złożyły. Zastałam tam w miejscu bardzo dobrą i kochaną znajomą z Warszawy, nie chciała mnie puścić od siebie, woziła wszędzie, a nakoniec, sprzedawszy mój bilet spacerowy, tak rzeczy urządziła, że mogłyśmy razem wygodniéj i mniéj śpiesznie do kraju wracać. Drugostronnie Pelcia, przyjechawszy wraz z mężem swoim i stryjem, sprowadziła kochanego wujaszka. Wujaszek, częściéj odemnie bywał na wystawie, bo też jest niezmordowany piechur, codzień do milowych przyzwyczajony spacerów; ruch taki jest mu koniecznie potrzebnym, od drugiego ataku paralitycznego, gimnastyką jedynie, chodzeniem, aloesem i winogronami się broni, równiejszy przez to bieg krwi utrzymując. Na chléb zarabia buchalteryą kupiecką. Teraz ma bardzo skromny, lecz przynajmniéj wystarczający zarobek. Nie zawsze jednak tak bywa. Kiedy się w handlu przesilenie jakie objawi, kiedy różne domy bankrutować lub zamykać się poczną, to i chleba nie ma. Raz, przez rok blisko, bez żadnego utrzymania, z niedostatkiem się łamał i nigdy, nigdy, jutra nie jest pewnym... a jednak ciężko i poczciwie pracował. Szanuje go miasto całe, tylko, jak sam mówi, *pas de chance* i coś jeszcze, czego sam o sobie nie mówi, z czém się nie chwali, co mu kiedyś chyba Bóg sprawiedliwy w rachunku wypłaci."

* * *

Pisząc te słowa, nie przeczuwała kochająca aż do ubóstwiania siostra, że w rok niespełna, w lipcu 1868 roku, straci najdroższego brata. Gdy jednak do wrażeń z wystawy paryskiéj domieszało się imię najzacniejszego człowieka, dobrze nam znanego z listów „Erazma", zdaje mi się, że tu właśnie miejsce będzie odpowiednie do przytoczenia ustępu listu, pisanego do tegoż samego siostrzeńca, po powrocie z Paryża. Ten pobyt zaznaczył się żałobnemi wspomnieniami, tém więcéj, że, śpiesząc na wezwanie, nie zdążyła do Rheims, przed śmiercią brata. Boleść jéj więc była podwójną z tego powodu. Sił mu zabrakło na doczekanie się Narcyzy. A ona jechała z pieniędzmi na sprowadzenie go do Galicyi, gdzie mu umieszczenie przyrzekano... Przybyła w dwie godziny po pogrzebie.

„Jednak nie żałuję, żem była na miejscu — pisze Narcyza. — Przez jakiś czas zdawało mi się, że dla niego coś robię, o niego się staram, nim wyłącznie zajętą jestem. Pozbierałam drobne pamiątki, wszystkie listy; byłam przy przeniesieniu zwłok do zakupionego *à perpetuité* grobu, a nadewszystko widziałam dowody szczeréj życzliwości, ogólnego szacunku, którym aż do grobu był otoczonym. Dziwna rzecz, w takiém przemysłowém, zacofaném mieście, on ubożuchny, cichy, najskromniejsze buchaltera zajmujący stanowisko, wyrobił sobie niby jakiéjś znakomitości uznanie. Bo też i prawda, że był znakomitością wytrwania, poczciwości, niezłomnéj woli i szlachetnego charakteru. Pełno jest ludzi, co wyższemi zdolnościami umysłu błyszczeli, ale równych jemu, miłością serdeczną dla ludzi i żelazném nieustępstwem w zasadach, tak rzadko się spotyka, że istotnie, z matkami mówiłyśmy o tém, gdyby przyszło dorastającym dzieciom, na żywym przykładzie wskazać, jakim to człowiek sumienny, człowiek żyjący dla przekonań swoich być powinien, toby trudność była ogromna. Coraz mniéj takich z kamienia ciosanych osobistości. Są niby poczciwi, rzewliwi, dobrego serca, i mówi się nie o jednym: jaki zacny! jaki poczciwy! bo się go z masą gorszych w porównaniu stawia, a dzieci rosną w takich pojęciach i nabierają takich przywyknień umysłowych, że im późniéj zacność i poczciwość ciągle tą ciasną miarką się rozmierza. Ot, i ty, mój drogi, wuja Erazma nie znałeś, i tobie trudno będzie zdać sobie sprawę z jego natury; w naszéj rodzinie nikogo nie znam, coby mógł do podobieństwa stanąć. My wszyscy, choćbyś wziął najlepszych, to jeszcze siedmdziesiąt siedm razy codziennie na niekonsekwentności pochwycić nas można, to w obejściu z biédniejszymi i ciemniejszymi ludźmi, to w sarkazmie, to w wykrzykniku boleści; — jego nigdy, jak go znałam po braterstwie ducha i rozumu od dwudziestego roku mego życia, tak przez całe późniejsze lat trzydzieści nic dostrzegłam w nim ani jednego egoistycznego wrażenia, ani przez nieuwagę popełnionego względem kogobądź uchybienia, ani sarknięcia, ani skargi, nigdy nie słyszałam i nikt z ust jego nie słyszał. Francuzi, co go tylko powierzchownie znali, pewni byli nawet, że to człowiek z bardzo wesołém usposobieniem, a on miał takie ciężkie życie, takie do śmierci zatęsknione serce.

„Na pociechę moją, wszyscy mi zaręczali, że w ostatniéj chorobie z wielką troskliwością był pielęgnowany. Miał też przy sobie lekarską pomoc dwóch ziomków, jeden miejscowy młody uczeń medycyny, który jak dziecko płakał, gdy mi o nim różne szczegóły opowiadał. „On mi był ojcem i bratem"—mówił do mnie ze łzami, a on też jak ojciec i brat czuwał nad umiérającym, dniem i nocą był przy nim.

„Drugi doktór mieszkał w sąsiedztwie o dwie stacye. Zdaje się pisałam Ci już o nim, jestto mój przybrany synowiec, od bardzo dawnego czasu. Jeszcze kiedy w Lublinie mieszkałam, przyjechał raz umyślnie, żeby się zaznajomić ze mną, i później ciągle już wypadki naszych biografii, jedne o drugie zachaczały. Żebyś i o nim kiedy wdzięczną myślą wspomniał sobie, to ci powiem, że się Dobrowolski nazywa, z Taraszczańskiego powiatu. Możesz sobie, a kto wie, czy raczéj „nie możesz" sobie wyobrazić, jak poczciwie zajął się mną w tych ciężkich chwilach. Przyśpieszył podróż, aby mnie do granicy odprowadzić. Jechaliśmy trochę dłuższą drogą na Drezno i Kraków. Oba miasta smutno wyglądają, a niegdyś sławne tanością towarów, dziś większą, niż Warszawa, drożyzną pochlubić się mogą. W Krakowie chociaż dla odpoczynku trzy dni się zatrzymałam, nie widziałam nikogo.

„Nakoniec, po trzech tygodniach smutnéj drogi mojéj wróciłam do Pszczonowa."

* * *

List do siostrzeńca datowany był d. 11 października, ten, który ja odebrać miałam szczęście, o dwa dni wcześniéj był pisany. W nadzwyczajnéj dobroci swojéj, Gabryela przypisywała mi wpływ, którego naturalnie miéć nie mogłam... Pełna uwielbienia dla genialnego talentu i przejęta najgorętszém uczuciem do mistrzyni mojéj, pragnęłam oczywiście, by pisała jaknajwięcéj,—czując, że milczenie jéj stratą dla literatury, dla społeczeństwa, wiedząc, jak wiele ma do powiedzenia! Niejednokrotnie tłómaczyła się w listach swoich, czemu pisać nie może i gniewała się niby, że ją prośbami memi i wymagalnością do życia budzę, a jednak najserdeczniejsze słowa dostały mi się w udziale z tego właśnie powodu. Przytaczam je z zastrzeżeniem, zresztą zapewne zbytecznem tak samo się rzuca do oczu, że pisała list ten poetka, któréj fantazya obrazowała i potęgowała fakta najskromniejsze przez pryzmat najlepszego serca.

Gdybym nie była o tém przekonaną tak silnie, jak i czytelnicy niniejszych listów, nie mogłabym ich przytaczać, a przecież idzie o rzecz główną, o autentyczność dokumentu. List datowany z Dębowéj Góry, w Rawskiém, gdzie bardzo kochanéj siostrzenicy dopomagała w wychowaniu dzieci, brzmi niemal dosłownie:

* * *

„Nie wiem, czy cię ten list zastanie w domu, Wando moja jedyna, ale wiem przynajmniéj, że długo czekać na ciebie nie będzie. Witaj mi, dziecko moje, siostrzyczko moja, entuzyazmie mój ostatni, przymówko moja bezwiedna, upokarzająca! witaj mi, ty wszystka i rozmaita, a koniecznie witaj zdrową i silniejszą. Czas szkaradny wypadł na twoją podróż, skosztowałam go troszeczkę tylko i wiem, jak może chorym smakować! Mnie wprawdzie, zahartowanéj już makrobiotycznie, na sto kilkodziesięcioletnie życie skazanéj, nie dał się wcale we znaki, przypomniał nawet miłe chwile dawnych rycerskich wędrówek moich, a zresztą, użyłam go, co się zowie, od Skierniewic tylko do Dębowéj Góry. Zajechałam na miejsce (do Paryża) bez wypadku, mogłam dłużéj nawet, niż mi się to podobném zdawało, z bratem zostać; widziałam go tak rzeźkim w duchu i woli, że nie każdy potrafi rozpoznać, jak ciałem zwolna upada i odchodzi. Spotkałam się z kilkoma życzliwymi znajomymi, z najżyczliwszym i najserdeczniejszym ze wszystkich Marcelim. Pani Matylda [1]), co tak umié dogodzić, otoczyła mnie staraniem i radością swoją, wszelkie praktyczne chropowatości zagranicznego pobytu wyłożyła watą, fiołkami, kobiercami. Słowem, wśród bieżących okoliczności pod datą XIX-go wieku i według chronologii mego życia, lepiéj mi być nie mogło; dlatego téż co chwila spodziéwam się, że jaki nowy kamién aerolit o głowę mi się rozbije. Przyznaj, Wando, że się w porę wybrałam z liryką moich złych przeczuć na powitanie, a jeszcze kogo? Ciebie. Ciebie *pinnozo skabiozo.* Więc, żeby na co innego myśli zwrócić, powiem ci, że mi się śniłaś pierwszéj nocy po przyjeździe moim do Paryża i pierwszéj nocy, którą w pokoiku Erazma przespałam; bo trzeba Ci wiedzieć, że, jako czuła siostra, wypędziłam brata z jego stancyi, musiał po hotelach się tułać. Jaki był sen? To najdziwniejsze, że nawet w pierwszéj chwili przebudzenia przypomniéć sobie nie mogłam, wiedziałam tylko, że nim otworzyłam oczy, byłaś ze mną i zaraz téż, gdy sposobność do pisania się znalazła, krótką karteczkę napisałam do Ciebie, tyle tylko, byś miała dowód, że Cię wszędzie a w Reims szczególniéj, miałam ze sobą.

„Wyobrażam sobie, że daleko ciekawszą jesteś moich podróżnych wrażeń. Nędzna ze mnie turystka. Nie godzi się téj nędzy, na samo fizyczne niedołęstwo składać, bo chociaż bywałam niekiedy okropnie schodzoną, to jednak chodziłam tyle, że nigdy się czegoś podobnego nie spodziéwałam po sobie. Sześć i siedm godzin, dzień za dniem na nogach, z zadartą głową, z wytężonemi oczyma, to się rachuje, a przy-

[1]) Godebska.

tém, na odpoczynek wizyty lub teatr, do północy trwający. Sił i zdrowia starczyło mi na to wszystko, czułam, że wkrótce, jak Ida Pfeifer, będę mogła pieszą podróż dokoła ziemi rozpocząć, ale cóż z tego, kiedy mi brak w głowie zapasów!

„Nie posądzałam się nigdy o zarozumiałość, a jednak pokazuje się, moja Wando, że byłam ogromnie zarozumiała. Zdawało mi się, że umiem daleko więcéj, niż istotnie przy pierwszym egzaminie rzeczywistości, gotowego na zastosowanie znalazłam. Gdzie spojrzę, to się przekonywam, że patrzę bezużytecznie, dla zabawki, jak dziecko; a przyswoić sobie, zdobyć na wiedzę, nauczyć się czegośkolwiek z widzianych rzeczy? — utopia! Obrazy? Nie znam się na malarstwie, sądzę, jak koza o trawach, smakuje lub nie smakuje, podoba lub nie podoba. Machiny? Widzę świat jakiś nowy, nowe jakieś potęgi, ale tak samo pewnie pierwszy dudek po stworzeniu swojém patrzył na rozciągające się przed nim przestrzenie. Zboża? Płody? *Connais pas*. Geologiczne okazy? Łomy skał, plany kopalni? Iksy. Modele okrętów? Iksy, — choćby i proste kocze lub karety... Wszakże mi się zdarzyło koczami lub karetami jeździć, powinnabym znać. Ej, gdzietam! Zabij mnie i uduś, to ci jednak nie powiem, czemu ten powóz a nie tamten został medalem zaszczycony; czemu ten od tamtego ma być lepszy. Nie znam się na niczém, ale to, co się zowie, na niczém. Gdyby mi kazano sądzić, oceniać, klasyfikować, nie dałabym sobie rady z najprostszemi, najprzystępniejszemi przedmiotami, ani tkanin jedwabnych, ani szalów, ani koronek, ani kwiatów, biorę przecież zupełnie kobiéce przedmioty, ani, słowem, żadnéj rzeczy, która kobiécą i ludzką jest, nie wyuczyłam się dokładnie. Darłam się do egipskich pamiątek. — Cóż mi z tego przyszło? (Wiadomo, że Egipt ciągnął duszę Narcyzy nieprzeparcie... Zawsze marzyła o podróży do Egiptu. Świątynię egipską chciała obejrzéć, choćby jeden tylko dzień na wystawie spędzić miała).

„Kiedy projekta, co rzadko bywa, świetniéj od programu zaczęły się wykonywać — pisze na inném miejscu Narcyssa — dopiéro w czasie trzecich odwiedzin, zamiar mój przywiodłam do skutku i świątynię Aksum, w jéj najwierniejszém, jak mówią, podobieństwie, zwiedziłam — mały zawód artystyczny, świątynia egipska, rozumiecie, egipska! tajemnicza, przedwiekowa, — malowana z wiérzchu popielato-niebiesko i zielono; w środku jasna, — ale bogi autentyczne i faraony niefałszywe, tak uroczyście milczą, że aż ludziom mówią: bądźcie cicho! Wszelako ja nie po tę niegrzeczność darłam się do ich oblicza; chciałam koniecznie nauczyć się czego i były materyały pod ręką, zbiór wszystkich życia resztek, od bóstw do zabawek dziecinnych,

a czasu nie było! Więcéj użyłam egipskich przyjemności w Muzeum berlińskiém, kto wié, czybym już mumii zabalsamować i spowić nie potrafiła?

„Najdłużéj między niemi siedziałam na wystawie, snułam się wśród nich po Luwru salach, jak podziemia, sklepionych, po muzeach berlińskich; i cóż mi z tego przyszło? Wrażenie! No, tak, były przelotne chwile wrażenia; czułam się o tysiące lat w przeszłość rzuconą, żyłam z tymi ludźmi, rozmawiałam z temi mumiami; widziałam znajomych, pozdrawiałam siedzące z symetrycznie spuszczonemi nogami i rękoma postaci, ale to wszystko dobre byłoby dla siedmnastoletniéj marzycielki. „Idzie Pfeifer" należałoby się rozumiéć, ogólnie przynajmniéj, znaczenie różnych godeł i symbolów, rozróżnić króla od podskarbiego, królowę od krowy, a psa od kapłana; amuletkę religijną od cacka dziecinnego. Lecz „Ida Pfeifer" nic nie umié, patrzy tylko, że jéj ledwie oczy z głowy nie uciekną — czy miałaś kiedy takie uczucie, by ci za spojrzeniem całe oko z głębi mózgu się ciągnęło? — Ida patrzy i obiecuje sobie, że spamięta, że potém z czytaną książką porówna, a tymczasem, gdy książkę weźmie do ręki, znów, jako pierwéj niczego zastosować nie umié. Biédna, głupia Ida! Znalazłam dowcipny sposób nazywania się niemiecką znakomitością, wszak prawda, Wando?

„Jeden tylko oddział wystawy mógł mi coś mniéj obcego do zbadania przedstawić, w jednym tylko czułam się na swoim gruncie, uzdolnioną o tyle przynajmniéj, że się mogłam czegoś nauczyć. Były to szemata szkólek wstępnych, ze wszystkiemi przyborami. W małych pokoikach ławki, szkoły, tablice, książki, mapy, napisy; wszystko tak, jak bywa na miejscu.

„Zwiedziłam szkółkę amerykańską, szwedzką, pruską i saską. Zazdrość mnie wzięła! Nie było czasu we wszystkiém się rozpatrzéć, a jednak z pierwszego rzutu oka, co nabytków dałoby się przyswoić, co konceptów żywcem zastosować! Nie ma gdzie!

„Byłam na dwóch pedagogicznych w Sorbonie konferencyach; po raz pierwszy katedra téj starożytnéj wszechnicy dla kobiéty otwartą została. Pani Pape-Carpentier mówiła o sposobie uprzyjemnienia nauki małym dzieciom. Słuchano jéj z wielką sympatyą; była cierpiąca, i głos jéj tak był cichy, że ledwo nabliżéj siedzący wiedzieli, o co rzecz idzie; ale tłum wiedział, jakie było jéj życie, jaka przeszłość, uczciwéj, skutecznéj pracy poświęcona, więc na wiarę z uszanowaniem każdemu serdeczniejszemu ustępowi przyklaskiwał, w konferencyi bowiem serdeczność głównie przemagała. Wdzięk przytém i prostota niezrównana! Gdybym była dzieckiem, to jestem pewną, że nie słowo

jéj nawet, nie rada najtrafniejsza, nie zachęta żadna, ale sam uśmiéch jéj, ciągnąłby mnie, jak magnes opiłkę żelazną; takiego dobrego uśmiéchu, nie widziałam oddawna, od czasu, jak twarz najlepsza, do małych dzieci, uśmiéchać się przestała. (Prawdopodobnie miała na myśli panią Wilczyńską). Gdyby mógł Paryż mnie zbałamucić, to by mnie zbałamucił temi konferencyami swojemi, prelekcyami, odczytami, kursami naukowemi; ale niewiele właśnie zakosztować ich mogłam, trzeba było „oglądać”. Więc mnie nęcił przepychem, zabawą, deklamacyą i śpiéwem, wodewilem i operą, a ja podziwiałam i smuciłam się, że rozszaléć się nie mogę!

„Ciekawa jestem, jaki sens moralny wyciągniesz z tego wszystkiego, co ci na pierwszy raz, w urywanych zdaniach, przeskokowo, o podróży mojéj wspomniałam? Czy znajdziesz przynajmniéj odpowiédź na to, co ci pilniéj o mnie wiedziéć było trzeba? Jeśli nie, więc właśnie twoja rzecz, Wando, pytaniami do porządku je przywołać, ja Ci zawsze odpowiem, kiedykolwiek i o cokolwiek mnie zapytasz, *my darling!* Ale ty pytać nie umiész, szczególniéj, gdy razem jesteśmy, żywém słowem. Pani Anna ma słuszność, gdy ci wyrzuca, że twoje listy od twojéj rozmowy pełniejsze. Potrochu znam się na téj chorobliwości, tylko w tobie jest więcéj niż we mnie rozwinięta. Cierpię na nią póty, póki wszelkich zarodków nieufności względem drugich nie zabiję. Niechno tylko będę kogo pewną, to pewnie więcéj mu powiem, niż napiszę; ale jak mam wątpliwość na sercu, a przyjaźń w sercu, to więcéj napiszę, niż powiem. Ty zaś do nieufności względem drugich, łączysz względem siebie saméj nieufność; prześladuje Cię wiecznie to Twoje tchórzostwo moralne, ten stosunek potworny między myślą zuchwałą, a ruchem niewprawnym. Czy ja Cię kiedy z tego otrząsnę? Usiłowań nie szczędzę, przestróg w bawełnę nie owijam, Ty mi za to wszystko odwzajemniasz, ciągle mnie do autorstwa zapędzając. Ach, Wando! nie ustawaj w tém bezowocném wołaniu — może się na co przyda, a jest właśnie bardzo potrzebne; jedyny sposób, którym mogłabym trochę pieniędzy zarobić, trochę? ba! ja nawet dużo bym chciała. (Ma na myśli niezawodnie wspomożenie brata, zapracowanego w Reims). Wołając więc na mnie, znajdź sposób, żeby o jeden stopień wyżéj rozwinąć moje przeszłoroczne usposobienie, żeby przypomniéć, co mi się przeszłego roku w głowie układało. Wszakże Daniel umiał Nabuchodonozorowi zapomniany sen przypomniéć! Nie jestem wprawdzie Nabuchodonozorem, ale ty niezawodnie jesteś Danielem moim. Więc rób, co chcesz, znajdź jakieś ożywienie, jakąś podnietę, jakiś specyfik na odtajenie mózgu, bo chcę pisać...

„Bardzo się cieszę, że Ci się Tytana (Jean Paula) spotkać udało. Nic a nic go sobie nie przypominam, lecz onego czasu, powiem Ci to kiedyś, jak się zobaczymy, dlaczego po jego przeczytaniu zaczęłam pisać: „Podróż kobiéty”, która się potém na czterokarteczkowe ustępy rozwiała. Już to mnie zawsze na pisanie szło, kiedy coś z wrażenia przeczytałam (jakiego bądź gatunku, byle wrażenia), „Pogankę” po Tucydydesie; „Podróż kobiéty” po Tytanie, „Mainę” po „Prawdzie ruskiéj” Rakowieckiego i t. p. Czy ja mogę mieć jeszcze jakie wrażenie. Żegnaj, moja.”

* * *

Trzecim listem, jaki z października (10-go) mam pod ręką, jest pisany do bardzo drogiego, także jak Marceli Dobrowolski, „adoptowanego” siostrzeńca, Edwarda Kaplińskiego. Z wrażeń pobytu na wystawie zaznaczamy spotkanie z Bohdanem Zaleskim, który okazał przy powitaniu „takie ukraińskie rozserdecznienie, a do tego z mojéj strony”—pisze Narcyza— „dawno już, bardzo dawno uwzięłam się, żeby go kochać—za Rusałki, Majunę i za wszystkie chwile, które mu dłużna byłam z przeszłości [1]). Istotnie, prawa to dusza i szczerozłote serce. Gdy o znajomościach wspominam, domyślacie się pewnie, że Marcelego do nich nie liczę, bo téż on nie zdobędzie się na emigrancką naturalizacyę. Przy całym turyzmie swoim, zawsze będzie miał te same przywyknienia, sądy, tęsknoty i nadzieje, jak gdyby wczoraj dom opuścił, jak gdyby jutro miał do niego wrócić, a jednak tolerant, bo z nietowianistami w bardzo przyjaznych żyć może stosunkach, i dla mnie nic a nic się nie zmienił, a mego brata, starego demokratę, wy nawet nie pojmujecie co to jest s t a r y d e m o k r a t a, ani sami

---

[1]) W dawniéj drukowanych listach, do Eli mianowicie, czytamy o tém spotkaniu: „Byłam tylko z odwiedzinami u Bohdana Zaleskiego, gdyż to zupełnie nowa była do zrobienia znajomość, bez żadnych długów i zaległości, owszem charakter wierzyciela noszącéj raczéj,—bo ileż dźwięcznych chwil, ile śpiewnych marzeń, ile muzyk młodocianych, winna byłam Bohdanowi. W przydatku, ożenił się z moją współinstytutką (Zofią Rosengart), mam prawo powiedzieć, uczenicą nawet, bo w niższéj była klasie i dawałam jéj lekcye; kilka razy sam dobrém słowem mnie zaczepił, dobrém życzeniem pozdrowić kazał, — poszłam go tedy odwiedzić Bohdan prześliczny, daleko młodszy, niż wszystkie jego portrety, oczy ma takie szafirowe, jak wstążka przy kapeluszu mojéj siostrzenicy, szkoda, że ci nie mogę pokazać. Już bo to wszyscy Ukraińcy, nie wiem, jak wyglądają kiedy są w złym humorze, pewnie tam w każdym Zaporożec siedzi, — lecz kiedy w dobrym, to tacy serdeczni, miękkiém, rzewném, tkliwém jak pieszczota rozserdecznieniem, że aż serce lgnie.”

nie będziecie żadnym starym czymściś, ani koło siebie starych jakichś nie zobaczycie. To już przepadający gatunek, tacy ludzie, którzy od młodości do lat najpóźniejszych byli jednym i tym samym jezuitą czy wolterzystą, demokratą czy mistykiem, Marrinim, Garibaldim czy Meternichem. Inna warstwa, inne zdolności i usposobienia, płynność większa, kształtowanie się ciąglejsze, a w ukształtowaniu deficyt.

„Otóż mój skamieniały w demokratyzmie braciszek dał się zupełnie Marcelemu towianiście przekupić. Przy zachowaniu pewnych ostrożności, unikaniu dysput i t. p. kochają się bardzo.”—Widocznie jednak, o towianizmie nie było między nimi mowy, skoro dla porozumienia się z Dobrowolskim w téj mierze musiała Narcyza czekać na wyjście brata z domu, jak to w liście do Julii opisuje (5 października 1867 r.): „Bo chociaż to nie sekret żaden dla mego brata, i chociaż brat sam przyznaje, że poczciwe serce i prawa intencya z każdéj formy religijnéj coś pomocnego a nieszkodliwego wyciągnie, jednakże, gdy idzie o przeprowadzenie towianizmu „w dysputę”, nie ufam jego Żmichowskowskiéj naturze, uniesienia zaś lękam się po prostu jak choroby w jego zagrożonym stanie.” „I was także Marceli zawsze kocha, wspomina, i mnie także, ale to mniéj dziwne, bo pominąwszy większą ilość punktów stycznych, to jeszcze kto wie, czy go nadzieja nawrócenia nie nęci; choć swoją drogą wiem, że i bez nawrócenia, nie wyrzecze mnie się...”

Tyle o ludziach, naówczas widzianych. Istotnie jest faktem, że towiańczycy o nawróceniu Gabryeli myśleli bardzo na seryo, ale się oparła bez wahania, znajdując wszystko, co oni narzucić chcieli w Ewangelii. By ją ukochać, by święte jéj przepisy w życie wprowadzić i wcielić, na to nie potrzeba było sekty tworzyć. Niemniéj pociągali ją ludzie dobréj woli, prości, żyjący jakby w zakonie miłości i pragnący, by Królestwo Boże zstąpiło na ziemię; jakakolwiek była ich teorya, życie było piękne i czyste; takich „Towianistów” znała Narcyza, więc ich ceniła jako ludzi z charakterem. A w liście do Julii, pisanym w téj saméj epoce, zahacza o sprawę towianizmu, w sposób bardzo kategoryczny, gdy pisze: „Jeślić już wierzyć w objawienie i Mesyaszów, to mi dość w Chrystusa, który przynosi z sobą siły dodatnie, nowe, bogaci naturę ludzką nieznanemi dotąd władzami — jest łaską, jest ofiarą uzupełniającą wszystkie ujemności grzeszników i t. p. i t. p.”

Chcąc zakończyć seryę listów pisanych z Paryża, a raczéj o Paryżu, raz jeszcze zwrócić się musimy do drukowanego dawniéj listu

do Henryka, w którym mieszczą się wrażenia Narcyzy z wystawy, mianowicie też z działu sztuk pięknych, zacząwszy od „Rejtana" Matejki, który w ten sposób charakterystycznie opisuje: „Spojrzałam i chciałam odejść, nie rozumiem! Coś różowo metalicznego w kolorycie. Spojrzałam drugi raz, aż tu ciekawość bierze, twarze się ożywiają, postaci występują z płótna, trzeba zostać i patrzyć długo, długo, i śmiać się i cierpieć, i być znowu do cierpienia gotową. — Od galeryi obrazów przegląd wystawy zaczęłam, dzieciom i profanom obrazki najprzystępniejsze. W części hiszpańskiéj Testament Izabelli tak mnie prawie przytrzymał, jak Matejko. Głębokie uszanowanie złożyłam Napoleonowi I-mu z marmuru, przez Viola Włocha przysłanemu. Czytaliście o nim w gazetach, wiecie, że siedzi na krześle, wsparty poduszką, odziany rozchełstanym na piersiach szlafrokiem i od pół ciała przyrzucony flanelową kołdrą; realizm, jakiego może nikt sobie dotychczas na kararyjskim marmurze, nie pozwolił. I przed tym realizmem widziałam kilka świéżych wieńców nieśmiertelnikowych, tłum ludu—i tak mi się zrobiło boleśnie smutno, że byłabym resztę wystawy poświęciła za chwilkę samotności z tą konającą postacią. Jakiż-bo to niespożyty rozum w téj głowie, jaka myśl, silniejsza od śmierci, na czole; jaki spokój wyższy od cierpienia w tém zamyśleniu,—tak muszą wielcy ludzie umiérać, tak geniusze, choć zapoznane. — Daleko Wam dzisiaj do Paryża, aleć wielu innym tak samo było, a taki przecież Paryż kiedyś widzieli, może i wy zobaczycie — po latach, po latach, choćbyście w moim wieku byli, pójdziecie spojrzyć na ten posąg, który naród kupił—i wspomnicie sobie.

A podsumowując wszystkie swoje wrażenia, przychodzi jednak Narcyza do tego wniosku, że choć to żaden dobry uczynek wystawę zwiedzić, ale dla młodych, dla tych co potrzebują wrażeń, bo mogą daléj w zastosowaniu je rozsnuwać, uczynek bardzo korzystny. Lepiéj obejść się bez jedwabnéj sukni, zjeść jedną potrawę mniéj na obiad, a podarować sobie piękne wrażenie. „Mnie już na nic wrażenia się nie zdadzą", pisze do Henryka, „bo nic lepszego z nich nie zrobię, niczém lepszém nie spłacę zaciągniętego przez nie długu."

„Choćbym widziała najpiękniejsze obrazy — żadnéj piękności sama nawet piórem nie odmaluję. Choćbym widziała wszystkie cuda maszyn parowych, nietylko żadnéj nie zbuduję, ale nawet żadnéj w dobrach moich nie każę ustawić. Choćbym z widoku tylu zdumiewających pracy ludzkiéj okazów największe poszanowanie dla rodu ludzkiego poczuła, i największą potrzebę rozumnego kształcenia uznała — co komu przyjdzie z tych pięknych i zacnych sentymentów?

„Nie wrażenia mnie skusiły, nie nauka, wstydźcie się za Waszą wybraną ciotkę [1], ale tak jest rzeczywiście, żem się niczego a niczego na wystawie paryskiéj 1867 roku nie nauczyła—co najwięcéj, to może téj starożytnéj jakiegoś greckiego mędrca mądrości, że dowiedziała się, iż nic nie wié, o czém *a priori* dość już głęboko była przekonaną.”

Czytelnicy listów niniejszych raz jeszcze mają sposobność się przekonać o tém zbyt skromném „niedocenianiu się” genialnéj poetki, któréj opisom poufnie tylko skreślonym tyle przecież zawdzięczamy trafnych i głębokich spostrzeżeń.

Wanda Żeleńska.



[1]) Henryk był téż jednym z przybranych siostrzeńców-przyjaciół.

LAUZUN.

Gaston Maugras: „La fin d'une société: Le duc de Lauzun et la cour intime de Louis XV“ (str. VII+469, Paris, Plon, 1893).

Monografie francuskie, dotyczące historyi obyczajowéj końca zeszłego wieku, mnożą się w ostatnich czasach sposobem iście niepokojącym. Nadążyć za niemi, mimo najlepsze chęci, staje się niepodobieństwem. Taka obfitość produkcyi nietyle odpowiada większemu zapotrzebowaniu, ile jest skutkiem uproszczenia procederu. Jestto zastosowanie postępów przemysłu do literatury. Jak w innych gałęziach piśmiennictwa, podobnie w danéj specyalności znaleziono kilka przepisów fabrykacyi, praktycznych a niezawodnych. A mianowicie, dla użytku producentów monografii obyczajowych o Francyi XVIII-go stulecia, znaleziono następującą prostą i przystępną receptę. Bierze się kilkadziesiąt pamiętników i korespondencyi z téj epoki, nie czyniąc wielkiéj różnicy między autentycznemi a apokryfami, byle tylko nic w nich nie było nudnych rozpraw o finansach, stanie ludu wiejskiego, parlamentach i polityce, byle tylko było w nich jaknajwięcéj salonowych plotek, sekretów sypialnianych i oklepanych kalemburów. Tę mieszaninę przesypuje się obficie ciętym aforyzmem Chamfort'a, wesołym konceptem Ligne'a, drastyczną anegdotą Casanovy. Jeżeli się pragnie zabłysnąć wyjątkową erudycyą, należy nadto powołać listy Horacego Walpole'a albo lady Craven. Jeżeli się liczy na odznaczenie przez Akademię francuską, oraz na popyt u niewieściéj publi-

czności, dobrze jest zapewnić sobie spółpracownictwo panny Herpin, sławniejszéj pod imieniem Lucyana Perey. Od pierwszych z brzega książąt, markizów czy baronów wydostaje się trochę i n e d i t ó w do ogłoszenia i jaką starą miniaturę do uwiecznienia na czele dzieła sposobem fototypowym; w przedmowie dziękuje się z wylaniem tym dobrodziejom, łaskawym mecenasom nauki, starannie wypisując pełne ich tytuły margrabiowskie i książęce, co wielce podnosi ornamentykę całości. Wynika stąd książka o trzydziestu arkuszach wielkiego oktavo, drukowana na grubym papiérze, osobno w kilkudziesięciu egzemplarzach liczbowanych odbita dla amatorów na papiérze chińskim, japońskim i holenderskim. Fabrykat gotów, nauka historyczna zbogacona nowym nabytkiem.

Nie inaczéj od dłuższego czasu płodził p. Maugras, do spółki z „Lucyanem Perey" duże tomy o „Młodości pani Epinay", o „Starości pani Epinay" i t. p. arcydzieła. Obecnie występuje, na własny już rachunek, a podług téj saméj recepty, z obszerną monografią o Lauzunie. Nie myślelibyśmy wertować grubéj książki autora, do którego żadnego nie mamy przekonania, traktującéj o człowieku, któremu żadnego nie przypisujemy znaczenia, —gdyby nie jedna okoliczność. Spodziéwaliśmy się znaléść tutaj nowy przyczynek do staréj, a podziśdzień nie zamkniętéj, sprawy osławionych Pamiętników Lauzun'a.

Trzeba jednak nasamprzód objaśnić czytelnika, o co w téj sprawie chodzi. Po raz pierwszy rozeszła się wieść o Pamiętnikach Lauzun'a w 1811 r. Był to czas, kiedy Napoleon, ożeniony z arcyksiężniczką austryacką, z upodobaniem odzywał się: „mój wuj, Ludwik XVI". W zapiskach Lauzun'a srodze była skompromitowana „ciotka" cesarska, gilotynowana królowa Francyi. Więcéj jeszcze były skompromitowane rozmaite panie o historycznêm nazwisku, — i nietylko gilotynowane, lecz nawet żyjące jeszcze, — które nie tak dawno jaśniały w Wersalu w otoczeniu Maryi Antoniny, a których córki obecnie pełniły w Tuileryach urząd dam dworu cesarzowéj Maryi Ludwiki. Cesarz skandalu nie lubił. Dowiedziawszy się o istnieniu rachunków sercowych książęcego lowelasa, rozkazał je skonfiskować w interesie porządku publicznego; rękopis miał być spalony w obecności ministra policyi, Savary'ego. Na nieszczęście, królowa Hortensya, pasierbica cesarza, któréj niczego nie umiał odmówić, była ciekawą. Wydostała do przeczytania skazaną na zagładę Lauzun'ową odyseję i w sekrecie poleciła sporządzić kopię. Takich odpisów namnożyło się więcéj za restauracyi; czytywano je z równém zajęciem w salonach legitymistycznych i opozycyjnych. Póki tą drogą niedyskretny pamiętnikarz święcił zagrobowe sukcesy towarzyskie w tym

„świecie", którego był ongi ozdobą, nie widać było zgorszenia ani słychać protestu; dopiéro, kiedy poczęto przebąkiwać o ogłoszeniu Pamiętników drukiem, o dopuszczeniu do sekretu nieświatowych śmiertelników, ze wszech stron uderzono na trwogę. Pierwszy w obronie zagrożonéj cnoty dawnego społeczeństwa, którego pozostał najwydatniejszą ruiną, zabrał głos stary książę Talleyrand. W liście, ogłoszonym w Monitorze, uroczyście oświadczył, iż jego serdeczny przyjaciel, Lauzun, jemu przed laty sam był czytał swoje autentyczne pamiętniki, lecz zgoła odmiennéj treści od obiegających obecnie, — zapewne były wzorowane na św. Augustynie albo św. Teresie—iż przypisywanych mu teraz okropności Lauzun „nie napisał, nie zdolen był napisać, czułby wstręt do ich napisania"; że, jedném słowém, to „dzieło ciemności" *(oeuvre de tenèbres)* jest niczém inném, jak występnym, rozmyślnym falsyfikatem. Talleyrand tyle razy kłamał, że jego świadectwo osobiste najmniejszéj nie przedstawia wartości dowodowéj. Nadto, w danym wypadku nasuwało się przypuszczenie, że dymisyonowany minister Ludwika XVIII-go, wypadły z łaski pańskiéj, rad był za jedną okazyą, biorąc rycersko w obronę sponiewiérany cień Maryi Antoniny, — któréj nienawidził, którą jadem obléwał za życia, — przysłużyć się tanim kosztem Burbonom. Takie przypuszczenie uczynił pewnikiem Sainte-Beuve, ogłaszając list pani d'Es *(trées)*, pisany do Talleyranda nazajutrz po jego wystąpieniu, z podziękowaniem w imieniu księżny d'Angoulême za fałszywe świadectwo [1]). –Mimo wszystko, Pamiętniki Lauzun'a ukazały się z druku w końcu 1821 r. Zawiérała ta pierwsza edycya pewne luki i niedopowiedzenia, gdyż, bądź co bądź, trzeba było liczyć się z rządem i względami dla wielu osób żyjących; jednak wymieniała dosyć nazwisk znaczniejszych, kilku nieujawnionych łatwo pozwalała się domyślać. Podniesiono *larum.* Talleyrand po raz wtóry wystąpił w roli stróża moralności, z większą jeszcze powagą, bo z mównicy izby parów; ks. Choiseul, w imieniu rodziny, założył protest publiczny i rozpoczął kroki przeciw wydawcy. Dla zdyskredytowania wydawnictwa puszczono pogłoskę, że Savary był zachował u siebie sfałszowaną kopię rękopisu, skonfiskowanego przed dziesięciu laty, i podał ją teraz do druku, aby dopiec rządowi i rojalistom. Zapewne, fałsz i szantaż nie były to rzeczy bez precedensu w pracowitym żywocie księcia Rovigo, lecz w téj aferze istotnie nie miał on nic do roboty, był tylko obrany kozłem ofiarnym ze względu na swoją repu-

---

[1]) Listy Talleyranda, 27 marca, i pani d'E., 28 marca 1818, u Sainte-Beuve'a, Caus. du lundi (4-e éd.), IV, 306 sq.

tacyę; to też, gdy zdarzyło mu się w tym przypadku mieć prawie czyste sumienie, oburzył się tak żywo, jak gdyby człowiek uczciwy. Swoją drogą, edycyę, wycofano z obiegu [1]). Dopiéro za drugiego cesarstwa znalazł się śmiałek, znany z sumiennych prac wydawniczych bibliopol, Ludwik Lacour, który się odważył ogłosić dokładny tekst Pamiętników, podług kolacyi odpisu, przechowywanego w paryskiéj Bibliotece publicznéj, z uzupełnieniami, drukowanemi dawniéj przez Taschereau w *Revue retrospective*. Nie obeszło się i tym razem bez skandalu. Wytoczono proces wydawcy; w pierwszéj chwili książkę skonfiskowano, lecz ostatecznie przywrócono jéj obieg. Odtąd przedrukowywana była bez przeszkody [2]).

Z rozmysłu rozpisaliśmy się tak szeroko o téj sprawie, gdyż posiada ona znaczenie ogólniejsze. Wyciąga się z niéj morał, iż hipokrycka wstydliwość w rzeczach historyi na nic się nie zda dzisiaj. Dawniejszemi czasy, kiedy archiwa państwowe zamknięte były na siedm pieczęci, przecież pod pewnemi względami większą objawiano tolerancyę. Zapiski Retz'a, Bussy-Rabutin'a, kawalera Gramont'a, odsłaniające anarchię obyczajową XVII-go stulecia, nie były pociągane przed kratki sądowe wieku XVIII-go; a natomiast wiadome cnoty domowe XVIII-go wieku znajdują jeszcze od czasu do czasu niefortunnych opiekunów na samym schyłku sceptycznego wieku XIX-go. Winniśmy bowiem dodać, że dla uczonych barwy „Korespondenta" albo „Przeglądu zagadnień historycznych". Pamiętniki Lauzun'a są do dnia dzisiejszego złośliwym falsyfikatem; zaś jeszcze niezbyt dawno spotkaliśmy się w naukowém czasopiśmie polskiém ze stanowczém oświadczeniem, iż ten niecny apokryt jest niczém innėm, jak dziełem

---

[1]) Talleyranda mowa pochwalna o Lauzunie, 13 listopada; Choiseula pismo otwarte, 22 grudnia 1821, w Monitorze. Listy Salguesa i Savary'ego, w Quarterly Rev. (1822), XXVI, 407 sq. Savary oświadcza tu zresztą, że skonfiskował tylko odpis, w dodatku sfałszowany, i że oryginał znajduje się w pewnych rękach: oczywiście chciał uniknąć wszelkich pozorów solidarności z wydawcą. Dodajmy, że mamy powody do przypuszczenia, iż posądzenie Savary'ego wyszło od Talleyranda, któremu należał się odwet za rewelacye ks. Rovigo w sprawie ks. d'Enghien. — Téj pierwszéj edycyi Pamiętników Lauzuna (Paris, Barrois l'aîné, 1822), będącéj rzadkością bibliograficzną, nie mieliśmy w ręku: por. Graesse, Trésor de livres rares, IV, 165.

[2]) Edycya Lacoura „conformément au manuscrit, sans suppression", Paris, 1858; przedrukowana w Barrière'a Bibl. des mém. rel. à l'hist. de France pend. le XVIII s. (Paris, 1862).

osobistéj zemsty damy polskiéj [1]). Tymczasem o autentyczności okrzyczanych Pamiętników nigdy nie żywiliśmy najmniejszéj wątpliwości i żywić jéj nie będzie nikt, kto je uważnie czytał, kto wié cokolwiek o Lauzun'ie i jego epoce, kto kiedykolwiek miał do czynienia z rzeczywistemi falsyfikatami tego rodzaju. W istocie, jaki Hieronim Vignier mógł z powodzeniem podrobić dokumenty z V-go wieku i na długie lata oszukać naukę, gdyż w téj odległości, przy braku innych sprawdzianów, zoryentować się trudno: lecz żaden Soulavie, ani Feuillet de Conches całą swą sztuką nie potrafił długo utrzymać w błędzie co do wartości swych fabrykatów z zeszłego wieku, który tak jest bliski, tak obfitujący w źródła niezawodne, tak dobrze znany we wszystkich szczegółach. Gdy więc Pamiętniki Lauzun'a nigdy nie zostały zakwestyonowane w żadnym najdrobniejszym bodaj szczególe, przez żadne postronne świadectwo, zupełna ich autentyczność oddawna jest rzeczą pewną dla bezstronnych i znawców [2]). Obecnie nie będzie mogła być zaprzeczaną dłużéj nawet przez nieświadomość i uprzedzenie: i to stanowi główną zasługę zbytecznéj może skądinąd monografii, jaka dała nam powód do uwag powyższych. P. Maugras, czerpiąc z licznych, dotychczas niedostępnych zbiorów prywatnych, między innemi z archiwum rodziny Lauzun'a (obecnie p. Gontaut-Biron'a), a więc jaknajdokładniéj informowany, zmuszony jest uczynić następujące wyznanie: „Autentyczność Pamiętników Lauzun'a nie może dłużéj ulegać dyskusyi *(n'est pas discutable)*... we wszystkich, nader licznych punktach, gdzie mogłem poddać je kontroli przy pomocy dokumentów prywatnych, nie wykryłem nigdzie najmniejszéj niedokładności: ważne wypadki, drobne szczególiki, daty, wszystko okazało się bezwarunkowo ścisłém i prawdziwém *(d'une précision, d'une verité absolue)*. Lauzun niezawodnie jest autorem Pamiętników, gdyż tylko on jeden był w stanie je napisać". Jestto, zdaje się, dosyć wyraźne. Nie można też, zdaje się, wymagać w téj sprawie lepszego świadka, niż p. Maugras, którego nikt chyba nie posądzi o nieostrożność i brak należnych względów, któremu raczéj zarzucilibyśmy zbytek usłużnéj deferencyi względem utytułowanych właścicieli archiwów, z jakich czerpał. Nie pozostaje tedy, jak powtórzyć dobitne słowa Sainte-Beuve'a: „Nikt nie jest mo-

[1]) Jednak nie ma już o tém mowy w Przegl. pol. XXXVIII (1894), 593, gdzie autentyczność Pam. uznana.

[2]) Prócz Sainte-Beuve'a, można tu powołać z nowszych Lescure'a, du Bled'a w Revue d. d. mondes, XCV, 571 sq., Monoda w Bibliogr., i in.—Podług pani Campan, Mém. (éd. 1823), I, 208 sq., Lauzun pisał swoje Pamiętniki na życzenie księżny Fleury (Aimée Coigny, 2-o voto za osławionym Montrondem); prawdopodobniéj jednak przeznaczył je dla margrabiny Coigny, z domu Conflans.

cen unicestwić uczynionych raz wyjawień, chociażby przynosiły ujmę całemu stanowi społecznemu. Pamiętniki Lauzun'a istniały przed denegacyą Talleyrand'a; po jego zaprzeczeniu istnieją i ważą po dwakroć, gdyż ich doniosłość lepiéj została uwydatnioną; i nauka historyczna wciągnie je do swych akt, śród dowodów obciążających w wielkim procesie przeciw XVIII-mu stuleciu".

Po tak długiéj dygresyi o Pamiętnikach Lauzun'a, niewiele znajdziemy do powiedzenia o nim samym. Starczy przypomnieć w paru słowach znane dzieje niespokojnego, a zgoła bezużytecznego żywota téj typowéj postaci zaginionego niepowrotnie rodzaju. Ojciec pamiętnikarza, Gontaut, „biały eunuch" pani Pompadour, ze swoich łask u faworyty dobrodusznie pozwalał ciągnąć korzyści sprytniejszemu i więcéj przedsiębiorczemu szwagrowi, margrabiemu Stainville, późniejszemu księciu Choiseul. Czy wyrozumiałości szwagra nadużywał Choiseul jedynie u ulubienicy królewskiéj, trudno osądzić: tyle pewna, że Talleyrand czyni Lauzun'a owocem kazirodztwa, synem Choiseul'a [1]. Albowiem biskup z Autun, który publicznie z cnotliwém oburzeniem piętnował mniemanych fałszerzy Pamiętników swego „przyjaciela", sam w tym samym czasie, kiedy gromy moralisty ciskał ze szpalt „Monitora" i trybuny parowskiéj, u siebie w gabinecie spisywał wspomnienia, gdzie w jednym rozdziale o Filipie Orleańskim albo o Choiseul'u więcéj zawarł skoncentrowanego jadu obmowy, aniżeli się mieści w całkowitéj autobiografii Lauzun'a. —Chowany na kolanach pani Pompadour, Lauzun wcześnie zaczął się bawić i niebawem w sztuce bawienia się najdoświadczeńszych prześcignął. Ośmnastoletniego bałamuta ożenili przymusem rodzice z dzieckiem czternastoletniem, kobiétą ujmującą i dobrą, któréj nie był wart i z którą nie żył. Szukał rozgłosu w co raz innych wybrykach, zarazem sentymentalnych i cynicznych, jakich sekret posiadało towarzystwo francuskie owéj doby. Sam zresztą w gruncie rzeczy był człowiekiem sympatycznym, dużo w nim było szlachetności; lecz uczuciowy aż do histeryi, więcéj miał dowcipu niż rozumu: gubił go brak charakteru. Opiekował się nim nasamprzód i mentorował mu w pohulankach ks. Conti, pod siwym włosem amfitryon wszystkich gwiazd opery, przez chwilę kandydat do korony polskiéj, stary niepoń, o którym pięknie powiada pan Maugras, iż „jego wielkie zalety zaćmione były przez fałszywy sąd o rzeczach, konfuzyę pojęć i nieusprawiedliwioną ambicyę", — rodzaj

---

[1]) O Lauzunie ob. Mém. du prince de Talleyrand, I. V, pass.

charakterystyki znakomity, który chciałoby się żywcem zastosować względem talentów pisarskich samego autora.—W krótkiéj a krwawéj wyprawie korsykańskiéj wziął Lauzun chlubny udział. Za powrotem zastał wielkie zmiany u dworu. Pani Dubarry, którą, rzecz prosta, znał oddawna z balów opery, jak znał wszystkie ladacznice stolicy, zaawansowała w tym czasie na uznaną faworytę starego króla; Choiseul próbował się jéj oprzéć i upadł. Lauzun dał pierwszy przykład lojalnéj opozycyi; pozostał wierny wujowi— a raczéj jego siostrze, pani Gramont,—ostentacyjnie odwiedził go w Chanteloup, gdzie dymisyonowany minister przesiadywał i srożył się, podobnie, jak dziś ks. Bismarck w Varzin'ie. Skutek był taki, że sam Lauzun popadł w niełaskę. Zbliżył się wtedy do księcia Chartres, późniejszego Filipa Egalité, — przyjaźń feralna, którą miał opłacić głową. Tymczasem bawił się daléj w najlepsze. W Londynie, zimą, 1772/3 r., poznał księżnę generałową z. p. i Repnina. Towarzyszył im latem do Spa, późniéj, po wyjeździe Repnin'a do Rosyi, udał się za księżną do Paryża, zaprzyjaźnił się tutaj z ks. Adamem. W kwietniu 1774 r. odprowadził księżnę Izabelę, wracającą do kraju; we wrześniu przyjechał na krótko do Warszawy, gdzie za drugim zawrotem bawił do marca 1775 r. Wrócił do Paryża zgryziony: „widziałem nareszcie ślicznego naszego duczka polskiego—pisze o nim w tym czasie Sapieha — zowią go teraz Lozańskim... musiano go okropnie w Polsce traktować, bo z niéj wcale nie kontent". Nosił się wtedy z rozległemi planami, myślał o ambasadzie francuskiéj w Warszawie, korespondował z cesarzową Katarzyną, miał sobie ofiarowane dowództwo w wojsku ruskiém, lecz ostatecznie wszystkie te przedsięwzięcia skończyły się na niczém [1]). Zresztą, głowę wietrznika inne już zaprzątały myśli. Próbował niebezpiecznego flirtu z królową Maryą Antoniną. W tém, co sam opowiada o téj sprawie, zapewne nie brak dodatków i upiększeń, dyktowanych przez próżność zawodowego uwodziciela; jednak wątpliwości nie ulega, że królowa, szukając rozrywki, wdała się z nim w grę hazardowną i czas

---

[1]) Opisał tę rzecz szeroko w Mém.: por. Maugras, 392 sq., noty Lacoura, 177 sq. — Repnin, odwołany reskryptem d. 10 kwietnia 1769 r., opuścił Warszawę w czerwcu t. r.; paszport zagraniczny wziął w październiku 1771 r., Sborn. V. (1870), 137 sq.—Listy ks. N. Sapiehy, 31 marca: „jak był waryatem w Polsce, tak i tutaj", 8 kwietnia 1775 r. — Katarzyna do Lauzuna, 10 stycznia 1776 r., u Nauroy, Révolutionnaires (1891), 206 sq.: por. Mém. (éd. Barrière), 129, 161. — Osobliwa wiadomość, podana przez p. Body w Interméd. d. cherch. et curieux, XX (1887), 665, wydaje się niewiarogodną.

jakiś ulegała jego wpływowi [1]). Sielankę przerwała katastrofa finansowa. Wiek XVIII-ty przyzwyczajony jest do „krachów", widział już dawniéj niewypłacalność rządu, „najjaśniejsze bankructwo", za Regencyi; teraz (1777) był świadkiem skandalicznéj ruiny majątkowéj pierwszych magnatów Francyi, ks. Guemenée, Fitz-James'a, wielu innych, a śród nich nieopatrznego Lauzun'a, który nigdy nie umiał się rachować. Jednocześnie jego nazbyt śmiałe nagabywania otrzymały surową odprawę od królowéj. Nieborak skorzystał z wybuchu wojny z Anglią, aby na pewien czas usunąć się z widowni; bił się odważnie w Senegalu i Ameryce, lecz niczém wyjątkowém się nie odznaczył, nie nie miał w sobie materyału na Lafayette'a. Wegetował za powrotem, pozbawiony możności, aby żyć i błyszczéć po dawnemu. Wtedy to zupełnie poddał się wpływowi Filipa Orleańskiego, z którym łączyła go głęboka uraza ku Maryi Antoninie; związał się z Talleyrand'em, dla Mirabeau'a uzyskał misyę berlińską i trochę pieniędzy. Mniemamy wszakże, że pustak Lauzun był więcéj *mouche du coche*, niż istotnym uczestnikiem sprzysiężenia orleańskiego, które tyle ułatwiło pierwsze kroki rewolucyi. Obrany do Konstytuanty, niewiele się odzywał. Wiadome są obecnie opłakane perypetye jego misyi londyńskiéj w 1792 r., kiedy przydany Talleyrand'owi, ledwie nogę postawił na ziemi angielskiéj, jak aresztowany został i wtrącony do więzienia za stare długi, o których zapomniał. Późniéj, na czele armii nadreńskiéj, nieświetnie się spisał; przynajmniéj Dumourier i Lafayette bardzo niepochlebnie odzywają się o jego talentach wojskowych; myślał bawić się w przestarzałe sztuki taktyczne Villars'a i Eugeniusza Sabaudzkiego, za przykładem generałów austryackich, jakich miał naprzeciw siebie; nie rozumiał nowego ducha, jaki był w legionach rewolucyjnych. Czynił wówczas żywe starania w celu przeciągnięcia Prus na stronę Francyi; sam ongi, 1774 r., był spotkał się z Wielkim Fryderykiem, i do końca pozostał zwolennikiem pruskiéj polityki, doradzanéj przez Mirabeau'a. Naostatek, a również niefortunnie, dowodził w Wandei przeciw powstańcom. W każdym razie, najwyżéj nieudolność, nigdy zdrady nie można było mu zarzucić. Bez wszelkiéj téż słusznéj zasady, jedynie pociągnięty przez upadek Filipa Egalité, postawiony został w stanie oskarżenia, uwięziony i na śmierć skazany przez trybunał rewolucyjny. Do ostatniéj chwili pozostał wiernym sobie. Mallet du Pan opisuje go, jak w więzieniu spę-

---

[1]) Ob. Pam. pani Campan i por. natomiast doniesienie Mercy'ego do Maryi Teresy, 18 grudnia 1776, w Corr. secr. de Mercy (éd. Arneth et Geffroy, 1874); por. La Rocheterie. Hist. de Marie Antoinette (1892). I. 268 sq.

dział czas, leżąc w łóżku, sypiąc dowcipami i zapijając wytrawném bordeaux; kiedy mu ofiarowano możność ucieczki, odmówił, gdyż nie opłaci się narażać na niewygody tułactwa zagranicą; kata, który po niego przyszedł, poczęstował szklanką wina [1]). Umiał umrzéć z dobrym humorem, jak umiał żyć — jedyna umiejętność, jaka pozostała społeczności zdegenerowanéj, do któréj należał, a nad którą oddawna już widniał napis: *morituri*.

Szymon Askenazy.



[1]) Korespondencya Lauzuna z Mirabeau i in., 1786—1791, ogł. u Nauroy; Lauzun do Narbonne'a, 21 lutego 1792 r., u Pallain'a, Miss. de Talleyrand à Londres (1889), 110 sq.; jego memoryał z więzienia ogł. przez Lacoura, 380 sq.; Mallet du Pan, Mém., II, 492 sq.; Wallon, Trib. révol. (1880), II, 305; inaczéj u pani Elliott, Journ., ch. VI, VIII.

Nowe dzieło o bajronizmie.

(M. Zdziechowski. „Byron i jego wiek. Studya porównawczo-literackie." Tom I „Europa Zachodnia." W Krakowie, 1894. str. X, 447).

Rozpatrując się w naszych przekładach utworów Byrona i w naszych studyach nad niemi, łatwo zrobić spostrzeżenie, iż z uwielbieniem dla poety nie szło bynajmniej równomiernie zapoznawanie się głębsze z jego dziełami za pośrednictwem przyswajania ich sobie w języku ojczystym, oraz badań nad ich cechami i wartością. Istotnie, w dobie największego upajania się natchnieniami wieszcza angielskiego, tłómaczono drobne zaledwie jego utwory, lub podawano wyjątki z większych i najznamienniejszych jego poematów, a co do studyów, to nie brano się do nich wcale, poprzestając na ogólnikowych uwielbieniach, lub też równie ogólnikowych potępieniach. Wielce trafną jest uwaga zrobiona przez Mickiewicza, w III-im kursie Literatur słowiańskich (III, 25), że wielu z wieszczów słowiańskich nie znało nawet dzieł poety angielskiego, że zasłyszeli oni ledwie kilka dźwięków, kilka urywków jego wierszy — i tego było im dosyć... Utalentowane jednostki na podstawie tych kilku dźwięków i kilku urywków snuły sobie po swojemu przędzę myśli i uczuć, a nieraz wznosiły się w przestworach twórczości bardzo wysoko; ogół zaś wykształcony, rzadko kiedy mogąc czytać utwory Byrona w oryginale, wyrabiał sobie z nielicznych przekładów i z naśladowań mętne wyobrażenie o wielkim poecie, o jego charakterze i rodzaju twórczości; było ono oczywiście powierzchowne i płytkie.

Dopiéro kiedy pierwszy, najgwałtowniejszy prąd wpływu Byrona przeminął, zaczęto przekładać utwory jego większe, zaczęto trochę szczegółowiéj nad jego talentem się zastanawiać (Eleonora Ziemięcka w „Pielgrzymie” r. 1842 i 1843, Emilian Rzewuski w „Studyach filozoficzno-literackich”, 1847). Największe atoli poemata Byrona o wiele jeszcze późniéj przyswojone zostały naszemu językowi w całości: „Pielgrzymka Childe Harolda” dopiéro w r. 1857, potém w 1876—8, wreszcie w r. 1894; „Don Juan” zaś w r. 1885. Studya zaś oryginalne, nie zadawalniające się powtórzeniem wyników, do jakich doszli obcy badacze, przypadają na chwilę, która wydawała się najmniéj do tego odpowiednią, na chwilę trzeźwości i realizmu. Włodzimierz Spasowicz obszerną, a wiele kwestyi z nowego punktu widzenia oświetlającą rozprawą, drukowaną r. 1884 w „Ateneum” dał niejako hasło do podjęcia prac w tym kierunku u nas, a setna rocznica urodzin Byrona (1888) pobudziła do przedsięwzięcia studyów, mających na celu wskazanie wpływu, jaki Byron na wiek swój wywarł. Książki Cezarego Jellenty: „Ideał wszechludzki w poezyi XIX wieku” i p. Maryana Zdziechowskiego: „Byron i wiek jego” są najokazalszemi owocami usiłowań naszych w téj mierze.

Zajmującém byłoby zestawienie i porównanie prac tych najnowszych; nie mogąc go jednak obecnie dokonać, poprzestać muszę na charakterystyce dzieła p. Zdziechowskiego.

Autor podjął zadanie filozoficzno-estetyczne wykazania wpływu twórczości Byrona na poezyą pierwszéj połowy XIX stulecia, łącząc z niém myśl, iż najnowsze objawy na polu artystyczném zostają w ścisłym związku z tym wpływem.

Zasadniczém jego twierdzeniem jest, że utwory Byrona dały najsilniejsze „pchnięcie” tym filozoficznym prądom poezyi, w których odbiły się „odwieczne trzy kierunki myśli ludzkiéj, kuszącéj się o wytłómaczenie celu istnienia”. Jakież to są te kierunki? Oto najprzód, można uważać życie ziemskie za początek i kres bytu i zgodnie z tém mniemaniem szukać szczęścia tylko na ziemi. Powtóre, można życie ziemskie poczytywać za wstęp i przygotowanie do zagrobowéj wieczności, w któréj szczęście staje się nagrodą walk i zasług ziemskich. Po trzecie, można uznać cierpienie za treść wszelkiego istnienia, a w takim razie o dążeniu do szczęścia nie może być mowy, a nicość staje się celem bytu. Zastrzegając się przeciw fałszywemu wykładowi, autor zestawia te trzy kierunki ze znanemi w filozofii terminami. Pierwszy z nich ma iść w parze z sensualizmem, drugi ze spirytualizmem, a trzeci pozostaje w ścisłym związku z dwiema krańcowemi formami, w które nieraz w biegu rozwoju swego przeobraża się sensua-

lizm i spirytualizm, t. j. ze sceptycyzmem i mistycyzmem. Ale ponieważ punktem wyjścia w systematach filozoficznych jest kwestya źródła poznania, nie zaś celu istnienia, stąd terminy owe „nie wyczerpują rzeczy w zastosowaniu do metafizycznych marzeń poezyi, gdzie kwestya celu istnienia, jako bezpośrednio związana z zagadnieniami etycznemi zajmuje z natury rzeczy pierwsze miejsce.”

Możnaby przeciwko temu zestawieniu prądów poetyckich i systematów filozoficznych powiedzieć nie jedno z zasadniczego punktu widzenia, uwydatniając stanowczą różnicę pomiędzy uogólnieniem, do którego dążyć musi filozofia, a konkretnemi, nader różnorodnemi zjawiskami świata i ducha, które za przedmiot bierze poezya; możnaby nadto i w szczegółach tego zestawienia znaleść słabe strony; ponieważ jednak p. Zdziechowski w ciągu pracy swojéj, lubo nie traci z uwagi poglądu zasadniczego, nie naciąga zazwyczaj gwałtownie faktów wziętych z dzieł poetów i sam ubocznie podaje sprostowanie sądów, jakieby ze ściśle logicznego wywodu na podstawie powyższego zestawienia wyciągnąć było można: przeto nie robię nacisku na tę myśl zasadniczą, uważając ją mniéj więcéj za trafną — jako porównanie wzięte z dziedzin odrębnych, ale mających wspólną zasadę w duchu ludzkim.

Za zwiastunów bajronizmu w Europie uważa p. Zdziechowski zgodnie z innymi badaczami Roussa i Chateaubrianda; pierwszy przez namiętne zamiłowanie natury i wypływający stąd mniéj lub więcéj negacyjny pogląd na więzy polityczno-społeczne, stworzone przez cywilizacyę; drugi przez wynikłą z rozważania kruchości życia i dzieł ludzkich melancholię i wielkie wyobrażenie o potędze i znaczeniu poety—przyczynili się do uwydatnienia sprzeczności, jaka zachodzi pomiędzy marzeniem idealném a rzeczywistością. Pojawienie się Napoleona i jego losy było ostatniém zzewnątrz dopływającém wrażeniem, jakie na ukształtowanie usposobienia i rojeń Byrona wpłynęło. „Imię olbrzyma — mówi Zdziechowski — pokonanego przez karłów wywoływało jęk nad bolesnym tragizmem dziejów, ale zarazem pocieszało tą myślą, że jednak cuda dzieją się na świecie i dziać się mogą, bo natura wydaje tytanów, że przeto prawda święcić jeszcze będzie swój tryumf na ziemi, bo mogą przyjść nowi bohatérowie, których rozpłomieniać będzie już nie samolubna żądza wyniesienia się, ale święta miłość ludzkości. Tą drogą rozwijał się kult heroizmu; pozostawało ubrać go w nadobną szatę poetyczną, a mógł wlać otuchę w serca, skłonne do zwątpienia i rozpaczy” (str. 24).

U nas myśl ta o wpływie postaci Napoleona na twórczość wieszcza angielskiego była wypowiedziana najpierw i najsilniéj przez

Mickiewicza. Szkoda, że p. Zdziechowski nie zaznaczył tego. Już w rozprawie o Goethem i Byronie pisanéj około roku 1826, powiada Mickiewicz: „Powszechna i długa wojna, obalone w wielkim narodzie dawne prawa i mniemania, jeden człowiek wznoszący się własną siłą, ujarzmiający mnogie ludy: ten widok niejednemu filozofowi natchnął smutne myśli o rodzie ludzkim i o potędze, jaką nad nim wywiéra jeden śmiały i potężnego geniuszu człowiek. Oto jest właśnie główna idea epicznych poematów Byrona." A w r. 1842 już w dobie mesyanicznéj, mówił z katedry w kolegium francuskiém: „Byron także odebrał popęd od Napoleona. Dla nas jest rzeczą oczywistą, że promień, co rozniecił ogień w Byronie, wyszedł z ducha Napoleońskiego. I jakżeby inaczéj wytłómaczyć dziwne to zjawisko wśród zgrzybiałéj, naśladowniczéj literatury przeszłego wieku, która skończyła się na Thompsonie i jego szkole? Jak sobie wytłómaczyć, skąd wziął się ten szczególniejszy poeta, nie mający ani wzorów, ani nawet naśladowców (w Anglii)?... Żeby przekonać się, że potrącenie wywarte przez Francyę, przez Napoleona, wyrwało go z toru robót szkolnych, dosyć jest porównać pierwsze jego wierszyki, owe *The hours of Idleness*, z wielkiemi utworami, które kréślił w swoich wędrówkach po Hiszpanii i po Wschodzie. Czytając jego listy, pisane z Hiszpanii, można widzieć, że Napoleon stał mu ciągle w oczach. On jeden z pomiędzy pisarzy angielskich zdołał cokolwiek zrozumieć Napoleona. Zmniejszył go wprawdzie do postaci korsarza, postrzegł tylko w nim tę siłę, jaką podbijał sobie ludzi; ale pojął, z czego ta siła wynikała, wybornie opisał jego osobistość, odgadł, że panował nad podobnymi sobie, bo jego duch pracował ciągle, uczucia jego nie spoczywały nigdy."

Niewątpliwie jest u p. Zdziechowskiego pogłębienie i rozszerzenie wypowiedzianych tu myśli, ale zasadnicze spostrzeżenie już u Mickiewicza znajduje się w pełni. Może téż w naszéj literaturze, pomimo jéj urywkowości co do Byrona, znajdą się i te rysy, które p. Zdziechowski poczytuje za odkryte przez siebie, utyskując, że żaden ze znakomitych krytyków nie zwrócił uwagi na te najważniejsze, zdaniem jego, cechy twórczości wielkiego poety (str. 31). Roztrząsając krytyczne zdania dotychczas o Byronie wypowiedziane, z literatury polskiéj uwzględnia jedynie pogląd Spasowicza. Prawda, jest on najszczegółowiéj umotywowany, i oparty na sumienném zbadaniu wszystkich odnośnych materyałów, ale jedynym u nas istniejącym nie jest.

P. Zdziechowski robi nacisk na to, że aczkolwiek Byron przedstawia się nam jako poeta „negacyi i buntu", to przecież w gruncie rzeczy jego rozdarcie wewnętrzne miało swe źródło w „gorącéj, a daremnéj, żądzy prawdy i sprawiedliwości", w rozpaczy ogarniającéj go

z powodu niemożności pogodzenia idei „Ojca Niebieskiego, którego duszą całą pragnął, z istnieniem złego na świecie".

Otóż warto przypomnieć, że już Brodziński w rozprawie swojéj „O egzaltacyi i entuzyazmie" (1830), lubo surowo potępiał naśladowców Byrona, nietylko talent jego w całéj pełni uznawał, ale nadto szlachetność jego pobudek i dążności uwydatniał. „Człowiek z żywém jeszcze uczuciem—powiada on—w ten świat się wpatrując, widzi niezmienny i niepojęty porządek rzeczy, który szydzić się zdaje z najczystszéj rachuby i uniesień ludzkich; im więcéj wielkość świata ogarnia, tém bolesniéj czuje swą nicość. Nie wzniósłszy się jeszcze do harmonii wszystkiego, czuje w sobie i we wszystkiém dysharmonię; ale jaśniéj się rozpatrzywszy, widzi we wszystkiém cel, a przynajmniéj konieczność. W przepaści uspokojonego morza dostrzega niebo odbite; zgodny z sobą pogodniéj świat widzi, wolę swoją przygadza do woli ogólnéj; uważa konieczność za obowiązek, jest wzniosłym przez to samo, że słabość i czasowe ograniczenie swoje rozpatruje, jest czynnym i cieszącym na téj ziemi wysłańcem. Lutnia nieszczęśliwego Byrona już w niektórych tonach takiego człowieka i poetę w nim zapowiadała... Byron, z tak delikatném i szlachetném skądinąd uczuciem wystawia razem upadłego i szukającego swojéj ojczyzny anioła. Gdyby czas dozwolił mu był przeżyć burze serdeczne, duch greckiego pokoju i wyższe pojęcie chrześciaństwa, co oboje tak cenił, że za nie życie poświęcił, byłby go wyniósł uroczyście nad burze serca i wątpliwości rozumu; krążyłby jak orzeł równym lotem w krainie światła, jak nad przepaściami ziemskiemi" (Pisma, VI, 180).

Podobne myśli, tylko silniéj i bardziéj stanowczo, wypowiedział Mickiewicz w przedmowie do tłómaczenia „Giaura" (r. 1835), przeciwstawiając Byrona filozofom XVIII stulecia. Bohatérowie Byrona mają sumienie, gardzą sofisteryą materyalistów i sceptyków, czują, że są winni, cierpią, duma tylko nie dozwala im błagać o przebaczenie, ale czytelnik domyśla się, że do poprawy brak im tylko czasu, bo wszyscy zbyt rychło giną. „I sceptycyzm Byrona różny jest od téj obojętności na wszystko, co jest wysokie i piękne, od téj zwierzęcéj nieczułości, którą sofiści ochrzcili sceptycyzmem, a która jest tylko dobrowolną głucho-ślepotą. Cała filozofia przeszłego wieku dążyła do tego, ażeby ludzi już pochlebstwem odwieść, już groźbą i śmiechem odstraszyć od poszukiwania prawd wyższych i zasadniczych; ażeby wmówić, że te prawdy albo są do pojęcia niepodobne, albo niewarte dochodzenia. Byron, pierwszy z poetów, nie dał się zaspokoić taką sofi-

styczną kondemnatą myślenia i uczucia: Wielka zagadka świata, zagadka przeznaczeń rodu ludzkiego, przyszłego życia, stała mu zawsze przed oczyma. Poruszył on wszystkie zasadnicze pytania moralne i filozoficzne, pasował się ze wszystkiemi trudnościami dogmatów i tradycyi, klął i dąsał się jak tytan Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nie rozwiązał sobie zagadnienia, nie uspokoił duszy, ależ mu brakło — równie jak jego bohatérom—czasu!... Nie był tedy Byron kontynuatorem przeszłego wieku; owszem, powiedzieć można, że ruch umysłowy, dążący ku sofisteryi, on jeden na drodze literatury zatrzymał i wstecz zawrócił" [1]).

Czyż w tych słowach Mickiewicza nie mieści się ten niepohamowany popęd do prawdy i sprawiedliwości, który, według p. Zdziechowskiego, starłszy się z rzeczywistością i jéj zawodami, stał się źródłem sceptycyzmu Byrona? A i określenie tego sceptycyzmu, podane przez Mickiewicza, odpowiada w zupełności wywodom p. Zdziechowskiego. „W dwojakim sposobie — mówi nasz poeta — sceptycyzm ukazuje się na świecie: raz jako mrok wilgotny i zimny, wróżący noc długą; drugi raz jako to chwilowe ściemnienie porankowe, połączone z powiewem orzeźwiającym, które zapowiada dzień. Byron wyobraża tę drugą epokę sceptyków, niepewnych w swojém dążeniu, ale pełnych ducha i szczerości."

Przypomnieć tu wreszcie winienem poglądy Eleonory Ziemięckiéj. Wychodziła ona, podobnie jak p. Zdziechowski, ze stanowiska ściśle katolickiego, i doszła do bardzo zbliżonych wyników. Ze silném i głębokiém poczuciem poezyi, ale przytém z myślą dążącą do uogólnień, wielbi ona w Byronie „otwartą, szczerą i burzliwą duszę", która ani na chwilę zgodzić się nie mogła na teoryę panteistów niemieckich, że złe jest tylko negacyą dobra, przejściem i fazą, lecz dążyła do zwalczenia złego, jako przeszkody w rozwijaniu się ludzkości. Z przejęciem się serdeczném kreśliła szukanie odurzenia w rozpuście: „Żaden z towarzyszów jego zabaw nie znał gruntu téj istoty; w ich gronie

---

1) Na wprost przeciwném stanowisku w ocenie Byrona stanął u nas Michał Grabowski w I-ym tomie swojéj „Literatury i krytyki" (1837). Uważa on poetę angielskiego za „tłómacza psychologii XVIII-go wieku", który „równie chwilą ukazania się swojego, jako i geniuszem, stoi na najwyższym punkcie wieku zapadającego w przeszłość, i z tego ostatniego szczebla całą moralną robotę długiego ciągu lat sam jeden podnosi aż do apoteozy poezyi". Grabowski wysoko zresztą cenił Byrona jako poetę, ale poczytywał go za wyobraziciela epoki już minionéj, gdy Walter Scott był według niego poetą XIX wieku...

często łza żalu i tęsknoty spływała skrycie po smętnych licach tego młodego Don Juana; nikt jéj nie spostrzegł, nikt jéj nie podzielił, a ona jednak goryczą zaprawiała ziemskie rozkosze; ta łza mieszała się przez całe życie do wszystkich iluzyi Byrona; cóż więc dziwnego, że w samotném dumaniu, oderwawszy się na chwilę od rozpustnéj zgrai, zanosił do Boga pełne trwogi, nieporządku i nadziei modły, że lubił błąkać się po cmentarzach, że mu wspomnienie dzikich i samotnych gór Szkocyi tak było drogie?" Z takiémże uniesieniem mówi Ziemięcka o właściwościach widoków natury w poematach Byrona, przeniknietych nawskroś uczuciem samego poety, jego marzeniami i pragnieniami, nie mogącemi się zadowolnić tém tylko, co widzialne i dotykalne. „Czujesz, że obrazy przyrody były tylko w śnie cierpiącego geniuszu kreślone, że on o inną, trwalszą, wieczną stoi krainę, jéj pragnie, jéj szuka w naturze i mimo idąc w dalekim celu, opowiada krajobrazy, aby ciężką sobie umilić pielgrzymkę. Nikt też nie zrówna malowaniu natury Byrona, jeśli równie jak on nie tęskni do wyższego świata. Aby natura natchnąć mogła, trzeba już do niéj twórcą przychodzić, a źródłem twórczości w człowieku jest jedynie to uczucie niedostateczności ziemskiéj." Mówiąc zaś o rozbiorze najważniejszych zagadnień filozoficznych przez Byrona w „Manfredzie" i „Kainie", Ziemięcka znowu podziwia w nim szczerość i pragnienie ideału. „On żadną nauką systematyczną—powiada — nie odsunął się od wielkiéj księgi wewnętrznego życia. Była w nim pycha osobista, lecz nie było pychy rozumu, nie było radości i rozmiłowania się w ponętnych paradoksach, nie było zmysłu przyrodzonego do kosztowania słodyczy umiejętnych myśli sofizmatów; szeroko, nieokreślenie, burzliwie płynęło jego życie, a Bóg, patrząc na to genialne dziecko, unoszące się ciągle z falami błędów, przecież jeszcze tak pragnące cnoty, nie mógł go potępiać, tak jakby potępił świadome siebie, systematyczne zbłąkanie." Byron ze wszystkich poetów nowożytnych najwyżéj stanął „pod względem przeczucia religijnego" i był „najpotężniejszym śpiewakiem sumienia" („Pielgrzym", 1843, II, 261). W „Kainie" geniusz tego poety „przeczuł, wszystkie wielkie tradycyjne prawdy i oddał z największą siłą i wdziękiem" (tamże, 1843, IV, 34).

Pan Zdziechowski nie znał artykułu Ziemięckiéj, ale w rozmyślaniach swoich nad charakterem i twórczością Byrona wogóle, a nad znaczeniem „Manfreda" i „Kaina" w szczególności, doszedł do zdań prawie takich samych, jak ona, tylko inaczéj sformułowanych. Widocznie jednaki punkt wyjścia miał tu znaczenie decydujące.

Po Byronie zajmuje się autor Shelleyem. W ocenie jego twórczości okazuje wartą podniesienia bezstronność. Przekonania wrogie wszelkiéj religii nie mogły oczywiście usposobić przychylnie p. Zdziechowskiego, wiernego stanowisku katolickiemu. Ale piękność oryginalna poezyi Shelleya, jego usposobienie pełne miłości dla ludzi, znalazły w naszym krytyku tak gorącego wielbiciela, że w całéj jego książce niepodobna znaleść słów wymowniejszych i sympatyczniejszych nad te, jakiemi scharakteryzował człowieka i poetę, przezwanego sercem serc *(cor cordium)*. Autor mówi o ukochaniu przyrody i malowaniu jéj przez Shelleya: „Lubił on w towarzystwie melancholicznéj wróżki przerzynać na powiewnéj łódce fale oceanu; zapuściwszy się stamtąd aż w podbiegunowe sfery, lubił on przekraczać granice ziemi, wstępować w nowe, niedostępne śmiertelnym obszary, płynąć po cichych. błękitnych kryształach, wśród wysp kwiecistych, wśród gór napowietrznych, lśniących barwami słońca i tęcz, lubił tam zasypiać w zaczarowanych, sennemi melodyami rozbrzmiałych, nie z marmurów i kruszców, lecz z różanych powiewów jutrzenki i bladosrebrzystych odblasków księżyca zbudowanych pałacach; — ale nadewszystko miłował on naturę duszą całą, miłością kochanka szczęśliwego kochanka. Jak kochanek, widział on w niéj odbicie najlepszéj. najszczytniejszéj cząstki ducha własnego, szukał odgłosu tęsknot i porywów swoich, a wdzięczna kochanka ogarniała go wonném objęciem, rozkrywała mu tajnie i cuda swoje; szczęśliwy, tchnieniem jéj upojony, tonął poeta w zachwycie niebiańskim, już nie ziemską tylko, widomą i dotykalną naturą, nie kwiaty i drzewa, nie rzeki i morza, nie góry i skały, nie błękity nawet gwiazdami usiane; ale miłością swoją obejmował on cały ogrom wszechstworzenia, na skrzydłach płomiennych wichrów szybował po eterze; wichry były mu lirą i rozwiewały po wszechświecie jego myśli miłośne, okiem potęgą miłości uzbrojoném przenikał on wnętrza ciał niebieskich, dostrzegał ruchy ich, wsłuchiwał się w uroczystą muzykę wirujących planet i słońc, potém z wyżyn miłosnych zstępował na ziemię, a melodye słoneczne wciąż brzmiały mu i rozmarzały, i zachwycony poeta pragnął myśli, uczucia i dążenia ludzkie dostroić do akordu z ową cudowną symfonią wszechświata."

Przeniknięty miłością dla Shelleya, rozkoszując się w jego fantazyi, p. Z. bardzo oględnie i bardzo łagodnie ocenia najsłabsze nawet jego utwory, a nad pięknemi unosi się z namiętnym zapałem. Tam nawet, gdzie ze względu na swe przekonania religijne najtrudniéj mu było stanąć po stronie Shelleya, to jest w przedstawieniu jego poglądów i dążności filozoficznych, potrafił p. Z. odnaleść okoliczności ła-

godzące. Nazwawszy go „poetą przewrotu" pod względem religijnym, politycznym i społecznym, usprawiedliwia go tém, że poeta, sądząc ludzi po sobie, był pewien, że oni potęgą ducha własnego wzniosą na gruzach świat nowy „Prometeuszowym duchem natchniony". Słowa, któreby w ustach innego człowieka mogły przejąć wstrętem, pociągają i czarują pod piórem Shelleya, zstępującego „z dziewiczych szczytów miłości i marzenia", na które z pomiędzy poetów on jeden tylko wznieść się zdołał (str. 218).

Jako przeciwieństwo względem Byrona i Shelleya wystawia p. Z. Lamartine'a. Podziela nasz autor zasadnicze poglądy francuskiego poety, że Bóg jest ojcem kochającym, że wiekuiste z nim zlanie jest szczytem szczęśliwości i celem życia, że ziemskim przedsmakiem tych zachwytów zagrobowych jest miłość Boga, że znajduje ona wyraz w dziecięcém poddaniu się woli ojca najlepszego w ofierze z siebie, że najmilszą dla Boga ofiarą jest poświęcenie siebie bliźnim;—ale poczucie piękna nakazuje mu wyznać, że poglądy te zostały wypowiedziane najczęściéj słabo, bo zakres wrażeń, uczuć i myśli Lamartine'a bladł i niknął wobec szerokich widnokręgów Byrona i Shelleya, bo idealista rwąc się do czynu, gardząc piórem, pisał niedbale i rozwlekle, a więc i pod względem formy nie mógł spółzawodniczyć z wielkimi poetami angielskimi. P. Z. robi bardzo trafną uwagę, że, „aby spirytualizm w poezyi mógł zrównoważyć sceptycyzm Byrona lub pogańsko-sensualistyczny panteizm Shelleya, musiał wybujać w sercu, które umiało zmieścić w sobie i odczuć i przeboléć wszystkie nadzieje, i tęsknoty i bóle ludzkie", — a tego Lamartine zrobić nie zdołał (str. 256).

Reszta książki p. Z. poświęcona jest rozbiorowi bajronizmu we Francyi i Niemczech, oraz pesymizmu Leopardiego, a zakończona rozmyślaniami nad pojęciem nirwany.

Dwu francuskich bajronistów przedstawia nasz autor: Alfreda de Vigny i Alfreda de Musset. Najsamodzielniejszym jest, zdaniem p. Z., de Vigny. Przerósł on Byrona „głębokością myśli": czuł on tak samo jak wieszcz angielski trudność pogodzenia idei Boga z istnieniem złego, ale „obdarzony spokojniejszém usposobieniem myśliciela, a obok tego niesłychanie silném poczuciem godności osobistéj, biorącém w nim górę nad wszystkiemi innemi popędami, kochał się w niezależności i nie zniżał się do skarg, narzekań i przekleństw, bo równałyby się one niegodnemu jednostki wyższéj przyznaniu się do niemocy i błaganiu ludzi o współczucie." Miał on silne poczucie Boga, chociaż nie wiedział, czy on jest dobrą czy złą istotą, postanowił więc o nim nie myśléć i „milczeniem zimném odpowie-

dzieć na wieczne milczenie Boga". Za źródło cierpień uważał wrodzoną ludziom żądzę wiedzy, żądzę rozbijającą się wciąż o wieczną niepewność. Od pesymizmu broniło go żywe odczuwanie rozkoszy miłosnych. Za szczyt mądrości poczytał „rozpacz spokojną" i na niéj oparł swoją etykę, wyrażającą się w litości dla innych, a w stosunku do samego siebie stoicką obojętność względem losu (str. 276).

W de Vignym przemagały zdolności refleksyjne, w Musset'cie — uczuciowe. W ocenie największego liryka francuskiego zapomniał na chwilę o swéj bezstronności p. Z., był dla niego zbyt surowym, widocznie zmysłowość poety i jego niewiara w cnotę odstręczyła autora od siebie. Wywyższając de Vigny'ego, który pod względem poetyckim równać się przecie nie może z twórcą prześlicznych pieśni, traktuje Musseta trochę protekcyonalnie, mówiąc: „Musset był bliskim religijności, uznał bowiem, że źródło złego na świecie stanowiło panowanie materyi nad duchem, utrwalone samowładnemi rządami nauki, która roztoczyła nieograniczoną władzę nad umysłami ludzkiemi, wyzuwszy się uprzednio z wiary. Ale, nie będąc w stanie zerwać z siebie więzów zmysłowości, b i é d n y p o e t a nie umiał wznieść się do wiary; patrzył na nią z tą bezsilną rozpaczą we wzroku, z jaką żegna śmiéjące się życie chory, świadomy śmiertelności swojéj choroby, a przywiązany do życia. Poezya Musseta wydała na świat d z i é c i ę k s z t a ł t ó w c u d o w n y c h, a l e n i e ż y w e" (str. 299). Zdaje mi się, że krytyk, który potrafił tak głęboko przejąć się Shelleyem, który nawet Heinego wziął w obronę przeciwko pociskom stronniczéj publicystyki, mógł i do Musseta podobną skalę sądu zastosować. I ja nie jestem zwolennikiem nastroju liryka francuskiego, lecz cenię w nim wysoko szczerość i bezpośredniość uczucia miękkiego i tęsknego, oraz formę piękną, w jaką przyoblekać je umiał. Na samą formę niepodobna powoływać się wyłącznie, a że dziécię poezyi nie przyszło na świat nieżywe, dowód w tém, iż długie lata ożywiało ono i francuskich i naszych poetów, co p. Z. stwierdza sam na innném miejscu (str. 386).

Do bajronistów niemieckich zaliczył p. Z. Mikołaja Lenau i Henryka Heinego. Pisząc o Lenau, miał wdzięczne zadanie zaznajomienia z nim ogółu naszego po raz pierwszy chyba w sposób szczegółowy, a przejścia bolesne, jakie były jego udziałem, uczyniły opowiadanie p. Z. bardzo zajmującém. Nieszczęśliwy poeta, który skończył obłąkaniem, zarówno w życiu jak w pismach pełnym był niespodzianych przeskoków. On bodaj pierwszy z twórców z prze-

konaniem a z goryczą wypowiedział to zdanie, które w czasach romantycznych powszechnie popłacało, że poeta nie może być dziś szczęśliwym, bo go świat dzisiejszy nie potrzebuje. Ciekawe wielce pod względem psychologicznym są jego uczucia miłosne, a szczególniéj długotrwały a platoniczny stosunek z Zofią Löwenthal, chłodną a zazdrosną o każdą inną kobiétę, którą poeta darzył choćby chwilowém uwielbieniem. Melancholia bezbrzeżna opanowywała coraz silniéj jego niespokojny umysł; chcąc rozwiązać dręczące go zagadki, zwracał się to do religii, to do rozumu, to w mistycznych tonął uniesieniach, to się pogrążał w rozpasanych marzeniach zmysłowych (Faust — Albigensi — Savonarola — Don Juan). Twórczość jego to mieszanina najsprzeczniejszych marzeń, myśli i uczuć (str. 253).

W krótkim szkicu o Heinem nie rozwinął p. Z. świéżego poglądu; znane i powszechnie powtarzane uwydatnienie jego zmysłowości, ironii ze wszystkiego, a nawet z siebie samego, wrogiego względem religii usposobienia i t. p., występuje i u niego na plan pierwszy; a ujęcie filozoficzne całości jego zapatrywań jako „sensualistycznego nihilizmu" (str. 356) nietylko nie przyczynia się do objaśnienia natury umysłu Heinego, lecz owszem zaciemnia wywody autora, który takim samym terminem ochrzcił dążności Shelleya, tak przepaściście odmiennego w swoim nastroju od niemieckiego szydercy. Zaznaczyć tu chyba wypada, że p. Z. broni Heinego od zarzutu „obrzydliwego cynizmu", i stwierdza, że umiał się on wznosić, lubo rzadko, „na wyżyny mistycznych kontemplacyi."

Wymienieni dotychczas poeci zbliżali się mniéj lub więcéj do wrót pesymizmu bezwzględnego, ale ich nie przekroczyli; zrobił to Leopardi, najbardziéj podmiotowy, sobą wyłącznie zajęty poeta. Zepsuwszy sobie zdrowie przedwczesną a nadmierną pracą umysłową, skazany na bezczynność, doświadczał najokropniejszych męczarni od samego myślenia. W jednym z listów do przyjaciela, z r. 1817-go, wymownie uskarża się na to 19-toletni młodzieniec-starzec: „Przypuszczam, że wiész, ale mam nadzieję, że nie doświadczyłeś, do jakiego stopnia myśl może dręczyć i torturować każdego, kto myśli odmiennie od ogółu, a tymczasem żyje wyłącznie myślą, nie zna żadnéj rozrywki, jak tylko myślenie, które, skupiając i tém samém unieruchomiając umysł, więcéj przynosi bólu niż radości." Myśl jego ciąż nurtując w sobie saméj, doszła do tego przekonania, że nie ma innéj prawdy nad nicość i że wszystko, co dobre, polega na „ukochanych złudzeniach" *(care illusioni)*. Ale niebawem i „ukochane złudzenia" rozwiewają się, a Leopardi wygłasza z całą siłą przekonania, że cierpie-

nie i życie — to pojęcia jednoznaczne. W téj ostatniéj fazie dobrem jedyném dla Leopardiego stała się wiedza, a złudzenia — złem najwyższém, gdyż źródłem złudzeń są żądze nasze, a te z natury rzeczy, nie mając granic i nie mogąc być urzeczywistnionemi, sprowadzają ból za sobą. Poznawszy tę prawdę, trafimy na jedyną drogę prowadzącą nie do szczęścia dotykalnego, bo to nie jest możliwém, ale do ciszy, do spoczynku, do śmierci.

„W poezyi europejskiéj — mówi p. Z., streszczając cały swój wywód — natchnienia Leopardiego są najgłębszém i najszerszém ujściem, jakie znalazły owe potoki myśli, to tęsknych, to rozpaczliwych, które twórcza działalność Byrona powołała do życia. Sensualizm, najwspanialéj i najszlachetniéj uosobiony w postaci Shelleya, oraz spirytualizm, któremu Lamartine umiał dać wyraz najidealniejszy, nie rozwiązując wątpień Byronowskich, starały się je tylko uchylić, zatykając nam uszy na rozdźwięki istnienia, a zwracając myśl w inną stronę. Shelley budował nadzieję przyszłych dni jasnych na dobréj naturze ludzkiéj, zdolnéj do doskonalenia się w nieskończoność, Lamartine na wszechmocnéj Opatrzności; pierwszy żył nadzieją bliskiego zerwania więzów, krępujących ducha ludzkiego, drugi patrzał na świecie na to tylko, co mu dobroć Stwórcy przypominało, a obaj pozostawili tém samém na uboczu owe ciemne strony rzeczywistości, które Byrona pogrążały w rozpacz. Dopiéro Leopardi miał odwagę spojrzéć w oczy złemu: uznał on, że ból a życie to jedno, ale zarazem wskazał, kędy wiodła droga od bólu do wyzwolenia i wypoczynku, i na drodze téj rozsiał cudowne wieńce marzeń" (str. 420).

Doszedłszy do tego punktu w swoich rozumowaniach, określa p. Z. pojęcie „nirwany" w dziejach buddyzmu, zestawia je z pesymizmem Schopenhauera, i nagłym przeskokiem myśli wyprowadza wniosek, że pesymizm jest zwiastunem odrodzenia wiary. Według bowiem autora, dwa tylko są możliwe wyjścia dla natur czynnych, do jakich należą Europejczycy: uznawszy, że życie jest złe i że to złe zwyciężyć się nie da, stać się sługami „złego porządku", albo też walczyć ze złem przy pomocy bożéj, a więc zwrócić się z modlitwą do nieba. Zdaje mi się, że wniosek ten nie wypływa konsekwentnie z całego toku wywodów autora. Jeżeli bowiem rozpoczął swój wykład od chwili, gdy umysły europejskie pod wpływem całego poprzedniego rozwoju odwróciły się od wiary, nie znajdując w niéj ani dostatecznie przekonywających odpowiedzi na dręczące je pytania, ani lekarstwa na złe; to na drodze rozumowania nie mogą

one powrócić do punktu, który już opuściły; natomiast na drodze uczuciowéj jestto rzeczą całkiem możliwą. Rozumiemy więc pragnienia powrotu do wiary, ale nie możemy ich uważać za konsekwentny wynik książki naszego autora. Przytém nasuwa się jeszcze jedno rozwiązanie przezeń pominięte: należałoby zbadać, czy pesymizm jest rozumowo uprawniony, czy on nie jest tylko przejawem uczucia namiętnego i niespokojnego, które, doznając cierpień, uolbrzymia je i na wyżynę zasad filozoficznych podnosi. — Autor nigdzie pytania tego sobie nie zadał, tak jakby rzeczywiście doktrynę pesymizmu za niezwalczoną uważał. Jestto oczywiście brak, który pracy jego odbiéra cechę ścisłości i wszechstronności naukowéj i który sprawia, że jego wnioski ostateczne przejmują pewném zdziwieniem.

Praca to zresztą dokonana z wielką pilnością i z niepowszednim nakładem nauki. Wszystko, co pisze, opiéra p. Zdziechowski na badaniach własnych i na znajomości odnośnéj literatury przedmiotu. Wyraża się jasno, przystępnie, nieraz bardzo ładnie. Przykro mi tylko, że nie mogę wyrazić się równie pochlebnie o języku. Są w nim błędy rażące pod względem składni, a nawet pod względem form gramatycznych. W użyciu przypadków nie liczy się autor z właściwościami dzisiejszego języka literackiego, pisząc stale: wątpić w co (zam. o czém), złorzeczyć na głupstwo tłumu (str. 40), doznać samą tylko nienawiść lub wzgardę (str. 212, zam. saméj nienawiści i wzgardy), wzbudzać litość do siebie i t. p. Posługuje się wyrazami w niewłaściwém znaczeniu, np. dopadać do smaku zam. przypadać; znajdować zam. uważać, poczytywać; uzewnętrznić się lub wywnętrznić się zam. wywnętrzyć się, okrążać zam. otaczać, przyczyniać zam. sprawiać, więcéj zam. już i t. d. Łączą się z tém częste zwroty, trącące mocno obczyzną, jak np. „ludzie dzisiejsi odnoszą się ze sceptycyzmem do wszystkiego (str. 270), ludzie są w głębi duszy na tyle rozumni (str. 205 i bardzo często na innych stronach), pragnął tą radością nadzielić nietylko ludzi (str. 175), przyjąć na uwagę i t. p. Są nawet okresy całkiem z francuska zbudowane, np. „zapatrzeni w przyszłéj szczęśliwości rodu ludzkiego, śmierć staje im się lekką i radosną" (str. 198). Pod względem form gramatycznych, to prócz drobniejszych usterek razi w całém dziele nieumiejętne użycie wyrazów pchać i pchnąć, a ponieważ one często się powtarzają, książka robi w tych miejscach wrażenie, jakby była pisana przez cudzoziemca, np. „do pracy téj rwie się dusza młodzieńca, bo pchnie ją gorąca żądza sławy"

i t. p. Nie możemy się też zgodzić na twierdzenie autora, że w „niedźwięcznéj mowie naszéj" trudno odtworzyć czarowną muzykę wierszy Shelleya (str. 174), bo przynajmniéj z angielską może ona pod względem dźwięczności wytrzymać porównanie.

Pan Zdziechowski obiecuje w drugim tomie swéj pracy dać zarys wpływu Byrona na literatury słowiańskie; oczekujemy go z upragnieniem, oby tylko lepszym, czystszym, poprawniejszym językiem był napisany!

P. Chmielowski.



OLIVER WENDELL HOLMES.

Przed trzema laty, gdyśmy tutaj zapisywali [1]) zgon J. R. Lowell'a, który pogrążył wówczas w żałobę piśmiennictwo amerykańskie, przypomnieliśmy, że z całego heroicznego okresu literatury Stanów Zjednoczonych po kolejnych śmierciach Wash. Irhinga, Nath. Hawthorne'a, Longfellow'a, Emerson'a i Lowell'a, dwie już tylko wielkie oryginalne pozostały były postaci, dwóch starców, co ósmy krzyżyk życia przekroczyli: Walt Whitman i Wendell Holmes. Śmierć, która zdawała się o nim zapominać, zabrała niebawem potém Withmana, a obecnie, nakoniec, syt lat i chwały, umarł ostatni z przedstawicieli tego świetnego orszaku—Holmes. Choć normalnym porządkiem rzeczy oddawna przewidywana, śmierć ta wywarła głębokie wrażenie po obu stronach Atlantyku u całego szczepu anglo-saskiego. Uczuł on, że cały dawniejszy peryod cywilizacyjny zsunął się wprzeszłość, peryod, który złożył już przed światem swéj żywotności świadectwo, a o wewnętrznem jego znaczeniu wątpić nikt nie może. Na odparcie zarzutu, że pogrążywszy się cała w troskę materyalną, nie dbała młoda rzeczpospolita amerykańska o umysłową kulturę, wystarczy jéj wyliczyć ową plejadę gwiazd, co jéj horyzont rozświetliły. Zawcześnie jeszcze naznaczać im miejsce stanowcze, zresztą tego rodzaju wyroki ulegają kasacie w następnych pokoleniach. Być może, że czuły śpiewak *Evangeliny* nie zatrzyma miejsca w Panteonie przyszłości, być może,

[1]) Patrz „Ateneum", październik 1891 r.

że Lowell albo Whitman, jako specyalnie amerykańscy, nie znajdą u obcych tego uznania, jakie sobie u swoich zaskarbili; ale już dzisiaj natomiast nie wątpimy, że coraz szersze miejsce przeznaczone będzie dla Emerson'a, jednego z najpiękniejszych umysłów naszego stulecia. Holmes, jeżeli nie przez wszystkie, to przez niektóre przynajmniéj ze swoich utworów, już za życia zdobył sobie nieśmiertelność. Nie ma potrzeby przesadzonemi pochwałami, oddawanemi jego poezyom, albo jego powieściom, sztucznie jego sławy w górę śrubować. Ma inne, niezaprzeczone do niéj tytuły. Jest essayistą tak oryginalnym, tak głębokim mimo humorystycznéj swéj formy, że nie wahano się nazwać go amerykańskim Montaigne'm. W ciągu trzech wieków, co nas dzielą od śmierci Montaigne'a, choć naśladowców we wszystkich piśmiennictwach mu nie brakło, żaden istotnie w zawody z nim nie poszedł i stary mistrz z nad Garonny ze swym sceptycznym półuśmiéchem pozostał postacią typową, idealną, świéżą do dziś dnia, jak świéżą była owa epoka Odrodzenia, do któréj należał. Zdajemy sobie sprawę, że ochrzczenie nowoczesnego pisarza jego nazwiskiem nie jest przysługą: czyni to czytelnika wymagającym i musi koniecznie przynosić rozczarowanie. Nie myślimy téż bynajmniéj za ścisłością tego porównania obstawać: przytoczoném ono zostało, jako punkt wytyczny, określający w przybliżeniu stanowisko, do którego Holmes mógł pretendować i jako wskazówka téj zaszczytnéj reputacyi, jakiéj aż do zgonu używał.

Życie jego nie było żadnemi wyjątkowemi wypadkami zaznaczone. Urodził się w r. 1809 w Cambridge, przedmieściu Bostonu, w stanie Massachusetts. Całe jego życie zespolone jest z Bostonem. Charakterystyczną cechą tego miasta jest chętne ustępowanie pierwszeństwa handlu i przemysłu potężnym ogniskom New-Yorku albo Chicago, a zatrzymanie dla siebie hegemonii w dziedzinie oświaty. Uniwersytet Harvard, dzierżący prym pomiędzy najwyższemi naukowemi zakładami Ameryki, muzea, biblioteki, liczne Towarzystwa naukowe, zrobiły od kilku pokoleń Boston intelektualną stolicą nowego świata. Przybywają tam i osiedlają się skwapliwie wszyscy najznakomitsi pracownicy na umysłowéj niwie i bostońskie towarzystwo, bostońskie salony na słynnéj Beacon-street używają szerokiego rozgłosu. Wyśmiewano i szydzono sobie także nieraz z afektacyi i wyrafinowanego smaku bostończyków, z pogardliwego lekceważenia, jakie okazują politykującéj, kupczącéj i hałaśliwéj rzeszy swych współobywateli, uważając się sami za ateńczyków peryklesowéj epoki, albo splatających girlandy dla Julii w hotelu Rambouillet. Ale, bądź co bądź, te wyższe aspiracye, ten hołd dla wiedzy i ten smak estetyczny, które stanowią duchową atmosferę Bostonu, wyciskają piętno szlachetne na

ludziach, którzy, jak Oliver Holmes, urodzeniem, pobytem, wykształceniem i wszystkiemi objawami swéj indywidualności do tego środowiska należeli. Jeżeli kto, to on za dodatni typ bostończyka powinien być uważany.

Wśród świata tego, wyłącznego i *sui generis*, drzewa genealogiczne i rodowe tradycye nie są bynajmniéj, jak zgóry przewidzieć można, lekceważone. Jak Holmes sam, gdzieś dowcipnie powiedział, przekładał on, przy równości innych warunków człowieka, posiadającego galeryę rodzinnych portretów, nad tego, który ma zbiór dagerotypów. Sam znajdował się w tém uprzywilejowaném położeniu, że mógł wykazać zarówno w macierzystéj jak ojcowskiéj linii od początku XVII-go wieku spadkobierstwo rodowe od purytańskich osadników i niejednego przodka, co się narodowi w różnych zawodach zasłużył. W wielu pismach, a szczególniéj poezyach okolicznościowych lubiał wspominać swych przodków Oliver'ów, Quincy'ch, Wendell'ów, Stiles' i Holmes'ów. Dziad jego był doktorem szerokiéj, jak się zdaje reputacyi, ojciec, *Rev.* Abiel Holmes, pastorem przez wiele lat w Cambridge, profesorem historyi kościelnéj w uniwersytecie Harvard, którego także był współadministratorem. Był on bibliofilem, numizmatykiem, człowiekiem wielkiéj zacności i całkiem wolny od kościelnego fanatyzmu. Matka, pochodząca z rodziny pierwszych kolonistów holenderskich, miała się odznaczać wielką bystrością umysłu i niepoślednim dowcipem. Po niéj to widocznie Oliver odziedziczył tę żyłkę humorystyczną, tak u niego wydatną.

W staroświeckim zamożnym domu, co się schronił pod cienie uniwersyteckich kolegiów, otoczonym przestronnym ogrodem, z piękną rzeką, przed oknami płynącą, wzrastał i wychowywał się wśród dziadów, rodziców, starszych sióstr i młodszego brata, zdrowy, czerstwy, figlarny chłopak, który chociaż nadzwyczajnych zdolności naukowych nie objawiał, był już niejako z dzieciństwa wdrożony do obcowania z książkami i przesiąknięty kulturą. Jak żartobliwie powiada, pierwszy wąs zaczynał mu się już sypać, gdy mu się po raz pierwszy myśl przesunęła, że Rafael i Michał Anioł byli, *après tout*, ludźmi, jak inni; gdy przedtém wielu innych geniuszy przywykł był uważać, za jakieś istoty nadprzyrodzone. Nie było w nim jednak na szczęście najmniejszego śladu książkowego pedantyzmu, nieznośnego u niedorostków. Tak samo, jak do ostatniéj chwili swego długiego żywota d-r Holmes był skończonym typem wyrafinowanego światowego gentlemana, a dopiéro następnie, nieledwie drugorzędnie, książkopisem, tak samo w dzieciństwie i pierwszych latach młodości jest harmonijnie się rozwijającą, pełną naturą. Gdy wracał pamięcią do tych lat

wiośnianych, nie tyle przypominał sobie książki czytane, jak figle płatane, cygara, ukrywane przed okiem matki w lufie pistoletu, do której zajrzéć na myśl jéj nie przyszło, albo długie wycieczki w urocze nadmorskie okolice Bostonu. wesołe z kolegami szkół średnich i przygotowawczych zabawy.

Miał lat 19, gdy w 1829 roku wszedł na fakultet medyczny swego uniwersytetu. Studyował także dodatkowo prawo, zaglądał na kursa literatury i filozofii, ale cały wysiłek umysłowy skierował do swéj specyalności—nauk lekarskich, w których jego dziad zaszczytnie się był odznaczył. Z całym zapałem żywéj swéj natury rzucił się w wir z życia studenckiego, które, mimo swego rygoru i prac ciężkich, obowiązkowych, wyzwoliło młodzieniaszka na niezależnego mężczyznę! Duch liberalny, panujący w uniwersytecie Harvard, dyrekcya wytrawnych profesorów, przedewszystkiém zaś życie wspólne z kolegami o różnych temperamentach i zdolnościach bardzo korzystnie oddziałały na młodego Holmes'a. Zasłynął on wśród swych rówieśników poetyckim swym talentem i w rozmaitych stowarzyszeniach studenckich, w rozmaitych pismach przez nich wydawanych wygłaszał i drukował poezye okolicznościowe, nacechowane jowialnością, dobrym humorem i zdradzające rzadką łatwość wierszowania, oraz giętkość rytmiczną. I on wszakże i jego koledzy uważali te figlarne wybryki muzy, jako niewinną igraszkę, nie uwłaczającą poważnéj godności przyszłego doktora medycyny, nie przewidując zaprawdę, że po latach, po wielu, nowe pokolenia z pewném zdziwieniem odkrywać miały, iż ulubiony przez nie humorystyczny pisarz, Oliver Holmes, był także w dodatku—lekarzem!

Po czteroletnich studyach medycznych udał się w 1833 r. do Paryża, gdzie się doskonalił w swéj specyalności, pracując w szpitalach pod znakomitszymi profesorami ówczesnymi i po odbyciu następnie zwykłéj podróży po Europie, powrócił w 1836 r. do ojczyzny, gdzie otrzymał dyplom doktora medycyny. Odrazu szeroką praktykę lekarską posiadł ów młody, powabny, wysoko skoligacony, słynący z dowcipu lekarz i szturmem niejako wziął całe towarzystwo bostońskie. Po dwuletniéj profesurze, na którą powołany został do kolegium w Dartmouth—wykładał anatomię i fizyologię—powrócił na dobre do Bostonu, ożenił się w 1840 r. z panną Jackson, córką sędziego najwyższego trybunału. Szczęśliwy w domowém pożyciu, wkrótce ojciec trojga dzieci (z których obaj synowie stali się z biegiem lat głośnymi prawnikami i profesorami uniwersytetu), został d-r Holmes powołany w 1847 r. na katedrę anatomii i fizyologii swojéj *alma mater*. Bez przerwy przez lat trzydzieści pięć działał w charakterze profesora

i zaniechał praktyki lekarskiéj. O różnych jego medycznych dziełach, ogłaszanych w ciągu profesorskiego zawodu nie ma potrzeby tutaj się rozwodzić: wystarczy powiedzićć, że jako wykładający i jako pisarz, zdobył sobie wielką powagę i że po dziśdzień jego podręczniki anatomiczne nie ustąpiły miejsca żadnym innym w świecie amerykańskim. Zachowawczy, a raczéj staroświecki w swych skłonnościach nie mógł sympatyzować z takiemi nowościami, jakiemi np. była homeopatya Hahnemanna. Słynne były jego filipiki przeciwko téj metodzie leczniczéj. Ale, przedewszystkiém rozważny i nie dający się unieść przesadzie w żadnym kierunku, przyznał, że nawet homeopatya ma jedną dobrą stronę: zmniejszenie ilości lekarstw, któremi aleopaci przesycać zwykli organizm—szczególniéj w Ameryce i Anglii. Z własnego jego obozu odezwały się na tę niespodzianą krytykę gorące protestacye, ale po kilku dziesiątkach lat, zapatrywania d-ra Holmes stały się elementarnym pewnikiem. Mniéj lekarstw a więcéj hygieny, oto praktyczny wynik, do którego doszedł i którego skuteczności nikt zapewne obecnie zaprzeczać nie myśli. Trzeba jeszcze zauważyć, że w wielu monografiach medycznych, które regularnie przesyłał do Akademii bostońskiéj są wybryki ironii i dobrego humoru, których i tam nie był w stanie utrzymać na wodzy i które sprawiały, że znajdowały chętnych czytelników i wpośród profanów.

Do ściśle profesorskiego zawodu d-ra Holmes'a dodać jeszcze można odczyty publiczne, które miéwał przez wiele lat na rozmaitych punktach kraju i do których zawsze był gotowym. Tym odczytom zawdzięczamy wiele essayów krytycznych, studyów literackich, które się następnie ukazywały w druku. Gdy po ogłoszeniu „Autokraty przy śniadaniu" sława jego zaćmiła wszystkie inne narodowe wielkości, nie było miasta, nie było stowarzyszenia literackiego, któreby nie pragnęło mićć go choćby jako jednogodzinnego prelegenta. Nie wyzyskując pieniężnie swéj reputacyi, ale, przeciwnie, okazując rzadką bezinteresowność, Holmes odpowiadał tym pochlebnym dla siebie wezwaniom o tyle tylko, o ile jego piśmienniczym zajęciom nie przeszkadzały. Ogólnie przyznawaném było, że nie można wyobrazić sobie lepszego prelegenta od tego człowieka, który z darami fizycznemi mówcy łączył smak wyrafinowany, takt delikatny, nie dozwalający mu zadrasnąć żadnéj miłości własnéj i tyle humoru, tyle werwy i dowcipu, że przedmiot, najmniéj nawet ponętny takim uczynić potrafił. Miewał tak gorących zwolenników, że udawali się w jego ślady z jednéj miejscowości do drugiéj na publiczne odczyty, chociaż ich osnowa była jednakową: zawsze urozmaicić je umiał.

Lubo, jak już powiedziano wyżéj, naczelny tytuł jego sławy nie leży w poezyi, to przecież jako poeta najprzód i przez długie lata pozyskał sobie popularność. Do dziś dnia nawet, chociaż kanon poetycki, modła poetycka w ciągu ostatniego pół wieku uległa, jak wiadomo, radykalnéj zmianie, uważany jest jeszcze w Ameryce za poetę, który w dziejach piśmiennictwa narodowego pominięty być nie może. Są znakomici krytycy, jak Walter Jerrold, którzy śmiało utrzymują, iż nietylko stoi on na tym samym poziomie, co czterech najznakomitszych amerykańskich poetów — Longfellow, Whittier, Lowell i Whitman — ale że jest nawet, pod pewnymi względami, ściśléj narodowym od nich. Znany jest każdemu, co czytał klasyczne dzieło Stedmana—*Poets of America* — sąd wysoce pochlebny, jaki sumienny ten sędzia o nim wygłosił i który, bez żadnych prawie zastrzeżeń, przyjąć można. Nie ma wątpliwości, że Holmes był w całém słowa tego znaczeniu poetą akademickim, poetą laureatem. Opiéwał on wielkie wypadki swojéj *alma mater* i otrzymał nietylko wszystkie zaszczyty urzędowe, jakie nań za to spaść mogły, ale jednocześnie znalazł sobie drogę do popularności powszechnéj, z którą, jak najwiarogodniejsi zapewniają nas pisarze, żaden inny piewca amerykański nie mógł iść w zawody. Ów amerykański nastrój jest do dydaktyzmu zbliżony. Istotnie Holmes należy do owéj grupy poetów, którzy stoją w pobliżu Pope'a, Goldsmith'a, Grey'a, Moore'a. Imaginacya jest zawsze trzymana u niego na wodzy przez rozsądek; nawet, gdy jest najbardziéj podniecony i rozgorączkowany nie traci ziemi i praktycznych życia warunków z oczu. Może właściwie dlatego, iż czytać go można bez wysiłku, a zrozumiéć kryształową jego mowę łatwo, może dlatego koło jego czytelników było tak szerokie. Forma jego nawet nie ma żadnéj oryginalności zdumiéwającéj, zdolnéj wykolcić tych, co z jego muzą obcują. Jego liryki są śpiéwami. Jestto ich zasługą. Jeszcze Carlyle zauważył, że poeta, co nie jest śpiéwakiem, nie jest poetą i że bez śpiéwności — to proza bez gramatyki, ale nie poezya. Holmes, który pisał poezyę bez żadnego wysiłku, choć z nadzwyczajną precyzyą i subtelnym doborem słowa, mimowolnie do śpiéwnego układał je rytmu.

Prawdziwą oryginalnością poetycką Holmes'a była humorystyczność. Można powiedziéć, że z wyjątkiem kilku religijnych hymnów, w całym zbiorze jego poezyi—a jest ich trzy tomy w ostatecznéj oczyszczonéj edycyi — nie ma ani jednéj, gdzieby ta nuta nie brzmiała. Wiemy, że jeszcze jako student, humorystyczną poezyę uprawiać zaczął i olbrzymi sukces, jaki pozyskał, stale go na téj drodze zatrzymał. Jego humor w pierwszych młodzieńczych utworach jest żywo tryskają-

cym zdrojem, lśniącym się kapryśnemi wybrykami, wywołującym przez niespodziane skoki, porównania i przeciwieństwa naturalny wybuch śmiéchu w słuchaczu. Mnóstwo okolicznościowych wierszy toastów, upamiętnień, odezw do *Phi-Beta-Kappa Society*, któréj był członkiem, należy do tego rodzaju poezyi, daleko wyżéj u anglo-saskiéj rasy, aniżeli u innych cenionéj. W późniejszéj fazie życia nie porzucił humoru, ale pogłębił go. Zdawało mu się, że poeta ma za zadanie być wieszczem prawdy i że powinien zawsze złote ziarno siać w dusze swéj społeczności. Ale ponieważ zdawał sobie sprawę, że trudno celu tego dopiąć, gdy się jest w poważną doktorską togę odzianym i gdy się odstrasza słuchacza pedantyzmem, ponieważ jednocześnie w naturze jego nie było miejsca dla łzawego sentymentalizmu, zatém uznał za najlepszą tę formę, w któréj *humour*, to organiczne zjednoczenie uczucia z wesołością, toruje sobie drogę do sympatyi człowieka, pobudzając w nim raz po raz rozmaite struny duszy i nieznacznie, nieświadomie uszlachetniając takową. Nie ma trudniejszéj formy poezyi, jak poezyi humorystycznéj, tak pojmowanéj. W całém piśmiennictwie jeden tylko genialny poeta tego rodzaju zakrólował: mówimy tu naturalnie o Tomaszu Hood. Jest największym zaszczytem Holmes'a, że imię jego obok téj typowéj indywidualności postawione było. Udało mu się w tym dziale stworzyć kilka arcydzieł, kunsztownie wyrzeźbionych, jak klejnoty Celliniego. Pierwsze wpośród zajmie *Last Leaf*, ten mikroskopijny poemacik, którego dwaj wielcy jego rodacy, całkiém odmiennego duchowego pokroju i odmiennéj działalności, Edgar Poë i Abraham Lincoln, nie przestawali nigdy cytować, jako perły najpiękniéjszéj, najczystszéj wody. Nie znamy istotnie żadnego utworu, gdzieby głęboka patetyczność, zamiast łzą i westchnieniem się zamanifestować, wystrzeliła humorystycznemi igraszkami: śmiéch zastępuje tu miejsce płaczu, świadcząc o potędze z jaką poeta urabia nowego ducha swojemu gwoli. Jeżeli tedy my, cudzoziemcy, na innéj poetyckiéj wykształceni modle, nie możemy bez pewnego wysiłku zrozumiéć i odczuć całéj wartości, jaką poezya Holmes'a posiada dla jego społeczeństwa, to nie mamy wszelako prawa wyrzucać jéj ani staroświecczyzny, ani braku skrzydlatego polotu, ani traktować go pogardliwie, jako poetę okolicznościowego. Jego rodacy odsyłają nas do takich arcydzieł, jak powyżéj omówione, w których każdy rozkoszować się musi, albo do niejednego innego, co nieledwie na tym samym postawione być może poziomie, a daléj przypominają nam, że w wielu tych okolicznościowych wierszykach, których aluzyi my, oddaleni i obcy, zrozumiéć nie możemy, złożył poeta cały skarbiec rozumu, doświadczenia, serca, a to w formie niezrównanéj

lekkości i barwy. Dowcip, którym jest jego poezya usiana, a raczéj nawskroś przesiąknięta, jest jedynie formą oratorskiego talentu tak wysoce cenionego u anglosaskich narodów. Zamiast toasty swe, i rzeczy okolicznościowe wygłaszać prozą, Holmes tworzył to w formie rymowéj. Nie ma tedy powodu wyrzucać mu, jak to pedantom uwidziało się przed laty, że obniżył zakres poezyi; przeciwnie, należało powiedziéć, że podniósł okolicznościowe toasty do dostojeństwa poetyckiego. Jednego nakoniec jeszcze względu pomijać się nie godzi: nie był on poetą z zawodu, z urzędu, lecz tylko, że się tak wyrazić można — przygodnym. Wybryki jego liry, to był jedynie dodatkowy czynnik jego działalności, za który nie nagana, ale wdzięczność mu się należy.

W całkowitém wydaniu dzieł Holmes'a, obejmującém trzynaście tomów, trzy zajęte są powieściami. Dwie pierwsze, „Elsie Venner" i „Guardian Angel", napisane były w 1860 i 1867 roku, ostatnia, „Mortal Antipathy" dopiéro w 1885 r. Same te daty wskazują, że autor wziął się do powieści już przekroczywszy pierwszą połowę życia i że były one niejako przypadkowemi pracami. Olbrzymie powodzenie, jakie uprzednio pozyskały sobie były inne, lżejsze jego utwory, gdzie etyczne jego zasady, głęboko wyrozumowane, kryły się pod barwistą szatą fantazyi, pozwoliło mu przypuszczać, że i w gałęzi ściśle powieściowéj sił swych sprobować ma prawo. I nie omylił się istotnie. Chociaż żadna z trzech jego powieści arcydziełem nie jest, to wszelako pierwszorzędny talent pisarza i w nich się ujawnia, a gdy się je porówna z tém mnóstwem powieści, pisanych, nie wiedziéć dlaczego, nie będących ani utworami nauki, ani okazami sztuki, to się jasno uczuwa obowiązek traktowania ich z szacunkiem. Gdyby nawet nie miały przedmów, co je usprawiedliwiają i tłómaczą, to dość jest kilka ich stronic przeczytać, aby zrozumiéć, że mamy tu do czynienia z czémś niezwykłém, odrębném.

Grzéch, jaki ciąży na jego powieściach, jest, iż są tendencyjnemi. Autor nie pozwala nam nigdy zapomniéć, że ma pewien cel przed oczami, że do niego zmierza, a że cała tkanka powieściowa, cała anegdotyczna strona jest jedynie ilustracyą teoryi i służy do łatwiejszego jéj zrozumienia. Można wprawdzie na usprawiedliwienie powieści tendencyjnéj przytoczyć wiele bardzo poważnych argumentów, ale koniec końców, zaprzeczyć nie można, że są one dziełem podrzędném tego pisarza i że trwałego miejsca w literaturze nie mogą zatrzymać. Gdy Holmes pisał swe dwie pierwsze, nie była się jeszcze epidemia tendencyjnych powieści wzmogła do rozmiarów, jakie następnie przybrała, i to służyć mu może za łagodzącą okoliczność. Inną wadą

jest, że, będąc lekarzem, badaczem organizmu fizycznego i fizyologiem, czuł się powołanym do wyświetlenia niejednego zagadnienia, które fałszywie jest rozstrzygane, gdy się fizyczną stronę natury z oka spuszcza. Kwestye odpowiedzialności moralnéj, wpływów dziedzicznych, patologicznych ułomności, oddziaływających na wolę indywidualną, zajmowały go żywo i one stały się osią jego utworów powieściowych. Nie da się zaprzeczyć, że tam, gdzie przykład obrany dla uzmysłowienia teoryi fizyologicznéj jest nadzwyczajnym i tam, gdzie autor ustawicznie nań nacisk kładzie, czytelnik ma chęć protestować, albo gotów przypuścić, że sobie piszący drwi z niego poprostu. Były już w piśmiennictwie przykłady podobne: dość będzie przypomniéć sobie ową nowelę Prospera Merimée, gdzie dziécię rodzi się ze związku kobiéty i niedźwiedzia. Autor przez potworny ten pomysł chciał poprostu obrócić w śmieszność rozmaite nieprawdopodobne dziwolągi pisywane przez jego braci po piórze, ale z takim realizmem opisał tę awanturę, że przeciętna masa czytelników nie poznała się na żarcie tego typowego *pince-sans-rire*. Ale nic podobnego nie ma miejsca w wypadku, na jakim Holmes osnuł swą powieść *Elsie Venner*. Być może, że posunął do granic fantazyi objawy niesłychanego zdarzenia, które mu za osnowę do powieści posłużyło, ale zrobił to umyślnie, ażeby jaskrawiéj uwidocznić swą tezę o moralnéj odpowiedzialności osobnika, niewystarczająco, zdaniem jego, pojmowanéj przez prawo, przez społeczeństwo, a nawet przez religię.

Matka Elsie, na parę tygodni przed urodzeniem swéj córki, ukąszoną została przez węża grzechotnika, z czego następnie umarła. Ale ślady jadu przechowały się w jéj córce, która posiada nietylko niektóre fizyczne cechy właściwe wężom, ale jest istotą moralnie zwichniętą, pozbawioną miłości i humanizmu, a dyszącą jadem, złością, zawiścią, rzucającą się na wsze strony z szałem zwierzęcia. Ponieważ nikt nie jest wtajemniczony w źródło fizyczne jéj charakteru, wszyscy, z któremi życie w styczność ją wprowadza, potępiają ją, nienawidzą i uważają za moralnego potwora. A przecież nie na niéj ciąży wina za jéj charakter i odpowiedzialną za swe czyny uczynić jéj niepodobna. Jak waryatów uznano za niepoczytalnych, tak samo i wiele istot, pozornie zdrowych, ale których antecedencyi nie znamy i których organizm jest zakażony, za niepoczytalne powinnyby być uznane. Za dni naszych z okazyi hypnotycznego poddawania ten sam problemat podniesiony został i tak samo jak w wypadku obranym przez Holmesa wprowadził zamęt do pojęć ogólnych, otworzył na rozścież wrota, przez które umknąć może ten drobny zasób pewności, jaki nam jeszcze pozostał. Łatwo tedy pojąć, że powołani i nie-

powołani, specyaliści i profani podnieśli głośne huzia przeciwko téj powieści. Ale nikt nie mógł zaprzeczać, że jest ona wysoce interesującą, że osoby, w których akcya się wciela, nie są maryonetkami albo abstryakcyami, ale ludźmi z krwi i ciała, o typach pełnych wyrazistości, nikt nie mógł zaprzeczyć, że raz przyjąwszy fakt za możliwy, autor uczynił go prawdopodobnym i że logicznie zeń wysnul cały wątek swéj opowieści. Zbytecznėm-by było dodawać, że dowcip dyalogu, bystre spostrzeżenia, aforyzmy dyamentowe szczodrą rozsypane ręką, świadczą o tym wysokim talencie literackim, który już wówczas był powszechnie znany i ceniony.

Oprócz fizyologicznych, czyniono także autorowi teologiczne zarzuty, a to ze względu na oburzenie, z jakiém się wyrażał o doktrynie grzechu pierworodnego, rzekomo ciążącego na człowieku. Holmes nie zaniedbywał żadnéj sposobności, aby udowodnić, że wola ludzka jest ograniczona, pomimo swéj pozornéj swobody, przez wiele czynników i pierwiastków fizycznych, których nie znamy i nie podejrzéwamy; ale jeżeli w dodatku miałby na niéj ciążyć grzéch pierworodny, toby o swobodzie woli mowy nawet już być nie mogło. Powieść druga, „Anioł stróż", ma na celu ujawnienie do jak wysokiego stopnia wpływy dziedzicznego pochodzenia oddziaływają na bohatérkę powieści, Myrtle Hazard, nawet gdy się zdaje działać zupełnie swobodnie i niezależnie. Teza jest tu mniéj dziwaczna i zręczniéj zamaskowana, a z powodu typów niezaprzeczonéj oryginalności i romantycznych wypadków, któremi jest napiętrzoną, powieść ta miała większe powodzenie u ogółu, aniżeli dawniejsza i następna. Ta ostatnia znowu osnuta jest na wypadku, który w oczach lekarza musi być nader interesującym, ale zwykłego czytelnika oszałamia. Bohatér téj powieści *Mortal Antipathy* nabrał nieprzezwyciężonego wstrętu do kobiét dlatego, że, będąc dzieckiem z winy kobiéty, o mało życia nie postradał i cały jego organizm wstrząśnięty został w swych posadach. Wyleczony jest z téj choroby przez poświęcenie i energię innéj kobiéty, która go przy innéj katastrofie ocala i do normalnego życia powraca. Było niezaprzeczenie dużo imaginacyi w pomysłach powieściowych Holmes'a, ale, jak zauważono słusznie, wyobraźnia była raczéj naukową, aniżeli właściwie literacką. Publiczność przywykła zadawalniać się tą ostatnią i nie chciało się jéj czynić wysiłku, ażeby iść za nim po stromych ścieżynach. Dla krytycznego umysłu, który powieściowe utwory jego stawia obok innych jego prac, będzie rzeczą podziwu godną, że mu się udało, jemu, człowiekowi o tak wybitnie ukształtowanéj indywidualności, tak przywykłemu do wyłuszczania swych zapatrywań *ex cathedra*, zatrzéć, zanegować swoją własną osobistość i stać się

obiektywnym spostrzegaczem, gdy brał do ręki pióro powieściopisarza. Nie znamy drugiego przykładu takiéj elastyczności talentu.

Jako essayista, essayista humorystyczny Oliver Holmes, jak powiedziałem wyżéj, żyć będzie przedewszystkiém i zajmuje w piśmiennictwie stanowisko zupełnie odrębne. Posępny jakiś umysł powiedział, że gdy się człowiek śmieje, daje wypoczynek swéj inteligencyi. Widocznie wypoczynek taki musi być dla wielu koniecznością, skoro publiczność tak żywą skłonność uczuwa do pisarzy, co sobie za zadanie wzięli rozweselić ją i do śmiéchu pobudzić. Zacząwszy od Rabelezyusza komiczni albo humorystyczni pisarze bez trudu zdobywali sobie wielką popularność. Nigdzie popularność téj gałęzi piśmienniczéj nie była większą, jak wśród rasy anglo-saskiéj, uważanéj za ponurą jedynie przez tych, co jéj nie znają. Im chmurniejsze niebo zwiesza się nad głową, im bardziéj pochłaniane jest życie przez troskę materyalną, tém niezbędniejszą staje się potrzeba wyrwania się choć na chwilę w świat fantazyi, a śmiéch hałaśliwy lub półuśmiéch ironiczny jest manifestacyą energii i hartu, co się przeciwnościami i trudnościami złamać nie dają. Dobrze wiadomo w Anglii, że najpopularniejszymi pisarzami są satyrycy, a Lamb, tak mało znany po za obrębem brytańskiego świata, jest więcéj czytany i kochany, aniżeli najgenialniejsi mistrze. Ci, co wiedzą jaką rolę gra dowcip Sydneya Smith'a do dziś dnia, uważają go za jednego z najużytniejszych działaczy ducha postępu, co się tak wszechstronnie wśród współczesnego społeczeństwa rozgościł.

Świat amerykański i pod tym względem pokazuje się rodzonym bratem angielskiego, i istnieje tam taka sama sympatya publiczna dla pisarzy humorystycznych. Być może, że humoryści amerykańscy mają w sobie rysy specyalne, że ich imaginacya jest dziksza, ich wybryki dobrego humoru dziwaczniejsze, być może, że ich smak jest mniéj wyrafinowany: tłómaczy to dostatecznie ustrój społeczny i pstrocizna żywiołów, co w skład jego wchodzą. Ale Holmes jest indywidualnością innego gatunku. Nie trzeba zapominać, że należy swém urodzeniem i młodością do dawniejszych pokoleń, że otoczeniem, wychowaniem, tradycyą jest wykwintnym arystokratą. Trąci staroświeczyzną wśród *cowboys*, albo giełdowych meklerów dzisiejszych, tak jak gdyby nosił pudrowaną perukę. Ale ponieważ jest wesoły, uśmiéchnięty, ponieważ nietylko nie ma w nim ani źdźbła pedantyzmu, ale każdą, najpoważniejszą kwestyę umié przedstawić ze strony komicznéj, albo przynajmniéj ją w niéj odnaleść, ponieważ przez oryginalny sposób wypowiadania swych opinii i zapatrywań słuchaczy i czytelników do ciągłego śmiéchu pobudza, ponieważ nie ma zatrute-

go jadu pesymizmu w jego poglądzie na świat, ale ów pogodny horyzont człowieka, co sięgnął do źródeł wiedzy i co ma za sobą doświadczenie szerokie, zatém przez humor swój utrzymuje powagę mędrca i filozofa, i jedno pokolenie po drugiém przychodzą z rozkoszą szukać orzeźwienia w czystéj krynicy jego popularnego dydaktyzmu.

Nie znamy pisarza, którego essaye z większąby się czytały przyjemnością. Jakiegokolwiek chwyta się przedmiotu traktuje go w sposób tak interesujący, umié go tak urozmaicić, tak odświéżyć, odkrywając w nim nowe strony, że może nas łudzić co do oryginalności swych poglądów. Oryginalność ta leży atoli przedewszystkiém w mistrzowskiéj w formie, w tém poczuciu miary i harmonii, które tylko wysoka kultura umysłowa dać potrafi, w téj atyckiéj soli dowcipu, którą przyrządzoną strawę zaprawia, w tych fajerwerkowych racach wesołości, które wystrzelają co moment i to w sposób najniespodziewańszy. Nie rozumiemy, dlaczego niektóre z jego essayów, jak ten ciągle cytowany „Mechanizm w myśli i w etyce", albo „Zbrodnia i automatyzm", używają większéj popularności, aniżeli inne, jak np. „Chléb i gazety", albo „Fizyologia chodzenia". Zawsze ten z jego essayów zdaje się nam być najbardziéj interesującym, który trafem do ręki nam wpada. Jak Montaigne'a można go brać i porzucać i zawsze z równą ochotą do niego powracać. Pomiędzy literacko-krytycznemi monografiami jego, pierwsze miejsce zajmuje, jak się samo przez się rozumié, obszerna praca, jaką poświęcił Emersonowi. Przyjaźń serdeczna i długoletnia, która go z najznakomitszym pisarzem-rodakiem łączyła, zabarwiła tę biografię słoneczném cieplem, ale nie zaćmiła jego sądu krytycznego. Nie powiemy, ażeby ta jego praca była ostatniém słowem, z którego nieby zmienić nie wypadło. Wielcy myśliciele, jak Goethe, jak Carlyle, jak Emerson z tylu rozmaitych punktów rozpatrywani być mogą i pobudzają w sposób tak drażniący do samodzielnego myślenia, że czytanymi i rozbieranymi być nie przestaną. Ale nie będzie przesadą powiedziéć, że praca Holmes'a o Emersonie ujęła jego postać w ramy, z których wyrugowaną nie zostanie i każdy późniejszy krytyk do tego zarysu powrócić nie omieszka.

Ale gdy jest rzecz o essayach Holmes'a, to natychmiast i nieodzownie stają na myśli te trzy tomy popularnie zwane serya śniadaniową. Obejmują one „Autokratę przy śniadaniu", „Profesora przy śniadaniu" i „Poetę przy śniadaniu". Rozpoczęte w r. 1857 essaye te dopełnione zostały przed kilku laty czwartym tomem tego samego pokroju, zatytułowanym „Przy filiżankach herbaty". Dzieła te są tak powszechnie znane, w tylu dziesiątkach wydań ogłoszone, że nie mo-

żna rościć pretensyi, żeby wogóle coś nowego o nich powiedzieć. Jak wiadomo, jestto zbiór artykułów, które się pojawiały od r. 1857-go w miesięczniku *Atlantic Monthly* i które natychmiastowo pozyskały sobie rozgłos nadzwyczajny, kiedy poważni krytycy kiwali niezadowoleni głowami nad tym niesfornym pisarzem, co bez żadnéj metody, żadnego systematu, mięszając *sacra profanis* przyszedł poruszać wszystkie możliwe i niemożliwe kwestye językiem potocznym, ogólnie zrozumiałym, chociaż niesztywnym, pozwalającym sobie na *slang* i na dwuznaczniki, siejącym jak z rogu obfitości dowcipy, aforyzmy, epigramaty, a przytém zdradzającym głęboką tkliwość i uczuciowość — publiczność odrazu została pochwyconą i usidloną przez pisarza tak nowego swym pokrojem. Takiéj naturalności, instynktowéj nieledwie szczerości wrażeń i śmiałości sądów nie zwykło się było spotykać chodzących w parze z gruntowną wiedzą i wykształceniem technicznémi niewątpliwém. Lata mijały, po autokracie przemawiał i rej prowadził przy śniadaniu profesor, następnie czynił to poeta, zmieniały się przedmioty pogadanki, nieznacznie poważniejąc, ale dar spostrzegawczy autora, żywość jego wyobraźni, przebłyski jego dowcipu nie tępiały, nie zużywały się, nie bladły. Czas trwał i ustalał się. Forma tych pogadanek stała się klasyczną. Przywyknięto do tego fikcyjnego stołu w *boarding-house*, gdzie przy śniadaniu autokrata rozmawia z biesiadnikami i z tych rozmów daje sprawozdanie. Trudno było o ramy wygodniejsze: przez luźność swą pozwalały wprowadzać wszystkie dowolne przedmioty i roztrząsać je z rozmaitych punktów widzenia; dydaktyzm nieunikniony krył się w takie wesołe formy, uciekał się często do boskiéj mowy poezyi nawet — nie było sposobu nań się dąsać, a surowość mentora znikała pod błyskotliwą słów igraszką: chłostani śmiali się—i byli rozbrojeni.

Nie potrzeba było komentarzy biografów i osobistych zwierzeń autora, ażeby nas przekonać, iż pierwsza z tych książek powstała bez żadnego z góry ułożonego planu: czuć to się dawało z pierwszych zaraz stronic. Była to świetna improwizacya. Wiemy, że Holmes był nieporównanym *causeur*. Ten talent, którego Francuzi zdawali się posiadać monopol, został im odkradziony przez niego. Wszyscy, co osobiście mieli sposobność znać tego pisarza, zgadzają się, że był pod tym względem nieporównany. W kole przyjacielskiém, bez żadnéj pretensyi do kierowania rozmową, stawał się jéj duszą. Posiadał dar nieporównany przeplatania przedmiotów traktowanych anegdotkami, dykteryjkami, trafnemi cytatami, spostrzeżeniami dowcipnemi, przechodził z jednego przedmiotu na drugi z łatwością kuglarza. W zetknięciu się z nim najpospolitszy umysł się ożywiał i nieledwie

błyszczał. Na słynnych tygodniowych zebraniach w bostońskim *Saturday Club* Holmes był zawsze, i to przez lat kilkadziesiąt ogniskiem, z którego rozbiegały się promienie. Czém w prywatnéj romowie, tém był z piórem w ręku, bez żadnego sztywno nakrochmalonego kołnierza, pełen swobody i wylania. Gdy na posiedzeniach redakcyi *Atlantic Monthly* wymieniał myśli z takimi kolegami, jak Longfellow, Emerson, Lowell, Motley, Unterwood, to łatwo wyobrazić sobie, że przez taki areopag oklaskany i przez taką gimnastykę wyćwiczony, szedł potém śmiało na arenę, pewny zwycięstwa. Myśl jego toczyła się wartkim a kapryśnym strumieniem i stenografował ją pośpiesznie, Osoby, które rzekomo za tym śniadaniowym stołem z nim rozmawiały. od czasu tylko do czasu drobne wtrącają słówko: służy ono za trapez gimnastyczny, z którego on wkroczy o kilka szczebli wyżéj i nowe czytelnikowi otwiéra podwoje. Uważano nieraz za paradoks, że myśli rodzą się przez rozmowę. U Holmes'a było to wyznaniem wiary, albo może wytworną grzecznością, przez którą pozwalał przypuszczać towarzyszom, iż myśl jego dopiéro po zetknięciu się z ich myślą stawała się wyszlifowanym dyamentem. Że, jak on, błyszczała. żaden z jego czytelników nie wątpi.

Możnaby rozszerzyć się nad charakterystyką tych humorystycznych essayów Holmes'a, porównywając go bądź z Sydneyem Smith'em, bądź z klasycznym Sterne'm, z którym, szczególniéj w „Profesorze", nosi niezaprzeczone podobieństwo. Uważamy to jednak za zbyteczne. Jeden tylko byłby sposób skuteczny przedstawienia go czytelnikom—byłoby to dać wyciągi z książki, a wątpimy nawet, ażeby w tłómaczeniu zachowało tę barwę nieuchwytnéj oryginalności którą posiada. Holmes nie kusił do siebie tłómaczy: *et pour cause!* Jest i zostanie Amerykaninem. Nie wypada stąd bynajmniéj, aby nie był ceniony w starym świecie. Najlepszém świadectwem popularności, jaką posiadał w Anglii, była podróż, jaką tam przedsięwziął w 1886 r., w okrągłe pół wieku po pierwszym swym pobycie. Opisał tę podróż w jednéj z najpowabniejszych swych książek: *Our hundred days in Europe*. Te sto dni były stu zwycięstwami. Londyn, Oxford, Cambridge, wszystkie ogniska oświaty angielskiéj, najwyszukańsze salony literackie, najpierwsze znakomitości brytańskie ubiegały się o zaszczyt przyjmowania go i ugaszczania. Nie dziwota, że ten hołd, jaki mu składano, to duchowe pobratymstwo, jakie się wówczas ujawniło, schwytało go za serce i że widział w nim swego życia apoteozę. Nigdy autobiografia pisarza, co przebiegł długą a świetną karyerę. nie odzwierciadlała takiéj pogody umysłu. Gdy na wyścigach w Epsom przechadzał się. wsparty na ramieniu następcy tronu, księcia

Walii, albo gdy w izbie gmin w loży ministra i ambasadorów, owéj pamiętnéj nocy 7 czerwca, gdy jego rówieśnik Gladstone przed wypowiedzeniem swéj mowy o usamowolnieniu Irlandyi, przesłał mu przyjacielskie pozdrowienie, mógł doprawdy Oliver Helmes powiedzieć, że nie żył „zadługo". „Ludzie śmieją się wraz ze mną, póki się ze mnie śmiać nie zaczną" — powiedział był dawniéj. Epoka ta oddalała się, oddalała i nie przyszła nigdy. Stracił żonę po pięćdziesięcioletniém niezachmurzoném pożyciu małżeńskiém, stracił w parę lat późniéj córkę owdowiałą, panią Sargeant, co była jego Antygoną, ale sam trzymał się dziarsko i czerstwo. Nie odpisywał sam na listy, któremi go znani i nieznani wielbiciele zarzucać nie przestawali i ograniczał się do podpisywania wydrukowanego cyrkularza, który w odpowiedzi przesyłał; lecz czytać i rozmawiać nie przestał aż do ostatniéj chwili życia i umarł w fotelu swéj biblioteki z książką w ręku.

Geniuszem zapewne Oliver Holmes nie był. Nie posiadał także owego szczytnego entuzyazmu dla wielkich zasad i wielkich idei, które świat naprzód pchają. Przez swój racyonalizm i humanitaryzm, swą wyrafinowaną kulturę, swój charakter i temperament należy raczéj do XVIII-go, aniżeli do naszego stulecia. Wśród społeczności, do któréj urodzeniem należał, był długi czas rzadkością, przy końcu unikatem prawie. Pozostawia po sobie dzieła, które będą rozkoszą dla następnych tak, jak już nią były dla dwóch ostatnich pokoleń. Łagodne światło, co z nich się roztacza, nie oślepia nikogo, zaspakaja wszystkich. Pisarze, jak on, są istotnymi dobroczyńcami ludzkości i z żalem przyznać trzeba, że się szereg ich przerzedza.

N. T.



STULECIE METRA.

I.

Na wystawach rycin napotkać można obrazek, przedstawiający astronoma z długą lunetą, który nagle wpada do studni, u stóp jego otwartéj. Przypomina on nieco fraszkę Kochanowskiego o astronomie, który „wié, jako wstają i zachodzą zorze", ale nie widzi, co się w domu dzieje, tak samo bowiem ma być satyrą na człowieka, co w dalekie horyzonty zapatrzony, najbliższe swe otoczenie z oka traci. Satyra jest więc słuszną, ale podrygujący ten jegomość z lunetą w ręce nie jest z pewnością astronomem, choć się tak ciekawie niebu przygląda, — astronom bowiem opatrzyłby lunetę swą kątomiarem.

Jestto mylne bardzo mniemanie, że astronoma luneta cechuje: symbolem jego jest kątomiar przedewszystkiém. Istniała przecież astronomia, gdy o lunecie nie marzono zgoła. Nie posiadał jéj Hipparch ani Ptolemeusz, nie miał jéj Kopernik, choć istotną budowę układu słonecznego wykrył, podobnie jak i przeciwnik jego, Tycho de Brahe, który przeprowadził dostrzeżenia tak ścisłe, że pomogły Keplerowi do wyprowadzenia praw biegu planet, skąd znów Newton zasadę ciążenia powszechnego wyczytał. Bez udziału lunety żywym już blaskiem jaśniała astronomia, a naczelne śród nauk stanowisko dało jéj to, że od początku umiała dokładnie mierzyć położenie brył niebieskich. Jak dawnych czasów sięgają dokładne pomiary astro-

nomów, wnieść można stąd, że na podstawie prac swych poprzedników, których pamięć nawet do nas nie doszła, wyśledził Hipparch przesuwanie się punktów równonocnych tak drobne, że rocznie jednéj minuty miary kątowéj nie dochodzi. Z pewnego ustępu w dyalogu Tacyta „*De oratoribus*" wnosi nawet profesor krakowski, Birkenmajer, że poprzedzanie punków równonocnych znane było astronomom dawniejszym jeszcze, egipskim może lub chaldejskim; w jak odległéj tedy starożytności musiały się już pomiary astronomiczne rozpocząć, gdy pozwoliły ruch tak nieznaczny uchwycić i ilościowo ocenić.

Inne wszakże nauki w starożytności nie szły za przykładem astronomii, naśladować metody jéj nie umiały. Jak szlachcic dawny, łokciem i miarką gardziła nauka grecka. W wybujałéj tonąc filozofii, snuli fizycy greccy genialne zarówno, jak i jałowe, pomysły o istocie świata, o zasadzie wszechrzeczy, o materyi, o jéj atomach i żywiołach, tusząc w naiwności nauki młodzieńczéj, że drogą wywodów logicznych zdołają prawidłowość przyrody odtworzyć i wszelką rozwikłać zagadkę. Arystoteles góruje wprawdzie nad poprzednikami swymi, nie odwraca się od rzeczywistości i zbiéra obfity zasób dostrzeżeń. nie poddaje ich wszakże pomiarom ścisłym, by na ugruntowanéj podstawie faktów trwały gmach rzetelnych wniosków fundować, ale, założeniu swemu wierny, poszukuje zawsze zasad ogólnych i do wyjaśnień je szczegółowych stosuje. Błędy Arystotelesa dają dowód najwidoczniejszy, jak niezbędne są w fizyce pomiary ścisłe, jak dziwaczne pomyłki brak ich rodzi. „Woda wrząca, twierdzi Arystoteles, ogrzéwa silniéj, aniżeli płomień, ale płomień pali, co jest palne, i topi, co jest topliwe, woda zaś tego nie czyni; woda wrząca jest cieplejsza, aniżeli ogień drobny, gdyż ogién nie stygnie, woda zaś zawsze zimną się staje; względem poczucia naszego jest woda cieplejsza, niż oléj, prędzéj wszakże, aniżeli oléj, oziębia się i krzepnie." Nie troszcząc się zaś o sprawdzenie, czy w saméj rzeczy temperatura wody wrzącéj wyższą jest niż płomienia, ma tłómaczenie gotowe rzekomych tych objawów,—bo płomień grzeje własnem swém ciepłem, woda zaś obce tylko posiada ciepło, i stąd, choć gorętsza, rychléj je traci; ciepło ognia i ciepło wody ogrzanéj są to więc dla Arystotelesa objawy zgoła niejednorodne i porównywać ich nie można. O drążku wié Arystoteles dobrze, że dłuższém jego ramieniem można większy dźwignąć ciężar, „dlatego że ramię dłuższe silniéj się porusza", nie troszczy się wszakże zgoła o stosunek ilościowy.

Odmienny zgoła widok daje nam skromna, ale trwała fizyka Archimedesa. Również jak Arystoteles, wielki ten matematyk, o którym wyraża się Cycero z zachwytem, że posiadał geniusz większy,

aniżeli to być może z naturą ludzką zgodném, nie był fizykiem w rozumieniu dzisiejszém; opiérając się wszakże w wywodach swoich na twierdzeniach matematycznych, a nie na dowolnych hypotezach filozoficznych, dochodzić musiał do ilościowéj oceny faktów, co rzetelność wniosków pozwalało pomiarami istotnemi stwierdzać. To właśnie ochroniło go od szwanków, na które filozofia wciąż była narażona.

Nauce na ścisłych pomiarach opartéj mniéj jeszcze sprzyjać mogły wieki średnie, a brzask nauki nowoczesnéj rozpoczyna się dopiéro z chwilą, gdy zrozumiano, że spostrzeżeniom i doświadczeniom staranne jedynie pomiary pewność nadają. Mierzenie objawów przyrody daje podstawę do matematycznego ich rozważania, jest niezbędnym początkiem wszelkiego ścisłego badania natury. Fundament taki dał nauce Galileusz, gdy mierząc drogi przebyte przez ciała spadające. lub téż, w braku czasomierza innego, liczbą uderzeń własnego tętna oznaczając ilość drgań rozkołysanego wahadła, wskazał fizyce metodę do nowych odkryć i do znajomości praw przyrody wiodącą.—Przez długie wieki alchemicy gorliwie warzyli i prażyli, topili i rozpuszczali, z doświadczeń swych wszakże snuli błędne jedynie wnioski i pomysły dziwaczne; w naukę rzetelną przerodziła się alchemia wtedy dopiéro, gdy chemik szczerze zbratał się z wagą i jéj kontrolę robót swych powierzył.

Wcześniéj, niżeli w nauce, potrzebę ustalonego układu miar zrozumiano w powszednich stosunkach ludzkich. Z życiem praktyczném zadzierzgnęła nowoczesna wiedza przyrodnicza bliskie węzły, które się coraz silniéj zaciskają i coraz pomyślniejsze dla obu wydają owoce. Wzajemne te stosunki byłyby wszakże utrudnione, gdyby nauka posiadać chciała własny swój układ miar, odrębny od miar pospolitych, służących w handlu, technice i przemyśle. Ze spostrzeżeń i doświadczeń w życiu praktyczném osiąganych nauka często korzysta, prawa zaś przez naukę zdobywane łatwiéj stają się własnością powszechną, gdy wyrażone są bezpośrednio w miarach ogółowi znanych i dostępnych. Układami miar, które w użyciu praktyczném napotkała, nie zadowolniła się wprawdzie nauka, ale natomiast układ, jaki obmyśliła i przyjęła, narzucić zdołała ogółowi do potrzeb jego powszednich.

Historya miar jest ustępem ogólnych dziejów kultury; jak wszelkich spraw ludzkich, rozwój ich szedł stopniowo. Same nazwy miar, które się dotąd przechowały, a w różnych językach pokrewne, jak stopa, łokieć, sążeń, krok, pręt, kamień, beczka — świadczą, że jednostki te pierwotnie nie były ściśle określone, czerpane z otoczenia najbliższego, z wymiarów części ciała ludzkiego pospolicie. Jaką

drogą z miar takich, dowolnych i niepewnych, wraz z rozwojem i utrwalaniem się stosunków ekonomicznych, wytworzyły się miary dokładnie oznaczone, wskazuje może postanowienie Henryka I w Anglii, który w r. 1101 długością ramienia swego, aż do końca trzeciego palca, określił długość łokcia (*gyrd*, skąd dzisiejszy *yard*), jako jednostki w kraju całym obowiązującéj. Dawna stopa francuska miała być, według podania, długością stopy Karola Wielkiego. Taką tedy mniéj więcéj drogą powstać mogły wszędzie miary „konwencyjne", to jest od ugody, od postanowień rządowych zawisłe, których pierwowzory czyli etalony starannie w schronieniach bezpiecznych musiały być przechowywane, by w każdéj chwili służyć mogły do sprawdzania miar w powszechném będących użyciu. W każdym jednak razie i normalnie te miary, czyli pierwowzory urzędowe łatwo uledz mogły uszkodzeniom lub zatracie, co snadną znów otwiérało drogę nadużyciom i sprowadzało zamęt, w braku bowiem pierwowzoru odtworzenie go stawało się trudném lub niemożebném zgoła. Stąd téż dawno już ujawniła się konieczność oparcia całego układu miar na wielkościach przez naturę samą wskazanych, istniejących w przyrodzie i niezmiennych, by zawsze miara zatracona odszukać się dała.

W tym celu starali się Arabowie w epoce rozkwitu swego intelektualnego wielkość swych miar utrwalić przez odniesienie do szerokości ziarn jęczmiennych, a nawet do grubości włosa. Łokieć ich haszemejski obejmować miał 24 szerokości palca, licząc na palec szerokość 7 obok siebie ułożonych ziarn jęczmiennych, a na szerokość ziarna takiego znów szerokość 7 włosów z sierści muła. Podobnież zapewne nieraz i układ gwichtów czyli jednostek ciężarów opiérać się musiał na drobnym ciężarze nasion zbożowych, jak o tém wnieść można z rozpowszechnionéj nazwy grana, t. j. ziarna.

Rzecz uderzająca i podziwu niewątpliwie godna, że narody starożytne posiadać miały daleko lepiéj urządzony i bardziéj jednolity układ miar swoich. Tak sądzą przynajmniéj skrzętni badacze starożytności, którzy wszakże często porywom wyobraźni ulegają i zbyt rozlegle z poszukiwań swych wydobywają wnioski. Z badań ich wypływa, że między miarami babilońskiemi, egipskiemi, hebrajskiemi, fenickiemi, greckiemi i rzymskiemi ścisła istniała łączność, że wszystkie z jednego rozwinęły się początku i że polegały na podstawie naturalnéj, na dokładnych mianowicie pomiarach astronomicznych. Szukano źródła ich w Egipcie, a opiérając się na wysoko rozwiniętém miernictwie w starym tym kraju, dowieść chciano, że święty łokieć egipski, wraz z wymiarami piramid olbrzymich, pozostawał w pewnym oznaczonym stosunku do długości stopnia południka. Nie posia-

damy wszakże zgoła zasady do przypuszczeń, by przed Eratostenesem kusili się kiedykolwiek o pomiar południka kapłani egipscy, a tém samém mniemany ten, odwieczny system metryczny zaliczyć można śmiało do urojeń tego rodzaju, co, dajmy na to, bajkę, że rzemieślnicy egipscy do złocenia i srebrzenia metalowych swych wyrobów posługiwali się działaniem prądów galwanicznych.

W bardziéj już przekonywający sposób systemy miar starożytnych wyprowadził autor niemiecki Böckh, nie z Egiptu, ale ze starego państwa babilońskiego, od biegłych niewątpliwie astronomów chaldejskich, których jednolity układ miar wypływał, według dowodzeń autora tego, z jednostki ciężarów.

Przy obserwacyach swych, mianowicie, mierzyć musieli astronomowie chaldejscy bieg czasu, a według odwiecznego zwyczaju służył im do tego przepływ oznaczonéj ilości wody. Oni to zapewne na pasie zwierzyńcowym nieba wyróżnili 12 znaków, a dzień podobnie jak i noc na 12 godzin dzielili. Dla pomiaru więc czasu i dla oznaczenia godzin przez wypływ wody podzielili naczynie główne na dwanaście części; naczynie sześcienne podobnym podziałom odpowiadające stanowiło jednostkę miar objętości, a zarazem krawędź jego jednostkę miar długości. Przepływające zaś ilości wody porównywali dawni ci obserwatorowie nieba przez ważenie, skąd otrzymywali jednostki ciężarów w ścisłym zostające związku z jednostką długości. Najdawniejsza więc znana jednostka ciężarów, talent babiloński, według wywodu powyższego, przedstawia wagę wody, wypełniającéj sześcian oznaczonéj objętości, którego krawędź przyjętą została za stopę, czyli za jednostkę długości. Babiloński ten układ miar nietylko wszakże był jednolitym, ale i powszechnym nadto, przedostał się bowiem i do innych państw starożytnych, bądź to bez zmiany, bądź téż przetworzony według pewnych, prostych stosunków, które wykryć się dają między miarami azyatyckiemi i greckiemi, podobnież jak między temi ostatniemi a rzymskiemi.

Wspaniała ta wszakże metrologia, którą Böckh z mozołem takim odtworzył, nie przetrwała zagłady kultury starożytnéj. Sądzić wprawdzie można, że narody nowe, które się na gruzach państwa rzymskiego rozsiadły, przejęły miary od Rzymian, ale miary te rychło przeinaczeniu uległy i wszelka łączność wygasła; wyodrębnienie zaś szło tak daleko, że zamiast miar państwowych i narodowych wszędzie niemal istniały miary prowincyonalne lub miejskie. Drobne księstwa niemieckie tyle różnych posiadały łokci, ile miast liczyły. W Polsce wielorakie miary ujednostajnić chciała konstytucya 1565 r., ale i we

dwieście jeszcze lat później też samą pracę podjąć musiały sejmy 1764 i 1766 roku.

II.

Wcześniéj już wszakże pojmować zaczęto pożytek pewnego międzynarodowego ujednostajnienia miar, rozwój zaś fizyki i ulepszenie metod mierniczych nasunęły pomysł wyprowadzenia zasadniczéj i niezmiennéj jednostki z przyrody saméj. Obdarzywszy świat od tak dawna upragnionym i oczekiwanym czasomierzem, chciał Huyghens w pamiętném swém dziele *Horologium oscillatorium*, ogłoszoném w roku 1673-im, powiązać z nim także i jednostkę zasadniczą miar długości, proponując w tym celu długość wahadła sekundowego, którą według wprowadzonych przez siebie metod doświadczalnych oznaczył na 440½ linii paryskich; trzecia część téj długości stanowić miała stopę normalną, wedle miary czasu ustanowioną, *pes horarius*. Nie wiedział jeszcze Huyghens wprawdzie, co wkrótce zégary jego właśnie dostrzedz dozwoliły, że siła ciężkości na powierzchni ziemi nie działa wszędzie jednostajnie i tém samém długość wahadła w różnych miejscach powierzchni ziemi nie jest zupełnie jednaka, ale to nie mogło uwłaczać saméjże zasadzie projektu Huyghensa, należało jedynie uzupełnić go warunkiem, że wahadło sekundowe obrać należy pod pewną oznaczoną szerokością geograficzną, na równiku np., w Paryżu lub na 45-ym równoleżniku.

Na tęż samą epokę przypada i pierwszy, przez Picarda dokonany, dokładny pomiar ziemi, albo raczéj, co na jedno wychodzi, stopnia południka, a prace te nastręczyły inną jednostkę naturalną długości. Zanim, mianowicie, jeszcze Picard roboty swe ukończył, podał astronom lugduński, Gabryel Mouton w r. 1670 projekt wyprowadzenia miar długości z wymiarów ziemi. Jednostką zasadniczą miała być długość minuty, czyli sześćdziesiątéj części stopnia południka, dla któréj obmyślił nazwę milliara, a która daléj dzielić się miała według systemu dwunastkowego na części drobniejsze, mające nazwy: centuria, decuria, virga, virgula, decima, centesima, millesima.

Projekt Moutona ożył w zmienionéj nieco formie i urzeczywistniony wreszcie został w czasie wielkiéj zawieruchy rewolucyjnéj we Francyi, w warunkach zatém, które pracom naukowym najmniéj sprzyjać mogły; przemiana jednak całego układu miar, do którego ludność nawykła i z którym się zżyła, jest w istocie rzeczy czynem rewolucyjnym i w warunkach normalnych nastąpiłaby zapewne znacznie póź-

niéj. Śród żądań, które wyborcy zalecali swym deputowanym w roku 1788 i 1789, wyrażało się téż żądanie zaprowadzenia w kraju całym miar wspólnych, któreby położyły kres nadużyciom i oszustwom, przez rozmaitość miar powodowanym. Z tego względu na posiedzeniu akademii nauk 14 kwietnia 1790 r. przedstawił Brisson korzyści wypływające z oparcia całego układu miar na pewnéj długości naturalnéj, a dnia 30 kwietnia tegoż roku sprawę ujednostajnienia miar i wag poruszył w Zgromadzeniu narodowém Talleyrand, wówczas biskup w Autun. Nigdy może żadna uchwała parlamentu nie była korzystniejszą dla postępu nauki i przemysłu, nad postanowienie Zgromadzenia narodowego, przekazującego akademii nauk przeprowadzenie tego projektu, i nigdy może żadna komisya naukowa nie wywiązała się godniéj z poruczonego jéj zadania, niż ustanowiona przez akademię do obmyślenia nowego układu miar, komisya, którą składali mężowie w dziejach nauki pamiętni: Borda, Lagrange, Laplace, Monge i Condorcet. Uchwałą z d. 8 maja 1790 r. zaleciło Zgromadzenie narodowe, jako podstawę miar, długość wahadła sekundowego pod 45^0 szerokości geograficznéj; wbrew jednak rozporządzeniu temu poszła komisya za radą inżyniera-geografa Bonne'a, który na jednostkę miar długości proponował pewną część równika lub południka ziemskiego, dlatego że długość wahadła zależy od dwu czynników różnorodnych od niejednostajnego natężenia siły ciężkości i od przyjętéj jednostki czasu. Zaważył téż wzgląd, że długość wahadła sekundowego jest niewielką stosunkowo jednostką miar, a drobny już błąd w jéj oznaczeniu przez uwielokrotnienie może się stać doniosłym; pomiar natomiast południka, jakkolwiek jest pracą uciążliwą i kosztowną, choćby był przeprowadzony z błędem dosyć znacznym, to na drobną cząstkę południka słabo zaledwie wpłynie. Ostatecznie tedy za podstawę nowego układu miar przyjęto długość ćwiartki południka ziemskiego, a mianowicie odległość między równikiem a biegunem północnym, i jéj część dziesięciomilionową, jako główną jednostkę długości, nazwano metrem, co Zgromadzenie narodowe potwierdziło 30 marca 1791 r.

Jakkolwiek długość południka wyprowadzić można było z pomiarów dawniejszych, postanowiono wszakże zmierzyć łuk południka między Dunkierką a Barceloną, aby przez pomiar łuku tak znacznéj długości, a dokonany na zasadach dokładniejszych, pełniejsze dla nowego układu miar wzbudzić zaufanie, któreby przyczynić się mogło do szybszego jego rozpowszechnienia. Pracę tę rozpoczęli bezzwłocznie Delambre i Mechain, a jakkolwiek dawna akademia gromom rewolucyi uległa i w roku następnym rozwiązana została, co pewną przerwę robót spowodowało, to wszakże nowoustanowiona komisya, tym ra-

zem liczniejsza, — w skład jéj bowiem wchodzili: Berthollet, Borda, Brisson, Coulomb, Delambre, Hauy, Lagrange, Laplace, Mechain, Monge, Prony i Vardenmonde, rzecz w ciągu lat kilku do pomyślnego końca doprowadziła. Zanim zresztą jeszcze pomiary nowe ukończone zostały, prawo 18 germinala III r. (7 kwietnia 1795 r.) ustanowiło na podstawie dawniejszych pomiarów ziemi metr tymczasowy, wyrównywający 3 stopom i 11,4421 dawnym liniom paryskim: Istotne więc stulecie metra właśnie do schyłku dobiega. Gdy zaś pomiar przytoczonego wyżéj łuku południka, od Dunkierki do Barcelony, ukończony został, obliczenia wykazały, że dziesięciomilionowa część równika wynosi 3 stopy 11,2961 linii paryskich, a tę długość ustanowiło prawo z 19 frimaire'a VIII r. (10 grudnia 1799 r.) jako „metr prawdziwy i ostateczny". W wymiarach tych wyrobiony z platyny pierwowzór metra wniesiony został już d. 4 mesydora VII r. (22 czerwca 1799 r.) do archiwum rzeczypospolitéj, a wreszcie prawo z d. 6 mesydora VIII r. (25 czerwca 1800 r.) nowy układ miar ostatecznie zatwierdziło.

Mogło więc zgromadzenie narodowe francuskie dumnie ogłosić, że obdarza świat jednostką miar niezmienną, z przyrody saméj wziętą, którąby, stokrotnie zatracona, dała się znowu po tysiącach i setkach tysięcy lat odnaleść; zarazem jednak, w zbytniém zaufaniu, uznając metr swój za prawdziwy i ostateczny, wyłączało z góry możliwość przyszłych poprawek, a wzgląd ten zawadzał długo rozpowszechnieniu się metra francuskiego po za granicami Francyi. Więcéj wszakże ważyła trudność wynikająca stąd, że miary metryczne znacznie się wielkością różnią od jednostek poprzednio w różnych krajach używanych—łokci, stóp, funtów, a tém samém w zbytniéj pozostawały z nawyknieniami mieszkańców sprzeczności. Dlatego też, jakkolwiek Francya wszędzie wywierała podówczas wpływ przemożny i znaczną częścią Europy władała, a wszędzie urządzenia swe państwowe narzucała, jednostki metryczne nigdzie rządów jéj nie przetrwały. W niewielu tylko krajach, gdzie zależało na uproszczeniu i zaprowadzeniu ładu w miarach, zmieniono je w ten sposób, by one, odstępując jak najmniéj od jednostek dawnych, pozostawały w stosunkach prostych do miar systemu metrycznego. Według takiéj zasady zmodyfikowany układ metryczny ustanowiony został najpierw w Królestwie Polskiém. Układ ten miar, zwanych nowopolskiemi lub warszawskiemi, opracowany z inicyatywy Staszyca przez wyznaczoną w r. 1816 deputacyę Towarzystwa przyjaciół nauk, zatwierdzony został postanowieniem rady administracyjnéj z d. 13 czerwca 1818 r. i stał się obowiązującym od 1 stycznia 1819 roku. Związek z miarami metrycznemi określa się w układzie tym w sposób rzeczywiście bardzo prosty,

przynajmniéj co do miar długości i objętości, jedna bowiem linia miary nowopolskiéj wyrównywa dwu milimetrom (stopa zatém warszawska obejmuje 288 milimetrów), kwarta zaś równa jest zupełnie litrowi; stosunek tylko jednostki ciężaru jest nieco zawilszy, funt bowiem waży 405504 miligramów [1]. W 1839 przyjął związek celny niemiecki funt, wyrównywający połowie kilograma; funt ten celny używa się i dotąd pod nazwą funta metrycznego.

W systematach wszakże, w ten sposób zmodyfikowanych, niknie główna wartość miar metrycznych, zaleta ich bowiem polega nietyle na tém, że zasadnicza ich jednostka wzięta jest z natury, ile raczéj na jednostajnym ich podziale dziesiętnym, a więcéj jeszcze na tém, że wszystkie miary przez określenia bardzo proste wyprowadzają się z zasadniczéj téj jednostki, czyli z metra. Jednostka bowiem miar objętości, czyli litr, jestto decymetr sześcienny, a jednostka wag czyli gram jest ciężarem centymetra sześciennego wody dystylowanéj przy 4^0 C., związki zaś te nietylko w niesłychanéj mierze upraszczają rachunki, ale nadto dają możność łatwéj oceny nastręczających się wielkości. Tak, dajmy na to, na podstawie samego określenia wiemy, że decymetr sześcienny wody waży kilogram, a jeżeli pamiętamy nadto, że ciężar właściwy żelaza wynosi $7^1/_2$, wiemy tém samém, że bryła żelaza, obejmująca metr sześcienny, przedstawia ciężar 7,500 kilogramów. Korzyści te spowodowały stopniowo wprowadzenie miar metrycznych do różnych państw europejskich i wywołały życzenie, by układ metryczny powszechnie został przyjętym, a usiłowania, do celu tego dążące, stanowią współczesne już dzieje metra.

III.

Pod wpływem żądań ogólnych zebrała się w Paryżu w sierpniu 1870 r. komisya międzynarodowa dla rozebrania téj sprawy, a chociaż wojna francusko-niemiecka, która w tym właśnie czasie wybuchła, prace jéj w samym zarodku przerwała, zgromadziła się ona już znowu w r. 1872 i porozumiała co do zawiązania w r. 1875 układu między szesnastu państwami Europy i Ameryki, nazwanego konwencyą metry-

---

[1]) Mylnie zatém podaje Karsten w starannéj zresztą rzeczy „O miarach i o mierzeniu“ (Allg. Encykl. der Physik, t. I: Einleitung in die Physik), że zmodyfikowany system metryczny zastosowany został najpierw w Hesyi, tam bowiem wprowadzono go dopiéro w r. 1821.

czną, do któréj przystąpiły następnie cztery inne jeszcze państwa, a ostatnio Wielka Brytania w r. 1884 i Japonia w r. 1885.

Przedewszystkiém nastręczyło się komisyi międzynarodowéj zasadnicze pytanie, czy za metr międzynarodowy ma być przyjęty dawny urzędowy metr francuski, czy też oprzéć się należy na nowszych i dokładniejszych pomiarach. Obliczenie bowiem długości południka, jak widzieliśmy, oparte było wprawdzie na nowym pomiarze łuku od Dunkierki do Barcelony, uwzględnić wszakże musiało i spłaszczenie ziemi, które na podstawie pomiarów dawniejsych, dokonanych w latach 1736—1739, przyjmowano wówczas, jako wynoszące $^1/_{334}$. Ułamek ten jest wszakże za małym, dlatego też i oparta na téj ocenie długość metra niezupełnie odpowiada dziesięciomilionowéj części ćwiartki południka ziemskiego. Gdy w bieżącém stuleciu zebrało się kilkanaście pomiarów, dokonanych w różnych krajach Europy, a nawet Azyi, mógł Bessel w r. 1841 długość południka obliczyć dokładniéj, a, według tych rachunków metr francuski okazał się nieco zakrótki. Tych metrów urzędowych bowiem, czyli legalnych, zawiéra ćwiartka południka 10.000.855,76, gdy według określenia téj zasadniczéj jednostki długości, powinno ich być w ćwiartce południka okrągło 10.000.000. Różnica wynosi zatém 856 metrów na 10.000.000, czyli 0,856 metra na dziesięć tysięcy, błąd zatém metra urzędowy czyni niespełna dziesiątą część milimetra. Dyskusya toczyła się tedy o usunięcie téj drobnéj niedokładności, ale po długich rozprawach postanowiono zachować dawny metr francuski, co zresztą okazało się zupełnie uzasadnioném z tego względu, że kwestya postaci i wymiarów ziemi stanowczo jeszcze rozwiązaną nie została, a różne południki nie są zapewne zupełnie między sobą równe. Skoro zaś w ten sposób rozstrzygnięto pytanie co do metra, należało też przyjąć i dawną masę kilograma, która wiąże się bezpośrednio z długością metra według określenia wyżéj przytoczonego. Uznano tedy, że i ważenia zeszłowieczne dokonane zostały z dostateczną ścisłością i jako kilogram międzynarodowy utrzymano również dawny kilogram francuski, którego prototyp wraz z prototypem metra złożony został w archiwum państwa francuskiego dnia 4 mesydora roku VII. Ściśle zatém mówiąc, metr nie jest jednostką naturalną, czyli z przyrody wziętą; jestto w istocie rzeczy jednostka również dowolna, jak i każda inna jednostka miar, co wszakże nie uwłacza zgoła innym zaletom układu metrycznego.

Aby wszakże układ miar uczynić niezależnym od wzorów, złożonych w archiwum państwowém w Paryżu, postanowiła komisya międzynarodowa zbudować jak najdokładniejsze ich kopie i kopie te przyjąć za etalony, czyli wzorce międzynarodowe. Długość zatém no-

wego metra i masa nowego kilograma miała jak najściślej odtworzyć długość i masę etalonów archiwalnych, pierwowzory zaś jednostek długości i masy, które postanowiono rozdzielić między różne kraje, miały być porównywane z nowemi temi etalonami międzynarodowemi, a nie z archiwalnemi.

Na podstawie konwencyi międzynarodowéj, zawiązanéj 29 maja 1875 r., państwa, zawiérające ten układ, postanowiły wspólnym kosztem utrzymywać „biuro międzynarodowe miar i wag", które pozostaje pod nadzorem „komitetu międzynarodowego miar i wag", podlegającego z kolei władzy „konferencyi ogólnéj miar i wag", złożonéj z przedstawicieli wszystkich państw, do układu należących. Biuro miar i wag, którego zadaniem jest przechowywanie prototypów międzynarodowych i peryodyczne porównywanie z niemi wzorców narodowych, jako też prowadzenie wszelkich prac, z zadaniem tém związanych, mieści się w gmachu, wzniesionym w parku Saint-Cloud i obejmującym dziesięć sal obserwacyjnych. Sześć z nich posiada podwójne ściany cynkowe, a oświetlenie otrzymują z góry przez potrójną osłonę szklaną. Podwójne ściany zbudowane zostały w tym celu, by przez obieg między niemi wody gorącéj lub zimnéj dała się w salach przez ciąg kilku dni utrzymywać temperatura stała. Różne niedogodności wszakże skłoniły do porzucenia tego systematu regulowania temperatury, zwłaszcza, że sale przylegają do ściany skalistéj, zwróconéj ku północy i są na dzienną chwiejność temperatury zgoła nieczułe. Budowa gmachu ukończona została w r. 1878 i od tego czasu biuro rozpoczęło swe prace, rozpadające się z natury rzeczy na dwie sekcye, z których jedna zajmuje się mierzeniem długości, druga ważeniem. Nadto, ze względu, że przy wszelkich pracach metrologicznych oznaczenie temperatury pierwszorzędnéj jest ważności, utworzoną została odrębna sekcya termometryczna, mająca na celu udoskonalenie termometrów.

Przyjąwszy uchwałę, że etalony narodowe mają być kopiami pierwowzorów archiwalnych, zajęła się dalej komisya międzynarodowa wyborem metalu, z którego je wykonać należało. Wybór ten wymagał również głębokiego namysłu, materyał bowiem na metry i kilogramy odpowiadać musi kilku niezbędnym warunkom; powinien być mianowicie bardzo twardy, pozostawać niezmiennym z upływem czasu, nie ulegać wpływom atmosferycznym i zwykłym czynnikom chemicznym, a wreszcie winien być trudno topliwym, by oparł się nawet wysokiéj temperaturze, jaka nastąpićby mogła, np. skutkiem pożaru. Na podstawie badań, jakie nad własnościami fizycznemi i chemicznemi metali z grupy platyny przeprowadzili Saint-Claire-Deville, Fizeau

i Tresca, uchwalono, że wszystkie pierwowzory metra i kilograma międzynarodowe i narodowe, mają być wykonane ze stopu platyny i irydu, zawierającego 10 na 100 tego ostatniego metalu. Stop ten nadzwyczaj jest twardy, wytrzymałością dorównywa stali, a topi się dopiero w temperaturze, oślepiającej białości. Według badań Violle'a, punkt topliwości platyny przypada przy 1775^0, irydu zaś przy 1950^0 C.

Co się wreszcie tyczy samej postaci prętów metrycznych, przyjęto formę głoski X, co znaczy, że w przecięciu przedstawiają kształt >-<. Postać ta, napozór osobliwa, daje tę korzyść, że kréski, oznaczone na listwie poprzecznéj, są niezależne od sposobu, w jaki pręt jest podparty, listwa ta bowiem tworzy warstwę włókien pośrednich, która przy zginaniu pręta, gdy powierzchnia jego górna wydłuża się lub skraca, pozostaje niezmienną. Przy postaci takiéj nadto zmniejsza się ciężar prętów i zyskuje na oszczędności kosztownego bardzo materyału. W porównaniu z dawniejszemi etalonami precyzyjnemi, prototypy nowe odznaczają się znaczną trwałością i znoszą bez szkody wstrząśnienia przy przewozie. Doświadczenia przy przewozie wykazały, że w pośrodku metra postaci X zawieszać można ciężar 40 kilogramów, nie wywołując tém żadnéj trwałéj zmiany.

Nowe metry tém jeszcze różnią się od dawnego, że są „kréskowe” *(à traits)*, gdy dawny jest „końcowy” *(à bouts)*, to jest, posiada dwa zaokrąglone końce, których odległość stanowi metr legalny; nowe są nieco dłuższe, a długość metra stanowi tu odległość między dwiema naznaczonemi na nich kréskami. Przy urządzeniu takiém porównywanie dokonywać się może łatwiéj i ścisléj. Obok każdéj kréski oznaczone są nadto z obu jéj stron dwie jeszcze kréski dodatkowe, w odległości połowy milimetra; w ten sposób dają pręty nietylko pierwowzór metra, ale i etalon milimetra. Kréski zaś, wyryte pod mikroskopem rylcem dyamentowym, są niesłychanie cienkie, szerokość ich bowiem wynosi zaledwie od 0,006 do 0,008 milimetra.

IV.

Największą trudność nastręczało samo przygotowanie stopu platyny i irydu. Ponieważ wyrażono życzenie, by wszystkie pierwowzory, zarówno metry jak i kilogramy, pochodziły z jednéj bryły metalicznéj, potrzeba tedy było razem przetopić 250 kilogramów stopu platyno-irydowego; stopienie zaś tak potężnéj masy platyny nastręczało się po raz pierwszy i wymagało wielu przygotowań. Stop otrzymany w paryskiém konserwatoryum sztuk i rzemiosł nie okazał się do-

syć czystym, zawiérał bowiem ślady rutenu, żelaza, rodu, palladu i miedzi; zwrócono się więc do zakładów Johnsona i Mattheya w Londynie, gdzie po długich dopiéro zachodach ostatnie ślady obcych metali zdołano ze stopu usunąć.

Przedewszystkiém, w początku r. 1880 dostarczyły wspomniane zakłady trzy pręty ze stopu platyny i irydu, z których jeden obrano do porównania z metrem archiwalnym. Porównywania, przy pomocy nader ścisłego „komparatora", prowadzono przy różnych temperaturach, a z pomiarów tych okazało się, że nowy ten metr dłuższy jest od archiwalnego zaledwie o 0,006 milimetra, czyli o 6 mikronów, tysiączną bowiem część milimetra nazwano krótko mikronem. Na podstawie więc tych prac za tymczasową jednostkę długości przyjęto odległość między dwiema krańcowemi kréskami nowego tego pręta, zmniejszoną o 6 mikronów. Odtąd metr archiwalny ma już znaczenie historyczne tylko, a do konstrukcyi metra międzynarodowego, zarówno jak i metrów narodowych, posługiwano się tym metrem „tymczasowym".

Przygotowanie prętów ze stopu platyny i irydu wymagało tyle pracy, że do robót ostatecznych przystąpić mogło biuro międzynarodowe zaledwie po upływie lat czterech. W zakładach Mattheya trzeba było zbudować oddzielny gmach i piece, a trzykrotnie przesyłane w r. 1883 próby do Paryża zawiérały ilości rodu i żelaza, przekraczające granicę dozwoloną; dopiéro w r. 1884 zdołano otrzymać ilość czystego irydu, potrzebną na wyrób kilogramów. Przystąpiono wtedy do fabrykacyi stopu. Platynę i czysty iryd w stanie sproszkowanym zmieszano w stosunku oznaczonym i topiono po 10 kilogramów w tyglach z czystego wapna. Tak otrzymane sztaby, po oczyszczeniu rozcieńczonym kwasem chlorowodornym i wodą wrzącą, rozgrzano aż do topliwości złota i poddano kuciu potężnym młotem. Następnie przeciągnięto je między walcami stalowemi i zamieniono na płyty o grubości dwu milimetrów. Po odtłuszczeniu i oczyszczeniu od tlennika żelaza, którym pokryły się w przejściu przez walce, płyty przetopione zostały po raz drugi. Po raz trzeci wreszcie, dnia 26 maja 1884 r., całą masę, przeznaczoną na kilogramy, stopiono razem, a stop po rozgrzaniu wykuty został w jeden pręt stalowy, mający 200 centymetrów długości przy średnicy 44 milimetrów. Po rozcięciu pręta na 40 walców poddano każdy z nich dwunastu uderzeniom potężnéj prasy, z któréj każde wywiérało ciśnienie 350 ton.

Wyrób stopu, przeznaczonego na konstrukcyę metrów, odbył się w tenże sam sposób, trudności wszakże oddzielenia ostatnich śladów żelaza i rodu były jeszcze większe dla znacznéj ilości przerabianego

metalu; po jedenastu dopiéro rozbiorach osiągnięto rezultat pożądany w październiku 1885 roku. Nadto, trzeci i ostatni odlew nie mógł być dokonany przez stopienie wszystkiéj naraz masy, jak to było zaleconém; przy tak wielkiéj bowiem ilości metalu łatwo nastąpić mogło pęknięcie tygla a w takim razie należałoby od początku znów całą operacyę przeprowadzić. Pomimo jednak topienia częściowego, jednorodność stopu okazała się zupełnie dokładną. Pomiędzy stopem kilogramów a stopem metrów zachodzą co do składu chemicznego różnice bardzo nieznaczne; ilość żelaza i rodu w żadnym z nich nie przechodzi 0,01 na sto. Gęstość, oceniona z kilku odłamków, wynosi średnio 21,51. Pręty po wyrobieniu zostały wypolerowane, wygładzenia zaś końców dokonano w konserwatoryum sztuk i rzemiosł.

Posiadając trzydzieści metrów, w wyżéj opowiedziany sposób przygotowanych i oznaczonych kréskami końcowemi, poddało je biuro dokładnemu badaniu według planu, przepisanego przez komitet międzynarodowy miar i wag. Przedewszystkiém należało oznaczyć rozszerzalność wszystkich wzorców pod wpływem wzrostu temperatury, a następnie wybrać jeden z nich za prototyp międzynarodowy i wyprowadzić dokładne równania innych w stosunku do obranego metra międzynarodowego.

Trudno opowiedzieć, z jak nieporównaną starannością i ścisłością zbadano rozszerzalność każdego pręta oddzielnie, do czego posługiwano się dwiema odrębnemi metodami. Pierwsza, bezpośrednia niejako, polega wprost na pomiarach wydłużeń, jakich doznaje pręt, poddawany temperaturze zmiennéj, przyczém za pomocą „komparatora rozszerzalności" porównywa go się z prętem, utrzymywanym w temperaturze stałecznéj. Metoda druga, optyczna, wymagałaby objaśnień bliższych; nadmienimy tylko, że polega ona na rozpatrywaniu pierścieni barwnych tego rodzaju, jakie dostrzegamy w bańkach mydlanych. Wraz ze zmianą grubości błonki ciekłéj ulegają zmianie i barwy, z rozkładu ich tedy grubość błonki ocenić można. Płytkę więc, odciętą od końca pręta badanego, pokrywano taflą szklaną, tak, że pomiędzy niemi pozostawała warstwa powietra, któréj grubość zmniejszała się, gdy płytka rozszerzala się ze wzrostem temperatury; obserwacya zatém pierścieni barwnych, dając grubość warstwy powietrza, pozwalala téż oceniać i rozszerzalność ciała badanego. Skoro znano już rozszerzalność każdego pręta, należało oznaczyć długości ich względnie do metra tymczasowego, który, jak wiemy, od metra archiwalnego dłuższy jest o sześć mikronów, a gdy pomiary te okazały, że długość pręta, oznaczonego liczbą 6, najwięcéj się zbliża do długości metra archiwalnego, przyjęto go za metr międzynarodowy, aby zaś wszyst-

kie wzorce narodowe, znane były z jednakową ścisłością, należało każdy z nich porównać z tym metrem międzynarodowym, jako też różne wzorce między sobą. Wszystkie te porównania przeprowadzone zostały za pomocą osobnego komparatora; rezultaty wreszcie tych pomiarów obliczono według metody najmniejszych kwadratów i otrzymano w ten sposób równanie każdego pręta, względnie do wzorca tymczasowego i metra międzynarodowego.

Aby wskazać, z jaką dokładnością pręty metryczne zostały zbudowane, podajemy tu, dla przykładu, wzory metra międzynarodowego *(M)*, tymczasowego *(T)*, oraz dwu metrów, oznaczonych liczbami 1 i 30:

$$\begin{aligned} M &= 1m \qquad\qquad\quad 8\mu, 651t + 0\mu, 00100t^2 \\ T &= 1m + 6.0\mu + 8, 644t + 0, 00100t^2 \\ (1) &= 1m - 1.1 \quad + 8, 567t + 0, 00100t^2 \\ (30) &= 1m + 2.8 \quad + 8, 638t + 0, 00100t^2 \end{aligned}$$

Według zatém łatwo zrozumiałych tych wyrażeń, w których m znaczy metr, a μ mikron, czyli milionową część metra, obliczyć można długość pręta w każdéj temperaturze t. Przy wszelkich pracach doświadczalnych zachodzić może pewna niedokładność, rachunek wszakże wskazał, że błędy prawdopodobne powyższych pomiarów nie przechodzą dziesiątéj części mikrona; twierdzić więc można, że długość wzorców międzynarodowych, przynajmniéj w granicach temperatury 0^0 i 25^0, znana jest ze ścisłością do dziesięciotysiącznéj części milimetra. O dokładność większą trudno już chyba; aby ją ocenić, należy tylko pamiętać, że długość fali żółtego światła sodowego wynosi 0,0005888 milimetra, — długość nowych wzorców narodowych metra znaną jest przeto z błędem mniejszym od piętéj części długości fali światła sodowego.

Aby wszakże podobną ścisłość przy ocenach długości osiągnąć, trzeba téż, aby i temperatura mierzyć się dała z przybliżeniem odpowiedniego rzędu, byłoby bowiem rzeczą bezużyteczną, znać długość pręta z przybliżeniem do dziesięciotysięcznéj części milimetra, gdyby nie można było zarazem wskazać temperatury z przybliżeniem do jednéj setnéj stopnia. Dlatego téż sekcya termometryczna biura międzynarodowego zajęła się przygotowaniem termometrów bardzo czułych i dokładnych, a gdy się okazało, że wskazania ich nie odstępują między sobą więcéj nad trzy lub cztery tysiączne stopnia, komitet postanowił, by do każdego metra narodowego dodane były dwa takie termometry, starannie zbadane. Przygotowanie termometrów wymagało pracy niemniéj olbrzymiéj, aniżeli sam wyrób metrów; trzeba było ulepszyć szkło, wprowadzić szereg różnych poprawek i ujednostajnić samą ska-

lę temperatur, co przy wielu badaniach naukowych ma doniosłość również znaczną, jak i ujednostajnienie miar długości.

Konstrukcya kilogramów przechodziła podobneż koleje, co i budowa metrów. Przedewszystkiém wykonać należało kopię kilograma archiwalnego. Zamówione w tym celu trzy kilogramy dostarczone zostały w r. 1879, a gdy przez kucie doprowadzono je do najwyższéj gęstości, porównano je najpierw z kilogramem obserwatoryum astronomicznego, który został wyrobiony współcześnie z archiwalnym, a następnie dopiéro z archiwalnym. Waga, która do tego służyła, opatrzona jest w mechanizm, dozwalający przenosić kilogramy z jednego talérza na drugi, bez potrzeby otwiérania otaczającéj klatki szklanéj. Kołysanie się wagi odczytywano za pomocą lunety z odległości trzech metrów. Ważenia wykazały, że jeden z powyższych trzech kilogramów posiada w próżni ciężar identyczny z archiwalnym, dlatego téż postanowieniem komitetu międzynarodowego przyjęty został na stanowczy „kilogram międzynarodowy"; ominięto więc potrzebę kilograma tymczasowego, jak to miało miejsce co do metra, co znacznie przyśpieszyło roboty dalsze.

Zbadanie walców, dostarczonych na kilogramy narodowe, wymagało nietylko porównania ich między sobą i z kilogramem międzynarodowym, ale nadto należało oznaczyć objętość i gęstość każdego z nich, aby można było wprowadzać poprawki co do ciężaru w próżni; trzeba je zatém było ważyć nietylko w powietrzu, ale i w wodzie. Do przenoszenia prototypów służyły osobne cążki, okryte białym aksamitem; w odstępach czasu między jedném ważeniem a następném spoczywały one na płytach z kryształu górnego, przy ważeniu zaś umieszczano je również, nie bezpośrednio na talérzach wagi, lecz na dodatkowych talérzach z kryształu górnego. Porównanie każdych dwu kilogramów polegało na czterech oddzielnych ważeniach, z których każde trwało około godziny; dwa pierwsze dokonywały się w godzinach rannych, dwa drugie w godzinach popołudniowych tegoż samego dnia. Pomiędzy ważeniem drugiém a trzeciém przemieszczano kilogramy na talérzach dodatkowych, przez co z rezultatu średniego czterech ważeń usuwała się możliwa różnica ciężarów tych talérzy.

Z jak niezrównaną zresztą dokładnością prace te zostały dokonane, ocenić można stąd, że dał się dostrzedz wpływ niewielkiéj różnicy wysokości, w jakiéj kilogramy były umieszczane. Przy ważeniu mianowicie w wodzie kilogram przypadał zaledwie o dziesięć centymetrów niżéj, aniżeli przy ważeniu w powietrzu, a drobne to posunięcie ku dołowi wywołało powiększenie ciężaru kilograma prawie o 0,1

miligrama, czyli o część dziesięciomilionową; różnicę tę zatém przy poprawkach uwzględnić należało.

Rezultaty mozolnych tych ważeń, ujęte metodą najmniejszych kwadratów, wydały masę i gęstość każdego z czterdziestu przygotowanych kilogramów, a podobnież, jak co do metrów, przytaczamy tu dla przykładu liczby odnoszące się do kilograma międzynarodowego (K), oraz dwu kilogramów, oznaczonych liczbami 1 i 30.

	masa	gęstość
(K)	1 kilogram	21,5515
(1)	1 kg + 0,002 mg	21,5398
(30)	1 kg + 0,123 mg	21,5466

Odstępstwo zresztą żadnego z kilogramów narodowych od wzorca międzynarodowego nie dochodzi jednego miligrama, a dyskusya co do źródeł błędów przekonała, że błąd prawdopodobny wynosi zaledwie ± 0,002 miligrama.

Dodamy wreszcie, że protypy międzynarodowe metra i kilograma złożone zostały w skrzyni, umieszczonéj w głębokiéj piwnicy, zamkniętéj trzema kluczami, które zostają w rękach dyrektora biura, prezydenta komitetu międzynarodowego i naczelnika generalnego archiwum państwa francuskiego. Każde zatém wydobywanie jednego z tych etalonów przez urzędnika biura zostaje pod nadzorem komitetu międzynarodowego i rządu francuskiego, a może nastąpić jedynie w obecności posiadaczy trzech kluczy. Ostrożności te dają wszystkim państwom rękojmię, że pierwowzory zasadnicze układu metrycznego nie są narażone na niebezpieczeństwo uszkodzenia przez złą wolę lub niezręczność. Miary zaś i kilogramy narodowe rozdzielone zostały między różne państwa przez losowanie na posiedzeniu konferencyi we wrześniu 1889 r.

Opis powyższy jest zapewne bardzo niedostateczny, pozwala jednak ocenić trudności, jakie przezwyciężyć należało, i ogrom robót, jakich wymagało urzeczywistnienie postanowień komisyi międzynarodowéj miar i wag. W sprawozdaniu swojém pochlubić się mogło biuro, „że powodzenie nietylko odpowiedziało wszelkim warunkom z góry założonym, ale w niektórych punktach przewyższyło nawet żądania najbardziéj wymagające i nadzieje najbardziéj optymistyczne.”

Zdań tych za przesadne nikt zapewne uważać nie będzie, kto zastanowi się nad osiągniętą przy pomiarach metra i kilograma ścisłością. Ponieważ na długości metra błąd nie przechodzi dziesięcioty-

siącznéj części milimetra, ścisłość zatém wynosi jednę dziesięciomilionową; jestto niepewność tego rzędu, jakby w pomiarach ćwiartki południka ziemskiego błąd wynosił jeden metr zaledwie. Co się tyczy kilogramów, ścisłość daléj jeszcze jest posuniętą; niepewność bowiem dwu tysiącznych miligrama na kilogram odpowiada ułamkowi $\frac{2}{1,000,000,000}$, czyli jednéj pięćsetmilionowéj. Potwierdza to fakt znany, że ze wszystkich przyrządów precyzyjnych waga daje rezultaty najdokładniejsze, a liczby powyższe przekonywują, jaką doskonałość w czasach naszych osiągnęła sztuka mierzenia i ważenia.

Tryumf metra nie jest jeszcze zupełny. Na 453 miliony ludzi stanowiących grupę europejską, jest układ metryczny obowiązującym dla 246 milionów, 207 milionów zachowało dawne swe miary wadliwe. Korzyści wszakże i ułatwienia, jakie układ miar metrycznych nastręcza w stosunkach międzynarodowych, przy wszelkich obliczeniach handlowych i technicznych, w badaniach naukowych wreszcie, są tak doniosłe i tak widoczne, że wprowadzenie go do Anglii, Ameryki i Rosyi może być sprawą niedługiego już tylko czasu. — Jeden więc cel, jaki twórcy jego na widoku mieli, osiągnięty w istocie został, metr bowiem stał się miarą powszechną; nie odpowiedział natomiast zadaniu drugiemu, jakie miał spełniać, gdyż w znaczeniu ścisłém nie jest jednostką naturalną, z przyrody wydobytą. Nie zaradziłoby też temu uwzględnienie poprawki, którąby usunęła błąd dawnych pomiarów południka ziemskiego, — metr nie może odpowiadać żądaniu, by był dziesięciomilionową częścią ćwiartki południka ziemskiego, nowe bowiem pomiary nauczyły, że ziemia nie tworzy dokładnéj sferoidy obrowéj, równik i równoleżniki nie są ściśle okręgami kół, a stąd południki niejednakowo się od środka ziemi odchylają i nie są między sobą dokładnie równe.

Choćby zresztą obrano pewien oznaczony południk, nie dałoby to miary na całą przyszłość niezmiennéj, proces bowiem kształtowania się ziemi stanowczo się jeszcze nie skończył. Zastyga jeszcze i ściąga się rozpalone jéj wnętrze, a zakrzepła jéj skorupa zwolna się marszczy. Są to zmiany drobne i niedostrzegalne, ale po upływie tysiącolecia działanie swe ujawnić mogą. Stara ziemia żyje jeszcze, i wielkości stałéj i niezmiennéj dostarczyć nam nie może.

Stanisław Kramsztyk.



ŚWIEŻE POWIEWY

W SZTUCE.

Fala twórczości naszéj wezbrała wysoko. Być może, że się jeszcze wyżéj podniesie i na myśl o tym jéj wzroście i serce rośnie — ale tymczasem zatrzymała się u pewnego poziomu na dłużéj, już choćby przez sam zgon paru znakomitych artystów z pomiędzy malarzów. Bo o nich najwięcéj dziś mówić trzeba, ich muza jest najruchliwszą, najgłośniéj dopomina się sławy zapłaty, najczęściéj i najdaléj wyjeżdża po nie, nie syta chwały miejscowéj. Dlaczego akurat malarstwo tak się wszędzie wzmogło i rozwinęło—nie będziemy tutaj roztrząsać. Dosyć, że pospołu z literaturą rej wodzi na świecie i u nas — z tą literaturą, przez siebie pogardzaną, wyśmiewaną za pretensyę do wszelakiego znawstwa i za brak zmysłu do sztuk plastycznych. Idą obie razem, ręka w rękę, choć tak napozór powaśniona, nawet od siebie wiele nawzajem pożyczają — i żaden prawdziwy, dojrzały majster pewnie temu nie zaprzeczy. Pamiętam, jakiemi słowy przyjął mnie swego czasu w Monachium jeden z najbardziéj wykwintnych i wykształconych — Czachórski, albo jak w swéj skromności utyskiwał na brak odpowiedniego oczytania taki szczery, głęboki w swéj naiwności talent, jak Podkowiński, jak się żywo, prawie namiętnie interesował każdym zdolniejszym pisarzem taki malarz z malarzów, technik, kolorysta i przedmiotowiec, jak Aleksander Gierymski. Inteligencya piszącego jest bądźcobądź najbliższą umysłowości malarza i poniekąd rzeźbiarza — przez co nie

chcę bynajmniéj ani sobie, ani komu innemu schlebiać, lecz jedynie ustalić fakt, że niepodobna zrozumieć jednéj bez drugiéj. Muzyka lubi opóźniać się o całe wieki, ma skłonność do konserwatyzmu; architektura do jawnego wstecznictwa i, co najgorsza, mając skrępowaną tysiącem względów praktycznych pomysłowość—bez zbytnich skrupułów naśladuje, kompiluje, nawet — nazywając rzecz po imieniu — „blaguje“.

Kto przechodzi ciągłe zmiany, prądy, kierunki i w czasie bieżącego wieku sto razy przetwarzał się? Malarstwo i literatura. Kto co lat kilka nowe prawa głosi i sztandary wywiesza? Także one. Kto najwięcéj wojuje i zamętu robi? Rozumie się, że one. Czy mało dowodów równoległości biegu i dążeń? Możnaby ich we współczesném życiu duchowém znaléść litanię całą. Nie świadczy to jednak, iż znawca poezyi i powieści już przez to samo powołany jest do zrozumienia ideału lub motywu malarskiego i wolny jest od pracy wnikania w ich właściwości odrębne, ani, że autor obrazu tém samém przygotowany jest do odczucia nowelisty lub romansopisarza — bynajmniéj. Między obudwoma płyną rzeki różnic, ale można przez nie most rzucić. Gdy się patrzy zdala z jednego brzegu na drugi, widzi się — głupstwa, fałsze i mgły, nawet jeśli literat zrobi sobie z dłoni lornetkę, a malarz do rąk historyę literatury weźmie. Połączcie brzegi: oceńcie rozkosz koloru i charakteru, wartość rysunku i plastyki i zarazem pojmijcie możliwie głębie uczuć, i marzeń, i pragnień i analizy, a zajmiecie punkt widzenia, z którego na obie strony patrzyć można bez wielkiéj obawy wzięcia strusia za węża, rozmyślnéj kapryśności za karygodny brak „idei przewodniéj“ a szarpiącego dramatu jednostki za brak poczucia „realnych kształtów“ lub „kolorytu“.

Tu mi nie chodzi wcale o usprawiedliwienie siebie lub innych, piszących o sztuce. Dosyć marnie żyliby i wyglądali malarze, gdyby zostawali na łasce własnéj wymowy. Trzeba byłoby odczytywać ich zamiary i chęci, jak pismo tajemniczego zakonu, t. j. przy pomocy jakiéjś akademii napisów. Nie,—proszony, czy nieproszony, zabiérałem nieraz głos w ich sprawach i z powodu ich dzieł, podobnie jak i większość krytyków, z własnego, silnego popędu. A popęd ten, w kimkolwiek on działa, ma pewne znaczenie szczególne—płynie oto z łaknienia pełni, całości życia artystycznego i może ze wstrętu do chińskich murów między pojedynczemi jego odłamami. Malarstwo nie jest żadnym „fachem“ ani „specyalnością“, któraby z mocy podziału pracy wykluczała inne zawody,

to nie jest coś zamkniętego w sobie—ale jeden z objawów dzielności twórczéj, bogactwa duchowego, żywotności téj saméj, która znajduje jeszcze wyraz w innych tak zwanych sztukach pięknych. Jestto czyn lub myśl téj saméj zbiorowéj osoby, która wydaje poezyę lub symfonię. Już samo patrzenie na przekonywające nas płótno odsłania nam cząstkę tego ducha twórczego, a cóż dopiéro rozbiór jego i charakterystyka? One jeszcze głębiéj do jego rdzenia dociérają. Nie byłoby Matejki, gdyby nie cześć dla swojskich dziejów, powszechna u nas, nie byłoby Fałata, gdyby nie szlachecka siła i fantazya polskich łowców, nie byłoby Chełmońskiego, gdyby nie przyroda nasza i ogólna miłość szczerego a skupionego pejzażu.

Czy jest wogóle jaki sens w oddzielném uwzględnianiu malarstwa? W odrywaniu go od całkowitéj twórczości chwili lub doby? Zapewne, ale tylko dla potrzeb bieżących. Nie można przecie z okazyi nowego obrazu rozpisywać się o całym artyzmie jego daty, choć, doprawdy, porządne, wybitne płótno zawsze się różnemi nićmi z nim łączy. Czyż można mówić o tatrzańskich motywach Witkiewicza lub Gersona i przytém nie miéć na myśli całego Zakopanego, téj świéżéj fali, którą ono wprowadziło do naszego życia, tego przypływu zamiłowań zdrowych i silnych, sympatyi rdzennych i poetycznie ludowych?

Jeśli robi się nawet ustępstwo dla wymagań dnia i odcina się sztukę od twórczości ogólnéj, to znika ten przykry mus, gdy chcemy uczynić porachunek za pewien czas. Wtedy bowiem wracamy od pojedyńczego, urwanego zjawiska, uczucia, myśli, do ich źródła, do duszy, z któréj się wyłoniły. Wówczas pojmiemy je lepiéj, niby w oświetleniu górném, to jest tém, co pada od stropu na wszystkie obrazy razem, i odkrywamy pewne ogólne cechy, które w innych warunkach możeby uszły naszéj uwagi.

Tém zaznaczeniem swego stanowiska pragnę się zawczasu uniewinnić, że gdy wdam się w uogólnienia, wzywać będę tu i owdzie na świadka i piśmiennictwo. Wprzód jednak przypomnę czytelnikowi ważniejsze i ciekawsze porywy apellesowéj drużyny polskiéj — z dogasającego roku. Był on owocny, jak może żaden z jego poprzedników. Wiele się w nim wyklarowało i ukazało, a w dodatku wystawa we Lwowie zgromadziła znaczną liczbę dzieł swojskich. Będę więc na razie tylko kroniką, która śmiało bez literatury obejść się może.

I. Koloryści i kolorkowi.

Naprzód garść uwag ogólnych:

Śród zysków i strat, poniesionych przez sztukę z winy nowych kierunków w malarstwie, dwa wyniki biją w oczy. Jeden, dodatni, polega na tém, że ludziska dużo się dzięki nim uśmieli i nakiwali głowami, mnóstwo zrobili dowcipów i dużo narozprawiali się ze znajomością rzeczy, przypominającą kurę wobec pieprzu; drugi zaś, ujemny, tkwi w przykrym dla malarza obowiązku dążenia wciąż naprzód i naprzód i szukania coraz to nowych zadań i celów. Dawniéj można sobie było siedziéć spokojnie na pewnym, raz obranym rodzaju, jak na wygodnéj synekurze, dzisiaj jakieś licho każe wciąż zrywać się z miejsca i wyglądać przez okna na świat Boży, czy tam przypadkiem nie wynalazł ktoś nowych wybiegów techniki, czy nie podpatrzył nowéj właściwości w naturze, czy nie odkrył nowéj kopalni pomysłów, nie zapowiedział wreszcie swoją osobą nowego, odmiennie czującego i inaczéj patrzącego na świat gatunku ludzi.

Więc artyści mają trud i gorączkę. Nawet ci, co wyszli z lat młodzieńczych, rzucają się, próbują, no, i w takiéj sztuce, dosyć doświadczalnéj i zmysłowéj, jak malarstwo, stwarzają nieraz rzeczy piękne. Najlejszym dowodem — dzisiejsza kolorystyka. Bywa ona czasem zabawna, ale niekiedy sprawia niespodzianki całkiem poważne. Kilku mistrzów, a między nimi z pewnością romantycy z Delacroix'em na czele, fantastycy z Arnoldem Böcklin'em na przedzie, nauczyło nas kochać orgię kolorów; zaczęliśmy od saméj natury domagać się barw żywych, a nawet oślepiających, a Bastien Lepage wszczepił poczucie kolorów czystych, niezabrukanych, nie stłumionych mrokiem i mgłą izby. Dziś już wprawdzie o ojcach się nie pamięta, ale ich spuściznę i naukę się przeżuwa. Raz posiana dążność trwa i rośnie — do tego nawet stopnia, że zatraca miarę prawdy i zadaje częstokroć gwałt naturze. Ta jednak nie lubi nic robić na rozkaz, nie chce na zawołanie stroić się w całą tę bogatą gamę świateł, o które artyście, chodzi, i przeto poradzili sobie w ten sposób, że ją ukostiumowali, przebrali i upiększyli. Nie ma co mówić, obrazy z ostatniéj doby czują wprawdzie naturę i nieraz tchną nią szczerze, szczerzéj, niż dawne,— al e ją idealizują.

Dziwi to przeciętnego widza, a jednak dziwić nie powinno. Dobry malarz uważniéj słucha głosu tęsknot wewnętrznych, niż dziesięciorga przykazań realizmu i ścisłéj przedmiotowości. Musi on

w swéj wyobraźni nosić symfonie majaczejących silnych barw i kształtów i musi łaknąć ich wyzewnętrznienia na płótno, tak jak dobry pisarz musi starać się o możliwe bogactwo swego języka i rozmaitość efektów. Jeżeli nie podoba się nam ogrodnik bez pasyi kolorystycznéj, nie pragnący misterną hodowlą dobiérać i potęgować kolorów i mnożyć odcieni, to jakże miałby nas zachwycać malarz, zakochany nałogowo w szarym sosie, lub nieodstępnych brunatnych odbiciach, albo w zieleni szpinaku pokrywającéj cały obraz tak szczelnie, że oko zaczyna uczuwać głód dopełnień. Zresztą w umyśle ludzkim pewne władze i zdolności chadzają kupą, namiętność do barwnych plam w wielkiém natężeniu i wielkiéj ilości prawie zawsze świadczy o bujném, bogatém usposobieniu, znamionuje siłę w malarzu, a kto wié, może i w pospolitym śmiertelniku. Inaczéj nigdy nie będzie: człowiek pragnie w potędze rywalizować z naturą, a natura posażna, wydajna i soczysta zawsze błyszczy, mieni się i olśniewa.

Możnaby bez obawy błędu w ten sposób określić zasadę dzisiejszych malarzy „postępowych" zarówno gdzieindziéj, jak i u nas. „Należy odtwarzać motyw jaknajwiększą ilością barw", czyli, że nawet wtedy, gdy się ma do czynienia z prozą i gdy ona jest jednostajną i szarą, wybiérać trzeba za wszelką cenę tę grę świateł, która się przypuszczalnie po niéj błąka. Jedni są w tych usiłowaniach szczęśliwi, albo téż posiadają dar a u t o s u g g e s t y i, przesadzającéj leciutkie ślady zabarwienia. Wówczas kolory na ich obrazach nie mają nic przypadkowego, są uwarunkowane pewną konsekwencyą; inni znów kładą liczne i piękne plamy i smugi całkiem z pamięci, a wtedy obraz ma słodycz albo jaskrawość bez szczerości, niekiedy zatrącając nawet o blagę.

Oto co widziałem głównie w ostatnich latach po wystawach naszych i na co się zamienił tak zwany zagranicą impresyonizm. My impresyonistów właściwych nie mamy i nigdy nie mieliśmy i wcale tego żałować nie potrzeba. Nikt, albo prawie nikt nie gonił za oświetleniem szczególnie przypadkowém i wyjątkowém, takiém, któreby ze znanych przedmiotów czyniło zagadki. Natomiast, mieliśmy i mamy egzaltacyę kolorystyczną. Stopniowo traci ona cechę powierzchownéj, często paradoksalnéj brawury i przechodzi w *sui generis* smak wytrawny, wierny sobie, pogłębiony.

Jeszcze przed ukazaniem się doktryny, Fałat zachwycał ogromną swobodą i śmiałością w malowaniu np. twarzy dziwacznemi napozór a jednak doskonale usprawiedliwionemi kolorami. Osiąga znaczną ich siłę, mimo, że ma do czynienia przeważnie z anemiczne-

mi farbami wodnemi. A że jest on również dosadnym w rysunku i w charakterystyce, więc oczywista, iż jędrna, energiczna indywidualność podnosi sama przez się tonacyę dzieła. Potwierdza to nawet Aleksander Gierymski, realista zawołany — w swojém przynajmniéj pojęciu — a przecież kolorysta zawzięty. Tylko Chełmoński czasem zadaje kłam regule, no, ale ten właściwie nie maluje, lecz podmalowywa tylko, notuje, ogromnie szczery, prosty i snadź niecierpliwy w chwytaniu zajmujących i nowych motywów.

Ostatniém dziełem Fałata, maleńkiém lecz znakomitém, był akwarelowy typ. a może portret gazdy tatrzańskiego. Stara to, pyszna głowa z małemi oczkami, które patrzą bokiem z przedziwnym wyrazem rozumu, doświadczenia i spokojnéj, trochę ironicznéj przenikliwości. Składa się cała z plam, szorstko i niby niedbale kładzionych — a przecież trudno o większą dokładność, finezyę i prawdę.

I Chełmoński nie próżnuje; zawsze ta sama umiejętność podpatrywania natury, ale tu i owdzie, jak w „Zachodzie słońca", mało siły i już zamało treści. Jedno z drugiém połączone składa się na brak wrażenia. Wogóle od pewnego czasu znać w tym wyśmienitym pejzażyście coś niby wyczerpanie. Albo może pozostał on jedynie wtyle po za ową tłumną czeredą młodych, których nauczył rozumiéć przyrodę, jako żywioł, nawet w największéj swéj szczerości i ubóstwie ciekawy i powabny? Nie mają oni wielkiéj jego samorodnéj odrębności, mogącéj się odważyć na bezwzględny naturalizm wsi. Pewnie nikomu nie przyszłoby do głowy namalować dwa rumaki, stające na pastwisku dęba i baraszkujące przedniemi nogami. Chełmoński nie bał się wielkich brunatnych plam, nie najmilszych przecie dla oka, bo wycisnął na nich swoje piętno siły i śmiałości linii. Traktował zwierzęta, jak obserwator, nie krępujący się żadnemi względami, prócz własnego upodobania. Swoją drogą studyum to na rysunek i światło lśniącéj sierści, mozolne dosyć, ma w sobie pewną twardość. Miałżeby to być początek końca, czy też poprostu objaw nierówności, kaprysów talentu? Chyba to ostatnie — bo inna znów scena, przedstawiająca koniec łowów w białym od śniegu lesie, jest robotą tak marną, że mógłby się jéj nie powstydzić nawet malarz trzeciorzędny; twarze panów i pań, kopiowane z fotografii, krajobraz, twardy, drewniany, w całości ciężar i urząd.

Lecz wracam do kolorystów i kolorkowych. Wł. Podkowiński (któremu daléj więcéj poświęcę uwagi) trochę się pomiarkował, ale i nie przestał ośmielać do przesady innych. Jemu samemu jest

z nią zresztą bardzo dobrze i mimo wszelkie drwiny potrafił ludziom wytrwałością albo raczej uporem swoje widzimisię narzucić. Wpływ ten jednak nie musi być bardzo szkodliwym, jeśli sądzić według ośmiu pejzażów, opatrzonych nazwiskiem: Andrzej Ansgary. A może to tylko pseudonim?... Tu przecież te same przezielenione drzewa, przeżółcone słońce, przebłękitnione niebo, co u twórcy „Szału“ przed laty kilkoma. Jednak płótna to niepoślednie; są świeże i młode, a dwa z motywami wodnemi nawet znakomite. Te stawy, wtulone w chaos życia roślinnego o mnóstwie odcieni zieloności, w trawy bujne, pomięte, w powietrze, dyszące poprostu bogactwem lata — są niezrównane. Co znaczą wszelkie poswarki teoretyczne wobec tego niepodrabianego tchnienia natury? Drzewa za to z koronami, obramowanemi żółto od słońca, nie tłómaczą swego światła dostatecznie. Tym samym sposobem malowany portret młodego mężczyzny wypadł interesująco. Blada, matowa cera, młoda, ale dosyć smutna twarz, dużo ze swego głębszego akcentu melancholii zawdzięczają efektownemu oświetleniu.

Kilkoma większemi dziełami utrwalił swój styl Wyczołkowski. Jestto nawet kolorysta lepszy, niż Podkowiński — że ograniczę zestawienie tylko do tego jednego punktu. Tamten mało dba o złożoność barwnej harmonii, ten lubi i umie wydobywać akord bardzo skomplikowany. Prócz tej zalety ma jeszcze zdolność do pomysłów oryginalnych i nigdy pospolitym nie jest. Przypomnę paru słowami „Orkę“. Wczesnym rankiem, gdy słońce jeszcze bardzo nisko na niebie, cały sznur pługów, zaprzężonych w woły, orze ziemię. Jest tego moc wielka i ta długa, zbita masa zwierząt i ludzi wabi niepowszedniością. Na lewo i na prawo ciągną się w nieskończoną dal szerokie zagony, już zorane. Karbowy stoi z boku i dozoruje roboty — oto wszystko. Ale w tych skromnych ramach ściele się obraz, pełen poezyi—nie powiem ścisłej prawdy — i świeżości. Skiba pachnie poprostu swą wilgotną, tak dobrze znajomą wonią, powietrze, jeszcze ostre i również wilgotne, napełnia lekkim oparem wszystkie bruzdy i rowki i uwydatnia wydechaną przez woły parę. Skośne, prawie poziome promienie słońca, złocą grzbiety grud i nie tykają wklęsłości, otulonych jeszcze nocą. Ten rozkład świateł i cieniów jest nader pracowity i dokładny. Chwila, w której walczą z sobą poniekąd dwie pory, nastręcza mnóstwo niespodzianych efektów kolorystycznych; połączenie żółtego światła słonecznego z czekoladowym tonem gleby daje mnóstwo odcieni, wszystkie przedmioty są z dwu stron oświetlone odmiennie, np. woły są z jednej strony żółte, z drugiej, zwróconej na za

chód, matowo siwe. Pole więc do improwizacyi rozległe, widocznie jednak artysta podpatrzył moment sumiennie i skoloryzował dokładnie, skoro widziane w pewnêm oddaleniu płótno zachwyca nawet prawdą, wyzyskując na swą korzyść wszystkie szczegóły. Nie mówię już o rozmachu szerokiéj, powietrznéj, biegnącéj w dal perspektywy.

„Druid skamieniały" tego samego pędzla intrygował ludzi bardzo. Od tła rozległego jak step i nagiego krajobrazu odstaje potężna postać galskiego kapłana, który napół leżąc, napół siedząc, trzyma na kolanach lutnię i patrzy przed siebie poważnie i wspaniale. U nóg jego płaszczyzna tworzy nagle małe zbocze, nad którém biegnie ścieżynka w ten sposób, że przecina nawet lędźwie. Jestto więc stary głaz, tak stary, że go zewsząd porosły mchy i liszaje, wpełzające téż i na pobliskie skały. Odwieczność i powaga, oddane wybornie, budzą w widzu szacunek — nastrój to poetycznéj i świątobliwéj starożytności, w którym jakgdyby historya wsiąknęła w naturę. Poezya ta jednak, bardzo uczona, zostawia nas całkiem zimnymi. Gadano sobie, że w niéj tkwi jakiś sens historyozoficzny, albo jakaś znacząca elegia. U nas nie jest zjawiskiem rzadkiém, że się autorowi przypisuje badanie gwiazd, gdy on poprostu puszcza kółka z dymu tytoniowego, zapatrzony w górę; więc być może, iż p. Wyczółkowski nie zamierzał wcale częstować malowaną szaradą, ale bądź co bądź upoważnił do stukania palcem w czoło i zachodzenia w głowę. Bo jakiego pochodzenia jest ten druid? Czy to prastara rzeźba? lecz w takim razie na co przymiotnik „skamieniały", toć chyba nie zrobiono jéj z drzewa. Czy może prawdziwy człowiek, jeno w kamień obrócony? — to jednak nic nie poucza, że mamy nań patrzyć oczyma legendy albo dawnego Celta. Wreszcie nie jestto téż wybryk przyrody, któréjby się zachciało iść o lepsze ze sztuką, albowiem głowa, twarz, ręce okazują z pod mchów i pleśni modelowanie zbyt kunsztowne i dokładne, ażeby je można było złożyć na karb geologicznego przypadku.

Dla oka nieuprzedzonego jestto dzieło chłodnie-ładne, w technice świetne, z pyszną polichromią głazu polerowanego jak szkło i wogóle z niepospolitém ożywieniem kolorystyczném.

I pan Masłowski w tym roku nie próżnował, aczkolwiek się jeszcze—nie ustatkował. Jego kolorkowość nie przeszła dotąd w fazę kolorytu, chociaż opiéra się na niezaprzeczonym zmyśle barw. Malarz to z tak zwanym temperamentem, a niekiedy i sentymentem. Ale że uczucie w zetknięciu z krzykliwością traci swą urodę, więc i „Mickiewicz z Marylą" są dziełem bardzo nierównêm, mieszaném,

niedojrzałém. Na układ obrazu godzić się można i trzeba; jestto materyał na piękną i wzniosłą idyllę, któréj bohatérami są postaci drogie literaturze, sceną zaś ławeczka nad stawem pod cieniem rozłożystego kasztana i kamiennego satyra. Ciemna sylweta drzewa, odbijająca od purpury zachodzącego słońca jest pomysłem prawdziwie artystycznym. Ale dlaczego łabędzie u brzegu są tak strasznie kolorowe, dlaczego niebo takie twarde, jak blacha, a poeta siedzi tak nienaturalnie i tak zwrócony do widza i nim zajęty, jak gdyby pozował komuś? To ani profil, ani przód, to wogóle żadna poza, ale gwałt, który musiałby człowieka w podobném położeniu bardzo zmęczyć. Piękna w motywie rzecz—sama siebie sparodyowała brakiem miary pod każdym względem, bo nawet i Bogu ducha winny satyr już nadto widoczny i naciągany bierze udział w sielance i zanadto kopyto wystawił.

Również gwałcony jest koloryt w dużém płótnie p. n. „Porwanie". I tu sporo zalet nie bylejakich: żywe tętno, ruch; konie są rozhukane, jak na ucieczkę przystało, choć jeden, najbardziéj na prawo, przednią nogę wyrzucił jakby do tańca. Chwila trafnie jest pochwycona i jasno się tłómaczy całém otoczeniem pola bitwy, ale temu porwaniu kobiéty towarzyszy niebezpieczna pogoń—za wrzaskiem farb, przechodzącym wszelkie granice prawdopodobieństwa i dobrego smaku. Tony lokalne odrywają się wzajem od siebie tak ostro, jak gdyby każdy był położony zosobna maszyną litograficzną. Całość stała się przez to podobną do malowanki wielkich rozmiarów. Szczególnemi łaskami cieszy się karmin, którym czerwienią się nietylko kaski i mundury ułanów, ale i rumaki, powietrze, ogień pożaru, wyglądającego przez zbytnią szerokość pędzla, jak jeden wielki język ognia,—daléj góry, ziemia i t. d. Robota to surowa, nierozważna, płynąca z zasad niedosyć przetrawionych, i hałaśliwości pędzla. Takiéj manierze zawsze wywróżyć można napewno niedługowieczność; następny obraz już będzie łagodniejszy w tonie, a jeszcze późniejszy może w rozmyślną uderzy achromię, jak ostatnie płótna Pankiewicza (który wszakże jest artystą dojrzałym i świadomym następstw danego efektu).

Pejzażysta Rapacki, uchodzący za „cudowne dziecko", bo maluje młodo a dobrze i dużo, należy poniekąd do tego samego rodzaju kolorystów niepomiarkowanych. Mnóstwo już widzieliśmy jego różowych obłoczków, szmaragdowych traw, niebieskich kamieni, szafirowych niebios. Nie można miéć żadnemu artyście za złe, że sobie wybiéra motywy szczególnie powabne, wyszukanie smaczne, ale trudno zgodzić się na skojarzenie przemocą natury

znajoméj, rodziméj, z gorącym fioletem nieba Neapolu. Obawiam się, czy ta włoszczyzna nie zapowiada właśnie zwrotu do warszawszczyzny. Na miłość Boga, niechaj artysta do tego nie dopuszcza i nie słucha gustów ogrodu Saskiego i miejscowych ilustracyi. One potrafią nawet granit zamienić na mydełko, niebo na wachlarz, wieś na letnie mieszkanie. Jako specyalista od obłoków i strumieni ukrytych w trawie lub parowie — szereg zagonów, przesyconych wodą jest wprost znakomity — p. Rapacki połączył je w jednym z ostatnich obrazów. Na pierwszym planie wielkie puszyste trawy i zarośla, na dalszym pierwsze czaty lasu, zazłocone na wierzchołkach i zarumienione zachodem słońca. Jak dawniejsze, tak i to malowidło posiada świéżość i poezyę, wielką powietrzność; piękny jest promień słońca, ukośnie padający na polanę między drzewami, bo się prawdziwie ślizga po niéj i drga i piękną byłaby całość szeroko rzucona, gdyby nie owa galanteryjna barwistość. Inny znów krajobraz leśny z damą w czerwonéj sukni, która dziwnie przypomina humorystyczną manierę Kostrzewskiego, jest przeładowany efektami, i tak pojmuje naturę, jak gdyby rzeczywiście był malowany przez jakiegoś letnika z Otwocka lub Wawra. A znowu sławę autora ratuje pejzaż z pojedynczemi w dali drzewami i kałużami na pierwszym planie, którym promienie zachodzącego słońca użyczyły silnie żółtego światła. Podobne „jajecznice" najczęściéj chybiają celu, tu jednak, już przy najlżejszéj pomocy oświetlenia sali, żółtość się tłómaczy i—świéci.

Obok tych wszystkich młodych i młodziutkich, idących przebojem, a uzbrojonych przedewszystkiém naładowaną grubo paletą, warto dla kontrastu postawić Wilhelma Kotarbińskiego. To także kolorysta zawołany, ale spokojny; w ciągu ostatnich dwu lat wystawił sporo dzieł, doskonale zgodnych ze sobą pod względem artystycznego stempla. Kto wié, czyje było jedno, łatwo odgadnie pochodzenie drugiego. Pyszna, choć trochę akademicka, niemal potężna w barwach akwarela p. n. „Zabawy w starożytnym Rzymie" z niewiastami i patrycyuszami, strzelającymi do celu, daléj ogromna „Orgia rzymska" i parę drobnych szkiców prześcigają się wzajem siłą a głównie harmonią i wdziękiem nieopisanym kolorytu. Nie jestto tak bardzo malarz z końca wieku; temata jego klasyczne, szkoła, zdaje się, petersburska, kompozycya w rzeczach drobniejszych wzorowa. Najlepiéj scharakteryzować go przez porównanie; wart jest osobnéj sylwety.

W sztuce, tak samo jak w życiu, istnieją dorobkiewicze i prawdziwi panowie. Pierwsi za grube pieniądze wypychają swoje salony

dziełami pędzla i dłuta, cennemi tkaninami i kwiatami, które wielkim chórem wołają do obcego widza, że tu nie dla nich miejsce i że się nie mogą zestroić z gminną duszą, która śród nich panuje. U drugich przedmioty artystyczne mogą być i jaskrawe, i bogate, i nader liczne, a przytém nie biją w oczy każdy z osobna i nie rażą brakiem harmonii wewnętrznéj z otoczeniem i tłem, lecz robią wrażenie, jak gdyby się tu same przez się znalazły, tu wyrosły. W malarstwie, a głównie w jego rodzaju historyczno-legendowym zdarza się najczęściéj, że złoto i purpura, drogie kamienie i szaty, marmury i alabastry masą swoją przygniatają całe płótno, dławią jego żywe postaci i usuwają treść samą na ostatni plan, jako główny cel malarza, jako wystawa sklepowa dla lubiącego błyskotki tłumu. Być może, iż nieraz tam wchodzi w grę całkiem bezinteresowna namiętność zbieracza i archeologa, jak u Alma Tademy, albo czysto renesansowe zamiłowanie przepychu, jak u Matejki lub Hansa Makarta, który również nie zawsze daje sobie z nim radę, ale to pewna, że we wszystkich podobnych wypadkach sztafaż tworzy odrębny żywioł, nie sprzęgający się z wątkiem w jednę, jednolitą całość. Nieraz, stojąc przed takim wielkim stosem jubilerszczyzny i ciężkich a drogich materyi, wzdychamy potajemnie do malarza, któryby potrafił oprzéć się pokusie nadmiernego blasku, a przecież umiał nim należycie opromienić rozgrywającą się scenę. Żądza wielkiéj okazałości na wzór dajmy na to Pawła z Verony lub misternéj dłubaniny na podobieństwo Mierisa i Netschera zabija częstokroć ducha.

Oczywiście, muszą istniéć tacy, co posiadają ową miarę, ów nieuchwytny dobry smak, który strzeże od przeładowań i pustéj zewnętrzności. Gdy powiemy, że śród naszych malarzów Wilhelm Kotarbiński wybitnie się do tego typu zbliża, określimy bodaj odrazu wartość i znaczenie jego utworów. Weźmy np. motyw wenecki, który oglądać można w salonie Krywulta. Nieszczęśliwsza może w malarstwie, niż w dziejach, królowa Adryi, krocie razy pospolitowana przez artystów, patrzących oczami Baedekera, prawie zawsze przefarbowana i mdła, rzadko kiedy wyzyskiwana bywa po męsku i bez przesady. Nie jest też niczém nadzwyczajném to, co z niéj wykroił Kotarbiński, bo tylko płótnem na codzień od wielkich pretensyi dalekiém, ale się w niém i rzeczywista poezya i styl i charakter znalazły. Na planach dalszych ukazujące się miasto jest szarą zwartą masą domów, pałaców i wieżyc i tak się ono przedstawia każdemu, kto się doń zbliża z jednéj z wysp okolicznych. Przodem zaś gondola, zajmując niemal całą długość obrazu, nie skrócona bynajmniéj zwykłą modą dla większéj zręczności, ale

tak jak bywa—elegijna i powłóczysta w rzeczy saméj. I morze nie jest przefarbowane wedle tak częstego między malarzami gustu młodych żonkosiów, przybywających na laguny dla spędzenia tam syropowych miesięcy, ale ma prawdziwy kolor stalowy i rozległość. Osoby siedzące w saméj gondoli są tylko zlekka naznaczone, lecz mimo to pełne stylu, przypominają towarzystwa z epoki dożów wyjęte, jak gdyby z Otella lub Marina Faliera. Świadczą też one, że artysta obraca się między dawnemi strojami i zwyczajami, jak u siebie w domu i silnie daje się pociągać ich barwnéj malowniczości.

Podłóżmy pod pojęcie dobrego, prawdziwie wykwintnego smaku, co może być najlepszego, a znajdziemy je przed tym niezrównanym koncertem barw i kształtów, który nosi tytuł: „Orgia rzymska". Wyobraźmy sobie symfonię Mendelsona, wcieloną w malowane frazesy, delikatne, liryczne i barwne, a otrzymamy obraz Kotarbińskiego. Jak wielkiém jest płótno tak piękną ogólna jego plama. Nie składają się na nią kłujące wzrok jaskrawości, doprowadzone do siły żaru, ani oślepiające szkarłaty, szmaragdy i fiolety, ale z niezwykłym gustem porozkładane i niby surdynkami poprzytłumiane farby łagodne, miękkie, a mimo to nieposzlakowanie czyste. Te niewiasty umieją nosić swoje miękkie, fałdowne szaty, pyszne zwoje włosów i złote ozdoby i nie paradują niemi, jak modelki, jak służące, które się pod nieobecność pani ubrały w jéj suknie. Mistrzowsko malowane kwiaty, róże zdobiące skronie, bukiety w wazonach—to nie garnirunek doraźny ogrodnika, ale w miarę obfita rozkosz i upiększenie, któréj tu wprawdzie pozwalają wpadać w wodę w zamęcie uciechy, ale w któréj nikt brodzić po pas nie mógłby. I tak samo pięknym jest cały obraz w linii, w konturach. Są one okrągłe i harmonijne czy jako postawy, czy jako ruchy, i żadna z grup, na które się rozpada uczta, nie wyrywa się brutalniéj naprzód i nie odskakuje trywialniéj, gwałtowniéj od reszty tła. Nawet kobiety, które wirują w tańcu, wziąwszy się za ręce, nawet starzy wyjadacze i szulerzy, nawet piękne grono mężczyzn i kobiet, których łódź przybija do marmurowego podjazdu komnaty i którzy witają zda się zebranych okrzykiem: „*Euhoe Bacche!* — nie górują nad gładziutką powierzchnią i niczém szorstkiém ani chropowatém nie psują dziwnéj rytmiczności.

Na taką piękną melodyę barw rozłożona bachanalia zawierać pewnie będzie bezdeń omdlewającéj miłości, a te gibkie postaci odegrają dramat, który tak był hulaszczy i dziki, że aż się zmęczył i odurzył i wpadł w ciszę tłumionych pocałunków i niemych uści-

sków pieszczoty? Tu jednak nie znajdzie nigdzie ani szalonego porywu instynktów wzburzonych winem i girlandą czarownych nagości i tego, co tak kusząco opisuje Kraszewski w Caprei i Romie, lub Hamerling w Ahasverusie — ani owéj chwili pół-sennego wyczerpania, kiedy nad ciałami unosi się woń kadzideł a opar gorących oddechów otula wszystko wymownym pół-cieniem. Do jednego z tych dwóch typów musi należéć wszelka orgia, jeśli ma nas pociągać i przerażać, ale do żadnego z nich nie należy ten nudny i niewymowny bal, który namalował p. Wilhelm Kotarbiński. Pląsy kobiét są u niego zamglonym, cichym korowodem cieniów, pijatyka jest odległą gawędą sybaryckich staruszków, omdlenie jałowém lenistwem niewiast, z których większość w dodatku nie wié, co z sobą robić i jaką rolę odegrać w téj rozległéj farsie. Natłok ludzi siedzących, stojących, niby słaniających się, a nie partych silniejszą sprężyną—oto co zaszczycone zostało wytworném dotknięciem smakowitego, jak mało który, pędzla. I ostatecznie lwia cząstka uwagi widza, zniechęconego próżném szukaniem życia w obrazie, przypada w udziale dwom cudnie białym i mistrzowsko namalowanym łabędziom u marmurowego brzegu i równie pięknéj, rzeźbioną miedzią krytéj łodzi z gronem przybywających biesiadników.

Niekiedy trafi się artyście jakaś śliczna główka, jak owego dziewczęcia z pomiędzy trzech postaci stojących nad wodą, ale on nie umié jéj, jak i innym, nadać wyrazu i roli w ogólnéj instrumentacyi osnowy. Te wszystkie twarze są tu jeno odbiciami jednego zmanierowanego profilu. Są malarze, którym wychowanie w akademii pewnéj, albo mieście klasyczném, wraziło w pamięć jeden szablon głowy, lub jeden stereotypowy sentyment oczów tak trwale i głęboko, że go się pozbyć nigdy nie są w stanie, że z nim wyjeżdżają przy każdéj sposobności i że raczéj gwoli niemu układają obrazy o pozornie odmiennéj treści i intencyi. Wilhelm K. chorobliwie jest przywiązany do swych okrągłych nosów i oczów, w których jest dużo bezmyślności na odrobinę elegii.

Malarz, mówi się często, winien miéć tamperament. W odniesieniu do wielu rodzajów malarstwa, wymagających powściągliwości i miary, jestto frazes prawie niedorzeczny, ale gdy chodzi o sceny zbiorowe na większą skalę, a zwłaszcza takie co mają wypromieniowywać z siebie większy nawał uczucia i wogóle większą sumę życia psychicznego, brak temperamentu staje się jednoznacznym z martwotą. Do „Orgii rzymskiéj" stosuje się to najzupełniéj. Powiem o niéj to, com mówił swego czasu: Nie jest ona chybionym strzałem, bo w niéj nie było wcale naboju, ale kunsztownym kon-

certem barw i kształtów. Stworzył ją artysta, niepospolicie odczuwający piękno, że tak powiem, kameralne, ale na jego głowę ktoś widać sypie ziarnka maku. Wielkie płótno jego — to ładna, śpiąca królewna, która jednak nigdy się nie przebudzi.

* * *

Czyż to nie szczególny zbieg okoliczności, że dzieła większych rozmiarów, a więc i większéj pracy, wyszły z pracowni znawców koloru, a także tych, co nimi chcą być, jeno nie umieją sobie jeszcze radzić? Zostawiając przypuszczalne wnioski z tego faktu na późniéj, śpieszę jednak uniknąć zarzutu nakręcania statystyki dla jakichś tam wywodów. Przypominam więc, że przez nasze salony przewędrowało dużo obrazów, ową manią, złą czy dobrą, nietkniętych wcale, albo w stopniu znacznie mniejszym.

Najczęściéj spotykałem nazwiska Popowskiego, Weycherta, Chełmińskiego, Ryszkiewicza, Pawła Rosena, Trębacza, Hirszenberga, Badowskiego, Ciemniewskiego, Gersona, W. Jasińskiego, Jabłczyńskiego, Owidzkiego, Fr. Eismonda, Alchimowicza, świeżo zmarłego De Laveau, wybornego kolorysty ulic warszawskich—Lindemana, Austena, a między niemi parę nowych: Stypiczyńskiego, Wasilkowskiéj i innych. Pamięć zachowała, rozumie się, tylko te, które zwracały uwagę płótnami pewnéj wartości i jedynie w ciągu jedenastu miesięcy. Ruchu przedświątecznego już nie uwzględniam.

Ostatnie portrety p. Badowskiego są poważne, może za poważne, zanadto po akademicku traktowane, ale też za to dalekie od krzykliwości i efekciarstwa niektórych portretów najświeższéj daty. Nie ma tu ani guzów na czole, ani rozmyślnie i przesadnie „jędrnéj“ roboty, która zamiast wrażenia tężyzny i męskości, daje wrażenie surowizny i niedowarzonego jeszcze gustu. Nie powiem, żeby miała osobliwie szczęśliwy układ wielkich rozmiarów dama, w czerwonéj, aksamitnéj sukni. Jest wprawdzie malowana wybornie, ale ma za drobną głowę w stosunku do całéj postaci i niezbyt jéj do twarzy z têm ciągłém zabieraniem się do wyjścia za kotarę, którą już uchyliła i na któréj się opiéra (!). Poprostu pani ta źle stoi. W portrecie zaś pana z czarnym wyżłem jest coś więcéj niż powaga, niż poprawność, bo i wybitna siła wyrazu i malowanie. Szkoda tylko, że prawa ręka, skutkiem jakiegoś niedopatrzenia, straciła przynajmniéj parę cali ze swéj długości.

We własnym za to portrecie pana Reyznera—wysilenie i sztuczność, wygląda on jakgdyby się pyszałkowato nadstawiał podniesionêm ramieniem. Lenc ma widoczną zdolność do charakterystyki i wyrazu, chwyta pozę żywą i dobitną, ale maluje niedbale,

w rysunkach robi błędy. Do lepszych należał portret młodéj panny Zarembskiego i wyjątkowo zręczny i nie mydlany — p. Maleszewskiego.

Szeregiem studyów zaznaczyła pierwszy swój występ p. Wasilkowska. Damy siedzące, kołyszące się, wyprostowane, z parasolkami i bez nich, są wszystkie więcéj pretensyonalne, niż artystyczne. Odznaczają się jednak poczuciem koloru. Najwyraźniéj występuje to w portrecie pani, bardzo cudacznie przybranéj, z żółtemi kokardami u ramion, z mdłym uśmiechem, cienkiemi jak u owadu szyją i rękami: istna pstra mucha. Zupełnie smacznym jest tylko jeden szkic, przedstawiający kobiétę w lekkim, powiewnym stroju, jakgdyby w altanie oblanéj słońcem. Praca to ładna, pełna silnego światla, koloru, lata; wdzięczna i naturalna.

Znakomity postęp widzę u p. Popowskiego. Dotąd pokrewny p. Rapackiemu, teraz przerzucił się na pole motywów światla nocnego. Dlugo pokutujący w Towarzystwie Zachęty księżyc nad moczarami i groblą, był odczuty głębiéj i nadzwyczaj starannie wykończony w światłocieniu; a inny krajobraz, przedstawiający Wisłę z mieliznami w pośrodku, ze światłem miesięcznem, odbitem silnie i migotliwém w pierwszoplanowych falach wody, a już slabiéj w dalszych, wisiał stanowczo za krótko. Była to szczera noc nadrzeczna. Sąsiednie zaraz płótno tegoż artysty, także z tematem wodnym, nie wytrzymuje porównania z poprzednim.

Jeśli nie cofa się, to nie dąży naprzód p. Ciemniewski. Pierwsze, z przed półtora roku jego utwory odrazu uderzały szczerem zrozumieniem natury. „Pierwsze jagnię“, niesione przez pastucha przed stadem owiec o wschodzie słońca, było wyborne. Dzisiejsze płótna pływają w długim, sinawym sosie, w którym téż kąpią się ludzie i zwierzęta. Niekiedy najdowcipniejsze urządzenie pejzażu psuje ta generalna domieszka, że wspomnę tylko o powrocie z sianożęcia. Efektowna to była niepowszednio grupa, tonąca w półmroku leśnym o późnym zachodzie słońca, które ostatniemi błyskami oświecało głowy pary wieśniaczéj, usadowionéj wysoko na wozie z sianem i bawiącéj się dzieckiem. Było to może trochę za slodkie, ale pełne nastroju, cóż kiedy znowu spospolitowane sinym w ogólnéj plamie kolorytem.

Od czasu do czasu rehabilituje się po dziwnych swych ocenach malarskich prof. Gerson — pejzażami. Zarówno dwa górskie tatrzańskie widoki z Salonu artystycznego, jak „Cmentarz górski", są pracami prawie atletycznemi, śmiałemi i rzutowemi. Wszędzie energiczny układ, jak np. w obrazie dolin ujętych w okrągłą ramę

burych mgieł, które wiatr rozerwał nagle na szczytach, odsłaniając daleką perspektywę. W cmentarzu znakomicie są ustosunkowane barwy paru łańcuchów regli, ciągnących się jeden za drugim. Artysta ten jest mimo swe dobrze siwe włosy organizacyą świéżą jeszcze i zapalną; widać odrazu, że kompozycyi krajobrazowych — o innych tego powiedzieć nie można—nie wysiaduje mozolnie, lecz poczyna je odrazu i umiejętnie. Najwidoczniéj pod wpływem jego malowała swój „Giewont“ p. Stankiewiczówna.

Z prawdziwą satysfakcyą wspominam pejzaż p. Stypiczyńskiego; czarne, przezroczyste jeziorko śród łąk, zażółconych już jesienią i nieopodal omglonego lasu. Tchnie ono głęboką ciszą pustkowia i smutkiem spóźnionéj pory, jest pełne powietrza i subtelnych mgieł, dobrze sharmonizowanych w jedną nastrojową i kolorystyczną całość.

Z niemniejszą téż przyjemnością oddam hołd p. Pawłowi Rosenowi. Najpierw jednakże zapytam go, dlaczego urządzając obrazy na sceny zbiorowe bardzo zręcznie i z dużym ruchem, jak np. w jarmarku (Salon artystyczny) tak usilnie stara się, ażeby konie miały nogi przetrącone i rysunek już zanadto fantastycznie—kresowy. Są to wprawdzie tylko szkice, ale nawet i w szkicach rumak na złamanych nogach nie poniesie. Że zaś p. Rosen umie być realistą, nawet dosadnym i w pojedynczych figurach, to widać ze „Zbierania siana". Rzecz to niezwykle jędrna i prawdziwa w kolorycie i bardzo naturalistyczna w ruchach ludzi, w całości przyjemna i świéża. Zwłaszcza doskonałym jest parobek, dźwigający kupę siana z wysiłkiem. Zawieszony wkrótce potém obok motyw roślinności jesiennéj z różnemi odcieniami w krzakach i drzewach jest wyjątkowo dobrém rozwiązaniem częstego zadania, jak podać całą gamę tonów konającego lata, zieleń, czerwień i żółtość i sharmonizować je bez zarzutu.

Poręba lasu z kilkoma spoczywającymi drwalami pana Jasińskiego (Zdzisława) jest szczera, niewymuszona i powietrzna. A jego olbrzymie bukiety peonii i maślanek są prawdziwym majstersztykiem koloru, silnego i czystego, i drgają życiem niekłamaném.

Przyznaję, że nie wyrobiłem sobie sądu o pracowitym p. Weychercie. Jego sceny myśliwskie są podobne do tysiąca innych, a w dodatku wykonane twardo, bez wielkiego gustu, a często tchną ilustracyą albo kolorowaną litografią. Indywidualność albo dotąd ukrywa się za robotami na obstalunek albo jest uboga. Przypuszczam raczéj to pierwsze, bo „Sarny“ są naprawdę wdzięczne i szlachetne w pejzażu.

A teraz trochę wymyślania p. Trębaczowi. Wystawia bardzo dużo, więc i łatwiej go przeniknąć i ocenić i łatwo załapać na płytkości. Patrząc na ozdobne, niby rokokowe obrazki, na eleganckie ramki (i ogromny polot w oznaczaniu cen), odrazu widzimy przejęcie się Paryżem, ale—buduarowym, pewną pretensyonalność i rażącą chęć przystrojenia naszych salonów i gabinetów. Zadużo w jego malowidłach stylowéj galanteryi, jaskrawych sprzętów, materyi i cacek, które nie wyglądają naturalnie, lecz jak w sklepie japońszczyzny i gwałtownie silą się na wrażenie wytworności smaku i obycia z atmosferą rzetelnych bogiń i nimf. I niepodobna odmówić tym bawidełkom wdzięku, który potęguje się nadto zmysłem kolorystycznym i miękkością pędzla. Takim jest właśnie „Kącik mojéj pracowni“, „Zamyślona“ czy „Rozmarzona“, która nie jest właściwie uosobieniem żadnego z tych „stanów ducha“, lecz poprostu złamaną w pasie nauką, jak nie należy siedzieć na kanapie. Ale też niekiedy p. Trębacz przypomina sobie, że *noblesse oblige* i że po „Samarytaninie“ i kilku wybornych studyach, które miał w swéj pracowni („Przenosiny rodałów“) należy więcéj wchodzić w siebie, a nie macać dokoła siebie, słuchać modnego i błyszczącego świata i myśléć tylko o sławie momentu. Do takich przerw w powabnéj banalności należy miniaturowy obrazek w rodzaju Meissonierowskim p. n.: „List miłosny“, czy coś podobnego; poniekąd także prawdziwa scenka „U moich dziadków“; przedstawia ona starego mędrca w jarmułce nad talmudem, oraz jego połowicę i syna, również zatopionego w pobożnéj lekturze. Stąd przynajmniéj wieje pewne ciepło, choć trudno pojąć, dlaczego głowa wyrostka pod wąsem jest trzy razy mniejsza od głowy starca, przez co wydaje się odległą o kilkanaście kroków.

Podobne rzeczy maluje także Hirszenberg, ale z większą siłą charakterystyki. I teraz obecne na wystawie znacznych rozmiarów płótno jego jest dziełem, o którém lekceważąco mówić się nie godzi. Na cmentarzu żydowskim w szarą dészczową porę idzie ku mogile parę kobiét i załamuje ręce w rozpaczy, zanosi się od płaczu, słania się od bólu. Jeśli chodzi o prawdę realistyczną, nie brak jéj tutaj w ogólnéj fizyognomii miejsca i czasu, lecz jeśli chodzi o siłę dramatyczną, znajdziemy jéj znacznie mniéj; sprowadza się ona do ruchów zabardzo scenicznych i bardzo suchych, co nas poprostu dziwi, bo panu Hirszenbergowi tematy uczuciowe bardzo się udawały.

Chełmiński przysłał kilkanaście dzieł do Warszawy. Nie wiem nic pewnego o jego pomysłach szerszych, jak np.: „Powrót Napo-

leona z Moskwy", bo te zostały zagranicą i tylko z ilustracyi wnioskować wolno o dużym ich polocie. Ale z obecnych wypływa jasno, że to artysta wytworny, celujący wszakże głównie wykwintem, smakowitością techniki i akcesoryów. Ma on w sobie dużo „nadwornego"; prawdopodobnie też względy, jakiemi się cieszy u arystokracyi angielskiéj, wyrobiły w nim nieco zawiele dbałości o gładki pędzel i błyskotliwe a bogate stroje, mundury, sanie i powozy. Stać go jednak i na znaczne życie i na poezyę pejzażową, jak w paru mniejszych obrazkach, umieszczonych w pobliżu okna. „Miodowy miesiąc" jest za to zmanierowany, w efekcie konwencyonalny i ładnie —nieszczery. Rysunek koni wszędzie staranny, koloryt urozmaicony, oczywiście w granicach złotego środka.

Dobrze, iż mimo swéj śmierci, Bilińska żyje wciąż jeszcze w Zachęcie sztuk pięknych i przypomina się nieznanemi dotąd dziełami. Proszę popatrzyć na tego chłopa naturalnéj prawie wielkości w siermiędze, który siedzi i pali fajkę. Twarz jest rozumnie wypiękniona i delikatnie wyszlachetniona, jak gdyby po przeczytaniu „Nad Niemnem" Orzeszkowéj, twarz to mało prawdziwa, ale nadzwyczajnie pociągająca i głęboka. A przytém całość zdumiewa siłą i pewnością rysunku w ogólnym konturze i wypukłością całéj postaci; doskonale ona siedzi i wybornie jest pochylona i zamyśloną.

Dla dokładności kroniki wcieliłem w nią tę parę wspomnień o dziełach, niekoniecznie zawierających w sobie domieszkę nowych prądów, — a w dalszym ciągu przejdę do drugiego ze świeżych żywiołów.

Cezary Jellenta.



PRZEGLĄD TEATRALNY

ZA ROK 1894.

Teatr warszawski ze względu na rozmaitość zadań, jakie w sobie skupia, nazwalibyśmy jeżeli nie olbrzymiém przedsięwzięciem, to przynajmniéj niepodobném do innych tego rodzaju przedsiębiorstw. Ogarnia on i prowadzi wszelkiego rodzaju sceniczne widowiska, od oper największych i tragedyi do fars najniższych, niekiedy odznaczających się swą płaskością i cyrkowym konceptem. Właściwie jest on połączeniem trzech teatrów, wspierających się wzajem. Teatr Wielki, chociażby z natury budynku, przeznaczony na opery, wielkie całospektaklowe balety, podobno już tylko w Warszawie szanowane, i na tragedye, ratuje się nieraz nawet operetkową farsą, gdy poważne trzy rodzaje chwilowo zawodzą. Teatr Rozmaitości, przeznaczony dla dramatu i komedyi wystarcza sobie, równie jak teatr Mały, żyjący operetką i farsą a żyjący bardzo dostatnio z wielkim dla kasy, choć z małym dla sztuki, pożytkiem.

Gdybyśmy w tym przeglądzie mieli zamiar pisać o całéj działalności teatralnego przedsiębiorstwa i jego jednorocznéj działalności, musielibyśmy objąć wszystkie owe rodzaje. Ale tak szerokich zamia-

rów nie mamy. Chcemy ograniczyć się do części zostającéj w bezpośredniém zetknięciu z literaturą, z niéj i przez nią żyjącéj, do dramatu i komedyi. Chcemy zebrać wskazówki, jak ten dramat i owa komedya te dwanaście miesięcy przeżyły, jak i w jakim kierunku pracowały, czy uwydatniły postęp i jaki. Rok czasu w życiu scen bywa niekiedy bardzo znaczącym, gdy zwłaszcza zjawi się jaki talent świéży, talent rzeczywisty, czy pisarski, czy téż nawet aktorski, albo gdy publiczność objawi jakiś odmienny w swych zamiłowaniach i żądaniach kierunek. Pragniemy, ażeby z tego przeglądu, z tych zestawień faktycznych i spokojnych czytelnik sam, o własnéj sile, wyprowadził sobie co do wszystkich teatralnych czynników, pisarskich, aktorskich i publiczności wnioski, odpowiednie, czy to zadawalniające, jeżeli tak każą fakta, czy téż nie wesołéj, chociażby téj treści, np..

....Wszystko tak jak było
Tylko się ku starości bardziéj pochyliło, —

co może niejednemu i niejednéj zaśpiéwaćby trzeba. Nie sądzimy jednak, by co do naszéj sceny, w najgorszym nawet razie, poszedł ktokolwiek za zdaniem słynnego duńskiego krytyka, Brandesa, o współczesnym teatrze: „Jestto miejsce rozrywki dla ubogich duchem, dla odłamu mieszczaństwa, które nie może i nie chce nic czytać.” Brandes mógł nawet z wielu względów to zdanie silniéj wypowiedziéć, pisząc nie o ubogich, ale o nędzarzach duchem.

Dramat i komedya i w roku zeszłym nie zasypiały w robocie, chociaż ta mniéj obfite dawała owoce, aniżeli w roku poprzednim. Od 1-go stycznia do 7-go grudnia 1894 roku artyści dramatu i komedyi odegrali 308 spektakli, z tych 180 na scenie teatru Rozmaitości, 117 w teatrze Letnim, 11 w teatrze Wielkim, bez względu na niezwykle liczne w porze letniéj urlopy, z których korzystali zwłaszcza celniejsi artyści. Przez owe jedénaście, a właściwie przez owe dziesięć miesięcy, bo teatry z powodu żałoby były przez miesiąc zamknięte, dano przedstawień 308, na które składało się 18 sztuk nowych, 5 wznowionych, 53 znajdujących się na bieżącym repertuarze. Podając listę pierwszych i drugich chronologicznym porządkiem przedstawienia, załączamy w nawiasie liczbę przedstawień. Cyfra ta może służyć za miarę wywołanych przez dane dzieło w publiczności wrażeń. Im większą jest liczba przedstawień, tém wrażenia wywołane są przychylniejsze. Póki kasa bywa mniéj więcéj pełna, póty sztuka z afisza nie

schodzi, chociażby estetyczne względy przeciw temu protestowały. Tak każe interes przedsiębiorstwa, a teatr jest przedsiębiorstwem bardzo znaczném; potrzebującém zebrać około 630,000 rubli, by pokryć tylcż koniecznych wydatków.

Nowe tedy sztuki przedstawiono następne: 1) „Bajki”, komedya Bałuckiego w 4-ch aktach (przedstawiono 15 razy); 2) „Wycieczka z przeszkodami”, krotochwila w 4 aktach Edwarda Lubowskiego (13); 3) „Małżeństwo za Ludwika XV-go”, komedya w 4 aktach Dumasa ojca (5); 4) „Irena”, sztuka w 4 aktach Graybnera (12); 5) „Najlepszy z mężów”, komedya w 3 aktach, tłómaczona z francuskiego Valabregue'a (11); 6) „Nieuczciwi”, komedya w 3 aktach, z włoskiego Rovetty (8); 7) „Letnicy”, komedya w 3 aktach Przybylskiego (9); 8) „Na Santa Lucia”, dramat w 2 aktach, z włoskiego (2); 9) „Jak myślicie?” komedya fantastyczna Kaz. Zalewskiego (15); 10) „Bohatérski Le Cardunois”, komedya w 3 aktach, z francuskiego, Bisson'a; 11) „Ferreol”, dramat w 4 aktach, z fran. Sardou (18); 12) „Tułacz” (Żyd wieczny tułacz), melodramat w 11 obrazach, z francuskiego (27); 13) „Rodzinka”, komedya w 3 aktach, z franc. Germain'a (4); 14) „Wina kobiéty”, komedya w 3 aktach Emila de Girardin (4); 15) „Maruder”, komedya w 3 aktach Graybnera (3); 16) „Lidya”, komedya w 1 akcie Gensichena (2); 17) „Zjazd koleżeński”, komedya w 1 akcie Przybyłskiego (3); 18) „Sen”, komedya w 1-ym akcie Żyżkowskiego (4); 19) „Pierwszy pacyent”, komedya w 1-ym akcie Jordana (7). Dodać tu jeszcze można 20) „Dorynę”, komedyę z włoskiego, w 3 aktach Rovetty przedstawioną już po 7 grudnia.

Wznowiono: 1) „Właściciela kuźnic”, komedyę w 5 aktach Ohneta (dano ją 16 razy); 2) „Rodzinę Fourchambault”, komedya w 5 aktach Augier'a (8); 3) „Walkę kobiét”, komedya w 3 aktach Scribe'go (11); 4) „Poskromienie złośnicy”, kom. w 5 aktach Szekspira (11); 5) „Grube ryby”, komedya w 3 aktach Bałuckiego. Wznowiono „Małgorzatę Gauthier” (Dama kameliowa) już w d. 19 grudnia z powodzeniem bardzo wątpliwém.

Razem przedstawiono sztuk nowych i wznowionych dwadzieścia sześć, aktów przeszło dziewięćdziesiąt. Nie próżnowano więc, nie zalegano pola, szukano téż na rozmaitych polach i próbowano, chociaż próby te niezbyt szczęśliwie wypadały. W każdym razie nie wypadały tak pomyślnie, jak w roku poprzednim, kiedy to „Flirt” p. Bałuckiego doszedł do sześćdziesięciu przedstawień, a „Nauczycielka” p. Koziebrodzkiego z jakie czterdzieści razy znajdowała się na

afiszu, chociaż żadna z tych dwóch komedyi do arcydzieł liczyć się nie może, a nawet każda, zwłaszcza „Flirt”, dopuszcza się grzechów przeciw estetycznemu smakowi, naciągając zbytecznie dramatyczne efekta. Rzecz warta zaznaczenia, że na publiczność więcéj pociągające wrażenia wywierały te usterki, grające na uczuciowych nerwach, aniżeli poprawniejsze części téj komedyi. Utwierdza to tylko dawne spostrzeżenie, iż usposobienie publiczności często się nie zgadza z mniéj wrażliwszym sądem krytyki, doświadczonéj i spokojnéj. Tak samo w roku 1894 największe powodzenie (27 przedstawień) miał stary świeżo wznowiony melodramat „Tułacz”, przerobiony przed laty czterdziestu przeszło z bardzo wówczas czytanéj powieści Eug. Sue, a przepełniony najjaskrawszemi efektami. Już przed laty czterdziestu melodramat, posiadał także wielką przyciągającą siłę, którą u nas przypisywano znakomitéj grze Królikowskiego w roli jezuity Rodina, oraz polemicznéj treści owéj sztuki. Dziś polemiczność ta nie posiada żadnego znaczenia, Królikowski dawno umarł, a jednakże „Tułacz”, wprawdzie wogóle dobrze grany, pomimo swych starych melodramatycznych form, przyciąga jeszcze drugie czy trzecie pokolenie wychowane na tworach i teoryach naturalistycznéj szkoły, domagające się tak zwanego modernizmu, realizmu, weryzmu, szyderstwem kopiące romantyzm, którego „Tułacz żyd” jest najzuchwalszym potomkiem scenicznym.

Gdyby to tylko u nas ów „Tułacz” miał takie powodzenie, wrogowie tego przedawnionego czy przestarzałego kierunku mogliby oskarżać o ten bunt przeciw ich teoryom, mającym odrodzić i odmłodzić teatr, naiwność i zastałość publiczności warszawskiéj. Ale w tymże prawie czasie wskrzeszono go w Paryżu, w téj stolicy wszelkiego nowatorstwa scenicznego. I w przeciągu niespełna roku miał on przeszło 100, wyraźnie *sto*, przedstawień w teatrze Chatelet, który tylko tym szczęśliwym pomysłem uratował się od bankructwa, tak go zrujnowały, tak mu odpędzały publiczność sztuki nowego autoramentu. Zgrzybiały Rodin i przekwitła Adryana świecili i tryumfowali w Paryżu właśnie w chwili, gdy wielki i szeroko sławiony Antoine, przedsiębiorca Théatre Libre, który miał odmłodzić i przerodzić teatr współczesny, zbankrutował i wynosił się z Paryża na wędrówkę, by zebrać coś grosza sztukami mniéj osławionéj młodości i mniéj cuchnącéj świeżości.

Rozpatrzmy się nieco w powyżéj podanych z warszawskiéj sceny cyfrach. Najwyższe powodzenie osiągnął „Żyd wieczny tułacz”

(afisz daje tytuł skrócony) 27 przedstawień, najsromotniejszy upadek spotyka dramat *Na Santa Lucia*, utwór najjaskrawszego włoskiego *weryzmu*, bo ledwo przeciągnięto go przez dwa przedstawienia. Wprawdzie są jeszcze sztuki, a pomiędzy niemi jedna oryginalna, które także ledwo po dwa razy można było narzucić publiczności. Jest téż dwie jednoaktówki oryginalne, z których jedna ledwo trzy, druga ledwo cztery miała przedstawienia. Ale te nie należą do przedstawicielek téj lub owéj ze szkół nowych, owszem, należały do szkoły bardzo staréj, znanéj od wieków, a która się szkołą lichoty czy nędzoty nazywa. Szkoła ta opiéra się na téj zasadzie: autor nie wié dlaczego swe arcydzieło napisał.

Po „Tułaczu" największe powodzenie miał „Ferreol" (18 przedstawień), komedya Sardou, tego Sardou, którego w Paryżu wszyscy przedstawiciele rozmaitych nowych kierunków, zaczynając od p. Becq, autora „Paryżanki" i „Kruków", oddawna potępili jako „starą perukę", jako trutnia i zawalidrogę, którego i u nas hałaśliwsi obrońcy modernizmu ogłosili za płodnego tylko fabrykanta i lichego szkoły Scribe'go ucznia. W tych zarzutach, gdyby z mniejszą natarczywością i bezwzględnością stawianemi były, możeby się znalazły i prawdy zwłaszcza co do pewnéj liczby sztuk tego bardzo zręcznego pisarza. Przesada jednak szkodzi prawdzie. Do dziś dnia, pomimo wszystkich przeciw niemu zamachów, stary Sardou jest panem nietylko swéj paryskiéj, ale i innych publiczności. „Ferreol" jest jedną ze słabszych jego sztuk, a jednak dał sobie radę u nas bez żadnéj pomocy. *Madame sans Gene*, przedstawiona w roku zeszłym, nietylko była jedyną sztuką w Paryżu, mającą istotne wielkie powodzenie, ale obiegła już większą część znakomitszych teatrów po różnych stolicach lub większych miastach Europy, wszędzie dobrze przyjmowana.

Nietylko nawet Sardou, ale i Scribe, a nawet, co dla nas dziwniejsze, Ohnet bije u nas werystów i modernistów włoskich, jak p. Rovetto. Rovetto — pisarz to z talentem niezaprzeczonym, patrzący na świat uczciwie a z wysoka, starający się wejrzyć głębiéj w społeczeństwo swe, zatém i w ogólno-europejskie, a jednak nie ma u nas łaski. Jego „Nieuczciwi", rzecz głębiéj pomyślana, dociągnęła zaledwie do 8 przedstawień, „Doryna", także świadcząca o głębszém badaniu i sądzie, chociaż nacechowana pewną pesymistowską pogardą ludzi, prawdopodobnie ledwo do téj cyfry dojdzie, kiedy „Najlepszy z mężów" (francuski tytuł jest właściwszy: *Le premier Mari de France)*, farsa Valabregue'a, miał 11 przedstawień. Dobrze, że tak mało, chociaż „Rodzinka", komedya francuska, miała ich jeszcze

mniéj, bo tylko cztery. Prawda, że podścielisko téj ostatniéj jest smutne, ale jakże prawdziwe. Czyżby się u nas zmienił smak dla współczesnéj komedyi francuskiéj? Nie możemy temu wierzyć, widząc 16 przedstawień téj od lat tylu ogranéj czułostkowéj ramoty, jak „Właściciel kuźnic" Ohnet'a. Niektóre dzieła w czépku na świat przychodzą. Ten romantyczny kowal ma wszędzie szczęście; mieszczaństwo przepada za nim, nie zważając na Brandesowe przekleństwa. Jakkolwiek i nam „Właściciel kuźnic", za którym nie przepadaliśmy nigdy, naprzykrzył się oddawna, syty szablonową etyką i zużytemi motywami, jednakże musimy przyznać, że to jego uparte życie, bo i na paryskich scenach jeszcze się kołacze, musi miéć powód i czegoś dowodzić. W przeglądzie rocznym nie podobna się wdawać w psychologię publiczności, w jéj zamiłowania wrodzone i wstręty, można jednak napewno wyprowadzić sobie z tego punktu wniosek, że żadna ze szkół nowych nie odniosła jeszcze zwycięstwa nawet nad takiemi rupieciami szkoły staréj. Czy je kiedykolwiek odniesie? Być może, ale tylko w takim razie, gdy ją prawdziwy i wierzący w swą sprawę talent do boju poprowadzi. Tak było z detronizacyą szkoły pseudo klasycznéj przez romantyzm. Dzisiejszejsze walki wyglądają nie jak bój o prawdę i piękno, ale jak kłótnie przekupek o opanowanie na targu.

Jeżeli od tłómaczonych zwrócimy się do sztuk oryginalnych, znajdziemy się na spokojniejszém polu. Nie spotkamy tam szkół, chyba w krytycznych rozbiorach, na scenie wszyscy zdają się wychowańcami jednéj wszechnicy. Różnice są, ale tylko indywidualne, wynikające z rozmaitości usposobień, zależne zwłaszcza od stopnia talentu, doświadczenia, wyrobienia i znajomości swych słuchaczy. Zdarza się niekiedy, że ten lub ów zawadzi o jaką z świéżych teoryi filozoficznych, że pali kadzidła determinizmowi, spadkowości wad lub przymiotów, zwykle jednak owe tezy nie wychodzą jasno. Zdarza się téż, że kogoś w swe sidła ulowi zagadkowy Ibsen, albo inny z popłatnych dziś Skandynawów, ale to nie na długo. Zawsze nasz autor byle miał tylko choć odrobinę talentu, wyśliźnie się z téj matni, chociaż nieco pod szarpany. Kara za to, że nie chciał być sobą. Zdarza się także, iż poprostu pożyczamy jakąś formę fantastyczną, czy naturalistyczną, od którego z rozgłośniejszych cudzoziemców, publiczność nasza jednak, wielka zwolenniczka jasności na scenie, nie lubi bawić się w zgadywanego. Więc czy to w wyliczonych sposobach naśladownicwnictwa, czy w innych pominiętych, nie ma dotąd wielkiego niebezpieczeństwa tam, gdzie jest talent.

W tém biéda, że talentów tych jest mało, coraz to mniéj i że młodych nie przybywa, dawniejsi zaś w świéżych dziełach zdradzają oddziaływanie lat i ciężkiego pisarskiego trudu. Piszących jednak nie brak. Na ostatnim konkursie warszawskim w 1893 r. stawiło się ich coś koło czterdziestu. Na nierozstrzygnięty jeszcze konkurs lwowski 1894 r. przysłano już 37 dramatycznych wyrobów. Cóż z tego? Wiemy, jak dziwne wydał rezultaty konkurs warszawski. Teatr wprawdzie na konkursie sowicie zarobił. „Flirt" p. Bałuckiego zapewnił mu 65 dobrych przedstawień, tę cyfrę widzieliśmy niedawno na afiszu. „Nauczycielka" nie była tak szczodra, wszakże opłaciła się bardzo korzystnie. Ale co zarobiła na nich sztuka? Co zarobiła literatura na tych tak bardzo popłatnych, udatnych nawet przy dobréj grze, przyzwoitych, przeciętnie dobrych sztukach. Nie wspominalibyśmy o „Szarém życiu", które z trudnością pięć przedstawień przeżyło, gdyby ta sztuka, zalecona przez konkurs do grania, nie zmuszała do smętnych domysłów co do owéj reszty, podobném odznaczeniem nie zaszczyconéj. Może dzisiejszy konkurs lwowski będzie szczęśliwszy.

Z tego jednak i z dawniejszych podobnych doświadczeń dochodzimy do wniosku, że jest wiele samopowołanych, mało jednak nie już wybranych, ale istotne powołanie na pisarza dramatycznego zdradzających. Pod tym względem *mutatis mutandis* naśladujemy także inne literatury Europy. W Niemczech skarżą się coraz bardziéj na nadprodukcyę dramatyczną. Podaż, mówiąc po kupiecku, jest kolosalna i ciągle się zwiększa, zapotrzebowanie zaś jest małe, chociaż Niemcy w saméj Europie mają dwieście kilkadziesiąt samoistnych dużych teatrów, czy to dworskich, czy miejskich, czy prywatnych, przez wielkie spółki akcyjne zakładanych. Według ostatniego rocznika teatralnego od października 1893 r. przeszło 600 rozmaitych nowych sztuk teatralnych wszelkiego rodzaju, dramatów, komedyi, oper, operetek, licząc w to i tłómaczenia, pojawiło się na targu dramatycznym niemieckim. Z tych ledwie 400 doczekało się jakiego takiego przedstawienia, lub go oczekuje, reszta skazaną już została na pogrzebanie w koszu. Te 600 sytuk przedstawia tylko część produkcyi, znaną wydawcy Rocznika, gdyż liczba sztuk nowych, znanych chociażby tylko z tytułu, w biurach dyrekcyi teatralnych, jest nieskończenie większa. Tak np. jednemu tylko dyrektorowi przed otwarciem teatru Raimunda (w Wiedniu) przysłano około tysiąca sztuk, z których 218 z liczby téj odczytano (resztę, po przerzuceniu pobieżném, odrazu rzucono do kosza), z tych zaś 218 zaledwie 14 można było do grania wybrać. Ludwik Barnay w sprawozdaniu ze swéj sześcioletniéj dyrekcyi Berlińskiego

teatru pisze, iż przez owe sześć lat otrzymał 2,375 dzieł dramatycznych nowych do zbadania, z których ledwie 50 uznano godne nauki. Gdyby tylko dziesiący procent z tych niefortunnych fabrykatów dramatycznych był coś wart, to ani pod względem duchowym, ani pod względem fizycznym aktorowie nie daliby rady tej robocie, „przedewszystkiém zaś Schiller, Goethe, Lessing, Szekspir, i inni wielcy, starsi lub bliżsi nas, musieliby pójść na wieczne czasy do kąta".

We Francyi takaż sama nadprodukcya, może nawet większa, aniżeli w Niemczech, tylko, że ją cyfrowo skontrolować trudno. Centralizacya i pod tym względem daje się krajowi we znaki. Pomimo miast ludnych i bardzo bogatych, mających niekiedy po kilka teatrów, prowincya nietylko nic nie pisze, ale niczego słuchać nie chce, na czém Paryż wprzód nie położył swego stempla. Obyczaj prowincyi jednak bardzo często różni się od paryskiego, stąd różnice zdań, sarkania na smak zepsuty, na plugastwo nowych szkół, stąd walki pomiędzy tak zwanymi postępowcami nowéj szkoły, zwłaszcza naturalistycznéj, a zacofańcami, wymagającym od sceny czegoś innego, jak popędy zwierzęce i przedstawianie cuchnących brudów, które owa szkoła za jedyną prawdę w człowieczeństwie uważa.

Dla objaśnienia przytoczymy tutaj szczegóły, dotyczące komedyi dwuaktowéj pod tytułem „Boubouroche", przedstawianéj u nas z niemałém powodzeniem w 1893 r., a jeszcze w 1894 trzy razy powtarzanéj. Przedsiębiorca Wolnego teatru, zmuszony wędrować na prowincyę z swą trupą, zamieścił i tę komedyę w swym repertuarze, jako jedną z przyzwoitszych, albo raczéj najmniéj drapieżnych. Jeden z felietonistów paryskich znajdował się na przedstawieniu téj sztuki w którémś z większych miast departamentalnych i tak pisze o wrażeniu, jakie ona tam wywołała:

„...Jakże nauczającemi są rozmowy publiczności w międzyaktach! Jak uderza każdego bolesne zdziwienie widzów najszczerzéj uczciwych wobec téj wystawy głupoty i podłości ludzkiéj; a jakże ciekawym z drugiéj strony jest podziw i zawczasu przyniesione do teatru uwielbienie tych, niby tęgich głów, krzyczących, że znają nawskroś serca kobiét i żadnych już nie posiadają iluzyi."

Jakkolwiek jednak teatry paryskie, przerażone wrzaskami adeptów nowéj szkoły, czy szkół, pasły swą publiczność sztukami, jak „Boubouroche", jak „Kuzynka", jak „Rodzinka" i inne podobne, znajdujące się na warszawskim repertuarze, wciągu ostatnich czterech lat publiczność coraz bardziéj odwracała się od teatrów, kasa stawała się

coraz chudszą. W roku 1891 dochód z dwudziestu teatrów paryskich wynosił 23,599,657 franków, w 1892 spadł na 22,533,316, w 1893 obliczono go tylko na 21,734,270. Zatém w przeciągu lat trzech dochód zmniejszył się prawie o 10 procent. Kilka teatrów zbankrutowało i przeszło w inne ręce, dyrektorowie ich stracili cały majątek, dwóch z powodu strat pieniężnych dostało pomieszania zmysłów. W 1894 r. nie obawiają się przynajmniéj zmniejszenia. Ratuje położenie coraz silniejszy zwrot ku staréj szkole. Augier, Sardou, Dumas, Sand, nawet starszy od nich Scribe, wrócili na afisz. Na początku grudnia Gymnaze wskrzesił jedną z najstarszych sztuk Dumasa *La question d'Argent*, przedstawianą w 1857 i nią się ratuje.

Nie przez naśladownictwo, ale z popędu naturalnego ten sam zwrot i u nas się objawia. Buburosze przejadły się. Jeżeli o tłómaczone sztuki chodzi, to zacytować można, że w roku, kiedy farsa Valabregue'a doszła zaledwie do 11 przedstawień i prawdopodobnie na tém skończy, dobrze ograny „Półświatek" Dumasa miał przedstawień 13.

Nawet w sztukach oryginalnych dostrzegać się daje pewna przewaga dawniejszych sztuk tych samych autorów nad ich nowemi pracami. Kiedy świéże „Bajki" Bałuckiego z biédą, bo ze zmianami, doszły zaledwie do 15 przedstawień, jego stary „Dom otwarty", ograny przez lat dziesiątek, umiany prawie na pamięć przez publiczność, z łatwością zdobył w roku zeszłym 7 i to dobrych przedstawień, wznowione zaś „Grube ryby", jedna z nalepszych komedyi tego pisarza, miały przedstawień 12. Pan Kazimierz Zalewski swoją komedyę „Jak wam się podoba" pracowicie obmyślaną i ciężko, ale z talentem obrabiającą zagadkowo podany fakt moralny, doszedłszy do 15 tylko przedstawień, może sobie powiedział: „Doprawdy, nie warto tyle sobie trudu dla nich zadawać. Moja farsa „Oj, mężczyźni! mężczyźni!" machnięta była bez żadnego zachodu, a jednak nieskończenie więcéj zrobiła i jeszcze się trzyma; tymczasem z tém nowém dzieckiem méj muzy, pomimo chrztu szekspirowskiego, jakie dostało i komentarzy paszportowych na drogę, nie wiadomo, co będzie i jak długie jego życie na scenie. Bo wygląda jakoś dychawicznie. A uczciwa była to dziecina. Że żyć będzie w książce, mało mnie to obchodzi."

Pan Graybner téż może o ubiegłym roku nie wydać wdzięcznego sądu. Niezaprzeczenie jestto zdolność niepoślednia, talent istotny, temperament dramatyczny potężny, czasami zanadto siłą wojujący, łamiący się jeszcze z brakiem doświadczenia, lubujący się w barwach jaskrawych, nie dbający o półcienie, chociaż je rozumie i niekiedy szczęśliwie używa. Jego „Irena" miała 12 przedstawień.

Może zasługiwała na więcéj, bo była także bardzo dobrze grana. Dlaczegóż późniejszy od niéj „Maruder" miał tych przedstawień tylko trzy i to nie zbyt zachęcających? Dlaczego zarzucano autorowi, że „Maruder" nie wart być bratem „Ireny". Może on zresztą wcześniéj ujrzał światło dzienne od swéj siostry, ale chodzi tutaj tylko o światło kinkietowe.

P. Lubowski dał w roku zeszłym tylko krotochwilę 3-aktową wesołą, z humorem i dobrze napisaną, która pod względem powodzenia żadnemu z jednocześnie przedstawionych dzieł nie ustępuje. Szkoda, że nie dał więcéj, ma bowiem podobno to i owo w tece. Jego „Bawidełko", sztuka, poważny temat traktująca bardzo efektowo, przedstawiona dwoma laty wcześniéj, jeszcze w roku zeszłym miała 4 dobre wieczory.

Pan Przybylski z westchnieniem zapewne przypominał sobie owe dawne stare czasy „Wicka i Wacka". W roku zeszłym jego „Letnicy" doszli ledwo do 9 przedstawień, „Zjazd koleżeński" ledwo do 3 i pewno już się nam więcéj nie ukażą, o co się nikt nie zmartwi. Płodny ten autor, pełen talentu w wynajdywaniu efektownych tytułów i pomysłów do komedyi, niefortunny w obrabianiu tychże pomysłów, które zwykle psuł swém dotknięciem, nie przestaje służyć scenie. Służy jéj wszakże tylko jako dyrektor teatru lwowskiego, nie zaś jako autor i dostawca komedyi. Zapewniają, że te nowego rodzaju usługi nietylko są dla sceny daleko pożyteczniejsze, aniżeli owe dawniejsze, coby nie było wiele, ale że są naprawdę bardzo pożytecznemi. Prawdopodobnie więc na konto roku 1894 przyjdzie zapisać ubytek autora „Wicka i Wacka" z grona pisarzy dramatycznych. Jak widzimy z wyliczenia sztuk, na jego miejsce nikt nowy nie przybył. P. Przybylski liczy się już do starego repertuaru, ale tylko z powodu „Wicka i Wacka", oraz „Dworu we Władkowicach", które to komedye przedstawiono w roku zeszłym po parę razy wraz z dwoma obrazkami. O innych zapomniano już zupełnie, chociaż te wcześniejszemi były.

Dziwna rzecz, jak krótkie życie ma większa część sztuk naszych dzisiejszych pisarzy, chociaż nawet zrazu sztuki te bywały dobrze przyjmowane, kiedy dawniejsze, liczące już niejedną lat dziesiątkę, jak np. „Marcowy kawaler" Blizińskiego, jakkolwiek nie jest już tak grany jak za czasów Żółkowskiego, Bakałowiczowéj, Chęcińskiego, jeszcze żyją i dobrze żyją. Taka np. „Posażna jedynaczka" Fredry ma już z ćwierć wieku, a w r. z. widzieliśmy się z nią 9 razy. Co za potężne jeszcze życie musi tętnić w „Damach i huzarach" starego Fredry lub w jego „Zemście za mur graniczny", które w roku zeszłym

widzieliśmy po kilka razy (5 i 3). Jak te sztuki trzymają się własną siłą, bo aktorowie już nic dla nich zrobić nie umieją. Coby to było, gdyby sztuki te były grane, chociażby już nie tak, jak je przed laty czterdziestu i więcéj widzieliśmy, ale gdyby ich nie puszczano na fuszerkę, gdyby je grano jeżeli nie już dobrze, to przynajmniéj z uszanowaniem należném. Oto, w czém leży przewaga pisarzy szkół dawnych, czy to klasycznéj, jak Fredro, czy wielkiéj romantycznéj. Potęgą talentu i wykończeniem żyją owe sztuki życiem własném, nie potrzebując się prosić o łaskę aktorów, którzy ich często rozumiéć nie mogą, chyba, że są tak płytkie, a zarazem tak efektowne, jak „Tułacz". Oto, czém się tłómaczy ów zwrot ku dawnym, jaki zaznaczyliśmy, będący nawet u nas cechą 1894 r. Jestto jedyny objaw, którybyśmy nazwali postępem, bo znaczy nawrócenie i poprawę smaku. Zaniechano nawet zapowiadanych dalszych prób z Ibsenem, pomimo uporczywych dowodzeń fanatyków tego pisarza niepospolitego, ale rozmiłowanego w ciemnych, niekiedy i dla jego własnego sądu, zagadkach. Czy to nawrócenie do zdrowszego, bo jaśniejszego kierunku estetycznego długo się utrzyma i jakie wydać zdoła owoce dla naszego teatru, to może rok bieżący wyjaśni; w każdym razie rok zeszły na polu saméj sztuki dramatycznéj nie odznaczył się żadnym wybitniejszym wypadkiem.

Nie lepiéj jak ze sztukami, szło mu także z aktorami. „Wszystko tak, jak było..." I tutaj także teatr nasz podziela losy innych teatrów europejskich, które pod względem aktorskich talentów niepokojąca od jakiego dziesiątka lat przeszło dotknęła posucha. Trzymają się one przedewszystkiém siłami doświadczonemi, wypróbowanemi, ale już przez lata podciętemi. Sara Bernhard, która dziś króluje w Paryżu i którą przed laty dwoma podziwialiśmy w Warszawie, genialna i niespożyta Sara ma lat pięćdziesiąt z górą. Rówieśniczką jéj jest sławna z piękności pani Wolter, a gdy niedawno usunęła się ze sceny chwilowo, wiedeńczycy byli w rozpaczy, czy kto ją zastąpić zdoła. Moglibyśmy dobitniéj to wykazać innemi, powszechniéj nam znanemi, wolimy jednak ograniczyć się ogólnikową wzmianką, że wiek Sary jest także wiekiem najznakomitszéj polskiéj artystki, uwielbianéj, podziwianéj i nie zostawiającéj po sobie następczyni. Z mężczyznami nie lepiéj się dzieje. Zdarzają się między nimi nietylko zdolności, ale i talenta nawet w pewnym danym kierunku, a chociaż w tém lub owém nie dorównywają swoim poprzednikom, jednakże i tych dzisiaj zastąpić niepodobna. Potrzeby zresztą gwałtownéj nie ma, są w wieku średnim, a mężczyzna, od tego wieku zaczynając, wytrzymalszy jest na mrozy lat, aniżeli kobiéta. Pomimo tego, jednak teatr nasz o przyszłości myśléć powinien. Myśli więc i szuka

ale szuka napróżno. W roku zeszłym, tak samo jak w poprzednim. przedefilowała na deskach sceny pewna liczba debiutantów. Nietylko nie spotykano pomiędzy niemi żadnéj jakiéjś odznaczającéj się zdolności, ale nawet trudno było wybrać gotowych na tak zwaną za kulisami „użyteczność", dobrych na te podrzędne role, które w szanującym sztukę i siebie teatrze także starannie obsadzonemi i odegranemi być powinny. Dawniejszy podobny werbunek nakazywał zresztą ostrożność. Zawodów było zbyt wiele.

I w tym aktorskim świecie zapanowała także jakaś anemia, nie wyłączająca wcale zarozumiałości i odpowiednich jéj roszczeń, sztukę zaś coraz bardziéj usuwająca z rachuby. Zapału prawdziwego, czynem wyznanego, nie ma co w owych debiutantach szukać. Prędzéj jeszcze może znajdzie się w starszém pokoleniu. I o nich także można powiedziéć, że samopowołanych jest tłum, o rzeczywiste powołania coraz to trudniéj. Jeżeli autor, mając w sobie materyału na jeden lub dwa akta, pisze komedyę czteroaktową, robi to dla podwojenia nędznego zarobku, jaki ta praca jemu u nas zapewnia (100 rubli za akt, rzadko nieco więcéj), tak samo debiutant myśli tylko o kontrakcie, który kilka dziesiątków rubli na miesiąc obiecuje, dając mu za jego lichą pracę liche utrzymanie. Dawne rozprawy o idealizmie i realizmie w sztuce scenicznéj, o jéj powołaniu i potędze duchowéj, o jéj poezyi lub prozie zamilkły w tym światku nawet młodym. Prawdopodobnie wyśmianoby kolegę, któryby z prologu Ujejskiego przypomniał ten pyszny wiersz:

> Dawniéj Moliera w święconéj ziemi
> Nie chciano grześć!
> Teraz wy równi między wybranemi —
> Jak bohatérom natchnienia i czynu.
> Wolno wam liście wawrzynu
> Na czole nieść!

Gotowi są wprawdzie jeszcze twierdzić, że aktorowie są kapłanami ideału, ale od tych niedawnych lat, kiedy Ujejski swój prolog pisał, kapłani ci mieli czas do stracenia wiary w swój dogmat, natchnienie coraz doszczętniéj przehandlowując na rutynę, pomysłowość i indywidualność zastępując szychem maniery, sztukę sprowadzając do form rzemiosła. Są to objawy nie nowe, ale dziś stały się powszechnemi. Już przed trzydziestu kilku laty pisał Korzeniowski:

„Do sztuki aktorskiéj, upośledzonéj tylko dlatego, że instrumentem nie jest kawałek drzewa, ale sam człowiek, do sztuki trudnéj i rozległéj, idzie lada żak, lada garderobiana, zachęcona pozorną ła-

twością, każdemu się zdaje, że dosyć poszamotać się trochę i roli nauczyć! Co za głupstwo, co za złudzenie..."

Coby też dziś ten sam Korzeniowski napisał? Znał on jeszcze i dobrze znał naszych wielkich aktorów, których powaga sprawiała, że się przynajmniéj „roli uczono". Dziś i to uważają aktorowie za zbyteczne. Kto w którym z przyszłorocznych przeglądów będzie mógł donieść o zjawieniu się na scenie warszawskiéj jakiego wielkiego aktora, to z pewnością z tą wiadomością połączy i tę, że nastąpiło odrodzenie całego aktorskiego grona. Są i inne ku temu drogi, ale ta byłaby może najprostszą. Rok 1894 szedł bez takiego genialnego zbawcy, więc pozostało „wszystko tak jak było"... jak zaś było—starałem się naznaczyć.

Czy może tu przyjść z pomocą publiczność? Teoretycznie mogłaby, praktycznie jest ona bezsilną. Dziwnie losy sprzęgły tą spółkę: autorów, teatr i publiczność. Ci potrójni bracia siamscy oddziaływają na siebie wzajemnie. Powiedział jakiś historyk teatrów europejskich: „Łatwiéj publiczności wychować sobie teatr, niż teatrowi publiczność." Takby się zdawało, takby może było, gdyby publiczność sama wiedziała czego chce. Dlatego Börne miał praktyczną słuszność, pisząc przed sześćdziesięciu laty: „Stały teatr danéj miejscowości jest rzadko lepszy, ale n i g d y g o r s z y od słuchaczy w nim zebranych." Göthe, który despotyczną pięścią chciał rządzić aktorami i nawracać publiczność, mawiał do pierwszych: *Wer dem Publikum dient, der ist ein armes Thier* (kto publiczności służy, ten jest biednêm bydlęciem). Bez publiczności jednak trudno było żyć nawet na dworskiéj wejmarskiéj scenie, z któréj, przy pomocy artystów, wygryzł, jak wiadomo, wielkiego poetę wędrujący pudel. To też Goethe, nauczony doświadczeniem, takie zdanie kładzie znacznie późniéj w usta publiczności:

Lose fassliche Geberden
Können mich verfüren,
Lieber will ich schlechter werden,
Als mich ennuiiren!

(Luźne, łatwe do zrozumienia ruchy—Mogą mnie uwieść—Wolę stać się gorszym,—Aniżeli się nudzić). Wolę być gorszym, wolę smak dobry stracić zupełnie, wolę zerwać z poezyą, z ideałem, z wszystkiém co piękne, wolę hołdować cyrkowemu błazeństwu, aniżeli się nudzić! To hasło słyszeliśmy nieraz i oddawna, nigdy jednak tak dobitnie powtarzane, jak w roku zeszłym, w którym taką niedorzeczną, ciężką i niesmaczną ramotę, jak „Ciotka Karola", teatr Nowy musiał dać prze-

szło pięćdziesiąt razy prawie z rzędu, by zadośćuczynić ciekawym tysiącom. Ponieważ teatr ten mieści przeszło 700 widzów, więc licząc przeciętnie po 500 na przedstawienie, blisko 30,000 Warszawian podziwiało w roku pańskim 1894-ym ten angielski utwór i jego ciężkie, jak zakalec plumpudingu, angielskie koncepty. Jestto może najciekawszy wypadek zeszłorocznego teatralnego żywota, dość znamienny zresztą jako materyał do psychologicznych badań nad publicznością naszą. Börne miał słuszność, ale i Goethe także.

Józef Kenig.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Andrzéj Morsztyn, przedstawiciel baroku w poezyi polskiéj, przez Edwarda Porębowicza. W Krakowie. Nakład Akademii Umiejętności. 1893 str. 95.

Ze wszystkich pisarzów naszych XVII-go stulecia najwięcéj zajmowano się Andrzejem Morsztynem, którego, jako poetę, poznaliśmy naprawdę dopiéro w wieku bieżącym, gdyż teraz dopiéro pisma jego wydobyto z rękopismów, a pierwsze całkowite ich wydanie ukazało się w r. 1883 w Warszawie. Zasługiwał on na to żywe zajęcie, jako największy artysta słowa w stuleciu XVII-ém. O ile pomysły jego były oryginalne, trudno było na razie ocenić, lecz piękno wyrażenia uderzało natychmiast każdego, kto miał choć jako tako wyrobiony zmysł estetyczny.

Pociągnięci tą pięknością formy badacze albo wcale nie troszczyli się o pochodzenie pomysłów i sposobu ich uzewnętrznienia, albo nawet napadłszy na ślad wpływów obcych, nie przywiązywali do nich wielkiéj wagi. Pierwszy Nehring starannem i sumiennem zestawieniem „Psychy" Morsztyna z poematem głośnego pisarza włoskiego Marina, wszedł na drogę odkryć, określających stosunek naszego poety do współczesnéj mu i nieco dawniejszéj literatury. Za nim podążył Tytus Świderski i odnalazł kilka podobieństw pomiędzy wierszami lirycznemi Marina, a poezyami autora „Kanikuły" i „Lutni". Z niewiadomych, a trudnych do odgadnięcia przyczyn, nie wczytał się dość pilnie w „Lirę" Marina i nie wyśledził całego szeregu pożyczek, jakie Morsztyn wziął od niego zarówno w pomysłach, jak i wyrażeniach.

Dokonał tego dopiéro p. Edward Porębowicz, dotychczas znany, jako świetny tłómacz poetów obcych i znawca literatur romańskich.

P. Porębowicz, oczytany w poezyi obcéj (włoskiéj, hiszpańskiéj, francuskiéj) XVII-go wieku, bez trudu odnalazł właściwy punkt widzenia, z którego twórczość Morsztyna oceniać wypada, zaliczając go do grupy tych poetów, którzy we Włoszech miano „konceptystów", w Hiszpanii — „kultystów", we Francyi — *précieux*, w Anglii — „eufuistów" nosili, a których wspólną cechą jest zamiłowanie w nadmiernie kwiecistym stylu, w przenośniach wyszukanych, a częstokroć naciąganych, w ubieganiu się za konceptem wyrazowym, jedném słowem, chęć zadziwienia czytelnika wszelkiemi możliwemi sposobami, a unikanie prostoty i naturalności, jako zabytku epoki nieukształconéj.

Gdzie było źródło tego przesadnie kwiecistego stylu, posługującego się wszelkiemi figurami retorycznemi, a zwłaszcza antytezą? Oddawna już dopatrywano w pisarzach łacińskich rodem z Hiszpanii najpierwszych inicyatorów tego sposobu wypowiadania myśli, datując od nich t. zw. srebrną dobę w rozwoju literatury rzymskiéj. P. Porębowicz uwzględniając ten fakt i zastanawiając się nad stylem pieśni ludowych hiszpańskich, skłania się do mniemania, że jakkolwiek wiele z cech stylowych konceptyzmu mogło samorodnie powstać we Włoszech, to przecież wzór literacki dla poetów włoskich z końca XVI-go wieku przyszedł z Hiszpanii — mianowicie zaś skłonność do „niepomiernéj antytezy".

Na Morsztyna oddziaływali głównie poeci włoscy, a szczególniéj Marino, którego pisma wystudyował nasz poeta starannie i z wielkiém zamiłowaniem, tak, że niewątpliwie dużo jego utworów musiał umiéć na pamiéć. Chcąc wykazać ten wpływ poezyi włoskiéj, p. Porębowicz systematycznie, a wielce szczegółowo rozpatruje: s t y l, t r e ś ć i f o r m ę poezyi Morsztyna, zestawiając je ciągle z analogicznemi szczegółami w utworach poetów włoskich, t. zw. *seicento*, a mianowicie Marina.

Są w tych zestawieniach powtarzania, wynikłe z trochę drobiazgowego i niecałkiem uzasadnionego podziału czynników, składających się na utwór poetyczny. Zazwyczaj w jego rozbiorze odróżniamy jedynie t r e ś ć od f o r m y. Autor nietylko odszczególnia od formy s t y l, traktując go osobno, ale nadto wyraźnie f o r m ę w e w n ę t r z n ą od z e w n ę t r z n é j. Formą wewnętrzną nazywa „wielorakie figury układu stylowego", jako to „układ I k o n u, układ r ó w n o l e g ł y (Paralela), p r z e c i w l e g ł y (antyteza), układ c y k l i c z n y". Z tego określenia formy wewnętrznéj wynika już jasno, że mamy tu do czynienia ze s t y l e m, który, jak wiemy, osobno jest rozpatrywa-

ny przez autora. Istotnie, jeżeli zajrzymy do tego rozbioru, to napotkamy tam dwie grupy figur poetyckich: metafory, oraz antytezy i kontrasty. Jakaż jest różnica między antytezami i kontrastami, zaliczonemi przez p. P. do części składowych stylu, a układem przeciwległym (antytezą), należącym według niego do formy wewnętrznéj? Polega ona na tém, że tam szło o wyrażenia, tu idzie o całe zdania i ich szeregi, inaczéj mówiąc, tam były figury poetyckie, tu są figury retoryczne, zléwające się oczywiście ze sobą w jedno.

Zdaniem mojém, byłoby jaśniéj i wyraziściéj, gdyby autor mówił tylko o formie wogóle, która z natury swéj musi być tylko zewnętrzna, a formę tę rozpatrywał jako styl i jako budowę zwrotek. Uniknęłoby się przez to i powtarzań i niepewności, w jakiéj czytelnik pozostawać musi co do właściwego znaczenia figur poetyckich i formy zewnętrznéj.

Wykazawszy, że pod względem formy i treści znajdujemy u Morsztyna i u seicentystów włoskich podobieństwa uderzające, zastanawia się p. Porębowicz nad „wychowaniem", a raczéj wykształceniem „literackiém" naszego poety. W tym to dziale znajdujemy szczegółowy wykaz pożyczek, wziętych przez Morsztyna od różnych poetów obcych. Więc najprzód od klasycznych. Wedle p. P. z greckiéj literatury bardzo mało wziął Morsztyn, a jabym powiedział, że nic zgoła, gdyż jeden z motywów (narzekanie żony na wynalazek myśliwstwa) daleko bliższym jest Tybulla (księga I, elegia 2), aniżeli Anakreonta. Parę przekładów z Horacego dawniéj już oznaczono; z Owidyusza odnalazł jednę tylko wyraźną pożyczkę, ale zdaje mi się, że w ocenie wpływów tego poety zamało zważał na ton i koloryt w wypowiadaniu uczucia, poszukując wyłącznie pożyczek słownych i frazeologicznych. Marcyalisa natomiast poczytuje za poetę, który Morsztyna pociągał najbardziéj z pomiędzy pisarzów klasycznych, odnalazł bowiem w „Lutni" 25 epigramatów „bardzo wiernie tłómaczonych" lub „parafrazowanych" z łacińskiego autora. Kilka epigramatów wziął Morsztyn z Auzoniusza.

Wyraźniejsze jeszcze ślady pozostawiły w pismach naszego poety utwory włoskich pisarzy. P. Porębowicz udowadnia pożyczki, wzięte od Pontana, od Piotra Bemba, Navagera — piszących połacinie; z Petrarki wziął może jeden tylko wiersz, z Tannazara, Tassa, Guariniego — ten i ów pomysł; z Marina zaś „40 utworów lub motywów, przeniesionych do Lutni, świadczą, że nasz poeta na nim głównie się kształcił, na nim wprawiał rękę do literackiego zawodu" (str. 70). Twierdzenie to udowodnione zostało przez autora szczegółowém porównaniem owych 40 motywów, a z ostatecznym sądem, jaki p. P. wy-

daje o stosunku Andrzeja do Marina zgodzić się wypada, kiedy mówi, że „nasz poeta, podskubując mistrza i to bez skrupułów, nie przestaje być panem swéj sztuki, pewnym siebie i w ruchach swobodnym; pożyczonego motywu nigdy nie popsuje, czasem go *po* (!) swym koncepcie przytnie lub przerobi, własny pomysł nań nawinie, a tak zręcznie, tak pochlebnie i obłudnie, że kradzieży nikt nie spostrzeże, a parafraza lub przekład nie przestaną sprawiać wrażenia rzeczy oryginalnéj" (str. 78). W innėm zaś miejscu, przyznając Morsztynowi „genialne uzdolnienie i porównywając go z innymi uczniami i naśladowcami Marina, naznacza mu „miejsce jedno z pierwszych, nietyle dla własnych zalet, ile dla małości tych, którzy z nim w jednym stanęli szeregu; ma od innych więcéj wdzięku, więcéj smaku, więcéj zdrowego i jowialnego dowcipu, a jeśli nie więcéj artyzmu — bo tego język niewydoskonalony jeszcze nie pozwalał — to więcéj artystycznéj miary" (str. 89). Końcowych tylko wierszy téj charakterystyki niepodobna nie podpisać. Przyznawszy Morsztynowi tyle zalet, zowie go „materyałem na poetę, który, gdyby się urodził w ojczyźnie Tassa lub Ronsarda, byłby wszystkich seicentystów w kąt zapędził". Ta niespodziéwana konkluzya niezgodna jest przedewszystkiém z poprzednio przyznanemi Morsztynowi przymiotami, w których nietylko przyrodzone zdolności, ale i ukształcenie artyzmu się mieściło; — a powtóre, nie wytrzymuje ona krytyki pod względem psychologicznym. Gdyby się bowiem Morsztyn urodził w ojczyźnie Tassa lub Ronsarda, to nie miałby zapewne niektórych zalet swoich, jędrności, dajmy na to, lub zdrowego rozsądku i jowialnego dowcipu, gdyż te zalety łączyły się z plemieniem, wśród którego poeta wzrósł i wychował się, możeby właśnie w ojczyźnie Tassa lub Ronsarda spadł do poziomu tych licznych naśladowców, którzy ujemne tylko strony swego wzoru odtwarzać umieli.

Z pomiędzy poetów francuskich znał Morsztyn i naśladował, wedle dowodzenia p. Porębowicza, głównie Marota, trochę Ronsarda Beuserade'a i Voiture'a. Czy miał nasz poeta pomysły oryginalne? W odpowiedzi na to pytanie jest p. Porębowicz bardzo ostrożnym. Odszukawszy tyle pożyczek, lęka się wskazywać motywy oryginalne, bo a nuż się okaże, iż one także są wzięte od kogoś. Więc zbywa sprawę tę słowy ogólnikowemi; nie dziwimy się autorowi, ale w tém miejscu właśnie czas mu przypomnieć, że ton, jakim mówił o swoich poprzednikach, był zanadto uszczypliwym; wszak sam w jednėm miejscu twierdzi, że traf bywa lepszym przewodnikiem w odkrywaniu źródła natchnień poetyckich, niż systematyczne szperanie; więcéj zatém wyrozumiałości dla innych nie zaszkodziłoby wcale doniosłości tego, co

zrobić zdołał. Za niewątpliwie oryginalny poczytuje „Wiejski żywot”, ale zanadto, zdaje mi się, szczerości w podziwianiu łanów i stodoły widzi w tym wierszu, w którym przecież tu owdzie nietrudno dojrzéć twarz dworaka drwiąco uśmiéchającego się na widok prostaczych uciech i kłopotliwych zajęć. Nie mogę również podzielić bezwarunkowo zachwytu p. P. względem „Pokuty w kwarantannie”, którą uważa on za jedną z najwspanialszych w literaturze naszéj pieśni, „gdzie brzmi jakaś groźna i majestatyczna powaga spowiedzi; tyle znać szczerości u leżącego w prochu pokutnika, że się w niéj dusza jego wydaje na jaw i raz jedyny może staje przed nami nie jak płocha zalotnica, igrająca słowem, ale jak dantejska mara, opowiadająca swe grzechy” (str. 90). Przyznając, że wiersz ten ma dużo w niektórych miejscach podniosłości i wiele silnych a pięknych wyrażeń, nie mogę przecież nazwać pięknym całkowicie poezyi, która wygląda, jak mowa rzecznika, wchodzącego w układ z Bogiem i usiłującego wmówić weń, że on jest przedewszystkiém miłosierny.

O innych za to poezyach lirycznych Morsztyna zbyt surowe i jednostronne wygłosił p. P. zdanie. Nazywając go „naturą konceptyczną, naturą dowcipnego rachmistrza, układającego zręczne łamigłówki, architekta, przerzucającego niemożebne napozór łuki, rzeźbiarza, wycinającego zgrabne, symetryczne rozety” (str. 91) zaprzeczył autor poprzednim swoim słowom, którymi przyznał Morsztynowi „genialne uzdolnienie” i tyle różnych zalet. Odmawiając zaś prawdziwego „liryzmu”, nie uwzględnił p. P. bardzo rozmaitych form, jakie liryzm przybiéra. Słusznéin jest zupełnie odrzucenie nazwy „romantycznego” poety, jaką niektórzy chcieli scharakteryzować Morsztyna, lecz niesłusznéni jest ochrzczenie go „erotycznym epigramistą”, chyba, że się godzi tém mianém obdarzyć całe szeregi pisarzy dawnych i nowszych, u których uczucie nie wypowiada się w słowach prostych i wzruszających lecz przechodzi albo przez filtr refleksyi, albo przez bujną i lotną wyobraźnię, albo stosuje się do czasowych wymagań smaku i zwyczajów towarzyskich. Zdaje się że autor może niedaleki byłby od takiego potępienia, w jednéin bowiem miejscu powiada: „Gdyby Morsztyn żył i pisał w romantycznéj dobie, mielibyśmy może lirycznego poetę, ale nie wiem, czy jego wiersze miłosne, jak e r o t y k i S ł o w a c k i e g o, nie raziłyby nas często samolubną pozą i chłodném udaniem” (str. 92). W każdym razie znalazłby się wówczas w dość dobrém chyba towarzystwie...

Nie wywody najogólniejsze, ani charakterystyka psychologiczna są zaletą pracy p. Porębowicza, lecz te, starannie zebrane szczegóły, które-

mi udowodnił wpływu obcych na naszego poetę; one to będą trwałą zdobyczą badań historyczno-literackich. *P. Ch.*

„Pomniki piśmiennictwa polskiego" wydawane przez J. Zakrzewskiego. — „Historya bardzo ucieszna z francuskiego języka przełożona. Roku 1665." Wydał Jan Łoś. Petersburg, 1895, 8°, str. IV i 35.

Przykład wydawnictwa „Biblioteki pisarzów polskich" w Akademii umiej. w Krakowie obudził szczęśliwą rywalizacyę miłośników literatury, tak, że obok tamtéj, liczącéj około 30 tomików, mamy jeszcze dwie „Biblioteki" starych pisarzy: jednę prof. Wierzbowskiego w Warszawie, drugą obecnie rozpoczętą, a wybiérającą rzadkie i zapomniane druki z działu polskiego publicznéj Bibl. ces. w Petersburgu. Książeczka, z małym wyjątkiem niesprostowanych błędów jak B a r b o n a zam. B u r b o n a (str. 3), lub niekonsekwencyi w pisaniu *ej* i *ey; sz* i *ż* jest wydana starannie. Jednego przecież życzyćby należało: Owe zapomniane druki XVII w. zazwyczaj nie mają wielkiéj wartości literackiéj, słabe stylem, naiwne treścią. Za to mają ogromne znaczenie dla historyi kierunków literackich, lub jeżeli o takich mówić nie można, — dla wykrycia panującego smaku, dla pouczenia o rozległości pewnych rodzajów literatury nadobnéj w danym okresie. Jak botanik odkrywszy nową roślinę nie zadawalnia się jéj opisem, ale oznacza gatunek i rodzinę, tak samo pp. wydawcy tych nikłych przez się, ale znamiennych zabytków powinni bardzo dbać o trafne wskazanie ich pochodzenia i rzędu. Literatura XVII w. uboga i niewykształcona zyska ogromnie, skoro się okaże — jak jest rzeczywiście — że w rodzajach poetyckich, zwłaszcza w romansie, przedstawicieli najdrobniejszych odcieni powieści francuskiéj, włoskiéj lub niemieckiéj. Będzie to dowodem nieustającéj i nienadto spóźnionéj wymiany, łączącéj nas tak żywo w XVI i XVII w. z piśmiennictwem Zachodu. To też wstępy wydawców umieszczane na czele przedruków koniecznie powinny zawiérać obfitsze w treść i wyraźniejsze wskazówki, niż zdanie wyjęte np. z leżącéj przed nami książki: „Wiek XVII-ty, podobnie jak i obecny, lubował się w powieściach i romansach, głównie z francuskiego tłómaczonych". Wykryć pochodzenie „Uciesznéj historyi nie było rzeczą zbyt trudną. Przygody brata i siostry podobnych do siebie tak, że ich biorą jedno za drugie; dziewczyna przebrana w męskie suknie, służąca za pazia u niewiernego kochanka, który nie domyślając się podstępu posyła ją z listami do nowéj pani serca,

która znów zakochuje się w pięknym chłopcu; brat przybywający w porę dla nowych zawikłań i szczęśliwego zakończenia awantury, — wszystko to jest przecież tematem „Dwunastéj nocy" Szekspira", pełnéj wdzięku intrygi między Orsinem i Violą, Sebastyanem i Oliwią. Tenże pomysł, jako epizod, znajduje się w „Dyanie" Montemayora (ks. II) i w „Historyach tragicznych" Bandella (hist. 63). Z Bandella przeszedł do Belleforesta: *Histoires tragiques extraites des oeuvres italiennes du Bandel et mises en langue françoise par P. Boaistuau et Fr. de Belleforest*. Paris, 1580, 7 vol. in 16, z Belleforesta do zbioru angielskiego: Riche Barnabé, *His farewell to militarie profession*. London, 1581, in 4-to, a stąd dopiéro do Szekspira.

Polski tekst odpowiada wiernie przekładowi fracuskiemu Belleforesta, ze zmianą niektórych imion: Nicole na Zuzannę, Lactance na Aleksandra, Ambroise na Antoniego. Nadto jest wykwintniejszy pod względem większéj liczby listów miłosnych w guście „Dyany" i „Astrei", trzymanych w tonie wymizdrzonych seicentystów, widocznie już pod wpływem Andrzeja Morsztyna:

Ja serce mam i nie mam; mam, bo cię w niém noszę,
Nie mam, boś mi je wzięła; wróć-że mi je, proszę
I nie proszę, bo pragnę wszytko być u ciebie;

albo:

Ani dasz skonać już umierającéj,
Ani się we łzach utopić tonącéj;

albo:

I łez swych zdrojem swój płomień zalały; — i t. p.

Historya romansu polskiego w XVI i XVII w. oczekuje pilnéj ręki, wprzód jednak wypada zgromadzić jak największą ilość podobnych niniejszemu druków zapomnianych, a zepewne obfitych. Już dziś można rzec, że obfitość i rozmaitość tego romansu była ogromna. Mamy romanse ludowe z tematów średniowiecznych: „Historyę 7-miu mędrców", *Gesta Romanorum*, „Historyę zburzenia Troi", „Historyę Alexandra", „Powieści o Magelonie i Helenie". Mamy romans nowelistyczny z Bocaccia, z Bandella, z Rosseta, Favyna, etc. Mamy romans bajeczny w Meluzynie i Banialuce. Mamy romans religijny i pouczający w „Theatrum życia ludzkiego", ks. Kwiatkowskiego, wybrane z pisarzy kościelnych, z żywotów świętych, z biskupa de Bellay. Mamy romans z tematów greckich mitologicznych, jak powieść o Psyche, jak powieść o Minosie z Filomachii Hier. Morsztyna. Mamy romans z tematów greckich doby aleksandryjskiéj, jak Metamorfozy Apulejusa, jak Teagenes i Charyklea w Sylorecie Potockiego, w guście Gomberville'a i panny de Scudéri. Niektóre zbiory

spoczywają jeszcze w rękopisach, nie zawsze godne druku, inne są znane tylko ze wzmianki bibliografów i czekają odkrycia; wszystkie raz poznane i wyświecone przywrócą wiekowi XVII-mu pewne piętno, którego mu dotąd odmawiano, zowiąc stanowczo jałowym wiekiem upadku. *Edward Porębowicz.*

Nowe książki na gwiazdkę.

Dość liczny i względnie doborowy jest w tym roku szereg książek na gwiazdkę wydanych. Najwięcéj dostarczyła ich firma Gebethnera i Wolffa. W przeglądzie obecnym, nie kusząc się o rozbiór wyczerpujący, wskażemy tylko zawartość, jako téż główniejsze zalety i wady niektórych, zastrzegając sobie na przyszłość powrócenie raz jeszcze do téj lub owéj książki dla szczegółowszéj oceny.

Rozpoczynając od wieku najmłodszego, wymienimy zbiór zabaw, marszów i piosenek z zastosowaną do nich melodyą, ułożony przez pp. Jadwigę Warnkę i Ludwikę Jabłkowską p. n. „W ogródku dziecięcym" (str. 109). Uznanym jest powszechnie przez pedagogów kształcący wpływ śpiewu; umiejętny dobór łatwych melodyi i słów w połączeniu z opisem zabaw, pomiędzy któremi zabawy kształcące zmysły są najważniejsze, stanowi zaletę powyższego zbioru, zwiększającego bardzo u nas dotąd szczupły zasób śpiewników dla dzieci. Dla małych dziewczynek przeznaczona jest powiastka p. Zuz. Morawskiéj, wydana świéżo nakładem M. Arcta p. n. „Lalka panny Gosi" (str. 142). Lalka zaprawia malutką swoję posiadaczkę do porządku, dbałości o ubranie, grzeczności i tym podobnych przymiotów, ponieważ 7-letnia Gosia, starając się, żeby jéj „córeczka", jak nazywa swą Mimi, przymioty te posiadała, sama musi świécić jéj przykładem. Dla starszych już cokolwiek, bo od lat 8-miu czytelników, dała p. Zuz. Morawska w drugiéj już edycyi pojawiające się 12 powiastek p. t. „Nasi znajomi!" (str. 189). Zaznajamianie dzieci miejskich zwłaszcza z naturą i zwyczajami wiejskiemi, budzenie spółczucia dla niedoli, uwydatnienie instynktów moralnych wśród najbiedniejszych, zachęta do pilności i pracowitości — w formie przystępnéj i zajmującéj, w formie opowiadania interesującego — stanowi treść tych 12 powiastek. Mniéj więcéj dla takichże czytelników stosowną jest książka przez p. Stanisława Gębarskiego napisana p. t. „Chatka pod lasem" (str. 229). Znajduje się tu parę bajek wierszem („Pułapka", „Lis i bocian"), pa-

rę piosenek charakteru liryczno-opisowego („Wraca, wraca wiosna!", „Wiosna", „W maju", „Zima na wsi"), komedyjka w 1-ym akcie p. t. „Na wakacyach", oraz 11 dłuższych lub krótszych opowiadań, odznaczających się żywością, lubo niekiedy wpada autor w gadatliwość i rozwlekłość. P. Antonina Gawrońska ogłosiła (nakładem T. Paprockiego) „Bajki, gadki, przysłowia i piosneczki, spisane z ust ludu dla dzieci" (str. 112). Dla wielu młodych czytelników będą to rzeczy znane, bo jeszcze z opowiadania i śpiewów nianiek zapamiętane, dla wielu wszakże będą nowością jędrną i zdrową, dobrzeby jednak autorka była zrobiła, gdyby uniknęła powtórzenia pewnych rubaszności (str. 6) nie ze względu na niedorzeczną pruderyę, ale ze względu na smak estetyczny; niektóre powiastki odznaczają się dowcipem, ale nie celują sensem moralnym, np. „Kura i kot".

Pomiędzy tym wiekiem młodocianym, dla którego powyżéj wyliczone książki zostały napisane, a tym, który nazywamy „dorastającą młodzieżą", praktyka pedagogiczno-literacka wyróżniła wiek jakby przejściowy, latami 10 do 12 lub 13 objęty, kiedy niepodobna jeszcze wymagać od czytelników obszerniejszych i szczegółowszych wiadomości naukowych, ale kiedy umysły mogą już być kierowane ku poważniejszym przedmiotom i kiedy dla fantazyi można dać karm odpowiednią bez obawy, żeby urojenia wzięte były przez czytelników za rzeczywistość. Dla tego to wieku przejściowego przeznaczyła wyraźnie, bo na karcie tytułowéj, książkę swoją p. Aniela Sulicka, znana czytelnikom „Przeglądu pedagogicznego", przełożywszy swobodnie z francuskiego powieść p. t. „Dobra wróżka" (str. 231) Tytuł to alegoryczny; dobrą wróżką jest tu ciotka Teresa, która zdołała uratować majątek swoich krewnych, skłaniając ich do oszczędności i lepszego gospodarowania, a nadto dzieci ich umieściwszy wśród rodziny umiejętnie, pedagogicznie się rządzącéj, oduczyła od wszelkiego rodzaju przywar, jakie w nich powstały wskutek pobłażania, wygód i niestosownego kierownictwa. Obok obrazu zupełnie realnych stosunków nie brak tu i karmi dla fantazyi; tłómaczka bowiem pomieściła w ciągu opowiadania między innemi baśń ludową czeską w obrobieniu Elizy Krasnohorskiéj. — Całkiem fantastyczną czytanką są „Baśnie" (str. 282) ludu niemieckiego w opracowaniu braci Grimmów, przełożone przez C. Niewiadomską. Baśni tych wybrała tłómaczka 16. Zadużo w tych baśniach miłości, a fantazya niekiedy dla naszych dzieci niewłaściwa. Dlaczego pedagogowie nasi nie zrobią wyboru z baśni polskich? Dlaczego „Baśń o żelaznym wilku" A. Czajkowskiego do téj pory nie ukazała się w osobném ilustrowa-

nėm wydaniu, chociaż przed laty była ona wraz z rycinami pomieszczona w „Przyjacielu dzieci”? Wszak takie baśni są nas bliższe i lepiéj dzieciom naszym znane być powinny, aniżeli baśnie niemieckie lub „Tysiąca i jednéj nocy”.

Dla „dorastającéj młodzieży” mamy przed sobą cztery książki, z których najpoważniejszą i pod względem objętości i pod względem treści jest: „Atlanta”, czyli przygody młodego chłopca na wyspie tajemniczéj, opowiedziane w listach” (str. 430, w 8-ce większéj. z licznemi drzeworytami w tekście i 7 ilustracyami Juliana Maszyńskiego, Kijów i Kraków). Autorka „Atlanty”, p. Zofia Urbanowska, wybornie jest znana zarówno w świecie dziecinnym i dorastającym, jak i w świecie dorosłych. Talent jasnego i zajmującego przedstawiania treści nauk przyrodniczych z domieszką fantastycznego pierwiastku, pociągającego umysły młodzieńcze, posiada ona w wysokim stopniu, a nowym tego dowodem jest „Atlanta”, przemawiająca równocześnie do serca, do fantazyi i rozumu. Czytanie téj książki, która zostaje w pewnym związku z dziełem ś. p. Maryi Julii Zaleskiéj p. t. „Niezgodni królewicze”. — Formą przygód nadzwyczajnych i treścią przyrodniczą podobna jest do „Atlanty” — „Podróż bez pieniędzy” (str. 261) opisana przez Władysława Umińskiego, ale wartością i donioslością od niéj jest daleka. Autor opowiada żywo i zajmująco, to prawda; ale o psychologiczne pogłębienie charakterów dba mało, a przygód opowiada zbyt dużo i w sposób mało prawdopodobny, ażeby mógł przekonać czytelników o prawdzie tego, co mówi. A szkoda, bo nawet zupełnie prawdziwe wiadomości przezeń podane, mogą być przez młodych czytelników wzięte za bajkę z powodu, iż zanadto w owych przygodach Włocha i Polaka popuścił cugli fantazyi. Przytém końcowe kłamstwa Włocha, by się dostać bez pieniędzy do New-Yorku muszą być potępione ze względów pedagogicznych. — Tenże autor ogłosił drugą opowieść, pełną nadzwyczajności i przeróżnych informacyi przyrodniczych. Jestto powieść fantastyczna, jak ją sam p. Umiński określa, p. n. „W nieznane światy” (Petersburg, nakład księgarni K. Grendyszyńskiego, str. 239, z 8-ma ilustracyami Ksawerego Pilattiego). Zapalony astronom, marzyciel, Edwin Harting z Bostonu zdołał skłonić wielkiego miliardera amerykańskiego, by znaczną część funduszów swoich poświęcił na zbadanie planety Marsa, a mianowicie dla przekonania się, czy na niéj znajdują się istoty rozumne, podobne do ludzi. Przy pomocy chemika wytworzono z glinu i tłuszczów olbrzymią masę światła na wielkiéj przestrzeni w Ekwadorze, tak iżby ono mogło być dostrzeżoném przez mieszkań-

ców Marsa. Zbudowano przytém olbrzymi teleskop, w którym refraktor miał dwumetrową średnicę. Opis trudności, jakie miano do pokonania zarówno w przygotowaniach, jak i w przewiezieniu materyału świetlnego w mało dostępne miejscowości, połączony jest z przedstawieniem wiadomości geograficznych, klimatycznych i t. p., oraz z opowiadaniem niebezpieczeństw i walk z przyrodą. Na tém tle bardzo dobrze odbijają się postaci astronoma, chemika, a w dodatku i reportera amerykańskiego, który nawet w najgorszém położeniu nie daje wymusić na sobie słowa, iż do dziennika swego nie prześle wieści, które astronom chciał czas jakiś w tajemnicy zachować. Powieść ta może istotnie żywo zająć uczniów klas realnych, obeznanych z naukami przyrodniczemi i matematyką; a w niektórych scenach rozwija niepospolitą siłę dramatyczną. — Przygody podróżnicze znajdują się także w powieści Edwarda Nałęcza p. t. „Z bliska i z daleka" (Warsz. Gebethner i Wolff, str. 202), ale poboczną one w niéj odgrywają rolę; myślą bowiem przewodnią utworu jest odkupienie przez dzieci majątku utraconego przez rodziców, a odkupienie za pomocą pracy. Ponieważ jednak podróż naokoło świata, do któréj materyałów zaczerpnął autor z listów marynarza do rodziny pisanych, zajęła bardzo dużo miejsca, myśl przewodnia nie została dostatecznie uwydatniona. Myśl podobna nie została też rozwinięta z całą dokładnością w powieści Teresy Jadwigi, dobrze zapisanéj w literaturze dla dzieci, w powieści p. n. „Dziedzice Otoka" (str. 179). Powieść ta rozpoczyna się od opisu zabawy tańcującéj, wydanéj z powodu imienin żony Jana Otockiego, Alicyi. Zabawa w przepysznie urządzonym pałacu przerwana została pożarem stodoły w Otoku. Pożar spowodowały fajerwerki na cześć pięknéj pani. Wypadek ten wszakże nie psuje humoru ani jéj saméj, ani też zebranych gości. Tańcom przypatruje się córka Jania z pierwszéj żony, kobiéty spokojnéj i cichéj, za życia któréj nie widywano w Otoku tak hucznych i świetnych zabaw. Nie dziw, że dziewczynka przypatruje się jéj ciekawie wraz z małym braciszkiem, Kaziem, o którym matka wśród tańców zupełnie zapomniała. Takie zabawy wszakże i również ostatni pożar zrujnowały prawie bogatego Otockiego. Pociechą wśród trosk majątkowych jest dla niego córka, Teresa, kochająca gorąco swój rodzinny Otok i obiecująca sobie pomagać ojcu w pracy, gdy do lat stosownych dojdzie. Zamiary jéj, choć w inny sposób, spełnić się miały niespodziewanie szybko, gdyż w trzy lata po pamiętnéj zabawie rodzice jéj umierają, pozostawiając ją opiekunką brata i dziedziczką Otoka. Pomimo próśb i nalegań krewnych, Terenia zostaje w swoim

majątku, a jedynym celem jéj życia będzie wychowanie brata i uratowanie gniazda rodzinnego, zagrożonego ruiną. Wyprawia więc Kazia do Warszawy z synem rządcy, Jerzym, sama zaś pracuje dzień cały. Jedyną jéj towarzyszką jest siostra matki, ta wszakże wkrótce umiéra, a Teresa zostaje sama jedna. Życie bohatérów powieści płynie cicho i spokojnie, spokój ten przerywa tylko choroba Teresy. Ale niezadługo wraca ona do zdrowia, a zarazem do pracy. Pociesza się wszakże, że wkrótce brat jéj stanie do pomocy, skończywszy gimnazyum. Marzenia te jednak nie mają być urzeczywistnione. Kazio, pociągnięty żądzą wiedzy, zapomina o swych obietnicach i jedzie na uniwersytet, zamiast pracować wraz z siotrą... I znowuż upływa lat kilka — widzimy przyjaciela i towarzysza nauki Kazia, Jerzego, który zostawszy skończonym lekarzem, przybywa na Kaukaz do chorego przyjaciela. Z ust Kazimierza dowiadujemy się o jego losach po opuszczeniu siostry. Znalazłszy się w odległych stronach, ożenił się z młodą i ubogą, jak on, panienką, która po kilku latach umiéra, zastawiwszy mu dwoje dzieci — Alinę i Janka. Kazimierz znękany i schorowany utrzymuje się z funduszów, przysyłanych mu przez niestrudzoną Teresę, która, zapomniawszy o sobie, poświęciła całe swe życie dla Otoka i brata. W liście jednak, pisanym do Kazimierza, wyraża życzenie, aby syn jego przynajmniéj pomógł jéj w pracy, bo już sił jéj saméj braknie. Po śmierci ojca, wracają Janek i Alina do Otoka. Tutaj spotykają na wstępie Julkę, wychowankę ciotki Teresy; pod wpływem Julki i ze względu na ogromnie zaniedbany stan włościan, Janek porzuca myśl o uniwersytecie i staje obok ciotki, zmęczonéj pracą, ażeby wyręczyć ją w trudzie... I znowuż po dwu latach widzimy Julkę i Jana już jako narzeczonych; przez te dwa lata Jan powprowadzał do Otoka wiele reform korzystnych, wskutek których majątek przyjdzie wkrótce do poprzedniego dobrobytu.

Taż sama autorka dała nam przeróbkę z francuskiego p. t. „Walka, kilka epizodów z wojny francusko-pruskiéj” (Warsz., nakład T. Paprockiego, str. 198). Żywo, zajmująco i wzruszająco nakreślone tu zostały przygody młodego żołnierza Maurycego na tle wypadków z r. 1870/71 zarówno na prowincyi podczas marszów, ucieczek, potyczek i niewoli u Prusaków, jak i w oblężonym Paryżu. Tego rodzaju przyswojenia uważamy za najstosowniejsze dla naszego piśmiennictwa; obznajmiają bowiem młodych czytelników w sposób interesujący z nowszemi dziejami, o których w zwykłym biegu nauki historyi nic zazwyczaj nie słyszą. P. Teresa Jadwiga umiejętnie i starannie wywiązała się ze swego zadania.

Ryciny, któremi przyozdobione być miały wydane książki, po większéj części nie stanowią nietylko ich ozdoby, ale nie są ilustracyą wypadków i sytuacyi, przedstawionych w książkach, z nielicznemi wyjątkami są robione niedbale, a odbijane bardzo niestarannie. Szkoda, że książki, wogóle mówiąc, dobre, tak słabo zostały ilustrowane. Drukowi i papiérowi nic zarzucić nie można; a niejednokrotnie pochwalić wypada dbałość o piękną szatę zewnętrzną wydawnictw.

P. R.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

═ **Kartki historyczne i literackie** przez *Alexandra Kraushara*, autora „Dziejów Arciszewskiego". I. Wydanie drugie, poprawione (Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1894, str. 152 + 192).—Z dwu różnych części składa się najnowsza książka szczęśliwego w wynajdowaniu nieznanych źródeł dziejowych historyka; jedna odnosi się do chwil dawno minionych, druga do doby ledwie co upłynionéj; pierwsza osnuta jest wyłącznie prawie na świéżo przez autora odszukanych dokumentach, druga — na wspomnieniach osobistych. Przyczynkiem do dziejów politycznych wieku XVII jest „Poselstwo Jakóba Śmiarowskiego do Bohdana Chmielnickiego pod oblężony Zamość w roku 1648-ym." Na podstawie odnalezionych w bibliotece głównéj w Warszawie i bibliotece Ordynacyi Krasińskich dwu relacyi o wzmiankowaném w tytule poselstwie, prostuje autor parę dat do niego się odnoszących i kréśli szczegóły przyjęcia posła królewskiego przez Bohdana Chmielnickiego. Okazuje się, że Śmiarowski wysłany został do obozu kozackiego dnia 15 listopada 1648 r., a zatém jeszcze przed dokonaniem wyboru Jana Kazimierza na króla polskiego, że z tego powodu kwestyonowano w obozie ważność jego misyi i że tylko osobista przychylność dla posła ze strony Chmielnickiego, który był sąsiadem Śmiarowskiego sprawiła, iż poselstwo zupełnie płonném nazwać się nie może, jakkolwiek znaczenie jego było krótkotrwałém, gdyż i przyjaźń Chmielnickiego nie miała cechy szczerości i stałości; Śmiarowski w dalszych pertraktacyach został siekierą zabity czy też utopiony.—„Dramatem rodzinnym" nazwał p. Kraushar proces pomiędzy Tomaszem Suchodolskim a rodziną Trzcińskich o mniemane porwanie

córki Suchodolskiego, zaślubionéj przez Mikołaja Trzcińskiego, i o napad z tego powodu dokonany przez przymusowego teścia na dom Trzcińskich. Autor opiéra się na manifeście zaniesionym dó grodu przez poszkodowanych i na relacyi woźnego, który stwierdzał siniaki na ciałach i szkody w obejściu, — i, jak naturalna, nie mógł nam przedstawić istotnych pobudek działania, ani nawet istotnego przebiegu wypadków. Niesłusznie, zdaje się, podnosi do wyżyn dramatu zajście, jakich wobec sangwinicznego usposobienia było niewątpliwie sporo, lubo zajścia takie kończyły się braterską zgodą, ażeby potém nanowo wybuchnąć. — W artykule p. t. „Piotr Wężyk Widawski, satyryk XVI wieku, mniéj znana kartka z dziejów literatury" rozjaśnia p. Kraushar szczegóły biograficzne i treść dziełka jednego z licznych autorów broszur, jacy bezimiennie lub imiennie występowali przeciwko zbytkom i zepsuciu obyczajów w XVI i XVII stuleciu. Piotr Wężyk Widawski nie zajmie wybitnego miejsca w „Panteonie mężów, zasłużonych umysłową i obywatelską działalnością", bo na to trzeba czegoś więcéj nad żywot prosty i uczciwy „poborcy powiatu Szadkowskiego", oraz na dosadność wyrażeń w wypowiadaniu zdań o spółczesném sobie zepsuciu, ale bądź co bądź „*Exorbitantiae*" jego zwróciły na siebie uwagę ziomków, a historykowi obyczajów dostarczyć mogą kilku interesujących szczegółów z życia głównie prywatnego Polaków z końca XVI (dziełko jego wyszło po raz pierwszy r. 1603 w Krakowie). Pisarzem znakomitym nie był, spostrzeżeń świéżych nad społeczeństwem swojém nie zrobił, powtarzając rysy przez poprzedników zauważone, częstokroć nawet ich słowami, ale bez wymieniania ich nazwisk. Ta ostatnia okoliczność każe nam być ostrożnymi w przyznawaniu Widawskiemu na własność niepodzielną tych kilkunastu barwnych zwrotów, jakie w pisemku jego znajdujemy; gdyż pisarz, zapożyczający się od innych w kilku stwierdzonych wypadkach, budzi nieufność i co do tych ustępów, których na razie badacz literatury nie przypomina sobie u dawniejszych autorów. Stawiać go w jednym rzędzie z Modrzewskim, Warszewickim, Górnickim, Petrycym—nie jest rzeczą uzasadnioną; o wiele skromniejsze należy mu się miejsce. — Z doby spółczesnéj daje nam p. Kraushar „Sylwetki literackie z niedawnéj przeszłości", grupując je około dziejów Kuryera Warszawskiego po r. 1864. Z dobrodusznym uśmiechem snuje autor wspomnienia swoje, jakie się nagromadziły w ciągu lat dwudziestu z górą przestawania z osobami należącemi do redakcyi Kuryera, opowiada dzieje zewnętrzne przekształceń, jakim to pismo ulegało, bardzo mało zaglądając do wnętrza dusz, do poglądów, prze-

konań, uczuć. Drobne śmieszności zarówno w charakterze Wacława Szymanowskiego, jak i jego spółpracowników najlepiéj podpatrzył i uwydatnił, a lubo ciągle kładzie nacisk na poczciwość, dobroć, serdeczność redaktora, lubo stosunki łączące go z młodymi zwłaszcza literatami chce przedstawić z jaknajlepszéj strony, wyziéra jednak z po za obsłonek frazeologicznych przykry widok obłudy towarzyskiéj i literackiéj, nakazującéj młodym schlebiać wpływowemu literatowi w oczy, a drwić z niego za oczyma. Najsympatyczniéj nakreślił autor sylwetkę wiele obiecującego w swoim czasie poety Mirona (Michaud), szkoda, że zbył ją krótko, odkładając na późniéj wyświetlenie przyczyn, które do zmarnowania talentu się przyczyniły. Pisząc o Prusie, popełnił p. Kr. omyłkę chronologiczną, kiedy twierdzi, że „kierunek realistyczny twórczości Prusa ujawnił się na długo przed zapanowaniem owéj mody, najprzód w powieściopisarstwie francuskiém, a następnie i w literaturze wszechświatowéj" (str. 116, 117), bo taki realizm, jaki był w początkowych utworach Głowackiego, istniał w literaturze francuskiéj, a nawet naszéj, na długo przed jego urodzeniem. Pomijając atoli takie i tym podobne usterki, w tych anegdotycznych wspomnieniach p. Kraushara o całym szeregu pisarzów, co się kupili około Kuryera, niemało znaléść można materyału do ich charakterystyki, lubo można wyrazić żal, iż autor nie chciał jéj pogłębić.

— **Poglądowa metoda nauki czytania**, prowadzonéj jednocześnie z nauką pisania i początkowych rachunków, ułożył, Elementarz, zadania odpowiednie i krótkie Wypisy z autorów polskich dołączył *Feliks Jeziorański*. (Warszawa, T. Paprocki, 1895, str. XVIII, 259). — W ostatnich trzydziestu latach dążność do ułatwienia dzieciom nauki czytania stała się tak silną, że niemal co rok pojawiał się u nas nowy elementarz, nietylko jako świeżo drukowana książka, lecz także jako nowa próba rozwiązania nastręczających się przy nauce, pedagogicznie prowadzonéj trudności. Ze wszystkich dotychczasowych największe rozpowszechnienie miał Elementarz Kazimierza Promyka, ułożony na podstawie metody doraźnego czytania, opartéj na nauce pisania i systematycznie zastosowanéj zasady przechodzenia od najłatwiejszych połączeń dźwiękowych do coraz to trudniejszych. Praca p. Jeziorańskiego w początkowym pomyśle swoim opiérać się miała na analizie zgłoski, wymawianéj przez nauczyciela, a uzmysłowionéj przez składanie liter abecadła ruchomego. Następnie jednak z powodu

znacznych kosztów, jakieby pociągnęło za sobą dołączenie do książki abecadła ruchomego i niektórych przyrządów, przez autora za konieczne uznanych, odstąpił od pierwotnego zamiaru, poprzestając na dołączeniu tablicy z literami dużemi i małemi, przy pomocy której może się odbywać owa analiza zgłosek, lubo z mniejszą wyrazistością, aniżeli przy pomocy abecadła ruchomego. Po wstępnem przygotowaniu, mającém na celu obznajmienie ucznia z pismem, drukiem i umiejętnością czytania, a potém ze zdaniami, wyrazami, zgłoskami i głoskami, przystępuje się według metody p. Jeziorańskiego do zapoznania z abecadłem, przyczém pozostawia się po staremu nazwy liter z ostrzeżeniem tylko, że nazwy spółgłosek wcale się nie wymawiają w całości przy czytaniu. Zdaje mi się, że w ten sposób postępując, zadużo się wymaga od dziecka. Prościéj podobno postąpili ci autorowie elementarzy, co zaczęli od pokazania dziecku tylko zarówno pisanych, jak drukowanych, a następnie dodając do samogłosek spółgłoski pokolei w sposób najdostępniejszy do wymówienia obranéj, zaznajamiali z całém abecadłem, dopiéro na końcu podajęc wszystkie litery w przyjętym powszechnie porządku i zarazem nazwy ich wymieniając. Gdy już dziecko zapoznało się z czytaniem, choćby w stopniu najelementarniejszym, nazwy liter już mu zgoła przeszkadzać nie będą w dalszéj nauce. Prócz tego p. Jeziorański zanadto szybko, zdaje mi się, przechodzi od połączeń łatwych do trudniejszych, nie uwzględnia stopniowania, jakie wszędzie jest niezbędne, a tém bardziéj w nauce początkowego czytania. Zaraz w 1-szém zadaniu, podawszy samogłoski *a, ą, e, ę* każe wyróżniać uczniowi nie tylko dźwięki, ale i litery w wyrazach następujących: A d a m, E w a, A n i o ł, K r a, E m m a, E w e l i n a, M i e c h, Ś m i é c h, D z i e c i ę, K u r c z ę, S ę p, P r ę t, S p r z ę t. Zdawałoby się, iż ze względu na stopniowanie trudności w oryentowaniu się przy nawale różnych dźwięków i odpowiednich im liter, należałoby tutaj takie jedynie podać wyrazy, w których znajdują się tylko owe 4 litery, a co jeszcze lepsza, wypadałoby rozdzielić to zadanie na cztery i w każdém jedną tylko literę dawać poznać. Co tu powiedziałem o pierwszém, to się stosuje do wszystkich dalszych zadań. Autor w 18 zadaniach kończy całkowity wykład elementarnych zasad czytania, ażeby przejść do nauki o akcencie, dzieleniu wyrazów na zgłoski i znaków pisarskich. Chyba to trochę za rychło. Autor ostrzega wprawdzie, ażeby nie przechodzić do dalszego zadania, dopóki poprzednie dokładnie przyswojone nie zostało, ale zamiast takiego ostrzeżenia, lepiéj podobno byłoby w samym elementarzu mniejsze naznaczyć pensa do przejścia i mniéj dawać naraz połączeń litero-

wych. Zaznaczyć przytem należy, że takie połączenie literowe, jak *cz*, *dz* i t. p. nazywa autor dwugłoskami, wbrew przyjętéj w gramatyce terminologii, która tego wyrazu używa na oznaczenie dyftongów i wbrew istotnemu brzmieniu tych połączeń, które jeden dźwięk przedstawiają; są to dwójki literowe dla oznaczenia jednéj głoski (t. j. jednego dźwięku). W wymienianiu liter abecadła, podaje ich autor 25 i rzeczywiście tyle ich jest w abecadle drukowaném, ale w abecadle pisaném jest ich 27, a na „liczebnicy", która służy głównie do nauki początkowych rachunków, jest ich 39. Taka rozmaitość powinna-by być usunięta. Należałoby także literę *x* pominąć w abecadle polskiém zupełnie. Mimo zaznaczonych tu usterek, książka p. Jeziorańskiego może być pożyteczną, nasuwając nauczycielowi rozmaite uwagi cenne, służące do ułatwiania nauki czytania. Wypisy, dołączone do elementarza, składają się z działu prozy i poezyi. W pierwszym przeważają wiadomości z nauk przyrodniczych, a mało zawierają powiastek; w dziale poezyi znajdujemy pieśni treści religijnéj i moralnéj, oraz znaczny wybór bajek. Szanowny autor wszędzie przeprowadzić się starał myśl rozumną, wszędzie budzić pragnął uczucia szlachetne, dbając o czystość i poprawność języka. Zadanie swoje spełnił sumiennie i gorliwie.

— *Cezary Jellenta*. **W przesileniu**, wykrawki z życia (Kraków. G. Gebethner i S-ka. 1894, str. 281). Próby poetyckie umysłów krytycznych niewielką zazwyczaj posiadają wartość; zauważyć to można zarówno w powszechnéj, jak i w naszéj powabnéj literaturze. Nic dziwnego, metody tworzenia, pomimo zasadniczéj wspólności, inne są w krytyce, inne są w poezyi; pierwsza zaczynać musi od analizy, druga od syntezy. Niepowodzenie jednak poprzedników nie zraża następców; a przykład Pawła Bourget'a w czasach nowszych, wsławionego w obu rodzajach, wielu pociągnął do naśladowania. P. Jellenta należy do ich grona. Dawszy się poznać ze studyów filozoficznych i literackich, zapragnął na nowelistycznėm również polu doświadczyć sił swoich, chociaż sam występował gorliwie, jak to zaznacza w przedmowie do swoich „wykrawków z życia", przeciwko „manii pisania powieści". Skłoniła go do tego, jak powiada, „potrzeba wypowiedzenia się z pewnych uczuć i postrzeżeń minionych, młodzieńczych, przed małą choćby garścią życzliwych". Jakież to są te uczucia i postrzeżenia? Przedewszystkiém autor nie zajmuje się prawie wcale ze-

wnętrzną stroną życia, z wyjątkiem dość częstych wzmianek o łażeniu, wyciąganiu się i spaniu. Powtóre, nie cierpi „pospolitaków", to jest ludzi, żyjących życiem powszedniém, rutyniczném, bezmyślném; pogardza nimi, łży ich ustami swoich bohatérów, których bierze ze sfery inteligencyi postępowéj. Bohatérowie ci w większości wypadków są to istoty, wiele o sobie rozumiejące, które mają szafy pełne książek, czytają dużo, robią notatki, czasami nawet coś piszą do druku, — a przytém... przytém są lubieżnymi neurastenikami. Lubieżność ta ich jest, mówiąc bez ogródek, wstrętną; więcéj oni rozmyślają o scenach lubieżnych, więcéj o nich marzą, więcéj się niemi pieszczą, aniżeli czynny udział w nich biorą; nie znać w nich bujnéj, gorącéj krwi, tylko ciągłe ekscytowanie się, po większéj części kończące się ekscytacyą jedynie. Wszystko ich drażni, z wszystkiego są niezadowoleni, całe życie jest dla nich „podłém". Zgrzytają, gdy kobiéta nie chce się oddać powabom miłości bez myśli o małżeństwie, pienią się, gdy inna nie chce poprzestać na samych całusach, wściekają się i padają omdleni na myśl, że tę właśnie ktoś trzyma w objęciach. Są to ludzie chorzy, zdenerwowani, pragnący, sami nie wiedzą czego, lubo mający niby jakąś swoją filozofię. Filozofia ta, w dwu obrazkach przedstawiona, jest w tém zdaniu, że „człowiek żyje dla wspomnień". Jestto oczywiście takie samo upajanie się wyrazem, jak i wymyślanie na „pospolitaków". Wspomnienia mogą być zarówno miłe jak przykre, zarówno katuszą jak rozkoszą napawają, gdyż są idealném, a więc nieraz najmocniéj ześrodkowaném odbiciem rzeczywistości, spotęgowaném przez refleksyę. Jednakowo więc słusznie możnaby twierdzić, że człowiek żyje dla wrażeń, jako źródła wspomnień. A przecież hasło, w ten sposób przestawione, jużby dla owych neurasteników wyglądało, jak komunał „pospolitaków" — a więc chodzi tylko o wyrazy. Istotnie we frazesach, jakie słyszymy z ust bohatéów p. Jellenty, czuć konwulsyjne rozprzężenie myśli, która nie zdolna będąc do tworzenia we właściwém znaczeniu tego wyrazu, robi ogromne wysiłki, ażeby się twórczą wydać. Dobrze charakteryzuje siebie Jerzy, jeden z owych neurasteników, niesłusznie tylko rozciąga tę charakterystykę do wszystkich literatów: „Wiédz o tém, że my, piszący, jesteśmy niedołęgami zawsze i wszędzie, gdzie nie chodzi o myślenie i smarowanie piórem. Nieraz rozsadza cię zapał i uczucie siły i energii, tak, że gotów-byś podjąć się w zapale dwunastu prac Herkulesa, gdy nagle, nie wiadomo skąd, nędzna błahostka, godna kopnięcia nogą, wytrąca jednym rzutem z równowagi, osłabia fizycznie i duchowo, zasępia i zasmuca, i stajesz się czarnym melancholi-

kiem, próżniakiem, mazgajem... Nie znam istoty bardziéj żałosnéj nad literata w jednéj z takich chwil pognębienia..." Istotnie Jerzy godzien jest litości i... hidropatycznéj kuracyi. Trzy są obrazki, stanowiące więcéj, niż połowę książki, w których odzywa się gruby „bas erotyzmu"; są-to: „Stary kawaler", „Pięć wieczorów", „Tryumfy pana Walerego". Ponieważ z artystycznego punktu widzenia są to rzeczy bardzo słabo zrobione, a pod względem moralnym wstrętne, lepiéj je było z książki odrzucić. Inny trochę rodzaj neurastenika przedstawia nam „Zepsuty klawisz", gdzie poznajemy literata, kochającego się w córce redaktora, lecz nie decydującego się na małżeństwo; Janina umiéra, a literat, odbywszy paroletnią podróż, wraca z „naprawionym" już klawiszem i pisze świetne rzeczy. Ponieważ główny motyw — miłość —ogólnikowo i niejasno został przedstawiony, przeto prócz konceptu o zepsutym i naprawionym klawiszu, nie poznajemy właściwie duszy owego literata. Najlepszą w zbiorku jest nowela ostatnia p. t.: „W przesileniu". Są to krótkie dzieje narzeczonéj, człowieka, który się podobał ze swéj siły męskiéj i stanowczości w zdaniu, ale który zmysłowością, skłonnościami despotycznemi i lekceważeniem umysłu kobiéty odepchnął od siebie. Tu przynajmniéj jasno i dobitnie przedstawia się kolizya, rozumiemy ją i ze stanowiska sympatyi dla szczerości i prawdy możemy całém sercem stanąć po stronie Basi, jako kobiéty, która miała odwagą w sprawie słusznéj wypowiedziéć swoje zdanie, lubo zrywała tym sposobem związek, bardzo dla niéj korzystny pod względem materyalnym. I ta wszakże najlepsza nowela nie ma wielkich zalet artystycznych; jesteśmy tu wprawdzie wśród towarzystwa bardziéj dla nas zrozumiałego, aniżeli to, w jakiém neurastenicy przebywają, ale rozmowy i tutaj nie mają cechy naturalności, a sprowadzenie kolizyi przez gburowate odezwanie się młodego doktora, wystosowane pod adresem narzeczonéj gospodarza domu, wydaje się naciąganém. Co do stylu, jakim pisze p. Jellenta swoje nowele, przyznać mu należy jędrność i dosadność, ale mu zarzucić wypada używanie zbyt częste wyrazów i zwrotów, które mogą być stosowne w t. zw. „humorystycznych" pismach, ale są rażące w utworze, traktowanym seryo. A co do języka, to powiedziałbym, że on często nie jest szczerze polskim; ponieważ zaś autor lubi forsowne wyrażenia, więc dodam, że ze zdziwieniem, a nawet z przerażeniem wyczytałem takie frazesy: „Cóż ty mówisz *do* dzisiejszego jego humoru?" (str. 81); „Dzięki niéj uwolniłem się przecie" (str. 137); „kto raz się unurzał swém jestestwem w téj krynicy szlachetności..." (str. 225). Ach, poprawiajmy się

wzajem, krytykujmy, a przedewszystkiém uczmy się języka, którym piszemy!...

— **Bawełna.** Powieść *W. Kosiakiewicza.* Petersburg. Grendyszyński. 1895. — Powieść ta posiada niezłą formę utworu sztuki, brak jéj tylko pierwiastku wzruszającego. A może za to jest ona pouczająca? Odznacza się oryginalną tendencyą? Historya wzrostu Łodzi, współczesne wewnętrzne jéj stosunki towarzyskie i handlowo-przemysłowe (o robotniczych ani wzmianki) znane są naszemu społeczeństwu inteligentnemu w zakresie znacznie nawet szerszym, niż ten, w jakim je tło powieści p. Kosiakiewicza przedstawia, może się jednak znajdą jeszcze i tacy, których zaciekawią niektóre sceny i epizody z życia drobnych macherów łódzkich; charaktery tychże czasem nawet dość zręcznie, chociaż nigdy artystycznie, szkicuje p. K. — Tendencya powieści jest arcymoralna; cnota bezwzględna otrzymuje tu sowitą nagrodę w postaci pięknéj dziewczyny i grubych pieniędzy, występek zaś ponosi surową, choć zasłużoną karę: traci mniéj więcéj tyleż. Nie własna jednak wiedza, energia, pracowitość i wytrwałość ratują bohatéra w chwili katastrofy, lecz *deus ex machina* w postaci Krotmana, „księcia łódzkiego”, którego imię prawdziwe łatwo z tego powodu odgadnąć. Ów Krotman —to uosobienie prawości, szczerości, szlachetności i wspaniałomyślności, a nawet przyjaźni dla Polaków. Ponieważ jednak, jak widać, do duszy „księcia” łatwo było zajrzéć, niż do stolicy, to o kolosalnych zakładach przemysłowych, o maszyneryi całéj jego fabrykacyi, o wszystkich instytucyach dla robotników przy tych zakładach — nic dowiadujemy się nic a nic z powieści. — Strona psychologiczna, środek ciężkości powieści współczesnéj, dużo pozostawia do życzenia. O ile banalna konwencyonalność nie dyktuje tu praw duszom ludzkim, dają się w tych duszach dostrzedz kardynalne nawet czasem sprzeczności wewnętrzne i nieprawdopodobieństwa życiowe. Oto przykład: Główny bohatér, ukończywszy świetnie politechnikę w Karlsruhe, „ze stopniem doktorskim” przyjeżdża do Warszawy „w jaknajpoczciwszym celu wyszukania stanowiska lub interesu”, ale „prąd uciech światowych porywa go... i zanosi” do ruiny zupełnéj i zupełnego niemal zapomnienia o nauce i pracy. W dalszym jednak ciągu ten sam człowiek słabéj woli, którego sport i flirt tak łatwo mogły sprowadzić z wytkniętéj drogi, jest prawym epigonem owych „inżynierów”, co to owładnęli byli ongi wszystkiemi miejscami pierwszych kochanków w naszém powieściopisarstwie, jest jednem

słowem nietylko wzorem pracy, lecz i Katonem, nieznającym żadnych zwątpień i wahań w najzawilszych nawet kwestyach życiowych. Niektóre perypetye romansu tego starzejącego się kawalera, jak np. odwiedziny młodziuchnéj i ładnéj nauczycielki, wraz z powodami, które do nich ją skłaniają, i rozmowami, które się podczas tych wizyt toczą, — są wprost zabawną niemożliwością. „Bawełnę" bez obawy można dać do rąk najniewinniejszym pensyonarkom: nic w niéj strzelniczego". *J. N.*

= *Alfred Binet.* **Psychologie des grands calculateurs et jouers d'échecs.** Paryż, str. 364.—Praca Bineta jest poświęcona psychologii tych wyjątkowych osób, które są zdolne w głowie swojéj, posługując się jedynie pamięcią, rozwiązywać zadania arytmetyczne znacznéj złożoności we względnie bardzo krótkim przeciągu czasu, oraz szachistów, mogących grać jednocześnie kilka i nawet kilkanaście partyi, nie widząc szachownicy. Autor odbywał systematyczne studya nad dwoma takimi rachmistrzami: Inaudim i Diamandim, w pracowni filozoficzno-psychologicznéj, znajdującéj się w Sorbonie. Mierzył tam czas, jakiego potrzebują na dokonanie w umyśle pewnego działania, rozległość pamięci w czasie, oraz napięcie jéj, porównywał zdolności rachunkowe takich osób ze zdolnościami zwykłych śmiertelników. W swoich poszukiwaniach doszedł do rezultatów następujących: istnieje pośród umysłów specyalna rodzina, obdarzona niezwykłemi uzdolnieniami dokonywania rachunków w głowie. Niepodobna tu odkryć żadnych śladów wpływu dziedziczności, ani wpływu otoczenia, w jakim wzrastali. Zwykle dzieci prostych robotników i wieśniaków, już w bardzo wczesnym wieku, bo przed dziesiątym rokiem życia, zwracały na siebie uwagę swemi uzdolnieniami rachunkowemi, i to pomimo, że nie znały wcale teoryi arytmetycznéj. Przejęcie się liczbą wypełnia całą treść umysłu, inne zdolności, nawet do pojęć czysto matematycznych, w geometryi i algebrze, zanikają. Dodawanie, odejmowanie, wogóle działanie arytmetyczne z podnoszeniem do potęgi i wyciąganiem pierwiastków są jedynemi czynnościami, które umysł rachunkowy zdoła podejmować. Binet mniema, że pamięć specyalna cyfr jest zasadniczą własnością osób tego typu, bez niéj nie byłyby one tém, czém są. Psycholog francuski dowiódł, że wiele osób, przy bezpośredniém ćwiczeniu, może podobnie szybko dokonywać rachunków na papierze, ale że tylko ci urodzeni rachmistrze posiadają zdolność operowania w głowie; podobnie zdolność grania w szachy bez oglądania

szachownicy polega na szczególnéj pamięci — dynamiczno-geometrycznéj. Binet wszedł w korespondencyę z wybitniejszymi mistrzami kunsztu szachowego, przeprowadził systematyczne poszukiwania, zawarł z niemi stosunki osobiste. Wogóle książka badacza francuskiego jest bardzo ciekawa i przedewszystkiém przedstawia materyał, może tu i owdzie niezupełny, ale za to zebrany ze ścisłością metodologiczną. Bezwarunkowo jest to jeden z cenniejszych dotychczas przyczynków do psychologii typów zawodowych. *L. K.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Pokój europejski. — Jego warunki i przyczyny. — Niektóre wypadki polityczne ubiegłego roku. — Nasza literatura o „końcu stulecia." — Charakter téj „schyłkowéj reakcyi." — Z dziejów Japonii. — Buddyzm i katolicyzm. — Nowsza historya tego kraju. — Dobroczynność prowincyonalna: kuchnie tanie i domy zarobkowe. — Rolnictwo, rada gospodarstwa wiejskiego i weterynarya. — Mieszkania w Warszawie i syndykat właścicieli. — Kara cielesna w osadach rolnych.

Międzynarodowego pokoju Europy, w roku ubiegłym, 1894, nie zakłócił żaden poważniejszy rozdźwięk. W ciągu całych dwunastu miesięcy nie było jednéj chwili, w którejby ogół europejski, w przeważającéj większości swojéj, bardzo o ten pokój dbały i szczerze go miłujący — miał powód do obawy lub podejrzeń. Przynajmniéj wielka publiczność posiadała wszelką otuchę, a tajemnice kancelaryi dyplomatycznych, lubo nie strzeżone już teraz przez tak mocne zamki, jak dawniéj, nie zwiastowały dotąd światu o poważniejszych obawach, których mogły doznawać. Zaszły jednak inne wypadki pierwszorzędnéj, międzynarodowéj doniosłości. Cesarz Aleksander III zasnął w Bogu 1-go listopada w Liwadyi, a zmiana Panującego w Rosyi jest dla polityki europejskiej faktem największego znaczenia. Deklaracye pokojowe ze wszystkich stron Europy, po tym wypadku dochodzące, świadczą dobitnie, jak ten pokój jest pożądany, jak bardzo odpowiada interesom narodów europejskich, jak dalece skłonności wojownicze nie znajdują oddźwięku w wyobraźni współczesnych ludów ucywilizowanych. Nawet poezya, która głowy bohaterów tak wspaniałą otaczała aureolą, w niszczącéj pożodze wielbiła grozę i czerpała dramatyzm w zgiełku bitew, dziś nie-

wątpliwie mniéj szuka natchnienia w motywach wojowniczych, bo interesa i wyobrażenia innym kroczą gościńcem, a kupiec, przemysłowiec i komiwojażer handlowy, coraz więcej miejsca i pieniędzy zagarniając, nie lubi ani wojny, ani romansów i poematów, na jéj tle snutych, chyba, gdyby mu zapewniły korzyści z traktatów handlowych i łatwiejszy odbyt towarów.

Pod tym względem trudno chyba zaprzeczyć, że rozwój świadomości interesów materyalnych będzie coraz większym hamulcem zapędów wojowniczych, i że społeczeństwo cywilno-przemysłowe, a do takiego typu zbiorowego systematycznie zdają się ukształcać i urabiać ludzkość procesy socyologiczne, będzie przeciwstawiało swoje dążenia atawizmowi instyktów walki i krwi.

Bismarck, na którego sentencye i opinie coraz rzadziej zresztą powoływać się będą, w jednéj ze swoich mów, w której mu wypadło nazwać się zasadniczym przyjacielem pokoju, dodał, że wojny pragną obecnie ci tylko młodzi oficerowie, którzy obawiają się, iż nie zdążą zostać generałami. I miał słuszność. Powstały olbrzymie armie, z których niektóre nigdy nie wojowały, (armie np. austryacka i włoska od r. 1866 nie prowadziły wielkiej wojny). Lecz w tych armiach, nie ma już starych, dźwigających po kilkanaście lat karabin wiarusów z tradycyą bitew i z długiém nawyknienieniem do wojennego rzemiosła. Dzisiejszy żołnierz europejski oderwany na krótko od swego otoczenia i spokojnego zajęcia, nie ma ani czasu, ani ochoty, ani nawet sposobności przejąć się tym hartem, który posiadał żołnierz Fryderyka lub Napoleona. Uzbrojone narody, pod postacią dzisiejszych armii, są wprawdzie imponującą siłą militarną, lecz téj liczebności nie odpowiada ani fantazya na pół-cywilnego żołnierza, ani duch epoki, dążącéj przedewszystkiém do największéj produkcyi.

I jakiekolwiek mogą być rozprawy o zasadzie wie cznego pokoju lub wiecznéj wojny, i choćby ta ostatnia miała protektorów w Moltkem i Zoli, a zwolennicy pierwszego byli uważani za łudzących się fantastów—interesa ekonomiczne i nastrój moralny nie zawsze pójdą w jednym kierunku z dawnym duchem wojny i zniszczenia. Wprawdzie łatwo rozniecić namiętności nawet ucywilizowanych narodów, jak się to stało w r. 1870 z Francyą i Niemcami; wprawdzie słusznie powiedział wówczas Rénan, że moralne i naukowe porozumienie tych narodów, nad którém lepsi ich synowie pracowali przez pół wieku, zostało zburzone w kilka tygodni; wprawdzie apetyty ekonomiczne mogą towarzyszyć nienawiściom plemiennym; wprawdzie, jak dowodzi Tarde: „rozpowszechnienie się teoryi Darwina było stanowczym zwrotem wstecz ku duchowi pogańskiemu. Wszelka religia czy filozofia, która

czy to w mitologicznym czy w naukowym kształcie bierze, jako początek, wrodzony nieporządek, ścieranie się pierwotne i upatruje w harmonii tylko zwycięstwo po bitwie, usprawiedliwia fatalistycznie zdobywcę i bohatera. Niewątpliwie postępy darwinizmu przyczyniły się do przerażającego wzrostu militaryzmu."

To wszystko prawda, i obawy wojny nie można uważać za usuniętą. W każdym razie, jest pewném, że w polityce współczesnéj wzrosło poczucie odpowiedzialności wobec nieszczęścia, za jakie uważa się wojna, i że nawet tryumfy przypuszczalnego zwycięstwa nie łatwo już wyprowadzają rządzących z równowagi. Wprawdzie można znów dodać, jak uczy niedawna historya, w r. 1870 np. stało się wręcz przeciwnie: i rządzący i rządzeni stracili bardzo łatwo równowagę, pozwoliwszy się uwieść zwodniczym nadziejom. Niezawodnie, ale bądź co bądź, historya jest przecież w jakimś stopniu mistrzynią życia i opinia publiczna, kształci się i rozwija, jeżeli nawet nie humanitarnie, to o tyle przynajmniéj, że własnych interesów strzedz lepiéj potrafi. Okres ostatnich lat kilkunastu rozstrzyga wątpliwości pod tym względem: nieporozumienia a może i powody do wojny zalegały niejednokrotnie widnokrąg polityczny; pokój jednakże utrzymany został dzięki nietylko dobréj woli, ale także rozwadze i obawie przed następstwami wielkiego starcia. Jest téż zasada do przypuszczenia, że i w przyszłości te właśnie czynniki, razem ze społecznym rozwojem narodów i czujnością opinii publicznéj stawać się będą coraz więcéj regulatorami polityki; namiętność zaś i przypadek coraz mniejszą będą w niéj odgrywać rolę.

Rok ubiegły będzie pamiętny dla Europy przez zamachy i zbrodnie anarchistów. Śmierć Carnot'a, prezydenta rzeczypospolitéj francuskiéj, zamordowanego 23-go czerwca w Lyonie, przez anarchistę Caserio, wywołała powszechne współczucie. Te zamachy i szaleństwa, oprócz bezpośredniego wzruszenia, jakiém było współczucie dla ofiar, posiadały jeszcze głębsze znaczenie, mianowicie czy ustrój instytucyi publicznych na zachodzie nie ucierpi w walce pomiędzy porządkiem społecznym a anarchią? Przedczeście byłoby już teraz robić pod tym względem przepowiednie, chociaż zapewne nie omylimy się, że klasy zachowawcze, zagrożone przewrotem lub choćby nieporządkiem, nie wahają się w wyborze między ograniczeniem atrybucyi społeczeństwa, a znoszeniem choćby sporadycznych niebezpieczeństw i przystają zawsze na pierwsze.

Zwracała także na siebie długo uwagę walka między dwiema izbami parlamentu węgierskiego, o reformy kościelno-polityczne w tym kraju, polegające na zaprowadzeniu ślubów cywilnych, i zrównaniu

wyznań. Agitacya była zacięta, również bardzo trwały opór skoncentrowany w izbie magnatów i stronnictwo liberalne po nader długich wysiłkach uzyskało sankcyę dla uchwały sejmowéj, także nie zbyt przychylnéj dla tych reform, korony, dopiéro około połowy grudnia. Spraw takich nie można nigdy osądzić słusznie zdaleka na podstawie luźnych opinii dziennikarskich, bez znajomości wyobrażeń i obyczajów narodu, jego kultury obywatelskiéj i potrzeb cywilnych, nareszcie jego stosunków prowno-politycznych i charakteru stronnictw, boć te ostatnie względy najmocniéj może zaważyły w walce, toczącéj się na Węgrzech. Hasła liberalne o ile nie wyrażają istotnych cywilizacyjnych warunków i potrzeb społeczeństwa, nie mają dziś takiego kursu, jaki jeszcze niedawno posiadały. Mówiąc o Węgrach wogóle, należy pamiętać, że jest to naród dziwnie dwoisty, o rękojmię swéj niezależności bardzo zazdrosny, występujący zawsze przed Europą w roli rycerza humanizmu, lecz jakże bardzo téj zewnętrznéj, deklamacyjnie i hałaśliwie podtrzymywanéj roli, nie odpowiadają wewnętrzne stosunki państwa Madziarów, a zwłaszcza ich postępowanie względem narodowości słowiańskich, systematycznie wynaradawianych. I główna więc agitacya za reformami kościelno-politycznemi nie może być zdaleka, według prawdziwych motywów i potrzeb osądzoną.

W Niemczech po Caprivim, poważnym mężu stanu, o którym powiedzieć można, że pierwszy posiadał odwagę zboczenia z traktu tradycyi bismarkowskich i zapoczątkowania jaśniejszéj i bezstronniejszéj polityki względem partyi w państwie niemieckim — zajął miejsce kanclerza Hohenlohe. Pierwsze zaraz dni, zwołanego w początku grudnia parlamentu niemieckiego w nowo zbudowanym gmachu, zostały mocno poruszone zachowaniem się kilku posłów socyalistycznych, którzy przy okrzyku na cześć cesarza nie powstali z miejsc swoich. Ostatniém hasłem rządu „najnowszéj ery” jest, jak wiadomo, walka z dążnościami wywrotowemi. Zaprojektowane dodatki czy zmiany niektórych paragrafów kodeksu, mają przeważnie na celu podniesienie kary za propagandę i podżeganie.

Wogóle, polityka zachodnio-europejska w ubiegłym roku, koncentrowała się głównie w sprawach ekonomicznych i społecznych, które też stanowią najwyraźniejsze znamię zachodzącego stulecia. Ten jego charakter jest tak wybitny, iż zdawałoby się, że przeoczyć go nie podobna.

* * *

Z tém stuleciem dokonywa się teraz obrachunek.

Od lat kilku prasa codzienna i tygodniowa podaje dużo rozpraw

i artykułów o schyłku wieku. Wiek istotnie chyli się ku zachodowi, i jeżeli się wspomina o zachodzie słońca, które znika dla oczu naszych codziennie, to témbardziéj wolno rozprawiać o odpływającym do wieczności wieku, co odbywa się zaledwie raz na sto lat.

Trzeba przyznać, że w niektórych organach naszéj prasy rozprawiają się z tym końcem wieku bardzo ostro. Chyba chłopiec, który kończy termin u szewca, ale przedtém odbiéra jeszcze należne cięgi, „żeby popamiętał" — może być porównany z tym starcem pod względem traktowania. Co za pycha u tych historyków „schyłkowych!" Co za lekceważenie wszystkiego od Kanta aż do Spencera! Co za potępiające i stanowcze wyroki!

W tych rozprawach przeważa jeden ton i jeden rodzaj argumentów a raczéj ogólników, który na rozmaite waryacye powtarza się w każdym rozdziale, w każdym okresie może: „Ambitny umysł ludzki, ze swemi, daleko sięgającemi dążeniami zbankrutował niepowrotnie; człowiek współczesny nie ma sumienia, bo wierzy tylko w walkę o byt; pozytywizm osuszył serce ludzkie z wszelkiéj poezyi; pesymizm rozsiadł się na tronie i zgasił nadzieję, aż do najdrobniejszego promyka; wiedza pożarła wiarę i sama wyjałowiała, jak piasek mazowiecki; rozum błądzi po manowcach, wśród których czepia się spirytyzmu" i t. d. Tenor w pierwszéj scenie „Fausta" Gounoda nie zawodzi mocniéj nad nicością usiłowań, nad znikomością wszechrzeczy.

Lecz Faustowi towarzyszymy i w chwili rozpaczy i w chwili upadku i w chwili odrodzenia, znamy jego wyobraźnię i jego serce; wiemy, że on grzeszy i wątpi, lecz wiemy także, że działa i kocha; jego negacya i rozpacz użyźniają grunt, na którym wzrosną dobre ziarna i wspaniałe drzewa.

Cóż widzimy u moralistów warszawskich? Przedewszystkiém sypią oni na to stulecie całe worki, suchych, jak wióry, frazesów. Każdy, mający jaką taką wprawę pisarską, może nieskończone szeregi ogólnikowych takich zdań i okresów ustawiać — gromiąc i piętnując nieszczęśliwe stulecie. Na melancholię bynajmniéj się przez to nie zapada. Każdy prawie frazes jest oddawna gotowy. Nie odczuwa się w nim ani przeżytego wrażenia, ani żywego wyobrażenia. Mechaniczna wprawa — nic więcéj.

Tyle co do formy. Zatrzymujemy się teraz na chwilę przy treści. Rzucając klątwę na instytucye i idee tegoczesne, muszą do czegoś apelować, do jakiegoś trybunału w przeszłości czy w przyszłości. Ponieważ nazywają się zachowawcami, więc apelują do przeszłości. Powiedzieliśmy sobie i przekonali publiczność, że teraz nastąpiła epoka reakcyi i „słowo ciałem się stało." Koń stoi osiodłany przed oknem,

jeździec chwyta za cugle, dosiada go i zaczyna reakcyjne ewolucye. Wzory gotowe. Już w tem stuleciu patrzymy przynajmniéj na trzecią reakcyę. Ale jeżeli zawsze gotowe są wzory, to nie zawsze gotowe są talenta do harców. De Maistrów nie ma na zawołanie. Reakcya jest to bardzo modne słowo, i może ono oznaczać różne rzeczy; jest przecież na tym świecie przeciw czemu reagować.

Cóż tedy czynią nasi moraliści? Widzieliśmy już, że nie zostawiają suchéj nitki na filozofii, literaturze i moralności, gardzą zarówno Wiktorem Hugo jak i Zolą. Reakcya przeciwko bardzo wielu zjawiskom współczesnym byłaby najzupełniéj usprawiedliwioną. W cóż jednak celują przeważnie moraliści? Oto przedewszystkiém w każdy oryginalniejszy objaw myśli, w szlachetniejsze drgnienie duszy ludzkiéj. Jak gdyby istotna zachodziła tego wszystkiego potrzeba? Jak gdyby obecnie nie przemagającą była rutyna, i wszystko jéj nie ustąpiło z placu, ścigane, wykazywane palcami, denuncyowane. Trudno się wahać w użyciu ostatniego wyrazu, bo on prawdziwie określa rzecz. Są tacy, co denuncyują przed prawomyślnością społeczną każdy przeciwny ich katońskiéj cnocie objaw życia, myśli i sztuki.

Powróćmy jeszcze do historyków „schyłkowych,” którzy, dodajmy, w formie zewnętrznéj, zachowują większą przyzwoitość pióra. Jako idealiści czystéj krwi, jako spadkobiercy wielkich tradycyi chrześciaństwa, nienawidzą materyalizmu. Bardzo pięknie. Szukają go jednak w teoryach przyrodniczych, filozoficznych i społecznych, nie spostrzegając, że jako bezwiedni zwolennicy faktów dokonanych i nieprzyjaciele ewolucyjnych przeobrażeń w społeczeństwie, samiby splecli ludzkości najtrwalsze więzy materyalistyczne, gdyby ich poglądy mogły mieć istotne zastosowanie w praktyce.

Do tak eksploatowanego końca wieku brakuje jeszcze lat 6-ciu. Ponieważ spodziewać się należy, iż rozpraw na ten ten temat nie braknie, więc byłoby dobrze, gdyby autorowie prym w téj specyficznéj literaturze dzierżący, opatrzyli się póki czas. Niech pamiętają o tém, że i ich godzina przeminie, a publiczność, jeżeli dziś, jak to z prospektów i pewności siebie wnosić można, posłuch im daje, jest tym panem, którego łaska na pstrym koniu jeździ. Wielu mniejszych a nawet i znaczniejszych pisarzy naszych oszołomiła reakcya anti-liberalna na Zachodzie, lecz którzy przytém zapomnieli o warunkach miejsca i czasu. Cokolwiek o tamtejszych nowo-chrześciańskich czy innych prądach trzymać można, zaznaczyły się one prawdziwemi talentami i humanitarném traktowaniem życia. O naszym kierunku z żalem tego powiedzieć nie można. Zdawałoby się, że pragnie on podkopać całą strukturę idei nowoczesnych, lecz zamiarom nie odpowiadają siły. Właściwie

też chodzi tylko o ogół, na wrażliwości którego dokonywają się te reakcyjne próby. Mówi się także w nich o idealistycznêm odrodzeniu społeczności europejskiéj, myśli i pojedyńczego człowieka. Zapewne, że jest czego pożądać. Ale pamiętać należy, że tu same słowa i sztuczne tendencye nie wiele znaczą; prawdziwie coś znaczy dopiéro nastrój psychiczny, zdolny do rozszerzania się i żywotność umysłu, asymilującego pożytek i prawdę, zkądkolwiek pochodzą. Ograniczając widnokrąg duchowy — nie można się takiego odrodzenia spodziewać. Przecież i wieprze podnoszą ryje do góry; czyż dlatego można myśléć o ich idealistycznêm odrodzeniu?

* * *

Poza granicami naszéj części świata stał się wypadek, o którymby może powiedział Chateaubriand, że na „wielkim zegarze dziejów wybiła godzina."

Do niedawnych czasów o dalekim Wschodzie większość czytelników czerpała wiadomości z encyklopedyi kieszonkowych lub dzienników, a już co do Japonii, to wiedziała nie wiele więcéj nad to, co opiewa operetka. Zdaje się nawet, że i jest operetka p. t. „Mikado;" w każdym razie wyraz ten w gwarze naszéj młodzieży, która „klasycyzmu się wyrzekła" był często powtarzany w jakiéjś zwrotce spopularyzowanéj przez artystki z „Małego teatru." Bądź co bądź, złóżmy operetce dzięki za to, że nas przygotowała do owéj godziny, co wybiła na zegarze dziejów. Historya Japonii, która z mgły wieków i oceanów, zwróciła teraz dopiéro na siebie poważną uwagę europejczyków, jakkolwiek mętna, jest starszą od dziejów żyjących narodów naszéj części świata. Już w VI-ym wieku przed Chrystusem miała tam być pewna organizacya społeczna i państwowa. Ludy dalekiego wschodu nie mają téj poetycznéj mitologii, co Grecy i Rzymianie, i historya Japonii przez długi szereg wieków jest przeważnie krwawą, bezładną walką między różnymi władcami i plemionami. Japonia jednakże przez te stulecia nie była zamknięta dla wpływów obcych cywilizacyi, i na szczególną uwagę w przeszłości tego dziwnego kraju zasługuje rozwój i upadek szczepionych tam systemów religijnych, ponieważ w dużej zależności od losów tych nauk pozostawał także rozwój lub upadek kultury. W VI w. naszéj ery na wyspy japońskie przeszła prawdopodobnie z Chin, łagodna i szlachetna w swéj pierwotnéj czystości nauka Buddy, zalecająca umiarkowanie, sprawiedliwość, przebaczanie nieprzyjaciołom i współczucie cierpiącym. Nie takiemi jednakże drogami szli kapłami, kiedy z biegiem czasu obrządki zupełnie za-

słoniły ideę, tolerancya ustąpiła prześladowaniu i bonza buddyjski, panujący w swoich niepoliczonych klasztorach, oraz chciwy wpływu i bogactw, ssał soki żywotne ludności i opiérał się wszelkim dążeniom, zmierzającym do poprawienia jéj bytu. Ludzie zawsze potrafią przetłómaczyć ewangelię na inkwizycyę, prawa człowieka na gilotynę.

W XVI w., kiedy po reformacyi reakcya katolicka ze skoncentrowanemi siłami podnosi sztandar walki i propagandy, dalekie drgnienia tego ruchu przenikają aż na wyspy Oceanu Wielkiego i wywołują w Japonii wielki przewrót religijny i polityczny. Bonza buddyjski i jezuita hiszpański stają naprzeciwko siebie. Misyonarz katolicki zwycięża, bo zmęczonemu niedolą krajowcowi obiecuje zaraz po przemijającém życiu ziemskiém szczęście w niebie, kiedy dawna nauka dopiéro po wielu próbach i oczyszczeniach zapowiadała spokój i ukojenie w Nirwanie. I władza państwowa, która nie mogła przełamać wpływowéj potęgi klasztorów buddyjskich, obwarowanych, jak fortece, i liczących po kilkanaście tysięcy mnichów, kobiét i dzieci, sprzyja katolicyzmowi. Zakony jezuitów, dominikanów i augustyanów szerzą się w ówczesnéj Japonii; wyznawców chrześciaństwa liczono do 2-ch milionów. Nader szybkim postępom nowéj religii pomaga podobieństwo zewnętrznych form buddyzmu i katolicyzmu. Te same wspaniałe, ku obłokom sięgające świątynie, te same bogate ołtarze, wonne kadzidła, przepych urządzeń, niejaka analogia hierarchii duchownéj. Misye katolickie zyskują w wielu częściach kraju przewagę i przekonywają znaczniejszych Japończyków, że należy wyprawić poselstwo do Europy, które otrzymuje audyencyę u wszechmocnego wówczas Filipa II w Madrycie i uroczyste błogosławieństwo od papieża w Rzymie. Poselstwo wraca do kraju z nowymi misyonarzami, przeważnie z pośród jezuitów, którzy pracują nad utrwaleniem panowania katolickiego. Lecz do téj pracy przywieźli z Europy, ogarniętéj w ową epokę okropnościami wojen religijnych, inkwizycyę ze wszystkiemi jéj cechami i konsekwencyami, z podejrzliwością i torturą, z tyranią nad sumieniem, z dążeniem do władzy, z ustawami przeciw herezyi. Ponadto widoczném było, że zamiary jezuitów w Japonii mogą być groźne dla niepodległości tego kraju, dla sholdowania go monarchii hiszpańskiéj i papieżowi. Nowa religia od chwili, kiedy miłosierdzie uległo w niéj fanatyzmowi, a cele apostolskie celom świeckim, traci na powadze wśród krajowców i ściąga podejrzenia władców japońskich, lękających się o swoją niezależność. Tajne poselstwo, wysłane do Europy, powraca z przeświadczeniem, że wojujący katolicyzm dąży do władzy ziemskiéj.

I znów w historyi tego kraju, który jest jakimś wiekuistym tea-

trem rzezi, następuje wielka zmiana: zaczyna się okrutne prześladowanie chrześcian, spychanie ich do morza lub przepaści całemi tysiącami, równanie z ziemią licznych świątyń, edykt, wypędzający wszystkich wyznawców Krzyża z granic Japonii. Chrześcianie znosili prześladowanie z rezygnacyą i odwagą, przypominającą pierwsze wieki. Początek XVII-go stulecia nie zastaje już ich w Japonii i odtąd przez długie czasy, bo dłużéj, niż do połowy naszego wieku kraj ten jest najszczelniéj zamknięty dla europejczyków wszystkich narodowości; w r. 1843 udało się wprawdzie wymódz rządowi amerykańskiemu groźbą i prośbą prawo zaopatrywania swoich okrętów wodą w portach japońskich, lecz bez możności pobytu załogi na lądzie. Tylko kupcy holenderscy posiadali oznaczoną wysepkę do handlu, bez żadnego środka wywierania politycznego i cywilizacyjnego wpływu, o który Japończycy, pomni na dawniejsze doświadczenie, byli zazdrośni. W połowie naszego wieku europejczycy nie mieli téż prawie żadnego pojęcia o organizacyi i znaczeniu władzy państwowéj w Japonii; nie wiedzieli, z kim mają traktować; przypuszczali, że jest tam dwóch monarchów: mikado-duchowny i drugi—świecki.

Ta chwila z dziejów dawnéj Japonii, kiedy wpływy chrześciaństwa i cywilizacyi europejskiéj były tam silne, a później dość niebacznie stracone, powinnyby nie jednego zachęcić do poznania historyi tego kraju, zwłaszcza nowszéj, któréj ważniejsze wypadki opowiedziéćby trzeba systematycznie, na co tutaj nie ma miejsca. Najciekawszy jéj moment rozwija się teraz przed naszemi oczyma, kiedy eskadra japońska błysnęła męstwem i taktyką nad Ya-lu, a zwycięskie armie idą na Pekin, kiedy powstaje nowa konstelacya polityczna na dalekim Wschodzie. Losy walki między drzémiącemi i martwemi intelektualnie Chinami a energiczną i budzącą się do życia pod działaniem cywilizacyi Japonią nie mają zapewne dla nas bezpośredniego interesu. Mówiąc téż o cywilizacyi Japonii, która dzięki zwycięstwom swoim znalazła licznych w Europie przyjaciół, wróżących jéj wielkie przeznaczenie, pamiętaćby należało, że ta cywilizacya jest dotąd natury raczéj technicznéj, niż humanitarnéj. Wojna z Chinami prowadzi się w sposób tak barbarzyński, jak za czasów Dżengis-chana, którego ojczyzną według niektórych podań, miała być właśnie Japonia. Obie strony wzajemnie obcinają nosy i rozpruwają brzuchy jeńcom. Japończycy lepiéj walczą, lecz w również okrutny sposób, biorą odwet nad nieprzyjacielem. Wojna nie jest szkołą braterstwa i miłosierdzia, ale wojna żółtych jest raczéj walką gadów, niż ludzi. Z tém wszystkiém ponieważ w tych czasach wzajemna zależność najdalszych nawet krajów wzma-

ga się, a kolej syberyjska połączy nas z Oceanem Wielkim i otworzą się ztąd nowe widoki handlowe, więc sprawy Wschodu będą nas praktycznie obchodzić. Na tym zaś Wschodzie Japonia przez swoje instytucye, organizacyę i inicyatywę zajęła poważne stanowisko. Przydałaby się téż bardzo dobrze opracowana monografia tego kraju.

* * *

Z zadowoleniem przyjmuje się zawsze wiadomość o ruchliwości naszéj dobroczynności prowincyonalnéj, o faktach, które przerywają jéj rutyniczną drzémkę. Tych faktów potrzeba dużo, bo biédy nie brakuje. Inicyatywa prywatna z lat ostatnich, która może pochlubić się taką instytucyą, jak kolonie letnie dla ubogich dzieci, przekonała już chyba nawet ospałych i obojętnych, że filantropia, na którą w pewnych zwłaszcza warunkach poważne spadają zadania, nie potrzebuje i nie powinna się zamykać w szablonowym zakresie rutyny, za co ją słusznie często spotykają wymówki i szyderstwo, lecz stać się żywym i racyonalnym czynnikiem społecznym.

Miasta nasze, większe i mniejsze, inicyatywą, niestety, się nie odznaczają. Korespondenci powtarzają téż zwykle, że zebrania towarzystw dobroczynności, z powodu zbyt małéj ilości członków nie przychodzą do skutku, a większość „świeci nieobecnością”. Czém się co prawda u nas nie świeci? Dobroczynność więc w większości naszych miast prowincyonalnych ciągnie swój żywot ospale, z małym udziałem obywateli miejskich, którzy są zbyt pochłonięci wintem, bilardem, zawiściami i ambicyami partykularza, a dawniéj jeszcze kultem Bismarcka, gorąco propagowanym przez polityczną prasę warszawską, ażeby do zgodnéj pracy, jak przytułki, szkółki, ochrony, domy zarobkowe, sale do pracy dla dzieci i t. p. przykładać się chcieli. Tylko teatr amatorski miał i ma zapewne do dziś dnia przywilej budzenia umysłów i przyspieszania tempa języków, zwłaszcze damskich. Miły Boże! co się to wtedy nie dzieje! Wszystkie pretensye i niechęci poruszają się, i jak rój szerszeni, osiadają winnych i niewinnych.

Z zadowoleniem więc przyjmuje się zawsze wiadomość o fakcie pozytywnym, choćby drobnym, który świadczy dodatnio o życiu społecznem. Należy więc te fakta z uznaniem podnosić. I tak np. zapewne już wszystkie nasze miasta gubernialne posiadają tanie kuchnie i herbaciarnie. Większość tych zakładów powstaje zwykle w czasie epidemii cholery, która obok olbrzymiéj klęski, zwróciła przynajmniéj uwagę na gwałtowne potrzeby ubogich klas ludności, na stan ich mieszkań i czystość i rodzaj pożywienia. Towarzystwa dobroczynności,

urządzając tanie kuchnie, nie ponoszą wielkich wydatków. Jedno z nich, do dwudziestu kilku tysięcy wydanych obiadów, dopłaciło z funduszów swoich 350 rubli. Jeżeli zważymy, jak wielką przysługę miejscowemu ubóstwu odda tania kuchnia, przez dwadzieścia kilka tysięcy obiadów, i jak małą kwotą pieniężną tę przysługę dobroczynność opłaci, to jest jasném, że nietylko fundusze, na których brak jest najwygodniéj narzekać, ale także inicyatywa i dobra wola rozstrzygają, o pożytecznéj działalności.

Za przykładem Warszawy i inne miasta dążą do posiadania domów zarobkowych. Towarzystwo dobroczynności w Radomiu zajęte jest właśnie urzeczywistnieniem takiego projektu. Dom ma stanąć na własnym gruncie Towarzystwa, funduszów zaś na budowę dostarczą kasa miejska, ofiary mieszkańców i bazar gwiazdkowy, urządzony przed świętami Bożego Narodzenia. O ofiarności swoich współobywateli nie wątpi korespondent „Kuryera Wnrszawskiego" z Radomia, chwaląc bardzo dobroczynnego ducha, ożywiającego „miejscową inteligencyę".

Domy zarobkowe nietylko z humanitarnych, lecz i z praktycznych pobudek powinny być popularne wśród obywateli. Usunięcie natrętnego żebractwa obchodzi każdego; ocalenie zaś z tego zdemoralizowanego elementu jednostek lepszych jeszcze i do pracy przydatnych, godne jest ambicyi obywatelskiéj.

Najbliższa przyszłość zdaje się wróżyć dobrą opiekę rolnictwu podtrzymując i rozwijając te środki i instytucye, które poprzednio otrzymały impuls lub zostały zorganizowane. Reskrypty Najwyższe do towarzystw rolniczych i ekonomicznych zapowiadają energiczne współdziałanie państwa dla podniesienia rolnictwa z jego dzisiejszych kłopotów. Niedawno założone ministeryum ma się w styczniu gorliwie zająć reformą systemu szkół rolniczych; w tym miesiącu także zbierze się w Petersburgu po raz pierwszy utworzona przy ministeryum rada gospodarstwa wiejskiego, do któréj, oprócz członków wyznaczonych z pośród osób urzędowych, należy kilkunastu powołanych przez władzę przedstawicieli rolnictwa z różnych okolic państwa. Z ogłoszonéj już listy widać, że są to wyłącznie reprezentanci wielkiéj własności; gazety ruskie utrzymują, że w przyszłości znajdą się między nimi przedstawiciele i średniéj własności ziemskiéj.

Oprócz opieki i pracy ustawodawczéj zbiorowe usiłowania samych rolników mają być raźniejsze i systematyczniejsze niż dotąd. I za pierwszy warunek powodzenia to właśnie uważać należy. Najgorliwsza opieka rządowa nie zastąpi inicyatywy prywatnéj. Ta inicyatywa ma otrzymać także według ogłoszonych wskazówek szersze pole działalności. Piszą między innemi o rozpowszechnieniu syndykatów rol-

niczych, których kilka zaledwie istnieje dotąd w Cesarstwie. Instytucya taka powstała niedawno w Kijowie i na udziały złożono 25,000 rs. *Maximum* udziału jest ograniczone. Cel syndykatu polega na pośrednictwie w kupnie i sprzedaży maszyn, produktów rolnych. Przy nabywaniu narzędzi dla stowarzyszonych, ustępstwa, które rozmaite firmy zaofiarowały syndykatowi, wynoszą z górą 30%. Nieraz zdarzało się, że rolnik tutejszy sprzedał ziarno, które wracało potém do nas w zagranicznych workach, sprzedawane trzy razy drożéj. Przy syndykacie podobne manipulacye powtarzać się nie mogą. We Francyi te związki są ochroną rolnictwa i potęgą zbiorową; „Ateneum" podawało przed kilku laty ich organizacyę i znaczenie.

I u nas dowodzono oddawna, że tylko skupianie się pojedynczych sił w stowarzyszenia może poprawić los rolnictwa. W odpowiedzi na to wskazywano zawsze historyę byłych domów komisowo-rolnych i zamykano kwestyę argumentem, że ziemianie nasi nie posiądą nigdy uzdolnień administracyjno-kupieckich. Ale nieubłagany bieg rzeczy nie rozróżnia ludzi według ich uzdolnień i nie oszczędza tych, którzyby się chcieli uniewinnić przed nim brakiem kwalifikacyi. Druzgocze tego, kto ich nie posiada w zakresie swego ekonomicznego zawodu. I wobec takiego obrotu spraw, spółki handlowo-rolne, przez obowiązujące normy prawne dozwolone, zaczęto od lat kilku bardzo energicznie propagować. W Płocku zawiązała się niedawno spółka dla hurtowéj sprzedaży zboża, w Łodzi dla sprzedaży mięsa. Już są spółki: rybacka i wódczana, a ma także powstać chmielarska. Ruch spółkowy jest więc widoczny. Wywołały go warunki ekonomiczne i pesymistycznym proroctwom może kłam zada.

Zatrzymajmy się jeszcze przez chwilę przy innéj sprawie, dotyczącéj stosunków wiejskich. P. Zen. Piet. w „Prawdzie" przedstawia brak pomocy weterynaryjnéj na wsi, kiedy choroby, zarazy i pomory koni, bydła i drobiu wyrządzają wielkie straty gospodarstwu. W jednéj gub. warszawskiéj, zaraza świń w ostatnich latach miała wyrządzić 30 tysięcy rubli szkody. Taki stan rzeczy nie pozwala należycie rozwinąć się hodowli. „Nasi ziemianie, a raczéj ich żony, nie traktują poważnie hodowli drobiu, jako gałęzi gospodarstwa mogącéj przynieść znaczne zyski, bo w obecnych warunkach jest to rzecz ryzykowna. Cholera kur, choroba wątrobiana, karbunkuł kurzy, dyfteryt i t. d. zmiatają całe stada ptactwa domowego bez żadnych środków ratunku. Czy więc opłaci się prowadzić hodowlę?" Autor ubolewa nad rutyną weterynarzy, nieposiadających ani swego towarzystwa, ani organu, a wymagających większéj zapłaty, niż lekarze. Daje téż radę sekcyi

rolnéj, ażeby pomyślała o stowarzyszeniu weterynarzy, o założeniu organu specyalnego.

Jest to niewątpliwie sprawa poważnego znaczenia praktycznego, słusznie i krytycznie podniesiona przez autora. Pragnąć trzeba, ażeby odpowiednie echo w stosunkach faktycznych znalazła.

* * *

Jedną z największych dolegliwości Warszawy są mieszkania. Sprawa ta stoi ciągle na porządku dziennym w rozmowach strapionych obywateli i w dziennikach, nie wspominając już o zatargach lokatorów z właścicielami domów. Mieszkania w Warszawie są tak drogie, że jak obliczono, ustępują pod tym względem zaledwie petersburskim, a przewyższają inne wielkie miasta europejskie. Od lat kilku, kiedy po przybyciu żydów z Cesarstwa ludność miasta nagle wzrosła o kilkadziesiąt tysięcy, sprawa stała się jeszcze bardziéj piekącą, bo podwoiła się trudność nawet znalezienia mieszkania, zwłaszcza dla osób, o średnich dochodach. Mieszkania więc są najprzód drogie, późniéj niewygodne, i nareszcie jest ich za mało wobec szybko wzrastającéj ludności miasta.

Dr. J. Tchórznicki tak przedstawia nowowznoszone budowle: „Sciany grube, ale wznoszone w ten sposób, iż niedostatecznie zabezpieczają od wiatru i zimna; ściany te wewnątrz puste, są zbyt akustyczne; cegła w nich licha; piece, składane nieumiejętnie, dymią i nie grzeją, pośpiech w wykończeniu znać na każdym kroku; schody przeważnie wąskie, kręte lub niezupełnie ogniotrwałe, często ciemne; rozkład w lokalach stereotypowo niedołężny; pokoje nie obliczone na wygodę mieszkańca, lecz stosowane do ścian. Kuchnie ciemne i tak zbudowane, że miejsca na łóżko służącéj nie ma wcale lub też łóżko musi stać tuż koło stołu kuchennego. Mała szafeczka w ciepłym pokoju wyżłobiona w murze, nazywa się śpiżarnią, piwnice wilgotne, nie wentylowane, ciemne, góry wspólne dla 4-ch lub 6-ciu lokatorów i t. d. bo trzy razy dłuższą jest litania niewygód i plag w mieszkaniach, w najzupełniejszéj zgodzie z prawdą ułożona przez dra T.

Lecz tego wszystkiego było zamało i powstał syndykat właścicieli domów. Lokatorzy i tak byli w wielkiéj zależności od właścicieli, których akuratność objawia się głównie żądaniem komornego; o poprawkę albowiem w niewygodném lub zimném mieszkaniu lokator może cały rok bezskutecznie kołatać. Syndykat uchwalił podobno na pierwszém posiedzeniu, że nie dopuści do obniżenia cen lokali i że bę-

dzie nabywał puste place, ktore podzielone pomiędzy członków syndykatu, przez nich tylko będą zabudowywane.

Syndykat jest kulminacyjnym wyrazem antagonizmu interesów właścicieli i lokatorów. Właściwie powiedziećby należało, że jest to starcie między żądnymi niepomiernych zysków właścicielami a eksploatowanymi lokatorami, boć interesy pierwszych i bez tego aż nadto były zabezpieczone; ludzie jednak dążenia swoje, bez względu na ich etyczne uzasadnienie, nazywają „interesami.” Sprawy téj jednak etycznemi argumentami się nie wygra. Mówią więc o interwencyi prawa, które nie odda ludności miejskiéj na łup swawoli „kamieniczników.” Mają też powstawać spółki mieszkaniowe, z celem posiadania własnych domów, przeznaczonych na osobisty użytek. Podobno grono urzędników kolejowych zawiązało już takie stowarzyszenie. Rachunek jest taki: panowie ci, w liczbie 12-tu, płacąc po 400—500 rs. komornego, wydają rocznie na mieszkanie około 5000 rs. Suma ta w ciągu lat 10 utworzy kapitał 50,000 rs., który przy pożyczce Tow. Kred. miejsk. mógłby wystarczyć na budowę domu własnego. Chodzi tylko o znalezienie przedsiębiorcy, którzyby przy odpowiedniéj gwarancyi zaangażował kapitał nakładowy.

Dyrekcya towarzystwa „Przezorność” przesłała „Kuryerowi Warszawskiemu” wyjaśnienie w sprawie ubezpieczenia służby folwarcznéj i zarzutów zbyt powolnego działania. Ponieważ pisaliśmy o tém w Kronice grudniowéj, więc wskutek tego wyjaśnienia dodać należy, że przytoczone powody oraz warunki ubezpieczeń tłomaczą zwłokę jaka zachodzi.

Towarzystwo dobroczynności i Komitet damski przy Warszawskiém Towarzystwie opieki nad zwierzętami urządziły w grudniu szereg odczytów.

B. Lut.



NEKROLOGIA.

† **Julian Łapicki**, urodzony r. 1829 w Boczejkowie, w pow. lepelskim gubernii Witebskiéj, uczęszczał do gimnazyum w Mińsku, które ukończył ze srebrnym medalem, poczém udał się na studya przyrodnicze do uniwersytetu petersburskiego. Za powrotem osiadł w majątku rodzinnym Bucewiczach, prowadził gospodarkę wzorowo i jeden z pierwszych zastosował płodozmian. Podczas reformy włościańskiéj r. 1861 wybrany był na urząd komisarza włościańskiego w pow. mińskim. Po dwóch latach podał się do dymisyi. Sprzedawszy majątek, osiadł r. 1867 w Warszawie, przez czas jakiś administrował majątkiem Kruszyna w pow. noworadomskim; następnie zamieszkiwał we wsi Gidle tegoż powiatu i gospodarował na kilkunastu morgach. W tym czasie ogłosił sporo artykułów treści ekonomicznéj w „Ateneum", „Niwie", „Gazecie rolniczéj", „Echu" i innych pismach; rozmyślał nad udoskonaleniem narzędzi rolniczych, a pług jego konstrukcyi otrzymał odznaczenie na wystawie warszawskiéj. Zajmował się téż kwestyami literackiemi i dziennikarskiemi, pisząc między innemi ostry artykuł przeciw krytykom powieści Sienkiewicza „Ogniem i mieczem". Zmarł w Gidlach 18 września 1894 r.

† **Wiktor hr. Baworowski** urodził się w Kołtowie, niedaleko miasta Brodów, z ojca Józefa, żołnierza Napoleońskiego, odbywającego służbę wspólnie ze wsławionym później komedyopisarzem Aleksandrem hr. Fredro, z matki Felicyi hr. Starzeńskiéj. Wychowanie odebrał cudzoziemskie, kształcąc się przeważnie w języku francuskim, a potém niemieckim i angielskim. Po zgonie rodziców, dostał się wraz z resztą rodzeństwa pod opiekę wuja, Michała hr. Starzeńskiego, człowieka zacnego i dbałego o rodzinę, ale surowego i nie lubiącego nowszéj zwłaszcza literatury polskiéj. Ucząc się we Lwowie pod kierunkiem Prusaka Jurgasa, ukradkiem niemal czytywać musiał autorów polskich przedromantycznych, na których kształcił

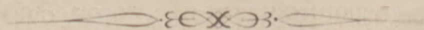
swój język i wiersz, wcześnie już bowiem okazywał zamiłowanie w poezyi. Zapoznanie się z J. N. Kamińskim w r. 1847 poprowadziło ś. p. Baworowskiego do systematycznéj nauki języka i stylu polskiego. Twórczość własną rozpoczął od trenów oraz bajek pisanych na wzór Krasickiego; potém wziął się do tłómaczeń, przekładając „Oblubienicę z Koryntu" Goethego, „Rycerza Toggenburg" i „Młodzieńca nad strumieniem" Schillera, „Klątwę bardów" Bürgera. W r. 1848, na życzenie opiekuna, wstąpił do służby rządowéj, ale w lat parę usunął się od niéj i oddał się z zamiłowaniem gromadzeniu książek, map, rycin rękopisów, oraz tłómaczeniu znakomitych utworów poezyi. Pierwszym większym poematem, przełożonym i wydanym przezeń był „Oberon" Wielanda (Lwów, 1853); poszły następnie: „Pielgrzymka „Czajlda-Harolda" (tamże, 1856, — dwie pieśni, całość w rękopiśmie); „Don Juan" Byrona (1863, 1877, 1879, razem cztery pieśni, całość w rękopiśmie). Przeważna część jego tłómaczeń spoczęła w manuskryptach; znajduje się tam mianowicie kilka mniejszych poematów Byrona i bardzo dużo utworów Wiktora Hugo, jako to: „Oręż", „Babunia", „Dwa odkrycia Gallusa", „Perełka", „Wabik", „Torquemada", „Czy się pożywią", oraz mnóstwo drobniejszych poezyi. Z prac oryginalnych, prócz opisu „Odwiedzin u Mickiewicza" z r. 1852, nic ś. p. Baworowski nie ogłosił drukiem. Zbiory, gromadzone z wielką skrzętnością, mieszczą się w jedenastu pokojach w t. zw. „arsenale Sieniawskich" we Lwowie, oraz w Myszkowicach pod Tarnopolem. Wraz z całym majątkiem nieruchomym są one zapisane krajowi na fundacyę wieczystą, na wzór Ossolińskich we Lwowie. Przy téj fundacyi ma się z czasem rozwinąć Muzeum sztuk pięknych. Ze zbiorów tych, obfitujących w rzeczy bardzo cenne, korzystało już wielu uczonych, a osobno ogłoszono: „Kroniki Wapowskiego część ostatnia" (1874), „Rozmyślania o śmierci i nieśmiertelności przez Euthanazyusza", „Żywot Tomasza Zamojskiego przez Żurkowskiego Stanisława" (1859). Z niewyjaśnionych dotąd powodów Baworowski odebrał sobie życie przez poderżnięcie gardła w d. 3-im grudnia 1894 r. we Lwowie. W testamencie przekazał dwa miliony złr. do rozporządzenia Wydziałowi krajowemu.

† **Ferdynand Źródłowski**, znakomity znawca prawa rzymskiego, namiętny polemista, przeważnie pisujący po niemiecku, urodzony około 1844 r., doktoryzował się w Krakowie 1866 r., poczém powołany został na profesora do Lwowa, gdzie w r. 1870 wyszły jego wykłady stenograficznie notowane p. t. „Powszechne prawo prywatne austryackie"; w r. 1872 w Pradze ukazała się rozprawa: *Untersuchungen aus dem österreichischen Civilrecht mit Berücksichtigung des rö-*

mischen Rechts und der neueren Gesetzbücher. W r. 1877 wydał, również w Pradze, pierwszy tom dzieła *Das römische Privatrecht*, a w r. 1880 tom jego drugi. W r. 1878 drukował rozprawę o przedawnieniu: *Die Verjährung nach österreichischen Rechte*. W r. 1888 wyszły jego *Codificationsfragen*. Najobfitszym w wydawnictwa dzieł i broszur jego był r. 1889, kiedy wyszły: „Instytucye i historya prywatnego prawa rzymskiego", „Pandekta prywatnego prawa rzymskiego", *Entwurf einer Civilprocess — und Executionsordnung* (Zurych), *Sprüche der hervorragendsten Denker der Neuzeit* (tamże), *Die Krankenhäuser, die Fürsorge für Arme* (Lipsk), *Das Schulwesen und seine Verwaltung* (tamże). Ta ostatnia praca była wyrazem nieporozumień autora z wydziałem uniw. we Lwowie, nieporozumień zakończonych przedwczesnem przyznaniem ś. p. Źródłowskiemu całkowitéj emerytury. On, nie chcąc żadnéj łaski, potrącał z téj emerytury to, co mu się należało za wysłużone lata, a resztę odsyłał w liście pieniężnym wprost do cesarza austryackiego. Kilkakrotnie przebywał w domu obłąkanych w Kulparkowie, ale po krótkiém tu pobycie wracał do domu. Ostatnie jego prace były: *Ewige Zeitfragen* (1891), *Grundriss der Religionslehre* (1892), *Entwurf eines bürgerlichen Gesetzbuches* (1893). Zmarł nagle we Lwowie 20 grudnia 1894 r.

† **Józef Piasecki**, urodzony r. 1860, ukończywszy wydział prawny w uniwersytecie warszawskim r. 1880, oddał się studyom ekonomicznym, pracując głównie w „Prawdzie", obrobił wedle najlepszych źródeł „Ekonomię polityczną" (1884). Zapisawszy się na kandydata do posad sądowych, w oczekiwaniu posady pomieszczał sporo artykułów w „Gazecie sądowéj". Zgasł młodo jako sekretarz sądu handlowego w Warszawie 22 grudnia 1894 r. otoczony powszechnym szacunkiem.

B. p. **Maksymilian Glücksberg**, urodzony w Warszawie 1840 r., syn znanego księgarza-wydawcy Jana, ukończywszy Szkołę Główną na wydziale prawnym, od r. 1866 pracował na niwie publicystycznéj przy „Kłosach" i „Tygodniku romansów", gdzie przez czas jakiś pisywał Kroniki tygodniowe. W r. 1874 wyjechał do Kalisza, potém do Piotrkowa, gdzie jako adwokat przysięgły występował do r. 1880, kiedy się napowrót przeniósł do Warszawy. Ułożył spis rzeczy zawartych w „Kłosach" od r. 1865 do 1876 (Warszawa, 1867). Na kilka tygodni przed zgonem zapadł na chorobę umysłową. Umarł w Warszawie 27 grudnia 1894 r.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Декабря, 1894 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

---

1. *Ks. biskup Bougaud.* **Chrystyanizm i czasy obecne.** Tłómaczenie z francuskiego, wydane staraniem księdza *P. Skollmowskiego.* Warsz., 1894, Gebethner i Wolff, 8-vo, str. 509.
2. **Poradnik homeopatyczny** d-ra *K. Müllera* tłómaczył, opatrzył wstępem i dopełnieniem *Lucyan Kuczyński.* Warsz., 1894. Gebethner i Wolff oraz Apteka cent. homeopatyczna, 8-vo, str. 523.
3. **Katalog ilustrowany** wystawy sztuki polskiej od roku 1764 — 1886. Wydał dr. Jan Bołoz Antoniewicz, prof. uniw., z ilustracyami. We Lwowie, 1894 8-vo, str. XXIV i 384.
4. *Teodor Jeske-Choiński.* **Bez wyboru.** Opowieści, jakich wiele. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 317.
5. **Na złotym szlaku.** Opowiadanie z ubiegłych wieków przez *Maryę Łopuszańską.* Petersburg, 1895, 8-vo, str. 678.
6. **Mały podręcznik** weterynaryi popularnej. Napisał *Franciszek Okniński.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 38.
7. *Stefan Baryczka.* **Powieści i nowele.** Tom I. Warsz., Gebethner i Wolff, skład głów. u autora w Żytomierzu, 1894. 8-vo, str. 164.
8. **Kartki historyczne i literackie** przez *Alexandra Kraushara.* I. wydanie drugie, poprawione. Kraków, Gebethner i S-ka, 1894, 8-vo.
9. **Schiller i Goethe** w pamiętnem dziesięcioleciu ich przyjaźni. Przez *Włodzimierza Spasowicza.* Petersb., skł. gł. w księgarni Grendyszyńskiego, 1895 8-vo, str. 138.
10. *Wincenty Kosiakiewicz.* **Bawełna.** Powieść. Petersb., nakł. księg. Grendyszyńskiego, 1895, 8-vo, str. 307.
11. *Zygmunt Kaczkowski.* **Kobieta w Polsce.** Studyum historyczno-obyczajowe Petersb., nakł. księgarni Grendyszyńskiego, 1895, 8-vo. Tom I, str. XLII i 448. Tom II-gi z przedmową i uwagami *Piotra Chmielowskiego,* str. XV. 424 i VIII.
12. *Stanisław Ciszewski.* **Krakowiacy.** Monografia etnograficzna. Tom I. Krak., nakł. autora, 1894, 8-vo, str. 380.
13. *Cycero.* **Mowa** za poetą Archiasem. Przełożona przez *E. Rykaczewskiego* („Biblioteka powszechna", Nr. 88). Warsz., T. Paprocki i S-ka (1894), str. 28.
14. *Hajota.* **Ich syn.** Powieść współczesna. Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, t. I, str. 271, t. II, str. 278.
15. *Józef Korzeniowski.* **Mnich.** Tragedya („Bibl. powsz.", Nr. 101). Warsz., T. Paprocki (1894), str. 64.
16. *Józef Korzeniowski.* **Karpaccy górale.** Dramat („Bibl. powsz.", Nr. 102). Warsz., T. Paprocki (1894), str. 68.
17. *Aureli Urbański.* **Z za kulis i ze świata.** Szkice, obrazki, humoreski, Tomik I („Bibl. powsz.", Nr. 107). Warsz., T. Paprocki i Sp. (1894), str. 96.
18. *Ferdynand Hösick.* **Samotność.** Krajobrazy i opowiadania. Krak., G. Gebethner i Sp., 1895, 8-vo, str. 323.
19. *Maryan Gawalewicz.* **Od jutra.** Powieść współczesna.
20. *Armand Shweger-Lerchenfeld.* **Geografia powszechna** ilustrowana. Przełożył i uzupełnił dr. *Karol Jurkiewicz.* Warsz., nakł. M. Orgelbranda. Zeszyt 24 (str. 553—576).
21. **System rentowy** i włości rentowe. Napisał *J. Kirszrot-Prawnicki.* Lwów, 1894, 8-vo, str. 20.

22. *Stanisław Bełza.* **Na Lagunach.** Warsz., Gebethner i Wolff, 1895, 8-vo, str. 327 z rysunkami.

23. *Knut Hamsun.* **Redaktor Lynge.** Romans. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki. 1895, 8-vo. str. 277.

24. *Dr. Mścisław Edgar Trepka.* **Anglia i Anglicy.** Studya. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1894. 8-vo, str. 398.

25. **Zatarg Jmci Pana Łukasza Konopki** z miastem Toruniem. Kartka archiwalna (1742—1756). Przez *Alexandra Kraushara.* Wydanie 2-gie. Krak., G. Gebethner i Wolff. 1895, 8-vo, str. 84.

26. **Królestwo zwierząt**, według Brehma, opracował *W. Lakowitz*, przełożył *Stanisław Rewieński.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa (1894), 8-vo, Zesz. X (str. 865—973).

27. *Aniela Gałecka.* 1. **Notatnik** do brania miar na suknie, okrycia damskie. — 2. **Nauka** brania miar na suknie. Warsz., 1893, 8-vo.—3. **Metoda kroju** i szycia, in 4-to. str. 64.—4. **Rysunki kroju.** Wydanie X

28. *Klemens Junosza.* **Żywota i spraw** Jmć pana Symchy Borucha Kaltkugla ksiąg pięcioro. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 280.

29. **Najnowsze bartnictwo.** Napisał specyalista bartnik *Franciszek Molicki.* Warsz., skład gł. w księg. T. Paprockiego, 1895. 8-vo, str. VI i 424 z 255 rysunk. (cena rs. 3 kop. 50).

30. **Encyklopedya rolnicza**, wydawana staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Zesz. XXXIX (str. 449 — 528); zesz. XL (str. 529 — 608). Cena zeszytu kop. 60.

31. **Obrona** sławy bliźniego, ku pożytkowi osób wszystkich stanów. Przez księdza *Karola Obolewicza.* Warsz., u F. Czerwińskiego, Wilno, u J. Zawadzkiego. 1894, str. 192.

32. **Program** ces.-król. Szkoły politechnicznéj we Lwowie na rok naukowy 1894/95. XXIII. Lwów, 1894, 8-vo, str. 112.

33. **Podręcznik dla palaczy kotłowych** *P. Braussera* i *A. Spennratha*, przetłomaczył i uzupełnił dr. *Felicyan Łaszczyński* („Bibl. przemysłowa"). Warsz., nakł. Hipolita Wawelberga, 1894, 8-vo, str. 143 i XV.

34. **Nowości** literackie do nabycia w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie. Wrzesień, 1894, str. 47.

35. *Esteja.* **Kto zwycięzcą?** Nowelle. Warsz., nakł. S. Lewentala (1894), 8-vo, str. 325.

36. *Józefa Ungra* **Kalendarz ilustrowany** na rok zwyczajny 1895, Warsz., 4-to, kart 20, str. 16 + 76 + 46 + 10 + 8 + kart nlb. 25 i ogłoszenia.

37. **Nauka mularstwa.** Opracował *Jakob Heilpern*, inżynier. Tom I, część I-sza. Wiadomości z nauk zasadniczych (Wydawnictwo Zgromadzenia Mularzy w Warsz.). Warsz., skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa, 1894, str. XXVII i 527 (z licznemi rysunkami).

38. **Franciszek Zabłocki.** Szkic biograficzno-krytyczny skreślił *M. Gawalewicz.* Krak., nakł. redakcyi „Świata", 1894, 8-vo, str. 83.

39. *Gamaston.* **Lamparcie życie.** Opowiadanie ze wspomnień studenckich. Wyd. drugie. Kijów i Odessa, nakł. Bolesława Koreywy, 1895, 8-vo, str. 498.

40. *Cezary Jellenta.* **W przesileniu** (Wykrawki z życia). Krak., Gebethner i Sp., 1894, 8-vo, str. 281.

41. **Dzieła dramatyczne Williama Shakespeare** (Szekspira) w dwunastu tomach przekład *J. Ulricha.* z objaśnieniami *J. I. Kraszewskiego.* Wydanie nowe, z rycinami tytułowemi. Krak., nakł. G. Gebethnera i S-ki. Warsz., Gebethner i Wolff, 1895, t. II, 8-vo, str. 338, t. III. str. 330, t. IV, str. 251.

42. **Poglądowa metoda** nauki czytania, przeprowadzonej jednocześnie z nauką pisania i początkowych rachunków ułożył, Elementarz, zadania odpowiednie i krótkie Wypisy z autorów polskich dołączył *Feliks Jezierański.* Warsz. skład gł. w księg. T. Paprockiego i S-ki, 1894, 8-vo str. XVIII 259 i V, oraz tablica z rysunkami.

43. *Teodor Jeske-Choiński.* **Majaki.** Niedokończona kartka z chwili bieżącej. Warsz., skład gł. w księg. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 301.

44. *Ant. Gawrońska.* **Bajki, gadki, przysłowia i piosneczki**, spisane z ust ludu dla dzieci. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1895, str. 112.

45. *Teresa Jadwiga.* **Walka.** Kilka epizodów z wojny francusko-pruskiéj. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 198.

46. *Michał Saavedra Cervantes.* **Przygody Don Kichota** z La Manczy. Przełożył *J. E.* Petersb., nakł. księg. K. Grendyszyńskiego, 1895, 8-vo, str. 276, z 8-iu ilustracyami Dorégo.

47. *Henryk Piątkowski.* **Polskie malarstwo współczesne.** Szkice i notaty. Peters., nakł. księg. K. Grendyszyńskiego, 1895, str. 300.

48. *Jan Zacharyasiewicz.* **Chléb.** Powieść współczesna. Petersb., w księg. K. Grendyszyńskiego, 1895, 8-vo, str. 367.

49. *Kazimierz Rojan.* **Dla iskry bożéj.** Powieść. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 416.

50. *K. Junosza* i *K. Laskowski.* **Wyścig dystansowy.** Obraz sceniczny w 3-ch aktach. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 107.

51. **Obraz literatury powszechnéj** w streszczeniach i przykładach ułożyli *Piotr Chmielowski* i *Edward Grabowski.* Zeszyt IV. Warsz., nakł. T. Paprockiego i Ski, 1894, 8-vo (str. 241—318).

52. **Dzieje powszechne** ilustrowane. Warsz., w księg. G. Centnerszwera. Zeszyty I i II, str. 32 (cena zeszytu kop. 12).

53. *Plato v. Reussnera.* **Najlepsza metoda,** czyli samouczek polsko-francuski do nauczania się po francusku czytać, pisać i rozmawiać. Warsz., nakł. autora, 1895, 8-vo, zeszyt I (cena 15 kop.).

54. **Encyklopedya wychowawcza.** Warsz., 1894, 8-vo, t. V, zesz. II, str. 81—160.

55. **Kolonizacya i parcelacya.** Odczyt *Józefa Jeziorańskiego.* Warsz., 1894, str. 33 (cena kop. 20).

56. *Wincenty hr. Łoś.* **Nera Polacca.** Powieść współczesna w dwóch częściach. Warsz., nakł. księg. Centnerszwera, 1894, 8-vo, str. 350.

57. *Wincenty hr. Łoś.* **Hrabina.** Powieść współczesna. Warsz., nakł. księg. Centnerszwera, 1895, 8-vo, str. 317.

58. *Józef Bliziński.* **Chwast.** Komedya w trzech aktach. Warsz. (1894), wyd. „Kuryera Warszawskiego", 8-vo, str. 140.

59. *Kamil Flammarion.* **Niebo.** Przekład dr. *M. Stefanowskiéj.* Wyd. II, poprawione, z licznemi rysunkami. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 214.

60. *Elizeusz Reclus.* **Zjawiska ziemskie.** II. Morza i meteory. Przełożyła i uzupełniła dr. *M. Stefanowska.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 218 i VI.

61. **Studenci Polacy** na uniwersytecie Bolońskim w XVI i XVII wieku. Napisał *Mathias Bersohn.* Krak. (część I-sza), 1890, 8-vo, str. 23; część II, 1894, str. 81.

62. **Mechanika doświadczalna.** Wykład *Roberta S. Balla*, przełożył *Stanisław Kramsztyk.* Warsz., nakł. Hipolita Wawelberga, skład gł. u Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 415, ze 100 przeszło rysunkami (cena rs. 1).

63. **Rozprawy** Akademii umiejęt. Wydział filologiczny, tom XX. Krak. 1894, str. 438.

64. **Nicolai Hussoviani carmina** ed. *Joannes Pelczar.* Krak., nakład Akademii, 1894, 8-vo, str. LV i 118.

65. **Sprawozdanie** komisyi językowéj Akademii umiej., tom V., Krak., nakład Akademii 1894, 8-vo, str. 469, z 3 tablicami.

66. *Albert Wilczyński.* **Milutka żona.** Powieść. Warsz., S. Lewental (1895), 8-vo, str. 251.

67. *Sylweryusz Kondratowicz.* **Pierwsze kroki.** Powieść. Warsz., nakł. S. Lewentala (1895), 8-vo, str. 226.

68. *Władysław Umiński.* **W nieznane światy.** Powieść fantastyczna. Petersb., nakł. K. Grendyszyńskiego, 1895, 8-vo, str. 239, z 9 ilustracyami.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

